

Dwa lata pracy u podstaw państwowości naszej (1924-1925)



WŁADYSŁAW GRABSKI

Dwa lata pracy u podstaw państwowości naszej (1924–1925)

WSTĘP

Wśród nielicznych lat naszego odnowionego bytu państwowego lata 1924–25 mają swoją specjalną kartę. W latach tych postawione zostały podwaliny naszej samowystarczalności skarbowej i gospodarczej, a to przez dokonanie reformy walutowej, rozwinięcie systemu podatkowego osiągnięcie równowagi budżetowej, zaprowadzenie monopolii państwowych, rozwinięcie systemu celnego i wprowadzenie w życie samowystarczalności kolei. Prócz tego w latach tych osiągnięto na kresach uspokojenie fermentów antypaństwowych i rozpoczęto politykę regulowania praw językowych i innych, tyjących się mniejszości narodowych.

Ze stolicą Apostolską zawarto konkordat.

Siła wojskowa obronna polska doszła do znacznego rozwoju, a spokój społeczny nie był zamącony w ciągu całego 1920 i 1925 r. żadnymi wstrząsami.

W drugiej połowie 1925 roku nastąpiło zachwianie się waluty i zaostrzenie kryzysu gospodarczego. Wywołało to poczucie niepewności co do wyników poprzednich usiłowań. Ale dziś minęło już więcej niż półtora roku od czasu tego załamania i cieszymy się z dodatnich rezultatów zaprowadzonych i rozbudowanych poprzednio podstaw naszej państwowości. W zakresie podatków szukamy ich ulepszeń — ale korzystamy z tego, że są one wydajne. Bank Polski staje na coraz mocniejszych podstawach, a Bank Gospodarstwa Krajowego i Bank rolny stają się coraz większą potęgą finansową. Wszystkie dziedziny życia finansowego i skarbowego Polski funkcjonują dziś na zasadzie fundamentów położonych w epoce 1924–25 r. Stanowiła ona przeto lata wyjątkowego natężenia pracy u podstaw bytu państwowego w dziedzinie skarbu, waluty i stosunków gospodarczych, oraz epokę znacznego uspokojenia w zakresie stosunków politycznych i społecznych.

Przeżywany obecnie kryzys gospodarczy zaciemnia orjentowanie się w celowości i konieczności pracy państwowej w tej dziedzinie, jaka w latach 1924–25 była przeprowadzona. Ale na zadania i prace naszej młodej państwowości patrzeć winniśmy przez pryzmat szerokich widnokręgów dziejowych, by móc nabrać właściwej orjentacji.

Wiemy dobrze jak w dawnej Polsce trudnem było zadaniem stworzenie siły Skarbu i zaprowadzenie wydajnych źródeł rozwoju życia gospodarczego. Wiemy jak trudno było o atmosferę spokojnego skupienia sił twórczych narodu w dziedzinie życia politycznego.

Wiemy jak dla wszystkich krajów po wojnie zadanie dźwigania się o własnych siłach wymaga długich i cierpliwych wysiłków. Nie możemy przeto mierzyć tego, co się u nas działo w niedalekiej przeszłości tem, co nastąpiło w najbliższem po tem następstwie. — Okresy kryzysów to okresy próby. Ciężki nawet kryzys nie powinien być rozważany jako załamanie się, jeżeli organizm państwowy i społeczny chce żyć i ze swych praw i dążeń nie rezygnuje. Okresy wysiłków to okresy poznawania własnych sił, których za stracone nigdy uważać nie należy, jeżeli służyły one do celowej walki. Z przebiegu tych walk należy zawsze wyciągać wnioski, wzbogacające nas doświadczeniem, choćby nie zawsze kończyły się one zwycięsko.

A że wysiłki z lat 1924–25 były celowe, dowodzi tego fakt, iż zdobycze ich trwają niewzruszenie pomimo upływu czasu oraz zmiany ludzi i kierunków, stojących na czele

spraw państwowych, a bólczki, które w końcu tej epoki się ujawniły, stopniowo mijają, ulegając koniecznemu choć powolnemu osłabianiu swego natężenia.

Wysiłki, które zostały w latach 1924–25 dokonane, to zbiorowa praca i zasługa całego naszego narodu. Należałoby przeto uwidocznić to w osobnym dziele, ujmującym zarys tej pracy z przedstawieniem najbardziej wszechstronnem wszystkich składowych jej czynników.

Wśród tej zbiorowej pracy przypadło w udziale mojej osobie kłaść na szalę przebiegu spraw własną myśl i wolę. Stało się to tak z konieczności biegu wypadków. Tej konieczności się poddałem, nie uchylając się od żadnej najtrudniejszej decyzji i biorąc na siebie cały ciężar odpowiedzialności. Gdy ciężar ten przerósł już moje siły, wówczas ustąpiłem.

Wyjaśnienie mojej działalności państwowej w latach 1924–25 to poważny przyczynek po dziejów tych dwóch lat. Robię to pod postacią wspomnień moich o tych dziejach. Pragnę z tych wspomnień wydobyć jaknajwięcej pierwiastku doświadczenia na użytek czasów dzisiejszych i późniejszych, gdyż we wspomnieniach moich chciałbym widzieć nie tyle oświetlenie tych dziejów, co dalszy ciąg służby piórem tej samej sprawie, której się wówczas jako człowiek czynu oddałem.

CZĘŚĆ I. WSPOMNIENIA HISTORYCZ- NE

DZIAŁ I. POCZĄTKI I PRÓBY ROZDZIAŁ I

Przed objęciem Skarbu w roku 1923

Zagadnienie, jak zabezpieczyć Polsce warunki bytu, w których by ona nie czuła się zależną od zaborców w swoich codziennych i masowych objawach życia natury ekonomicznej i społecznej, stanowiło naczelną troskę tych wszystkich, którzy faktowi zaborów poddawać się nie myśleli i szukali innych niż ruchy zbrojne dróg wyjścia z narzuconej nam sytuacji politycznej.

Stanąc wyżej od Rosji co do kultury gospodarczej i społecznej szerokich mas ludności oto zdawał się być ten środek, który by miał doprowadzić do pokojowego odpadnięcia największego z naszych zaborów od Rosji.

Wykazać, że siły nasze własne były wystarczające, by móżd się od zaborców oderwać i dojść znacznie wyżej w swym rozwoju niż pod ich uciskiem, to był cel studjów, zbierania materiałów i oświetlania ich w publicystyce i pracy naukowej.

W czasie posłowania mego w Dumie w Petersburgu w latach 1906–1912 poświęciłem się studjom nad wykazaniem w jakiej mierze Skarb Rosyjski eksploatował siły finansowe Polski i czerpał z niej korzyści dla Rosji oraz rozwinąłem pracę w zakresie stopniowego uwalniania Polski z pod ucisku tej eksploatacji i zdobywania naszej własnej siły rozwojowej, niezależnej od Rosji.

W szczególności wykazałem, że Skarb Rosyjski ciągnął znaczne korzyści z zaboru rosyjskiego, upośledzając go w zakresie wydatków pożytecznych dla kraju, a przeciążając podatkami wielokrotnie w stosunku do Rosji, zarówno w dziedzinie nieruchomości miejskich jak i gruntowych.

Dowodziłem, że rząd rosyjski nie tylko nie był dobroczyńcą swoim kosztem włościan naszych, co stanowiło dogmat, na którym opierała władza rosyjska cały swój wpływ i powagę wśród ludu, ale że na uwłaszczeniu włościan w Polsce rząd zaborczy na czysto zarobił. Za głoszenie tej tezy zostałem skazany na więzienie. Również wykazałem, że rząd rosyjski zarobił na wydawaniu uposażenia duchowieństwu katolickiemu w zamian za pobrane majątki duchowne, dając mniej niż zabrał. Temu programowi studjów nad rachunkiem finansowym Polski z Rosją poświęciło się w zaborze rosyjskim prócz mnie kilka jeszcze osób, a również studia takie prowadzone były w innych dzielnicach odnośnie do innych państw zaborczych.

Ideja, że Polska winna się stać samodzielnym ośrodkiem finansowym i gospodarczym, stawała się coraz bardziej wyraźnym programem w miarę, jak wypadki wskazywały na to, że układ polityczny świata może ulec bardzo daleko idącym zmianom, które Polskę mogą powołać do życia. Po ukończeniu posłowania w Dumie w ciągu dwóch ostatnich lat przed wojną poświęciłem się w Biurze Pracy Społecznej dalszym studjom nad zagadnieniem wyrobienia samodzielności finansowo-gospodarczej ziem Polskich. W tym duchu wydawałem w latach 1913–1915 *Rocznik Statystyczny Królestwa Polskiego*. W wydawnictwie tem, obok danych źródłowych zebranych dla Królestwa Polskiego, znajdowały się dane dla innych zaborów i krajów i z zestawień tych widoczną była zdolność Polski do stania się samodzielnym ośrodkiem życia państwowego.

Gdy tylko wielka wojna się rozpoczęła natychmiast oddałem się całkowicie temu, by kraj opuszczony przez władze zaborcze organizować pod egidą komitetów obywatelskich, które stawały się pierwszemi zawiązkami realnemi państwowej organizacji naszej. Centralny Komitet Obywatelski, który zorganizowałem i prowadziłem, doprowadzony został przez władze okupacyjne niemieckie do likwidacji, pomimo wielkiej pomocy, jaką wyświadczał ludności; rozwinął on natomiast wśród wygnańców polskich w Rosji tak szeroko zakrojoną opiekę społeczną, kulturalną i ekonomiczną, iż zdołał całkowicie od-

grodzić liczne rzesze wygnańcze od otoczenia, skupić je i przygotować do powrotu do kraju, chroniąc je skutecznie od wpływu destrukcyjnych czynników obcych.

Gdy w 1917 r. Polska jako państwo stała się faktem realnym, zająłem się, będąc wówczas w Rosji na czele organizacji polskich wygnańczych, tem, by przygotować materiały, które miały posłużyć do tego, by Polska wyszła z rozrachunku swego z państwami zaborczymi obronną ręką i by Rosja nie mogła Polski obarczyć ciężarami finansowymi, które by mogły jej rozwój sparaliżować.

W tym celu wszedłem jako członek do „Polskiej komisji likwidacyjnej”, którą utworzył rząd Kiereńskiego po uznaniu zasady niepodległości Polski i której przewodnictwem powierzył Lednickiemu. Gdy, z powodów niemożności uzgodnienia mego poglądu na sprawę natury zasadniczej z przewodniczącym tej placówki, wystąpiłem z niej, skoncentrowałem prace przygotowawcze dla rozrachunku z Rosją w organie przez Centralny Komitet Obywatelski wydawanym: *Materiały i studja w sprawach odbudowy Państwa Polskiego*. Wtedy to wśród współpracowników tego wydawnictwa wyróżnił się Pan Stanisław Kauzik, który stał się następnie moim najbliższym współpracownikiem na polu ogólnie państwowej działalności. Najbliższym zaś moim ówczesnym towarzyszem pracy zarówno w „Polskiej Komisji Likwidacyjnej” jak i przy wydawaniu *Materiałów* był Pan Jan Mrozowski, obecny przedstawiciel Polski w Komisji Odszkodowań w Paryżu.

Przejęty sprawą, by nowopowstające państwo polskie ochronić od ciężarów finansowych, które mogły je przygnać zaraz w pierwszych początkach jego bytu, zgodziłem się po przyjeździe do Warszawy na wiosnę 1918 r. zostać z ramienia ówczesnego rządu polskiego w Warszawie przewodniczącym komisji mającej ułożyć stosunki handlowe Polski do Niemiec. Zamiast tego jednak zostałem osadzony w Modlinie. Po wyjściu z tamąd, gdy już władz okupacyjnych nie było, pierwszą troską moją (nie licząc kilkunastodniowego urzędowania w Gabinetcie Świeżyńskiego) było powołać do życia polski organ państwowy, który by sprawom rozrachunku z obecnymi państwami był poświęcony. W tym celu utworzony został „Główny Urząd Likwidacyjny”, oddany pod moje kierownictwo. Jednocześnie wysłany zostałem do Paryża na Konferencję Pokojową dla dopilnowania naszych spraw ekonomicznych przy zawarciu pokoju Wersalskiego. — Zadanie było nadzwyczaj trudne. Zwycięzcami były wielkie mocarstwa, które poniosły wielkie straty i koszty na wojnę i domagały się by otrzymać za to odszkodowanie od zwyciężonych. Co zaś do nowych państw, które same wojny nie prowadziły, wielkie mocarstwa stały na tym gruncie, że powinny ponieść część kosztów wielkiej wojny, która przyniosła im uwolnienie od zaborców.

Traktat pokojowy układany był przez wielkie mocarstwa i Polska bezpośredniego wpływu wywierać nie mogła. Dużo zatem klauzul finansowych nie zostało tak zredagowanych, jak to było nam potrzebne. — Ale nie mniej zdołaliśmy obronić się przed grożącymi nam niebezpieczeństwami do tego stopnia, że do dziś dnia Państwo nasze obciążone jest z tytułu traktatu stosunkowo nieznacznymi ciężarami finansowymi zarówno z racji dawnego stanu zadłużenia państw zaborczych, jak i z racji powstania na nowo na skutek kosztownej wojny. Jest to nadzwyczaj ważna okoliczność dodatnia dla realizacji idei siły i samodzielności finansowej Polski.

Z racji zniszczeń dokonanych przez Niemcy i Austrię na ziemiach Polski należeć się były powinny Polsce poważne odszkodowania. Ale przypadać one miały tym państwom, które prowadziły wojnę z Niemcami i Austrią. Tak mówił tekst Traktatu w swoich sformułowaniach ogólnych, na które Polska żadnego wpływu wywierać nie mogła, bo nie była do tego dopuszczona. Należało przeto ponieść dopiero następnie duże wysiłki by udowodnić, że Polska brała udział w wojnie przeciwko Niemcom i Austrii, by mogły nam być przyznane jakiegokolwiek prawa do odszkodowań. Oczywiście, że prawa te nie mogły się odnosić do zniszczeń dokonanych przez Rosję, a tylko przez Niemcy i Austrię, jako zwyciężonych.

O ile sprawa należnych nam odszkodowań już sama w sobie przedstawiała wiele trudności, to gorzej przedstawiała się sprawa, jak uniknąć ciężarów, które na nas włożyć chciano. Najpierw wysuwano tezę, że koszty wojny powinny być rozłożone równomiernie na wszystkie państwa, które z wojny wyciągnęły korzyści. Na szczęście dla nas teza ta nie utrzymała się. Ale wtedy Anglja przeforsowała tezę, że nowo powstałe państwa winne

są płacić do funduszu odszkodowań wartość wszystkich własności rządowych, znajdujących się na ich terytorjach, dawniej do państw zwyciężonych należących, to jest wartość wszystkich linii kolejowych, budynków i wszelkiej własności państwowej. Teza ta była dla wszystkich nowych państw fatalną. Nie mogąc tej tezy obalić bo była ona jak gdyby wynikiem zrzeczenia się przez główne mocarstwa idei rozkładu na nowe państwa kosztów samej wojny, co byłoby jeszcze gorsze, zdołałem uczynić w tej tezie poważny wyłom wykazując, że Polska nie może płacić za to, co jej państwa zaborcze same zabrały. W myśl tej mojej tezy, która została uznana za słuszną, Polska została zwolniona z obowiązku obrachowania się za lasy, które stanowiły dawniej własność Rzeczypospolitej. Gdy te zasady zostały przyjęte, pozostała najtrudniejsza sprawa, mianowicie przeprowadzenie idei kompensaty, t. j. że Polska nic płacić do ogólnego funduszu odszkodowań nie powinna, o ile nie zostanie jej przyznany udział w tym funduszu z racji zniszczeń wojennych na jej terenie. Doprowadzenie do uznania tej idei, którą postawiłem, jest zasługą mego współpracownika przedstawiciela Polski — w Komisji Odszkodowań p. Mrozowskiego oraz całego zespołu Urzędu Likwidacyjnego. Stało się to już w parę lat później i wymagało systematycznej czujnej pracy w myśl zgóry postawionych założeń.

O ile w rozrachunku z Niemcami mieliśmy łatwiejszą sytuację, dzięki świadomości ogólnej, że Niemcy w stosunku do całego świata były wielkimi winowajcami, to z Austrią trudniejsza była sprawa. Małąk współczesną Austrię nie sposób było obarczać wszystkimi zobowiązaniami, jakie na dawnej Austrii leżały. Dlatego też część tych zobowiązań spaść musiała na państwa sukcesyjne, od których zażądano prócz udziału w długach zagranicznych Austrii jeszcze udziału w osobnym funduszu, nazwanym funduszem uzyskania wolności. Na Polskę z tego tytułu jednak niezbyt wielkie spadły ciężary, dzięki kluczowi repartycyjnemu, co do którego staraliśmy się, by był możliwie dla nas najlżejszym.

Pozostał rozrachunek z Rosją. W tej sprawie wielkie mocarstwa sprzymierzone zredagowały, zupełnie poza delegacją polską, artykuł nakładający na nas obowiązek proporcjonalnego przejęcia na nas części ciężarów dawnego Cesarstwa. Tekst odnośny pokazany został naszemu głównemu delegatowi (Paderewskiemu) na godzinę przed terminem podpisania samego traktatu Wersalskiego. Rozumie się, że rzeczą niemożliwą było nie podpisywanie traktatu samego z tego powodu. Zastrzeżenia ustne zostały porobione, gdyż o piśmiennych mowy być nie mogło. Zawisła nad nami ciężka ewentualność. Ale i tę zmożę udało się rozprószyć, gdyż w Traktacie Ryskim Polska zastrzegła sobie, że w razie, gdyby doszło do rozrachunku między Rosją, a państwami, które były jej wierzycielami, Rosja bierze na siebie wszystkie ciężary jakie by mogły przypadać z tytułu odejścia od niej ziem Polskich. Pertraktacje w tej mierze przeprowadził w Rydze skutecznie pan Stanisław Kauzik.

Wszystkie powyższe rozrachunki miały dla dalszych losów naszej finansowej niezależności pierwszorzędne znaczenie i dlatego o nich nieco obszerniej się rozpisałem, by wykazać jak trudne i doniosłe zadania spoczęły na Głównym Urzędzie likwidacyjnym, powołanym w tym celu do życia. Urząd ten dobrze spełnił swoje zadanie z najlepszym dla Polski wynikiem. Wyszliśmy z tych wszystkich trudności bez tych ciężarów, które nam groziły, a nawet z pewnymi, choć niedostatecznymi, odszkodowaniami w naturze ze strony Niemiec.

Podczas, gdy będąc w r. 1919 w Paryżu robiłem wysiłki, by ochronić skutecznie nasz byt państwowy od finansowych ciężarów, grożących nam z tytułu rozrachunków międzynarodowych, jednocześnie w kraju Ministrowie Skarbu English, Karpiński, Biliński jeden po drugim kładli podwaliny pod nasze finanse publiczne. Główną ich troską było to, by Polska miała mocną walutę, co przedstawiało nadzwyczaj wielkie trudności.

Przyszedłszy na ministra Skarbu po Bilińskim zabrałem się przedewszystkiem do zunifikowania waluty i zaprowadzenia powszechnego marki polskiej, co spowodowało duże niezadowolenie z jednej strony w Małopolsce, z drugiej w b. zaborze rosyjskim. Ludność w Małopolsce dopominała się relacji dla wykupu koron korzystniejszej niż ta, która wypływała z istniejących stosunków. Oparłem się temu w imię ogólnie państwowych względów. Sejm mnie poparł, ale posłowie z Małopolski byli temu przeciwni i ten mój krok na długó zostawił ślady animozji przeciwko mnie. Posłowie z innych dzielnic bardzo wyraźnie i silnie popierali mnie w tej sprawie, w której wypadło mnie narazić się wie-

lu wpływowym czynnikiem przez poprowadzenie kampanji w imię przewagi interesów ogólnych nad partykularnemi.

Ponieważ unifikacja walutowa była koniecznością państwową, musiałem ustalić prawnie relację marek niemieckich do polskich oraz rubli do marek polskich. Ustalenie tych relacji inne, niż te, które miały miejsce, było to niemożliwe. Gdy za rubla ustanowiona została relacja 2.16 było to zupełnie słuszne. Gdyby to nie było zrobione, dłużnicy byli by spłacali wierzycieli rublami papierowymi tak samo, jak spłacali ich później markami papierowymi. Wierzyciele nic by nie zarobili, gdyby nie było ustanowionej relacji między zobowiązaniami rublowymi i markami. Nieszczęściem wierzycieli nie była ta relacja, a tylko spadek marki. Wszystkie te relacje, które zaprowadziłem w 1920 roku były zwykłymi koniecznościami, bez których nie można było myśleć wcale o tem, by Polska stała się Państwem zorganizowanym i uporządkowanym. Co innego stanowi ta okoliczność, że gdy waluta krajowa zaczęła spadać, to sprawiedliwość wymagała, ażeby spłata wszelkich zobowiązań wewnątrz, nie tylko przedwojennych ale i z 1918–1919 r., czy w koronach, czy rublach, czy w markach niemieckich czy markach polskich, korzystała z moratorium. Taki wniosek postawiłem na Radzie Ministrów już w 1920, ale wniosek ten nie uzyskał aprobaty. Sprawa spłat zobowiązań zdeprecjonowaną walutą narobiła dużo szkody krajowi i dużo złej krwi. Ostatecznie Sądy zaprowadziły same z własnej inicjatywy moratorium dla spłat wierzycielności, ale zrobiły to zapóźno. W roku 1920 w Rządzie Witosza Ministerstwo Sprawiedliwości sprzeciwiło się memu ówczesnemu wnioskowi, by drogą ustanowienia moratorium zapobiedz krzywdzeniu wierzycieli przez dłużników, korzystających ze spadku waluty.

Będąc w r. 1920 ministrem Skarbu postawiłem program naprawy Skarbu, polegający na ograniczeniu wydatków, przestaniu emitowania marek na cele budżetowe, i pokrywaniu wydatków nadzwyczajnych, których mieliśmy wówczas bardzo dużo, dochodami nadzwyczajnymi, jako to pożyczkami krajowymi i zagranicznymi.

Pożyczkę zagraniczną jaką przygotował Biliński doprowadziłem do skutku. Miała ona za cel, by polacy amerykańscy przyczynili się do odbudowy Państwa Polskiego. Ale przypadła ona na najcięższy okres naszych walk z bolszewikami i dlatego po pierwsze bardzo mało z niej wpłynęło, bo polacy amerykańscy byli przygnębieni wiadomościami z frontu, a po drugie cała jej nieznaczna suma starczyła zaledwie na kilka miesięcy walk rozstrzygających. Dla Polski była ona bardzo ważną, bo dopomogła do zwycięstwa, ale dla tego, bym mógł podjąć się przy pomocy akcji sanacji skarbu i waluty, okazała bez znaczenia.

Jednocześnie rozwinąłem szeroką akcję nad rozwinięciem pożyczek wewnętrznych. Szykując się do tego, by ustabilizować spadającą wciąż markę i zrównoważyć przedewszystkiem budżet, przystąpiłem do przeprowadzenia pożyczki najpierw dobrowolnej, a następnie przymusowej. Sejm sam na razie wysunął ideję, by pożyczkę uczynić przymusową. Ja się na to zgodziłem i zacząłem organizować pobór tej pożyczki. Wtedy jednak w Sejmie wytworzyła się atmosfera wymierzona przeciwko tej pożyczce. Widząc chwiejność Sejmu w sprawach skarbowych i nie znajdując poparcia, ustąpiłem.

Ustąpiłem z pierwszego mojego ministerstwa raz dla tego, że w gabinecie koalicyjnym nie byłem dostatecznie miarodajnym reprezentantem stronnictwa, do którego należałem i z którego zresztą następnie wyszedłem, a powtóre dla tego, że kurs marki, który całą wiosną i latem 1920 r. utrzymywał się na poziomie równym, dzięki pożyczce amerykańskiej i wewnętrznej, zaczął na jesieni spadać silnie. Nie było to nic dziwnego, bo wojna pociągnęła za sobą ogromną emisję marek z jednej strony, a z drugiej powstały znaczne potrzeby aprowizacyjne wymagające walut zagranicznych. Zbiegło się z tem jeszcze i to, że ustały całkowicie dawne kredyty aprowizacyjne amerykańskie, co wywołało silne zapotrzebowanie walut obcych w gotówce.

Na wiosnę 1920 r. zamyślałem o tem, by przystąpić do stworzenia Banku Emisyjnego, opracowałem plan takiego Banku, a realizację jego opierałem z jednej strony na zagranicznym dopływie walut z pożyczki amerykańskiej, a z drugiej strony na dopływie walut z eksportu drzewa. W tym celu przy Ministerstwie Skarbu utworzony został osobny urząd eksportu drzewa. Przygotowałem przyjazd do Polski eksperta belgijskiego w sprawie banku emisyjnego. Plany te zostały całkowicie przez ostry przebieg, jaki prowadzona przez nas wojna przybrała na wiosnę 1920 r., przekreślone. Moja rola jako Ministra Skarbu musiała ograniczyć się do tego, by dostarczyć na potrzeby wojny pieniędzy. Gdy na

jesieni 1920 r. pojechałem do Paryża by umawiać się o pożyczkę, traktowałem o to, by ją otrzymać na pokrycie kosztów naszych zbrojeń, które i po ukończeniu wojny jeszcze były potrzebne. Rachowałem na to, że gdy pożyczką francuską pokryjemy te koszty, to zdołamy ustabilizować równowagę budżetu przy pomocy pożyczki przymusowej. Ale ani Francja nie dała nam wtedy pożyczki na zbrojenia, a dopiero w rok później, ani na pożyczkę przymusową wewnętrzną rachować wobec nastroju Sejmu nie mogłem. Próbowałem również na jesieni 1920 roku doprowadzić do skutku w Paryżu pożyczkę zagraniczną opartą na kontraktowym wywozie nafty z Polski do Francji. Waluty z tej pożyczki miały ochronić markę od spadku, wywoływanego zakupami aprowizacyjnymi. Ale ta pożyczka rozbiła się zupełnie skutkiem opozycji przemysłowców naftowych, którzy nie widzieli dla siebie interesu w eksporcie do Francji.

Rok zatem 1920 był świadkiem pierwszych moich prób w zakresie stabilizacji waluty, jej reformy, oraz stabilizacji równowagi budżetowej. Warunki wtedy były jednak zupełnie niemożliwe, by plan jakiegokolwiek mógł być wykonany, cały czas bowiem trwały działania wojenne. Następcy też moi nie mogli nic trwałego dokonać, choć mieli dużo lepsze warunki, gdyż poczynając od mego ustąpienia trwał nieustanny stan pokoju.

Przed moim ustąpieniem ze stanowiska ministra skarbu, gdy tylko ustały działania wojenne, przystąpiłem do opracowania państwowego „programu powojennej polityki ekonomicznej”, który był przedmiotem rozważań Komitetu Ekonomicznego Ministrów i następnie został przez Radę Ministrów wysłuchany i ogólnikowo zaakceptowany. Wydałem ten program w ilości ograniczonej 150 egzemplarzy. Wskazywałem na konieczność ograniczenia bardzo znacznego wydatków państwowych. Równowagę budżetu wysunąłem na czoło zadań, co zaś do marki, to wobec silnego jej spadku, stanąłem na gruncie stabilizacji jej przedewszystkiem. Pomimo, że większość ministrów na ten program się zgodziła, nie został on po moim odejściu wcale wprowadzony w życie. O programie tym wyraża się prof. Taylor w swojej pracy *Inflacja Polska* strona 314, że „było to pierwsze pełne sformułowanie zagadnienia polityki powojennej i jego rozwiązania”.

Dnia 1 lipca 1921 r. wniosłem do Sejmu opracowany przezemnie wniosek: „w sprawie poprawy finansów państwowych”, jako projekt poselski. Wniosek ten zawierał postulaty następujące: zwaloryzowanie podatków i opłat, redukcję personelu urzędniczego, wypuszczenie pożyczki wewnętrznej w walucie złotej w stosunku do dolara i zaprowadzenie Banku emisyjnego.

W myśl powyższego programu w końcu 1922 roku Minister Jastrzębski przystąpił do wykonania jednego z wymienionych zadań i to połowicznie, a to przez wypuszczenie pożyczki, częściowo na złocie opartej.

Po nieudanej próbie Michalskiego oparcia sanacji Skarbu na stabilizacji marki bez dalszego planu reformy, coraz bardziej stawało się widocznem, że Polska musi się zdobyć na plan szeroko zakrojony, by uniknąć losu Austrii, która się w roku 1922 oddała pod kontrolę Ligi Narodów. W tych warunkach spadł na mnie ciężar powtórnego objęcia Ministerstwa Skarbu.

ROZDZIAŁ II

Próba sanacji Skarbu w 1923 r.

W początkach stycznia 1923 r. Prezydent Rzeczypospolitej Stanisław Wojciechowski, jako pierwszy krok swego wysokiego posłannictwa państwowego, postawił wysunięcie na czoło wszystkich spraw państwowych — naprawę skarbu. Zwołał on w tym celu naradę wszystkich byłych ministrów skarbu, postawił sformułowane pytania i zażądał konkretnej odpowiedzi. Na szeregu narad, odbywanych w przyspieszonym tempie przy wyczerpującym traktowaniu przedmiotu, okazała się wielka rozbieżność zdań. — W moich istotnych poglądach, które już we wniosku moim z dnia 1 lipca 1921 r. ustaliłem, czułem się dość osamotniony. Konferencja jednak przyjęła jeden przynajmniej punkt wyraźnie wytyczny: konieczność podniesienia podatków i wszelkich opłat i taryf takiego, któreby równało się ich waloryzacji. Poprzednio wciąż pokutowała myśl, że jest to niedopuszczalne, bo to podnosi drożyznę. Ale oczywiście, że bez tego żadna sanacja Skarbu nie była do pomyslenia.

Jako wynik narad belwederskich nad naprawą skarbu wypadła moja nominacja na Ministra Skarbu w gabinecie Sikorskiego. — Przystąpiłem natychmiast do opracowania szczegółowego i pełnego planu doprowadzenia Skarbu do stanu trwałej równowagi budżetowej, a waluty do stanu takiej równowagi, która byłaby przygotowaniem do reformy walutowej wtedy, gdy trwała sanacja budżetu zostanie osiągnięta.

Wszelki plan uznałem za nie do pomyślenia, jeżeli się od razu nie weźmie za podstawę miernika złotego. Ale nie stanąłem na zasadzie miernika czysto złotego, czułem bowiem, że dla życia gospodarczego i drożyzny miernik taki byłby niebezpieczny.

Jako miernik wziąłem się nabywcą złotego w złocie podług wskaźnika cen hurtowych. Na takim wskaźniku oparłem ramowe budżety na lata 1923–24 i 25. Określiłem spodziewane dochody i deficyty. Jedne i drugie miały być waloryzowane w różnych, ale w każdym razie w stałych skalach, tak by uzyskać pewność kalkulacyj budżetowych.

Postawiłem jako tezę, że od razu należy postawić dochody państwowe na poziomie nie niższym, jak dochody trzech dzielnic w trzech państwach zaborczych przed wojną; normę wydatków określiłem z uwzględnieniem możliwych oszczędności. Po trzech latach budżet miał być absolutnie zrównoważony.

Trzy lata uważałem za konieczne dla doprowadzenia do pełnej wydajności monopoli państwowych, przedsiębiorstw państwowych i podatku dochodowego.

Deficyty w ciągu tych lat miały być pokryte podatkiem majątkowym w wysokości 600 milionów złotych, rozłożonych na trzy lata, oraz bonami złotowymi i pożyczkami wewnętrznymi, do wypuszczenia których jednocześnie przystępowałem. O reformie walutowej na razie nic nie wspominałem, nie chciałem sobie bowiem utrudniać sytuacji, widząc jak wielki panuje brak decyzji i określonych pojęć na najważniejsze zagadnienia naszego bytu państwowego. Ponieważ jednak zdawałem sobie sprawę, że do reformy walutowej trzeba będzie przystąpić niebawem, powierzyłem przed moim odejściem w 1923 roku, opracowanie projektu statutu banku emisyjnego prof. Rybarskiemu, który jeszcze w 1920 roku był moim współpracownikiem w charakterze wiceministra Skarbu.

Plan reformy finansów państwowych (bez planu reformy walutowej) wniosłem do Sejmu dnia 1 marca. Jednocześnie zdołałem ustabilizować na parę miesięcy markę. Ale mimo to dla przeprowadzenia mego planu spotkałem znaczne trudności. Jedne z nich wypływały z tego, że gabinet Sikorskiego był silnie w Sejmie zwalczany, drugie z tego, że w planie moim obawiano się dwóch rzeczy: najpierw podatku majątkowego, a po drugie złotego wogóle.

Ponieważ oparłem się na złotym obliczeniowym, to jest na konstrukcji skomplikowanej, więc punkt ten nadawał się łatwo do ataków. Wszyscy przyznawali, że w markach nie warto nawet układać budżetu, że marka nie jest żadną miarą wartości, ale na żadną miarę określoną nie chciano się zgodzić. Planu mego ani nie obalono, ani nie naprawiono, tylko wprost sabotowano. Wyraźnie to posłowie niektórzy z trybuny zaznaczali, że próżno się łudzić, by plan mój doczekał się rozpatrzenia, gdyż oni widzą w kuluarach, że z niego nic nie będzie.

Nie mogąc zrealizować mego planu w całości, chciałem przynajmniej przeprowadzić go częściowo, osobno podwyżkę i waloryzację podatku gruntowego, który spadł do śmiesznie niskiej cyfry, osobno podatek majątkowy, osobno ustawę o złotym obliczeniowym. Ostatni projekt wcale nie ujrzał światła dziennego. — Podatek majątkowy został przez Sejm odłożony na później i istotnie dopiero po moim ustąpieniu został uchwalony. Co zaś do podatku gruntowego zaczęły się pertraktacje, które też nic dobrego nie dokonały. — Wysunięto koncepcję regresji i progresji. Widziałem ich absurdalność i szkodliwość, gdyż dla mnie było rzeczą jasną, że regresja to czysta strata Skarbu i ukryta subwencja dla podatników, a progresja to również strata Skarbu, tylko ukryta, bo podatnik, który ma płacić progresję przy podatku dochodowym i majątkowym, trojkiej progresji znieść nie będzie w stanie. Moje jednak wszelkie opozycje zupełnie nie poskutkowały i Sejm uchwalił podatek gruntowy, wprowadzie zwaloryzowany podług cen żyta, ale z regresją i progresją, co podatek ten poważnie zniekształciło.

Przeprowadzenie mego planu z 1923 r. szło jak po grudzie. Tymczasem upadł gabinet Sikorskiego, który mnie powołał na Ministra. Witos, który po nim przyszedł zaproponował mnie bym pozostał. Wiedziałem, że jego propozycja była nieszczerą. Wchodząc do drugiego gabinetu Witos postawiłem mu jako warunek, by do ferji letnich rząd prze-

prowadził ustawę o podatku majątkowym i o złotym polskim. Witos jak zwykle dał mi odpowiedź wymijającą, a ja nieopatrznie na pozostanie się zgodziłem. Wkrótce po utworzeniu gabinetu Witosa marka polska zaczęła silnie spadać. Działo się to głównie pod wpływem katastrofalnego spadku marki niemieckiej, która i nas ciągnęła w dół. Witos to ogromnie irytowało, że zbiegło się to z jego nominacją. Wszyscy ministrowie byli też mocno nie kontenci, bo wychodziło na to, że za Sikorskiego potrafiłem utrzymywać kurs marki, a za Witosą nie. Robiono mnie wymówki, że główny zapas walut zużyłem, by podtrzymać markę w ostatnich tygodniach rządów Sikorskiego. Wymówki te były bardzo niesprawiedliwe, gdyż nie robiłem tego dla Sikorskiego, a tylko dla interesów skarbu Polskiego. Jednocześnie okazało się, że w okresie spadku marki bony złote, które wypuszczałem, były objektem takiej samej spekulacji jak dolar. — To podkopało słabą i tak w łonie rządu wiarę w mój program.

W końcu czerwca 1923 r. zdołałem jednak energicznymi zarządzeniami opanować spadek marki i stosunki moje w gabinecie się poprawiły. Ale tymczasem Sejm szykował się na wakacje i nie myślał wcale o uchwaleniu ani ustawy o podatku majątkowym, ani o mierniku złotym. Ponieważ rząd Witosą był rządem większości sejmowej, więc rozumie się, że sabotowanie moich ustaw przez Sejm było sabotowaniem ich przez gabinet cały.

Jednocześnie stwierdziłem, że ze strony rządu Witosą istnieje zupełne lekceważenie znaczenia i głosu Prezydenta Rzeczypospolitej w sprawach organizacji naczelnych władz wojskowych. Taki stosunek premiera i niektórych innych ministrów do Prezydenta raził bardzo głęboko moje poczucie państwowe. Wytworzyło to między mną a rządem nader głęboki moralny dysonans. Gdy przeto tylko kurs marki polskiej nieco się poprawił, skorzystałem z tego i podałem się do dymisji, nie wysuwając wcale na czoło tego ostatniego dysonansu, o odmiennym pojmowaniu mego stosunku do Prezydenta, gdyż to się wówczas do publikacji nie nadawało. List który wysłałem do Witosą brzmiał następująco:

30 czerwca 1923.

Do Pana Prezesa Rady Ministrów!

„Wstępując do obecnego Gabinetu na propozycję Pana Premiera, miałem prawo liczyć, że program mój sanacji skarbu zostanie przez większość sejmową dostatecznie poparty.

Wystarczyło jednak, by wobec katastrofy walutowej w Niemczech wytworzył się ciężki kryzys walutowy w Polsce, który szczęśliwie udało się mnie powstrzymać, ażeby w łonie większości rządowej nastąpiło załamanie w popieraniu wykonania mego programu. Jednocześnie wytworzyła się wśród większości rządowej niecierpliwość w oczekiwaniu natychmiastowej realizacji, czy to Banku Emisyjnego, czy też pożyczki zagranicznej, do których przygotowania poczyniłem już dziś, ale na które w moim programie wyznaczony był czas na jesieni, gdy zaczną do Kas Skarbowych napływać większe podatki, zbyt późno, niestety, uchwalone.

Nie czując dostatecznego zrozumienia i poparcia wśród większości rządowej do mego programu, jednocześnie skonstatowałem ostatnio, że nie jestem dostatecznie sharmonizowany z obecnym gabinetem i pod względem ogólno-politycznym, tak abym mógł z nim dłużej współpracować.

Powyższy stan rzeczy skłania mnie do tego, by prosić Pana Premiera o przedstawienie mnie Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej do zwolnienia z zajmowanego stanowiska”.

Ustępu tego mego listu, który ogłosiłem publicznie, o „braku sharmonizowania pod względem ogólno-politycznym”, na ogół nikt nie mógł zrozumieć, odnosił się on właśnie do okoliczności mało znanej, a stanowiącej właściwość rządów Witosą, które nie raz się ujawniały lekceważenie w stosunku do osoby Prezydenta Rzeczypospolitej w sprawach pierwszorzędnej doniosłości państwowej.

Po ustąpieniu mojem, które było dla rządów Witosą nie oczekiwanem, ówczesna większość Sejmowa zauważyła, że przez niedostateczne poparcie mego programu wzięła dużą na siebie odpowiedzialność i, chcąc jej sprostać, pośpiesznie uchwaliła podatek majątkowy znacznie zwiększony. Ale bonów złotych kontynuować nie chciano, co wywołało

zamęt, a nawet minister Kucharski przystąpił do ich wykupu, czem spowodował tylko ogromne przyspieszenie katastroficznego spadku marki.

Rezultat chaotycznej i niekonsekwentnej polityki moich następców Lindego i Kucharskiego był oplakany. Kurs marki spadał fatalnie. Rozpoczął się okres hyperinflacji. Wreszcie Kucharski widząc, że odżegnywaniem się od mojej polityki do niczego dobrego nie dojdzie, zaczął wykonywać mój program, przystępując do ściągnięcia podatku majątkowego we wskaźniku złotym i wnosząc waloryzację ogólną opłat i podatków. Przyjął on jako miernik nie wskaźnik cen hurtowych, a samo złoto. Mając projekt statutu Banku Emisyjnego przygotowany przez prof. Rybarskiego jeszcze z mojego zlecenia, rozpoczął Kucharski narady komisyjne nad tym statutem. Nie mógł się on jednak zdecydować ostatecznie, czy należy z reformą walutową się spieszyć, czy ją odłożyć.

DZIAŁ II. PIERWSZY ROK PRACY

ROZDZIAŁ III

Objęcie przezemnie władzy pod hasłem natychmiastowej reformy walutowej

Wypadki krakowskie z końcem 1923 roku były smutną wskazówką, że stan kraju, w którym waluta nie jest żadnym miernikiem wartości i nie daje możliwości ustanowienia jako tako słusznych płac, wymaga radykalnej sanacji.

Jeszcze nie zanosilo się wcale na to, bym miał zostać premierem, a już w listopadzie 1923 r. wobec Prezydenta Rzeczypospolitej na naradach nielicznych zawezwanych fachowców wypowiadałem pogląd, że sytuacja wytworzona przez katastrofalny spadek marki, tak daleko zaszła, iż koniecznością stało się natychmiastowe wprowadzenie złotego. To co uważałem za możliwe, by w drodze normalnej nastąpiło w ciągu pewnego dłuższego okresu czasu, to uznałem za konieczne dokonać natychmiast, czułem bowiem, że sytuacja stała się dla naszego bytu państwowego groźną.

Wśród specjalistów popierał moje poglądy tylko jeden Karpiński, było też to główną przyczyną dla której postawiłem go następnie na czele Banku Polskiego. Przeciwnicy, których nie wymieniam, dowodzili, że bez funduszu sanacyjnego nie sposób porywać się na to, by móżdź zaprowadzić sanację budżetową i że ten fundusz trzeba albo zgóry uzyskać z zagranicy w postaci pożyczki, albo uezierać sobie, odkładając na bok wpływy z podatku majątkowego.

Wobec tych argumentów minister Kucharski rozpoczął pertraktacje o pożyczkę zagraniczną, które były niefortunne, oraz zaczął gromadzić wpływy z podatku majątkowego, nie mogąc się jednak zdecydować, czy je odkładać, czy gromadzić do użycia ich w stosownej chwili. W sprawie reformy walutowej nie mógł się też zdobyć na określone stanowisko.

W przeświadczeniu mojem, że z reformą walutową zwlekać nie można opierałem się na tem, że przy katastrofalnym spadku marki nikt pożyczki zagranicznej nam nie da, a wszystkie wpływy z podatku majątkowego zostaną zużyte bez rezultatu na pokrywanie budżetów miesięcznych i nie wystarczą na uzyskanie równowagi, nawet w czasie okresu kilku miesięcy. Istotnie miesiąc grudzień 1923 r. dał tego najzupełniejszy dowód. Wszystko co zebrał Kucharski z podatku majątkowego, zarówno z rat należnych jak i z rozpoczętej akcji Korfantego dobrowolnych zaliczek na następne raty, poszło na pokrycie deficytów budżetowych jednego miesiąca grudnia i jeszcze nie starczyło tak, że trzeba było dodrukować jeszcze wielką liczbę marek.

Kucharski, jako minister Skarbu, widział niebezpieczeństwo sytuacji, ale był chwiejny, nie miał sam określonego własnego programu i robił niektóre posunięcia fatalne, jak z pożyczką zagraniczną i wykupem bonów złotych. Korfanty stanął do pomocy Kucharskiemu. Był on wyznawcą tego programu, by zebrać najpierw fundusz sanacyjny, a dopiero później przystąpić do reformy. Rozwinął on akcję, by przemysłowcy wystawiali weksle swoje w walutach obcych, na różne terminy nieco odleglejsze.

Prowadziło to do zwalniania przemysłowców od płacenia rat w gotówce w terminach bliższych, oraz do ryczałtowego zmniejszenia całej należnej sumy w pierwszym roku wobec dobrowolności zaliczki wekslowej. Było to zachętą dla składania tych weksli na ręce

rządu, który w ten sposób zdobywał sobie fundusz, który by z czasem mógł odegrać poważniejszą rolę. Weksle te mogły zostać w odpowiedniej chwili dyskontowane za granicą. Akcja Korfatego dała na ogół rezultat bardzo skromny i zaważyć poważnie na szali nie mogła. Skończyło się na tem, że całą korzyść z niej uzyskali ci przemysłowcy, którzy na nią przystali i którzy w 1924 roku zapłacili znacznie mniej, niż później się okazało, że się od nich należało. Układ bowiem zawarty z nimi przez Korfatego następnie uszanowałem.

Dla mnie było rzeczą jasną, że drogą dobrowolnych środków z tak trudną sytuacją, jak ta, w jakiej się w końcu 1923 roku znajdowaliśmy, sobie nie poradzimy. Zdawałem sobie jasno sprawę z tego, że w końcu 1923 roku, a nie później niż w początkach 1924 powinna wpłynąć poważna rata zaliczki obowiązkowej na podatek majątkowy, którego rata normalna nie mogła być obliczona wcześniej jak na połowę 1924 r. Czekać aż do połowy tego roku było za późno, zadawała się dobrowolnymi zaliczkami, albo też zaliczkami tak małymi jak te, które były rozpisane przez Kucharskiego na koniec 1923 roku, było to ludzić samego siebie. Na decyzję jednak, która by spadła natychmiastowo pełnym ciężarem na tak zwane *klasy posiadające*, rząd Witosza zdobyć się nie potrafił. Uchwalił ten rząd co prawda ustawę o podatku majątkowym, którą ja wniosłem i podniósł on nawet wysokość tego podatku, ale zrobił on to w przystępie dużego oszołomienia. Rachowano przytem, że podatku nie trzeba będzie płacić gotówką, a tylko listami, co do których ludzono się, że staną się tak samo bieżącym papierem wymiennym jak przed wojną. Gdy po uchwaleniu podatku majątkowego, sfery różne zaczęły wyliczać, co to może na każdego wypaść, powstał popłoch i zaniepokojenie. Liczono na to, że to się jakoś odwlecze i odmieni. Pomimo tego, że uchwalono podatek na trzy lata w wysokości jednego miljarda złotych, ale o tem, by dać w ciągu pierwszego półrocza 160 milionów, nie myślano wcale. — A dla mnie było jasnym, że bez tego nie da się sytuacji opanować.

Chwiejność rządu Witosza i jego brak decyzji, by zażądać potrzebnych i istotnych ofiar dla opanowania spadku marki spowodowały to, że rząd ten ustąpić musiał. Rząd ten został obalony nie skutkiem tego, co jego dymisję bezpośrednio wywołało, to jest, nie skutkiem odstąpienia grupy posła Bryła, Istotną przyczyną upadku rządu Witosza (z drugich jego rządów) był to katastrofalny stan kraju, wywołany hiperinflacją. Do jakiego stopnia stan ten był groźnym dla państwa uwidoczniły to wypadki krakowskie. W atmosferze ostrych tarć o podkładzie socjalnym sytuacja rządu opartego o prawicę narażała państwo na dalsze wstrząśnienia. Rządy lewicowe byłyby wówczas również dla państwa nieodpowiednie wobec tego, że nosiły by charakter ustępstw władzy wobec odruchów z dołu idących, mających niebezpieczny dla państwa charakter.

Gdy dla ratowania nawy państwowej koniecznościami stają się ofiary materialne klas posiadających, sytuacja staje się bardzo drażliwa. Ofiar tych dopominają się partje lewicowe. Ale partje te wzbudzają taki lęk wśród sfer posiadających, że o ile one dochodzą do władzy, to sfery te kryją swoje pieniądze i bronią się przed wszelkim ich uszczerbkiem tak, że rządowi lewicowym trudno jest zwykle taką sytuację opanować. Rządy prawicowe mogą łatwiej sprostać zadaniu, ale muszą stawać na wysokim poziomie, mieć leaderów o dużej skali, a nie takich jak ci, których wtedy prawica na czoło wysuwała. Witos, Korfanty, Kucharski nie byli to ludzie stojący na wysokości zadania.

Musiał przeto powstać rząd bezpartyjny zdecydowany na przeprowadzenie reformy walutowej i użycie w tym celu wszystkich rozporządzalnych środków naszego społeczeństwa i dający jednocześnie gwarancję, że ochroni nawę państwową od wstrząśnień społecznych i politycznych. Zadanie takie przypadło mnie w udziale.

ROZDZIAŁ IV

Sidla opieki zagranicznej

Pierwsza rzecz wielkiej wagi, z którą stanąłem oko w oko po objęciu władzy w końcu grudnia 1923 roku, było to jak uniknąć zastawionych na nas siideł opieki zagranicznej. Do opieki tej pretendowała wówczas Anglja.

Poglądy Anglji na Polskę kształtują się bardzo powoli i mozolnie. Na ogół odczuwamy, że Anglja nas nie rozumie. Może w ostatnich dopiero czasach zaczyna Anglja zdawać sobie sprawę z roli dziejowej Polski.

Podczas konferencji Pokojowej w Paryżu Anglja patrzyła na nas jako na pewien eksperyment dziejowy. W czasie krytycznych dla nas na terenie wojny chwil 1920 roku Anglja wyraźnie zwątpiła w naszą zdolność do mocarstwowego stanowiska. W sprawie Górnego Śląska Anglja sympatjami swojemi stawiała po stronie Niemiec.

Ze słów osób, które bądź ze mną konferowały, bądź w Anglji zasięgały opinii miodrajnych czynników, nie ulegało dla mnie żadnej wątpliwości, że Anglja Polski jako mocarstwa mogącego stać niezależnie i wobec Niemiec i wobec Rosji wyobrazić sobie nie chciała, czy nie potrafiła. Według jednych anglików Polska powinna być państwkiem odgrywającym w stosunku do Rosji rolę nie większą niż Litwa, Łotwa lub Finlandja, a więc powinna była wyrzec się Kresów i Galicji Wschodniej, podług innych Polska powinna była się wyrzec Górnego Śląska i Pomorza na rzecz Niemiec i mieć ich po swojej stronie, by nie bać się Rosji, wreszcie podług innych jeszcze anglików powinniśmy byli się wyrzec wszelkich kresów i na wschodzie i na zachodzie. Bardzo dużo anglików zupełnie szczerze tak rozumowało i byli oni przekonani, że oni nam najlepiej przytem życzą. Wskazywali oni na to, że chcąc trwać i rozwijać się na przekór dwom tak wielkim potęgóm jak Niemcy i Rosja, to zamiar nierealny i że trzeba koniecznie albo wybierać między nimi, albo nie narażać się żadnemu z nich. Sądziłi przytem anglicy, że jeżeli oni nadali niepodległość państwową kolonjom swoim i Irlandji oraz ustąpili dobrowolnie z Egiptu, to nie powinno być według nich przeszkód by Polska nie miała ponieść pewnych ofiar na rzecz jak to oni rozumieli pokoju świata. Dziś poglądy te zapewne uległy zmianom na korzyść, ale dawniej uparcie się one trzymały.

Zdając sobie sprawę z tego, do jakiego stopnia Anglicy na ogół nas nie rozumieli, odrazu odczułem, że dopuszczenie do zainstalowania się w Polsce misji finansowej angielskiego wiceministra skarbu Jounga było błędem. Misję tę zastałem w pełni pracy przy obejmowaniu przezemnie władzy.

Przybycie do Polski misji ekspertów finansowych z byłym wiceministrem skarbu Joungem na czele nastąpiło przy ministrze Kucharskim, na skutek nalegań naszego posła w Londynie, jeszcze za czasów gabinetu Sikorskiego. Była to misja ludzi wytrawnych i rozumnych, ale polityków angielskich przedewszystkiem.

Bardzo wiele osób nie zdawało sobie z tego sprawy i nie zdaje po dziś dzień. Charakter tej misji przeczułem odrazu, a dalszy bieg rzeczy tylko mnie w tem utrwalił.

Podczas gdy kraj cały wił się w bólach spowodowanych nieustannym spadkiem katastrofalnym marki, bólach, które doprowadziły do tragicznych zająć krakowskich, eksperci angielscy nie dawali żadnych rad i wskazówek jak opanować sytuację; ich rady były na dalszą metę. Mówili, że reformy walutowej przeprowadzać na razie nie można, że trzeba postępować ostrożnie. Zalecali waloryzację podatków, którą Kucharski przeprowadził. Ostrzegali przed waloryzacją kredytów. Radzili przerzucenie różnych ciężarów państwowych na samorządy. Przedewszystkiem wskazywali na to, że za dużo wydajemy na armję. Mówili oni to istotnie dyskretnie, dyplomatycznie, ale jasnym było, że chcąc iść śladami ich rad, musielibyśmy z wielu rzeczy bardzo istotnych zrezygnować. Co do pożyczki zagranicznej zaznaczyli, że się stanie ona możliwą dopiero, gdy zagranica nabierze do nas zaufania, a to ostatnie nastąpić może dopiero wtedy, gdy będziemy dobrym radom posłuszni. Przyłączali się oni przytem do tego poglądu, że bez pożyczki zagranicznej jako rezerwy do reformy walutowej przystępować nie należy.

Co by powinno było nastąpić w myśl rad misji angielskiej? Przedewszystkiem powinniśmy byli do wyższych urzędów naszych zaprosić szereg angielskich urzędników ekspertów, dobrze płatnych z naszej kasy. Byli by to ci anglicy, którzy właśnie wtedy wycofali się z Egiptu. Następnie powinniśmy byli bardzo ograniczyć wydatki na wojsko, a szkolnictwo powinniśmy byli oddać samorządom i w ten sposób miało nam się udać zrównoważyć budżet, oparty na marce, a markę powinniśmy byli wtedy stabilizować, co właśnie wydawało się najbardziej wątpliwem i na co rady skutecznej oni nie dawali. O ile jednak byśmy dłuższy czas znosili cierpliwie opiekę zaproszonych przez nas ekspertów, mieliśmy dostać po pewnym czasie pożyczkę, oczywiście na cele gospodarcze, by czasem nasz budżet wojskowy nie mógł być dzięki tej pożyczce powiększony.

Zawsze wydawało mi się to wysoce podejrzanem, gdy różni finansisci zagraniczni przedewszystkiem troszczyli się o to, czy Polska nie ma za wysokiego budżetu wojskowe-

go. Nasze wydatki na ten cel istotnie były stosunkowo dość znaczne, ale to nasza sprawa. Gdyby nas stać było, powinni byli byśmy jeszcze więcej wydawać na wojsko, a głównie na nasze pogotowie wojenne, bo ono jedno zadecyduje w czasie, który nastąpić kiedyś może, o tem dla nas nieubłaganem przeznaczeniu losu „być lub nie być”. W radach finansistów zagranicznych widziałem zawsze nie troskę o to, czy nas stać czy nie stać na wydatki wojskowe, tylko niechęć do tego, że wogóle w ich mniemaniu zbyt dużo na wojsko wydajemy i mamy go zbyt wiele.

Tego, że odnosiłem się ujemnie do misji angielskiej u nas, nie ukrywałem ani chwili. W 1920 roku sam myślałem o sprowadzeniu do nas eksperta belgijskiego w sprawach walutowych. Uważam i dziś, że najwięcej pożytku mogli by nam dać eksperci z krajów, z którymi nie jesteśmy w zbyt bliskich stosunkach, tak żeby ekspertyza mogła nosić zupełnie obiektywny charakter. Ze strony misji angielskiej ekspertów przedstawiono mnie plan przybycia do Polski wielu bardzo urzędników angielskich do różnych dziedzin życia państwowego. Uważano, że skoro francuzi przysłali do nas poprzednio swoich inspektorów i nauczycieli wojskowych i zorganizowali całą misję wojskową, tak samo Anglicy powinni zainstalować misję finansową na stałe, która miała nauczyć nas administracji państwowej i finansowej. Miało to równoważyć w Polsce wpływy francuskie.

Gdy cały ten plan został przedemną wyłożony, powiedziałem, że z tego nic nie będzie. Przygotowałem już sobie wówczas w umyśle moim plan własny, by równowagę budżetową i reformę walutową przeprowadzić własnymi siłami, na pożyczki zagraniczne się nie oglądać, a z misji angielskiej zrezygnować.

Gdy powiedziałem przedstawicielom misji Jounga, że oczekuję jej raportu i że już więcej z jej usług nie zamierzam korzystać oraz, że rozszerzać jej w uplanowany sposób nie myślę, zrobiło to piorunujące wrażenie. Fakt, że to wrażenie zwykłego zakomunikowania tego mego stanowiska było tak silne, utwierdził mnie w poprzednio powziętem przekonaniu, że misja angielska miała charakter polityczny. Próbowano mnie onieśmieszyć i nawrócić z zajętego stanowiska. Nasze ministerstwo spraw zagranicznych było nawet zaniepokojone. Wziąłem jednak moją decyzję całkowicie na moją odpowiedzialność.

Gdy mogłem kategorycznie postawić sprawę tak, że bez misji się obejdzimy, miałem świadomość tego, że uniknęliśmy nadstawionych siideł, w które się sami skutkiem braku jasnej decyzji i świadomej celu woli w drugiej połowie 1923 roku zaplątaliśmy.

ROZDZIAŁ V

Pierwsze pełnomocnictwa

Otrzymawszy w dniu 17 grudnia od Prezydenta Rzeczypospolitej misję utworzenia gabinetu, sformowałem go na dzień 19 grudnia, a już 20 grudnia jako premier i minister Skarbu wystąpiłem wobec Sejmu z ekspozycją, w której postawiłem sprawę opanowania kryzysu, jako wymagającą specjalnych pełnomocnictw, w dniu zaś 21 grudnia wniosłem ustawę o pełnomocnictwach.

Skąd się wzięła ustawa o pełnomocnictwach? Miała ona swoje precedensy. Już w ustawie Michalskiego z 1922 r. były szerokie upoważnienia dla Ministra Skarbu. Dalej poszedłem w projekcie moim ustawy z 1923 roku o naprawie Skarbu. Z tej racji, że ustawa ta zawierała szerokie pełnomocnictwa dla Ministra Skarbu, została ona przez Sejm zbotkowana i nie ujrzała światła dziennego. Pomimo że wszyscy pragnęli szybkiego opanowania krytycznej sytuacji, mało jednak rozumiano na ogół, że wymaga to specjalnych ram prawnych, czyli pełnomocnictw.

Niemcy tymczasem głęboko wejrżeli w swoją sytuację i w dniu 9 grudnia 1923 r. uchwalili ogromną kwalifikowaną większością, bo 313 głosami przeciw 18, ustawę nadającą rządowi prawo wydawania rozporządzeń z mocą ustawy we wszelkich dziedzinach, które ze względu na potrzeby kraju tego wymagają. Zawiesili oni niejako na pewien czas tryb ustawodawstwa Sejmowego i skoncentrowali całkowicie władzę ustawodawczą w ręku rządu.

Wobec silnie wzrastającego u nas kryzysu powstał i u nas prąd opinii, by przeprowadzić tak jak w Niemczech zmianę konstytucji drogą kwalifikowanej większości i nadać rządowi prawo stanowienia w materji ustawodawczej.

Pójście za przykładem Niemiec nie było do zrealizowania w naszych stosunkach. W Niemczech sprawa naprawy Skarbu była postawiona w atmosferze wysokiego poziomu ducha ogólnonarodowego, powodowanego ciężkimi ofiarami jakich kosztował i wymagał bierny opór w Zagłębiu Ruhry, co w oczach Niemców stanowiło odparcie niejako najazdu francuzów na serce życia przemysłowego Niemiec. U nas w końcu 1923 r. sytuacja była inna i zamiast podniesienia ducha była duża doza zacietrzewienia partyjnego i silne echa wypadków krakowskich.

W tych warunkach uzyskanie takiej, lub zbliżonej jak w Niemczech większości, dla jakiegokolwiek projektu rządowego nie było do pomyślenia. Wybrałem przeto drogę inną: pozostawiając na boku projekty upoważnień, stanowiących zmianę konstytucji, stanąłem na gruncie upoważnień ściśle sprecyzowanych, stanowiących gotową ustawę ramową, tak by rozporządzenia wypływały z niej podobnie jak z każdej innej ustawy i przez to nie wymagały zmiany konstytucji.

Ażeby taki plan okazał się możliwym, wypadało mieć gotowy plan postępowania, tak by ustawa o pełnomocnictwach zawierała konkretną treść, a prócz tego trzeba jej było nadać formę właściwą która by ustawodawców sejmowych nie raziła. W tym celu urządziłem naradę z profesorami prawa politycznego naszych uniwersytetów i powtórzyłem tę naradę u Marszałka Sejmu z udziałem liderów stronnictw. Konsultacja wypadła pomyślnie, skrupuły liderów odpadły i uchwalenie pełnomocnictw zostało formalnie zapewnione.

Wnosząc pełnomocnictwa skonstruowałem je tak, że przeprowadzenie reformy walutowej było ich główną treścią i wystąpiłem o jeden rok dla dokonania tego. Otóż termin ten skrócił Sejm do pół roku i zmusił mnie w ten sposób do tego, by reformę przyspieszyć. Sam się zresztą na to zgodziłem i to chętnie, ale Sejm wziął na siebie inicjatywę skrócenia a więc i przyspieszenia terminu wprowadzenia reformy walutowej, tymczasem później zapomniano o tem i zwrócono się z niesłusznymi zarzutami pośpiechu pod moim adresem.

Nad pełnomocnictwami nie było imiennego głosowania, ani głosowania przez drzwi, więc nie pozostało śladu jaka była za nimi większość. Ale za miarodajne trzeba uważać stanowisko Sejmu zajęte wobec mojego ekspozé, w którym zapowiedziałem wniesienie pełnomocnictw. Głosowanie to odbyło się w dniu 21 grudnia, gdy pełnomocnictwa były już wniesione i na zasadzie tekstów przez prasę podanych znane. — Głosowano nad formułą zredagowaną z dużą rezerwą, bo wyrażającą nie votum zaufania, a jedynie to, że „Sejm przyjmuje do wiadomości oświadczenie Prezesa Rady Ministrów”. Za tą formułą oświadczyło się 194 głosy przeciwko 76, przy 10 białych kartkach, ale przy wielu nieobecnych. Ci ostatni byli to głównie posłowie z lewicy polskiej, głosy przeciwko formule dali posłowie z mniejszości narodowych i komuniści. W głosowaniu, które się odbyło tegoż dnia w innej sprawie padło głosów ogółem 325, a co do mojego ekspozé padło tylko 280 głosów, czyli, że 45 trzeba rachować jako umyślnie nieprzyjmujących udziału w głosowaniu. Łącznie z 10 białymi kartkami daje to liczbę 55 takich posłów, którzy w każdym razie poparcia odmówili. Łącznie z 76 głosującymi przeciw, stanowiło to 131 głosów przy 194, którzy okazali mnie poparcie, jakkolwiek ciche tylko, bo pod bezbarwną formułą o „przyjęciu do wiadomości” mojego ekspozé. — Nie można zatem stwierdzić żadnego wysokiego napięcia nastroju w owym czasie. Przyjęty byłem zimno i rachować na to, bym mógł mieć zupełne poparcie Sejmu, w razie gdybym żądał większych pełnomocnictw, nie mogłem.

Wniósłszy ustawę o pełnomocnictwach dnia 21-go grudnia, nalegałem na bardzo szybkie jej przeprowadzenie, uzależniając od tego moje zostanie przy władzy. Pomimo to ustawa ta weszła na obrady Sejmu dopiero 4 stycznia i uchwalona została 5 stycznia. Tygodnia Świąt Bożego Narodzenia nie przerywano, tylko skrócono okres świąteczny. Zamiast zebrać się zaraz po świętach przed 1 stycznia, wyczekano końca tygodnia świątecznego. Musiałem się z tem pogodzić. Dowodziło to też, że Sejm zbyt się sytuacją nie przejmował.

Zmiany w ustawie o pełnomocnictwach wprowadził Sejm niezbyt liczne. Skreślono termin ich do półroka, sprecyzowano zgodnie ze mną tekst ustępów o reformie walutowej i dodano do pełnomocnictw ustęp o podnoszeniu podatków, czego nawet nie żąda-

lem. Zarówno skrócenie terminu reformy walutowej, jak i prawo podniesienia wysokości podatku gruntowego, były wyrazem inicjatywy Sejmu, na co oczywiście chętnie poszedłem, widząc w tej inicjatywie dowód gotowości do ofiar na rzecz Państwa. Nie miałem jeszcze doświadczenia co do tego, że Sejm był skory do ofiar kosztem sfer posiadających, ale nie był skory do liczenia się z ich konsekwencjami dla życia gospodarczego. Trzeba zaznaczyć, że, gdy szło o uchwalenie ofiar ze strony sfer posiadających, przedstawiciele prawicy nie chcieli dać się ubiegać przez lewicę i oddawali swe głosy za temi ofiarami, a później jaknajostreż takie uchwały przed sferami w społeczeństwie krytykowali. Co do tego też nie miałem jeszcze tego doświadczenia, które dopiero późniejszy bieg życia uwydatnił.

ROZDZIAŁ VI

Równowaga budżetowa pierwszym warunkiem reformy walutowej

O tem, że najważniejszym czynnikiem naprawy Skarbu jest równowaga budżetu realnego taka, która by stale miesiąc po miesiącu pozwalała pokrywać wydatki dochodami bieżącymi, stało się to powszechnie wyznawanym postulatem. Gdy przeto Kucharski wniósł do Sejmu budżet na rok 1924 zrównoważony cyframi, nie wywołało to żadnego skutku, gdyż wydatki w budżecie tym były projektowane o tyle niższe, niż w latach poprzednich, iż każdy zrozumiał, że to zostanie tylko na papierze. Budżet Kucharskiego był ułożony na podstawie wskazówek Jounga. Zamierzał on zmniejszenie bardzo duże na ministerstwach wojny i oświaty. Przeciwno pierwszym wypowiedała się opinia sfer wojskowych i wielu innych, upatrując w tych zmniejszeniach poważne niebezpieczeństwo dla sprawy obronności naszej ojczyzny. Zmniejszenie wydatków na oświatę motywował Kucharski tem, że część tych wydatków miał ponieść samorząd. Ponieważ jednak nie wskazywał on na źródło pokrycia tych wydatków przez samorząd, sprawa takich oszczędności w budżecie nie wydawała się realną.

Stalą bolączką naszych budżetów były ogromne dopłaty z kas skarbowych do kolei. Było to wynikiem spadku marki, za którym zwwyżki taryf kolejowych nigdy nie mogły nadążyć. Kucharski projektował zmniejszenie w budżecie dopłat skarbowych do kolei do nieznacznej sumy, ale nie wskazywał, czy i jak potrafi to osiągnąć. W ten sposób budżet Kucharskiego żadnego wpływu na bieg życia skarbowego nie wywarł, nie stał się żadnym przyczynkiem do stabilizacji marki i przez to z góry już został skazany na bezpłodność. O ile bowiem spadek marki nie byłby zatamowany, jasnym było, że żaden budżet nie mógł być traktowany realnie. Tymczasem od listopada 1923 roku weszliśmy w stan hyperinflacji i katastrofalnego spadku waluty.

Ci z naszych finansistów i polityków, którzy dążą do tego, by zajmować specjalnie krytyczne wobec naszej reformy walutowej stanowisko, nie lubią zastanawiać się nad objawem hyperinflacji i dopatrują się przyczyny tego, że w końcu 1923 roku marka spadała znacznie szybciej niż poprzednio w tem, że uchwalona była pełna waloryzacja, co zadało w ich mniemaniu ostatni cios marce. — Rozumowanie to było i jest nad wyraz naiwne, gdyż waloryzacja uchwalona została dopiero w grudniu 1923 r., a katastrofalny spadek marki rozpoczął się w listopadzie, tak że uchwała waloryzująca podatki i opłaty stała się wynikiem hyperinflacji, a nie jej przyczyną.

Znaleźć wyjście z hyperinflacji jest to zadanie dużo trudniejsze niż zatrzymać spadek waluty przy inflacji.

Wyszła Austria z tego stanu przy pomocy pożyczki zagranicznej i obcego komisarza, wyszły Niemcy przy pomocy rentenmarki i bardzo znacznego dopływu kredytów zagranicznych.

Jak miała Polska dokonać tego przeskoku do nowej fazy bytu finansowego, opartego o stałą walutę? Ogromny odłam opinii był za próbami w rodzaju austrijackiej. O tem, by iść śladami Niemiec nie myślano, gdyż przykład ten był za świeży i nie wiadomo było jeszcze, czy da trwale rezultaty. Dziś widzimy, że rentenmarka uratowała Niemcy w okresie najstraszniejszej hyperinflacji, jaką można sobie wyobrazić. Ale zdolna była ona to uczynić dzięki temu tylko, że przyszedł jej w pomoc plan Dawesa i szeroki dopływ pożyczek zagranicznych. Gdybyśmy zaprowadzili w Polsce system rentenmarki, czyli gdy-

byśmy wprowadzili złotego hipotecznego, a pożyczek zagranicznych nie dostali, sytuacja nasza w dalszym rozwoju naszego życia mogła być się stać dla nas znacznie gorsza, niż ta, jaka się rozpoczęła w roku 1925–26, a gdybyśmy przy naszym systemie dostali choć część tych pożyczek, jakie Niemcy otrzymały, to cały nasz plan reformy walutowej okazał by się wcale nie mniej, lecz tylko bardziej solidnym od niemieckiego.

Nie chcąc, by Polska poszła po linii planu austriackiego i nie dowierając planowi niemieckiemu (i słusznie), musiałem iść drogą własnego planu, to jest tego, który narysowałem w początkach 1923 roku, tylko w tempie znacznie przyspieszonym. Plan ten był obmyślany w okresie inflacji, a Polska zdążyła się stoczyć już do hyperinflacji. Z tego wyciągnąłem tę konsekwencję, że plan powinien być przyspieszonym, a tempo pracy wzięte nadzwyczaj silne. Stąd od razu postawiłem tezę, że minister Skarbu musi być premierem, że musi wszystko inne odstawić na bok i niczym innym się nie zajmować, póki reformy nie przeprowadzi, a Sejm musi mu dać pełnomocnictwa, że danie tych pełnomocnictw będzie równoznacznym z zobowiązaniem się rządu do całkowitego wykonania programu działania w ciągu określonego terminu (pół roku).

Plan mój polegał na tem, żeby pobierać podatek majątkowy w przyspieszonym trybie tak, by starczył on na pokrycie deficytu pierwszych kilku miesięcy. W ciągu zaś tych kilku miesięcy należało dokonać reformy walutowej, któraby położyła kres ciągłej groźbie ponownego spadku waluty. Obliczyłem zaś, już w początkach 1923, że przy stałej walucie równowaga jest zasadniczo możliwą do utrzymania, byle by postawić nasze koleje tak, ażeby do nich nie dopłacać, oraz byleby rozwinąć dochodowość naszych monopolii. Z góry zatem podatkowi majątkowemu wyznaczyłem z półroczna na półrocze coraz mniejszą rolę, a dochodom z monopolii coraz większą.

Jako rezerwę skarbową widziałem dochód, który samo przeprowadzenie reformy walutowej miało wytworzyć. Dochód ten nie stanowił dla mnie nigdy żadnej tajemnicy. Wiele innych osób sądziło, że reforma wymaga nakładów, wymaga kapitału rezerwowego. Ja zaś odwrotnie zdawałem sobie jasno sprawę, że reforma stworzy kapitał rezerwowego, gdyż wykup marek wobec hyperinflacji musi pochłonąć mniej środków niż te, jakie skarb z reformy uzyskać może i powinien. Na wykup marek starczyło złoto, a zatem bilon i bilety zdawkowe, które były koniecznym czynnikiem składowym obiegu, stanowiły dochód nadzwyczajny Skarbu, na pierwsze lata po wprowadzeniu reformy wystarczający. W planie moim środki te powinny być posłużyć jako rezerwa aż do czasu, gdy bądź otrzymamy większe pożyczki zagraniczne, bądź podniesiemy dochody z monopolii do najwyższej pełnej skali. — To ostatnie rozkładałem na trzy lata. Rezerwy te miały starczyć do 1 stycznia 1927 r. Skutkiem nieurodzaju i wojny celnej z Niemcami starczyły one do 1 października 1925 r., a więc 2 razy krócej niż przewidywałem.

Mając przemyślany plan mogłem odrzucić oferty opieki finansowej misji angielskiej, gdyż zdawałem sobie sprawę po uchwaleniu pełnomocnictw z tego, że go będę w stanie wykonać. Główne nici miałem w swoim ręku jako minister skarbu. Przerzucanie ciężarów szkolnictwa na samorząd uważałem za rzecz na razie niewykonalną i w tej dziedzinie zdecydowałem się na znaczne podwyższenie wydatków skarbu. Tak samo co do wojska zgodziłem się na duże podwyższenie budżetu. Ale na tym ostatnim terenie doszło między mną i generałem Sosnkowskim, który był pierwszym ministrem spraw wojskowych w moim gabinecie, do konfliktu.

Ponieważ formowanie przezemnie rządu odbywało się w atmosferze konieczności państwowej i łagodzenia tarć i walk wewnętrznych, więc ministerstwo spraw wojskowych powierzyłem generałowi Sosnkowskiemu jako temu, który mógł najlepiej utrzymać dobre stosunki z obozem zwolenników Marszałka Piłsudskiego i z nim samym. Tak było to z góry zresztą ułożone z Prezydentem Rzeczypospolitej przy powierzaniu mnie misji formowania rządu. Ale generał Sosnkowski przyjmując tę rolę postawił mnie warunek, że dam na armję określoną sumę środków, które miesięcznie miały się wyrażać sumą powyżej 70 milion. złotych. Miało to odpowiadać materialowo temu, co armja otrzymała w roku 1923, a było prawie dwa razy więcej od tego, co pomieścił w swoim budżecie Kucharski. Przesada tego Ministra w robieniu oszczędności kosztem armji doprowadziła sfery wojskowe do żądania odwetu. Nie mając jeszcze potrzebnych danych orjentacyjnych, na razie zgodziłem się na postulaty gen. Sosnkowskiego, w duchu jednak widziałem ich nierealność. Gdy przeto po uchwaleniu pełnomocnictw stanęło przedemną zagadnienie,

że nastal czas realizowania mego programu, pierwszą rzeczą moją było określenie wiele istotnie mogą dać na armję bez narażania na szwank samego dzieła sanacji skarbu. Określiłem sumy na luty i marzec znacznie mniejsze od tych, do jakich się wobec ministra Sosnkowskiego zobowiązałem i postawiłem sprawę tak, że ponieważ ja moich zobowiązań dotrzymać nie mogę, więc ja wobec Prezydenta podaję się do dymisji. Skończyło się to na podaniu się do dymisji Min. Sosnkowskiego i wejścia do gabinetu gen. Sikorskiego, co ułatwiło chwilowo sytuację budżetową.

Drugą trudnością przy realizowaniu mego programu było opanowanie deficytów kolejowych. Formując gabinet, z góry upatrzyłem ministra kolei takiego, który by się podjął lojalnie prowadzić kolej bez żadnych dopłat skarbu do jej eksploatacji, w razie przeprowadzenia przezemnie stabilizacji waluty.

Na inwestycje kolejowe służyć miała pożyczka kolejowa, która miała być jedyną naszą pożyczką wewnętrzną, a przez to miała zapewnić kolei potrzebne na inwestycje środki. Zasadniczym postulatem moim było: niech kolej zapomni o tem, że w kasach skarbowych są pieniądze.

Ministrem, który podjął się iść całkowicie po tej linii został Tyszka. W głównych zarysach został on wiernym danemu mnie przyrzeczeniu, choć wykonanie planu nie mogło być dostatecznie ściśle przeprowadzone głównie skutkiem tego, że pożyczka kolejowa dała dużo mniejsze wyniki, niż było potrzebnem. Do inwestycji kolejowych zupełnie niezbędnych, oraz do kapitału obrotowego trzeba było dopłacać ze skarbu.

Już w czasie debat nad pełnomocnictwami rzuciłem hasło, że drukarnia państwowa przestanie dawać pieniądze papierowe skarbowi z chwilą, gdy kolej przestanie się o nie do skarbu zwracać. Inne bowiem nici równowagi budżetu już trzymałem w ręku i mogłem na nie liczyć. Tymczasem jednak zarówno z końcem grudnia, jak i w styczniu wciąż kolej czerpała obficie z kas skarbowych. Zdecydowałem jednak, że poczynając od lutego musi to całkowicie ustać, o ile chodzi o eksploatację, a inwestycje muszą też w ciągu lutego i marca całkowicie być wstrzymane, tak by równowaga realna w ciągu tych dwóch miesięcy była z góry zapewniona. W tym celu ułożyłem się z ministrem kolei, że w styczniu dostanie tyle środków, by mógł ważniejsze rzeczy naprzód pozalać, ale że w lutym i marcu ani grosza nie dostanie. Jednocześnie zarządziłem, by inne ministerstwa na luty i marzec mogły ograniczyć znacznie potrzebne dla siebie środki, tak, by te dwa miesiące mogły istotnie obejść się bez drukowania marek, których pewien zapas zresztą dały ostatnie dni stycznia. W ten sposób miałem wszystko przygotowane, by od lutego rozpocząć nową erę.

Pierwsze dni po uchwaleniu przez Sejm pełnomocnictw nie rokowały nic dobrego. Efekt uchwalenia ich był żaden. Nastroju w Sejmie nie było odpowiedniego, przemówienia poselskie były nikłe, pełne zastrzeżeń. Opinia kraju nie wiedziała co sądzić, marka nadal spadała, giełda wcale na uchwalone pełnomocnictwa nie reagowała.

W tej sytuacji zdecydowałem się na wydanie komunikatu, że w ciągu lutego i marca płatne będą dwie raty zaliczki na podatek majątkowy, które nie zostaną potrącane z rat należnych w ciągu 1924 roku, a tylko w następnych, oraz że od 1 lutego zostanie całkowicie wstrzymany druk pieniędzy papierowych na potrzeby skarbu.

I stało się to, co można było przewidzieć, gdyż było zamierzonym. Nastąpiło zdecydowane załamanie psychiki całego społeczeństwa, gdyż uwierzono, że nastąpił moment zwrotny w dziejach wewnętrznych naszych stosunków państwowych, moment przejścia od słów do czynu w myśl z góry ułożonego planu.

ROZDZIAŁ VII

Założenie Banku Polskiego

Gdy w końcu lutego 1924 nabrałem pewności, że równowaga budżetu jest realnie osiągnięta, postanowiłem przystąpić do założenia Banku Polskiego. Ustawa Banku była już przygotowaną w czasach Kucharskiego przez komisję w której brałem udział. Samo ostateczne zredagowanie ustawy powierzyłem Rybarskiemu i Młynarskiemu. — Jednocześnie utworzyłem Komitet Organizacyjny ze St. Karpińskim na czele w składzie osób: Steczkowskiego, ks. Adamskiego, Chrzanowskiego i Stefczyka.

Komitet wprowadził pewne zmiany do statutu w duchu życzeń sfer gospodarczych, które uwzględniłem. Dnia 25 stycznia ustawa Banku została ogłoszona w Dzienniku Ustaw. Kapitał Banku określony był na 100 milionów złotych i miał być złożony przez własne społeczeństwo, z małym udziałem rządu.

Gdy tylko stało się wiadomem, że taki jest mój plan, od razu uznano go za zbyt śmiały, twierdząc, że społeczeństwo nasze nie będzie w stanie dać tak znacznej sumy. Utworzone zostały komitety propagandy, ale one nie rokowały zbyt dobrych nadziei. W dodatku, gdy poleciłem, by osoby, które nie miały walut obcych, wpłacały należność za akcje w złocie, które było droższe od walut obcych, wpłynęło to zniechęcająco na subskrybentów. Kto miał waluty obce, ten łatwo mógł subskrybować akcje, ale kto ich nie miał i musiał kupować złote, ten ponosił różnicę kursu między walutami i złotem dość w owym czasie znaczną, przyczem różnica ta stale wzrastała. Powstrzymywało to wiele osób od wpłacania zaliczek na akcje. Dopominano się odemnie bym się zgodził na to, ażeby przyjmować na akcje B. P. nie tylko waluty i złoto, ale i marki, a to w ten sposób, by deklarując nabycie akcji mógł każdy nabyć walutę w P. K. K. P. po cenie stabilizowanej, co równało się nabywaniu akcji Banku Polskiego za marki.

Z początku na to się nie godziłem, uważając, że w ten sposób obniży się zapas walut i złota, jakim następnie będzie dysponował Bank Polski. To moje stanowisko było najzupełniej słusznem.

Dla przekonania się, jak stoi sprawa propagandy za subskrypcją na Bank Polski zorganizowałem zebranie przedstawicieli różnych kół gospodarczych, przemysłowych, bankowych i rolniczych oraz społecznych. Zebranie było bardzo liczne, reprezentowane były różne sfery. Wypowiadano się swobodnie. Widać było dużo dobrych chęci, ale widocznym był i sceptycyzm, czy zdoła się zebrać potrzebny kapitał. Rachowano na zebraniu, że najwyżej można liczyć na to, że społeczeństwo da połowę kapitału zakładowego Banku, a resztę będzie musiał dać rząd. Taką ewentualność uważałem za niepożądaną. Ponieważ za najważniejsze uważałem, by cały kapitał pokryty był przez społeczeństwo, postanowiłem zrobić subskrybentom tę ulgę, by przyjmować od nich również i marki, za które P. K. K. P. wpłacała dolary po kursie. Jednocześnie określiwszy jako termin subskrypcji datę 3 marca, przeprowadziłem to, że subskrypcje były ważne przy pokryciu z góry gotówką 50% wartości. Te zarządzenia okazały się decydującymi dla powodzenia całej sprawy.

Z pośród sfer gospodarczych stosunkowo nie wielki udział przyjęli więksi właściciele ziemscy. Stanisław Lubomirski rozwinął wśród nich agitację, dając im kredyt w swoim Banku, by ich zachęcić do subskrypcji, ale to większego skutku nie wywierało. Więksi rolnicy mieli do płacenia duże raty podatku majątkowego. Drobni rolnicy wogóle nic prawie nie wnieśli na akcje. Ogółem rolnicy wnieśli według prowizorycznych danych tylko 8% kapitału zakładowego Banku Polskiego. Według ostatecznych obliczeń, wydrukowanych w sprawozdaniu Banku za 1926 r., cyfra ta spadła do 7%.

Natomiast sfery urzędnicze i wojskowe wykazały duże zainteresowanie subskrypcją na akcje B. P. Wśród nich rozwiniętą została energiczna propaganda. Okazała się ona możliwą dopiero wtedy, gdy zdecydowałem się na przyjmowanie wpłat na akcje markami, a prócz tego zarządziłem, jako zachętę dla tych sfer, ażeby przyjmować zapisy na akcje na rozplaty, przyczem niezapłaconą część zapisanych akcji rząd miał sam wpłacić zaliczkowo na rachunek Banku Polskiego. Dzięki temu sfery urzędnicze i wojskowe zapisały się na tak dużą ilość akcji, że kapitał zakładowy Banku został pokryty z nadmiarem około kilkunastu milionów złotych, możliwości czego nikt nie przypuszczał. Sfery gospodarcze również wysiliły się, by wziąć jaknajwiększą ilość akcji, z chwilą gdy można je było nabywać za marki i same one zapisały się na prawie pełne 100 milionów złotych. W ten sposób rząd nie potrzebował brać wcale akcji Banku i ograniczył się do udziału minimalnego. Przy repartycji na urzędników i wojsko przypadło 12% kapitału, ale ostatecznie wypadło na te sfery łącznie z wolnymi zawodami 23,1%, na przemysł początkowo 38%, ostatecznie 35%, na rolnictwo początkowo 8%, ostatecznie 7%, na banki początkowo 14%, ostatecznie 11,6%, na handel 10%, na skarb początkowo 10% ostatecznie 1%, gdyż z części zarezerwowanej dla siebie odstąpił Skarb swoje udziały grupie urzędników i inteligencji, która wpłacała po terminie subskrypcji i powiększała swój udział w Banku, podczas gdy banki, przemysł i rolnictwo swoje udziały zmniejszały.

W subskrypcjach na akcje Banku Polskiego różne dzielnice Polski przyjmowały bardzo nierówny udział. Podczas gdy zabór rosyjski wziął 61% akcji, a pruski 28%, więc stosunkowo jeszcze więcej od rosyjskiego, zabór austriacki wziął tylko 10% akcji.

Gdy przyszedł moment ustalenia listy kandydatów do rady Banku, wszedłem w porozumienie z odnośnymi organizacjami. Jak zwykle każda organizacja chciała mieć jak najwięcej przedstawicieli. Ostatecznie nie mogłem dojść do porozumienia z rolnikami, którzy choć wpłacili znacznie mniej, niż $\frac{1}{12}$ kapitału akcyjnego, chcieli mieć $\frac{2}{12}$ miejsc. Natomiast sfery urzędnicze i inteligencja wpłaciły łącznie z kooperatywami i z rządem więcej prawie niż $\frac{3}{12}$ i dlatego dla tej sfery łącznie z rządem rezerwowałem trzy miejsca, które przeznaczyłem, jedno dla prof. Rybarskiego, drugie dla adwokata Tomaszewskiego, trzecie dla Romualda Mielczarskiego.

Postępowanie moje było bezpartyjne i państwowe. Ale rolnicy postanowili nie dać za wygrane i dlatego ułożyli się z przemysłowcami, że oni sami przeprowadzą na zebraniu akcjonariuszów swoją listę nieco inną niż ta, która była ułożoną w porozumieniu z rządem, — listę na której zamiast Mielczarskiego był Fudakowski, drugi reprezentant rolników. Pierwszym był Chrzanowski, którego kandydatura była z rządem uzgodniona.

Istotnie gdy nastąpił dzień założenia Banku Polskiego urządzono pod moim adresem burzliwą owację, ale jednocześnie przeprowadzono listę nieuzgodnioną ze mną. Gdy to się stało dla mnie wiadomem, zapowiedziałem, że osób ze mną nie uzgodnionych nie zatwierdzą. Ci, którzy całą akcję wyborów wzięli w swoje ręce, nie przypuszczali bym mógł to uczynić. Z p. Fudakowskim łączyły mnie jak najlepsze stosunki, był on Prezesem zjednoczonych organizacji ziemiańskich więc było to rzeczą drażliwą i nieprzyjemną dla mnie osobiście cośkolwiek przeciwko niemu uczynić, niemniej sumienie moje nie pozwalało mi ustąpić. W moim rozumieniu Bank Polski powinien być placówką służącą najwyższemu pojętemu interesom Państwa. Gdy widziałem, że zorganizowane sfery gospodarcze chcą z Banku zrobić sobie powolne narzędzie wpływów i rywalizacji oraz ambicji grup i zawodów, zdecydowałem się pójść do walki z tą grą, świadom będąc, że mnie to drogo będzie kosztowało. Od tego bowiem czasu miałem przeciwko sobie usposobienie miarodajnych sfer ziemiańskich. Niemniej, aż do ostatka, naciskowi na mnie wywieranemu nie ustąpiłem i przy następnych wyborach uzupełniających, które nastąpiły niezadługo po pierwszych, sfery gospodarcze musiały całkowicie uzgodnić swoje stanowisko z rządem, przyczem wszedł do Rady Fudakowski, który osobiście miał po temu wszystkie dane, ale również i Mielczarski. Wybór Fudakowskiego stał się możliwym wobec tego, że ustąpił Steczkowski, który został mianowany na Prezesa Banku Gospodarstwa krajowego.

Sprawa wyboru do władz Banku Polskiego była pierwszym ostrzeżeniem pod moim adresem, wskazującym, że autorytet moralny nie wiele znaczy, gdy idzie o interes i wpływ materialny. Mój autorytet wtedy był niewątpliwym i stał na najwyższym szczeblu, a jednak sfery gospodarcze z tem się nie liczyły. Ustąpiły tylko przed nakazem władzy, gdyż musiałem się oprzeć na prawie pisemnem, nie mogąc liczyć na porozumienie, wpływające z prawa moralnego, które przecież jako twórca Banku Polskiego posiadałem.

ROZDZIAŁ VIII

Pierwsza dyskusja budżetowa

Przez zaprowadzenie złotego i utworzenie Banku Polskiego cały program, którego się podjąłem, przyjmując mandat rządów w końcu grudnia 1923 i otrzymawszy w styczniu 1924 pełnomocnictwa, był wykonany. Prosiłem o pełnomocnictwa na rok, Sejm dał mi je na pół roku, ja wykonałem zakreślony program w ciągu czterech miesięcy. Otrzymałem pełnomocnictwa wykorzystałem w całej pełni. Każdy punkt pełnomocnictwa znalazł swój równoważnik w szeregu rozporządzeń, które razem wzięte stanowiły ogrom pracy twórczej, dokonanej przez rząd bez udziału Sejmu.

Pierwsze dwa miesiące po wprowadzeniu złotego to jest maj i czerwiec 1924 r. wykazały bardzo dodatnie rezultaty reformy: wskaźnik kosztów utrzymania, który w lutym stanowił 127,4 spadł w maju do 125,6, a w czerwcu do 123,7. Wskaźnik cen hurtowych, który w lutym wynosił 111,8 spadł w maju do 104, a w czerwcu do 100,6. Reforma walutowa miała w ten sposób niewątpliwie zbawienny wpływ na poziom cen. Wszelkie

tak rozpowszechnione następnie odmienne zdania są pospolitą ignorancją i przekręcaniem prawdy. Być może, że ten dobroczynny wpływ reformy na poziom cen był za słaby, a przede wszystkim żałować należy, że nie okazał się on trwałym, gdyż poczynając od lipca zaczął się ruch cen w górę. Ale to nastąpiło najwidoczniej wskutek innych niż reforma walutowa przyczyn, skoro pierwsze dwa miesiące dały wyraźny spadek cen.

Wiadomą jest rzeczą, że okres największego wzrostu cen przypadł w Polsce nie na czas wprowadzenia złotego, a przeciwnie na końcowy okres marki, poprzedzający jej stabilizację. Gdy w październiku 1923 r. wskaźnik cen hurtowych wynosił 72,5, doszedł on w grudniu, kiedy objąłem władzę, do 95. Drożyzna szła przy mnie wgórę jeszcze w ciągu dalszych dwóch miesięcy t. j. do lutego, kiedy dopiero zacząłem przygotowywać reformę walutową. Do tego czasu wzrost drożyzny był zatem wynikiem hyperinflacji, a nie reformy. Od lutego bowiem, gdy wskaźnik drożyzniany doszedł do 111,8, zaczął on następnie spadać stopniowo aż do lipca.

Reforma walutowa nie tylko wpłynęła dobroczynnie na ruch cen i spadek drożyzny, ale jednocześnie nie wpłynęła ona na razie bynajmniej ujemnie na stopień zatrudnienia ludności pracą. Bezrobocie, które w marcu wynosiło cyfrę 111.000 osób, wyrażało się w maju i czerwcu cyfrą 95, i 98.000. Wiadomo, że w Niemczech reforma walutowa wywołała szalony wzrost bezrobocia.

Tak wydatnie korzystne wyniki reformy walutowej były wprost zdumiewające, gdyż podobnych nie znaleźmy w innych krajach, które o własnej chciały iść sile.

Bardzo wiele osób jest tego mniemania, że miałem taki okres rządów, w których byłem niezmiernie potężnym i w którym mogłem dużo dobrego zrobić, nie skorzystałem jednak z tego, co mnie jako winę moją przypisują. Takim okresem, zdawałoby się, powinien być być maj i czerwiec 1924 r., a jednak czerwcowe debaty w Sejmie nad budżetem wykazały, że nurtują w nim złośliwe pod moim adresem tendencje. Znany ze swoich późniejszych ataków na mnie poseł Byrka nie trzymał się w rezerwie już w czerwcu 1924 i w dniu 24 czerwca w Sejmie wypowiedział mowę z powodu budżetu Ministerstwa Skarbu, w której w momencie, gdy bezrobotnych było tylko 98.000 rzucił zdanie: „Jesteśmy w stadium przesilenia gospodarczego tak ostrego, jakiego Polska dotychczas nie przechodziła. Mnóstwo bezrobotnych”. Muszę dodać, że podczas, gdy w maju i czerwcu 1924 roku mieliśmy bezrobotnych poniżej 100 tysięcy, — to w 1923 od marca do maja mieliśmy powyżej 100 tysięcy, a w 1922 roku od stycznia do marca powyżej dwustu tysięcy. — Ze wszystkich trzech lat 1922, 23, i 24 w tym ostatnim w maju i czerwcu była najmniejsza ilość bezrobotnych, a pomimo to w Sejmie rozdzierano już szaty nad klęską, jakiej „Polska nie przechodziła”.

Rozumie się, że to przemówienie nie miało szczególnego powodzenia, jednak dowodziło nastrojów nadzwyczaj nieprzyjaznych, jeżeli do takiej mogły doprowadzać przesady. Nie poprzestał zresztą ten poseł na tem, ale zrobił dalszy krok w swojej napastliwości, zarzucając: „jest grupa osób, która duże korzyści materialne ciągnie, kumulując rozmaite posady rządowe nawet z pogardą dla przepisów ustawowych”.

Przy tym ustępie powołał się poseł Byrka na posła Rozmaryna, a w protokole zaznaczono głos posła Dubanowicza „słuchajcie:”. A w dalszych wywodach okazało się, że ta grupa osób to jeden prof. Rybarski, a dwie korzyści, to pensja jego profesorska oraz wynagrodzenie członka Rady Banku Polskiego. Nawoływanie do słuchania takich przesadnych i bezzasadnych aluzji świadczyło, że w Sejmie powstały fermenty wrogie wobec rządu, gotowe podkopywać się pod jego mozolną i pełną odpowiedzialności pracę.

Poza tym jednym zgrzytem głosu posła Byrki inne przemówienia w czerwcu 1924 podczas dyskusji budżetowej nie były zasadniczo nieprzychylnie, choć prawie w każdym głosie czuć było zastrzeżenia i ogólne rozważania krytyczne. W tonie więcej krytycznym niż popierającym była wypowiedziana mowa posła Głębińskiego. Thugutt stwierdziwszy „że dobrze się zasłużyłem Ojczyźnie”, podkreślał jednak silnie krytyczny stan wsi. Na temat upośledzenia wsi mówiło wielu posłów. Nutę największego uznania pod moim adresem wniósł poseł Chądzyński. Wyrażał się: „dokonał wielkiego dzieła... uratował markę polską przed ostatnią katastrofą utraty wszelkiej wartości”. „Zaprzestanie polityki inflacji, wstrzymanie wzrostu drożyzny i ustaleniu cen na towary, zrównoważenie dochodów i wydatków państwowych, stworzenie nowego pieniądza o stałej wartości, wszystko to

Polska zawdzięcza wielkim zdolnościom swojego Ministra, jego nieskazitelnemu charakterowi, jego nieugiętej woli i jego wierze w swój naród”.

Z innych przemówień jeszcze jeden tylko Zdziechowski generalny referent wypowiedział się nieco przychylniej pod moim adresem. „Dla pokonania trudności, które stały przed Polską na początku 1924 r., trzeba było tej niestrudzonej pracowitości, tej zdecydowanej woli, tej głębokiej wiedzy i intuicji, które posiada Pan Minister Grabski.” Jako referent budżetu Zdziechowski przyznał, że „w ciągu ostatnich 4 miesięcy” równowaga budżetu istotnie została osiągnięta. Naogół przemówienie Zdziechowskiego było całkowitem poparciem udzielonem mojej polityce. Zrobił on tylko zastrzeżenia, że obciążenie podatkowe płatników jest nadmierne. Jako też przedstawił dążenie do obniżenia kosztów produkcji w przemyśle, a w rolnictwie postawił jako cel: „stopniowe powiększenie cen produktów rolnych przez stopniowe zwalnianie eksportu”. Była to właśnie ta polityka gospodarcza, którą ja prowadziłem. — Największym przedmiotem zarzutów wyrażanych w dyskusji budżetowej był to temat niezadowolenia i mniemanego pokrzywdzenia wsi, który w demagogiczny sposób nieustannie był podnoszony. Do tego tematu przejdę w osobnym rozdziale, gdy będę mówił o programie gospodarczym rządu.

Tu tylko zaznaczę, że narazie niezadowolenie to konkretnych nie przybrało kształtów.

Reforma walutowa w debacie czerwcowej zaatakowaną nie była wcale. Michalski, który tak niestrudzenie począł ją następnie zwalczać, trzymał się w rezerwie. Nie mniej prócz Chądzyńskiego, Zdziechowskiego i częściowo Thugutta o reformie nikt w sposób dodatni się nie wyrażał.

Ja zająłem też stanowisko pełne rezerwy. Nie wychwalałem swego dzieła. Nie lekceważyłem tego, że reforma ta — to początek dalszej trudnej pracy. Nie tryumfowałem. Oto jak zakończyłem moją replikę w dyskusji budżetowej czerwcowej 1924 r. „Niech Panowie mnie nie posądzają o optymizm”. „Nie wszystko jest poza nami”. „Rok ma 12 miesięcy. Czyż nie mieliśmy pięknych miesięcy w r. 1922, a jak szybko to minęło. Jeśli mówiłem w optymistycznym tonie, nie znaczy się, ażebym nie czuł wielkiej troski i odpowiedzialności za te chwile, które przeżywamy; przecież chciałbym, by w ciągu całego roku uwidoczniła się wielka prawdziwa potęga Narodu Polskiego”. Apelowalem do uzgadniania interesów rozbieżnych rolnika, przemysłowca, robotnika, urzędnika, naszkicowałem program gospodarczy. Za tę moją replikę otrzymałem huczne oklaski. Ale to przyjęcie nie znaczyło, by nie istniały silne fermenty niezadowolenia, które się zagnieżdżyły głównie wśród rolników. — Stanie się to bardziej widocznym, gdy przejdziemy do umówienia spraw programu gospodarczego w czasie pierwszej debaty budżetowej w 1924 roku.

ROZDZIAŁ IX

Program gospodarczy 1924 roku

Ustalił się pogląd, jakobym ja był tak zaślepiony reformą walutową w 1924 r., że wszystko dla niej poświęciłem i całe życie gospodarcze świadomie podporządkowywałem temu jednemu celowi i dopiero nauczony doświadczeniem poprawiłem się jakoby w r. 1925, kiedy było już zapóźno.

Taki pogląd, choć popularny, jest nawskróś błędny. Program mój gospodarczy w ciągu 1924 i 1925 ulegał ewolucji, ale został on już wyraźnie w czerwcu 1924 podczas debaty budżetowej narysowany. Troska o sprawy sanacji gospodarczej była mnie nie mniej bliska w 1924, jak w 1925 r., inne tylko widziałem drogi w pewnych szczegółach. Szczegóły te może zbytnio sam podkreślałem i dlatego urobiła się opinia o wielkiej jakoby zmianie w moim programie. — Istota programu jednak była zgóry jedna ta sama i, jak widać z rozpraw wspomnianych, sięgała ona od samego początku do jądra sanacji gospodarczej, tak jak jest ona i dziś pojmowana.

W moim ekspozycje budżetowym 10 czerwca 1924 r. (a było to moje pierwsze ekspozycje budżetowe) bardzo wyraźnie zająłem co do tego stanowisko, że procesy życia gospodarczego muszą być rozpatrywane ze szczególną ze strony rządu troską. Na naczelnem miejscu programu gospodarczego postawiłem potaniecie produktów przemysłowych oraz stopniowe zmniejszanie ceł wywozowych aż do ich całkowitego zniesienia. Że mój pogląd na te zasadnicze sprawy były już wówczas bardzo zbliżony do tego, który w 1926 roku zaczął

być głoszony jako nowa era programu gospodarczego rządów, które po mnie nastąpiły, dowodem tego może służyć ustęp z mojej repliki budżetowej z czerwca 1924 roku.

„W podniesieniu kultury wsi widzę wielką konieczność państwową. Chcemy zrobić Polskę silną i wielką. W tej Polsce wieś musi być wydajną, a wydajną będzie wtedy, kiedy będzie mogła dużo produkować”. „Jeżeli chcemy przemysłowi naszemu dać istotne zabezpieczenia przed trudnościami z jakimi walczy, jeżeli chcemy wchłonąć przemysł górnośląski i dać mu wielki zbytk u nas, to się nie da zrobić tego inaczej, jak drogą podniesienia nietylko zdolności produkcyjnej wsi, ale zdolności konsumpcyjnej. Wieś musi być wielkim odbiorcą”.

Zdaje się, że rolnicy dzisiaj dobitniej się co do tego zagadnienia programowego nie wyrażają. Ale rolnicy ci są przekonani, że ja reprezentowałem kierunek ich interesom i poglądom przeciwny.

Zale wsi pod moim adresem sformułował najdobitniej poseł Gościcki w swojej mowie z dnia 27 czerwca 1924 r., w której wytykał, że opłaty wywozowe zapóźno zostały obniżone, i że wiosenna konjunktura dla wywozu żyta została przez to zmarnowana. Późniejszy nieurodzaj całkowicie usprawiedliwiał moją przezorność z wiosny 1924 roku i przeciwnie, co mógłbym sam sobie zarzucić to to, że przez zwolnienie żyta od opłat wywozowych latem 1924 r., co uczyniłem pod naporem rolników, zwiększyłem zapotrzebowanie importu 1925 r. Ci zaś rolnicy, którzy pod wpływem opłat wywozowych nie sprzedali całej swojej krescencji z 1923/24 przed nowym urodzajem 1924/25, dobrze sami na tem wyszli, bo lepsze sami uzyskali ceny, a Polsce dobrze się przysłużyli, bo zmniejszyli import wywołany nieurodzajem.

Wśród rolników do dziś dnia utrzymuje się uporczywie opinia, że wyrządziłem im wielką krzywdę, przez to, że zaraz po objęciu władzy w 1924 r. nie zniosłem opłat wywozowych. Miał to już im obiecać rząd Witos, przy pobieraniu podatku majątkowego, ale Witos obiecywał i nie zrobił. Ja zaś nic nie obiecywałem, bo znieść odrazu opłaty wywozowe od wszelkich produktów rolnych, to nie jest sprawa jednego dnia. W Niemczech po zaprowadzeniu reformy zakazy i cła wywozowe długo jeszcze istniały, zanim stopniowo, jak u nas, zostały zniesione.

Z mej strony postawiłem sprawę na jedynie prawidłowym państwowym gruncie: znoszenia zakazów i cel wywozowych stopniowo.

W jakiej mierze przedmiot ten stanowi wielką trudność w polityce państwowej widzimy z tego, że, jak pisze Gliwic w swojej pracy: *Podstawy ekonomiki światowej* na str. 75, cła wywozowe rolnicze w 1925 r. istniały w Europie w wielu bardzo krajach, nawet i rolniczych jako to: na Węgrzech, w Rumunji, Austrii, Czechosłowacji, Francji, Belgii i Estonii. Istnienie zatem cel wywozowych w Polsce w 1924 r., gdy były one stosowane nie tylko w tych wymienionych krajach, ale i w Niemczech, nie było żadną anomalią, krzywdzącą rolników, a koniecznością państwową, której nie można było uniknąć. Jeżeli sobie uświadomić, że w 1927 roku po energicznej kampanji, przeprowadzonej przez rolników przeciwko wszelkim cłom wywozowym, rząd, w składzie którego znajdują się zdecydowani agrariusze, wprowadził cło wywozowe w wysokości 15 złotych od cetnara żyta, podczas gdy cło za mnie było wielokrotnie niższe i w 1924 wynosiło zaledwo 2 złote, to widoczną się staje przesada żalów i zarzutów rolników pod moim adresem.

Pomimo mego zasadniczego zrozumienia potrzeb rolników i przychylnego do nich stosunku, znalazłem się w takiej sytuacji, w której nie mogłem się im nie narazić. Zostałem bowiem cały system opłat i zakazów wywozowych i gdybym pospiesznie je znosił, w momencie wprowadzania reformy walutowej, okazałbym najwyższą lekkomyślność. — Rozumiał to położenie Zdziechowski i dlatego mnie o politykę rolniczą nie atakował. Ale inni mówcy sejmowi, jak Gościcki, Dębski, Byrka, a również i Thugutt silnie podkreślali to, że wieś wychodzi z sytuacji wytworzonej reformą walutową z minusami.

Ciężkie położenie wsi nie było wcale wynikiem ani opłat wywozowych, które były nadzwyczaj niskie, ani podatków, a tylko samego faktu przewrotu w proporcji cen produktów rolnych i przemysłowych, przewrotu, który dał się we znaki w Stanach Zjednoczonych Ameryki w 1919 roku i doprowadził tam dziesiątki tysięcy farmerów do bankructwa pomimo, że nie było tam reformy waluty, przewrotu, który dawał się we znaki w Niemczech nie mniej silnie jak u nas. Na tę dysproporcję narzekali u nas bardzo silnie rolnicy po wojnach napoleońskich i wielu z nich istotnie wtedy zbankrutowało, wycho-

dząc z majątku z torbami. — W czasie inflacji markowej to zło powojenne w Polsce odrodzonej mniej dawało się we znaki. Dopiero na jesieni 1923 r. w okresie hyperinflacji dysproporcja cen rolniczych i przemysłowych stała się nadmiernie rażąca i jakkolwiek złagodzoną ona została w 1924 r., ale słabo. Rolnicy uświadomili sobie, że produkcja się im nie oplaca. Przyznawałem im rację, że stan ten trzeba uzdrowić. W dążeniu do uzdrowienia tego stanu postawiłem na pierwszym miejscu potaniecie produktów przemysłowych, a na podrożenie produktów rolnych decydowałem się również tylko z warunkiem, by było ono stopniowe i niezbyt gwałtowne. Tego wymagał wyraźnie interes państwowy. Rolnicy nie chcieli rozumieć sytuacji, nie uważali na to, że kryzys rolniczy przechodził cały świat, że kryzysy takie przechodziła Polska po każdej większej wojnie, zasklepili się w swoim ciasnym widnokregu, wywołując zamęt pojęć, że to rząd jest winien temu, że zboże jest za tanie, a buty za drogie.

Niewątpliwie przewodnicy sfer rolniczych szczególnie ci, którzy byli nieco wykształceni ekonomicznie, mieli od samego początku świadomość tego, że nie tyle podatki i nie tyle polityka celna rządu, co kryzys ogólnie światowy jest główną przyczyną ciężkiego położenia rolników. Przecież po moim rządzie przyszły rządy, w których rolnicy mieli wpływ dostateczny, a jednak narzekać na kryzys nie przestali. Ale przewodcy rolników ani w 1924, ani w 1925 nie chcieli swoim braciom mówić prawdy w oczy. Nie było to dla ich widoków potrzebne. Gdyby mówili prawdę, ogół rolników nie bardzo by im wierzył, bo ogół ten stał czy wśród włościan, czy wśród ziemian zbyt nisko, by mógł rozumieć sprawy, wymagające szerokich horyzontów myśli. Gdyby przewodcy rolników nie powtarzali rolnikom, że całej ich biedzie winien jest rząd, to by zaryzykowali oni utratę popularności.

Najbardziej była taka gra niesumienną ze strony przewodców drobnych rolników. Nie praktykowana w najbardziej demokratycznych państwach, a stosowana u nas, regresja podatku gruntowego, oraz wysokie minimum opodatkowania dochodowego stanowiły tak wydatne przywileje dla drobnego rolnika, że mówić o jego przeciążeniu podatkiem w Polsce jest to popełnić najbardziej brutalne oszczerstwo własnej Ojczyzny. — Czechy, Niemcy, Rosja, wszystkie te państwa nieskończenie więcej obciążają podatkami drobnego rolnika od Polski. W zakresie polityki celnej zakazy wywozu i opłaty celne najpierw zostały obniżone: a nawet zniesione na produkty zwierzęce, które dotyczą głównie drobnego rolnika, a później na zboże, jako produkty przeważnie większej własności. Polityka celna zatem, tak samo jak i podatkowa, była za moich rządów szczególnie przychylną dla drobnych rolników.

Pomimo to przywódcy polityczni drobnych rolników całą winę kryzysu rolniczego zaczęli przypisywać rządowi memu. Czynili to od samego początku przede wszystkim przedstawiciele Piasta, które to stronnictwo w ten sposób szukało rehabilitacji za niepowodzenia swoich poprzednich rządów. Jakkolwiek rozpiętość cen na niekorzyść rolników była największą właśnie na jesieni 1923 roku, czyli za rządów stronnictw agrarnych Sejmu, ogół dobrze sobie nie uprzytamniał, kiedy było najgorzej, wiedział, że mu jest źle, a przewodcy rolników korzystali z tego, by wmawiać w nich, że wszystkiemu winien jest mój rząd.

Konkluzję tę bardzo chętnie powtarzali wszyscy rolnicy na lewo od Piasta stojący, dla których krytyka rządu jest zasadniczym dogmatem i wyznaniem wiary, a wtórowali temuż hasłu zwalania winy na rząd również przedstawiciele większej własności z uwagi na to, że rząd za późno zniósł cła zbożowe, że pobrał za dużą ratę podatku majątkowego od rolników i że drugiego przedstawiciela ziemian nie dopuścił za pierwszym razem do Banku Polskiego.

Ten wspólny front opozycji rolników wobec rządu jeszcze w czerwcu 1924 r. nie był sformowany, ale się zarysował dość wyraźnie w tonie wypowiedzianych narzekań.

Muszę jednak zaznaczyć, że główni działacze społeczni wśród drobnych rolników, działacze idei kooperacji ludowej, a nie politycy, w tym ruchu agrarnym przeciwko mnie zwróconym nie przyjmowali udziału i zachowali ze mną do ostatka stosunek pełen wzajemnego zaufania. Dla nich reforma walutowa była istotnym dobrodziejstwem, pozwalającym im na kontynuowanie poprzednio zupełnie uniemożliwionej skutkiem inflacji pracy krzewienia kooperacji na wsi. Do tego, by pracę tę nadal rozwijać i z upadku podźwignąć, potrzebowali oni jedynie pomocy kredytowej, którą im chętnie udzielałem.

Również i wśród ziemian byli niektórzy przedstawiciele pełni umiaru w patrzeniu na rzeczy, którzy utrzymywali z rządem stale stosunki poprawne.

Obok zagadnienia polityki agrarnej w programie gospodarczym, podstawową rzeczą jest stosunek rządu do polityki przemysłowo celnej.

O ile w stosunku do rolników rządy moje spotykały się z zarzutem, że nie rachuję się z opiniami samych rolników, co było istotne słusznym, lecz nie dowodziło, żebym nie rachował się z ich potrzebami, to w zakresie polityki przemysłowej w czasie sprawowania rządu nie spotykałem się z ostrzejszą krytyką. Istotnie o ile delegacje rolników zwykle formułowały swoje postulaty w sposób przesadny, w których górowała nuta gry politycznej, wobec której zajmowałem stanowisko odporne, o tyle przedstawiciele interesów przemysłu traktowali sprawę ugodowo i, po za sprawą świadczeń socjalnych, o której będę mówił później, dochodzili zwykle do porozumienia z rządem.

Pomimo tego jednak, że cała polityka przemysłowo celna była stale uzgodniana ze sferami przemysłowymi, jednak po mojem ustąpieniu sformułowano przeciwko mnie najcięższe zarzuty w dziedzinie tej właśnie polityki, zaznaczając jakoby popełnił wielki błąd, wprowadzając liberalizm celny w 1924 roku, zamiast tego, by obwarować reformę walutową silnym protekcjonizmem celnym.

Polityka nasza celna już w 1924 roku była protekcjonistyczna, ale nie tak silnie jak w roku następnym. Czy był to błąd, to pytanie, na które nie łatwo byłoby odpowiedzieć. Ale silniejszego protekcjonizmu nikt wtedy nie żądał, przeciwnie dopominano się obniżenia skali opłat celnych.

Przed ogółem naszym bowiem w 1924 r. nie stało zagadnienie, jak obronić się przed importem zagranicznym, a tylko jak doprowadzić do potaniaenia ceny produktów przemysłowych. Sami przemysłowcy poddawali się tym ogólnym nastrojom, współdziałając z rządem w ustalaniu takiej polityki celnej, w której by główne gałęzie produkcji przemysłowej znajdowały wystarczającą protekcję celną, ale w której główne przedmioty spożycia wewnętrznego, przeważnie dotyczące klas uboższych t. j. robotniczych, mogły być dostępne stosunkowo po cenach niewygórowanych, a więc przy cłach niskich.

Taka polityka była konieczną choćby ze względu na Górny Śląsk, w którym ludność robotnicza zwykła się była zaopatrywać w tanie ubrania, bieliznę i obuwie z Niemiec. Po części i w Małopolsce otrzymywano tanie gotowe te przedmioty z Czech i Wiednia i dopominano się by te przedmioty zbytnio nie drożały. Zadanie nasze gospodarcze powinno było polegać, żeby przemysł łódzki i warszawski, który pracował przed wojną na Rosję skierował się do opanowania rynków Górnego Śląska i Galicji, wypierając stamtąd towary niemieckie i czeskie, bez podrożenia kosztów utrzymania mas robotniczych tych ziem naszych. Drożyzna odzieży dla tych mas byłaby równoznaczną z podniesieniem płac robotniczych, a więc z podniesieniem kosztów produkcji, już i tak za wysokich. Więc ani przemysłowcy, ani rolnicy nie protestowali przeciwko polityce niskich cel na te trzy przedmioty konsumpcji.

Cały tyle podkreślany mój program stawki na konsumentów, który miał być rzekomo zgubnym i od którego odstąpiłem zapóźno w 1925, jak to mnie zarzucają, był to program ograniczony do tych trzech przedmiotów, to jest tanich gotowych ubrań robotniczych, taniej bielizny i obuwia. Cała reszta polityki celnej przemysłowej stała poza sferą moich wpływów bezpośrednich, była prowadzona w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, a nie Skarbu i odbywała się przy stałym współpracownictwie ze sferami przemysłowymi.

Program mój, by dążyć do obniżenia kosztów produkcji przemysłowej i potaniaenia przedmiotów konsumpcji robotniczej oraz drobnych rolników, postawiłem w mojem ekspozé budżetowym 10 czerwca 1924 r.:

„Nasze cła w niektórych gałęziach są nadmierne, obuwie gatunków najtańszych płaci w Polsce cło cztery razy większe, niż w Austrii, Czechosłowacji i Niemczech; ten protekcjonizm idzie za daleko.” „Trzeba się zastanowić nad tem, czy koniecznym jest chronienie tak wysokimi cłami drożyzny poważnego elementu kosztów utrzymania jakim jest koszt obuwia i ubrania.” W replice mojej z dnia 16 czerwca 1924 roku zaznaczyłem, że „wkraczam na drogę, ażeby w najważniejszych przedmiotach potrzebnych dla domowego użytku jak gotowe tanie ubrania, gotowa tania bielizna i tanie buty, zerwać z obecnie praktykowanym protekcjonizmem. Sądzę, że ta zmiana przyniesie pożytek między inne-

mi i ludności wiejskiej, która jest skłonna do formułowania zarzutu o nieczułości rządu na jej potrzeby”.

Program potaniania produkcji przemysłowej, postawiony w moim programie gospodarczym już w 1924 bynajmniej nie ograniczał się do potaniania drogą obniżki cef przedmiotów ubrania i obuwia, wpływających na koszt utrzymania i na poziom płac robotniczych. Jednocześnie rząd zrezygnował zupełnie z podatku od węgla i w ten sposób doprowadził do potaniania tego ważnego czynnika produkcji przemysłowej.

Potaniecie tej produkcji miało być też tym czynnikiem, który miał poprawić sytuację rolnika zapatrzonogo zbyt jednostronnie tylko w podrozenie jego własnych produktów. Oto jak minister Przemysłu i Handlu Kiedroń określał program gospodarczy rządu 26 czerwca w dyskusji nad budżetem jego Ministerstwa:

„Jeżeli chodzi o plan gospodarczy, jaki ma rząd, to ten plan obserwują panowie od dość dawna. Wyraża się on w tem, żeby doprowadzić do potaniania produkty przemysłowe i usunąć dysproporcję jaka jest między produkcją rolniczą i przemysłową, bo to jest jedyny sposób, żeby życie powróciło na normalne tory.” Do wyjścia z obecnych trudności trzeba produkować tak tanio, by można konkurować z wyrobami obcemi.”

Program powyższy był w zupełności aprobowany przez Sejm. Co do niego dziś dodać można, zapytać wolno? czyż on nie był najwłaściwszym programem. To, że w nim nie było na czele hasła protekcyjizmu dla utrzymania aktywności bilansu handlowego drogą zmniejszenia importu, a tylko potaniania produkcji dla zwiększenia eksportu, czyż można temu stawiać poważny zarzut. Czyż aktywność bilansu drogą ograniczania importu, to nie jest zło konieczne dopiero wtedy, gdy okaże się niemożność powiększenia eksportu. Czyż polityka, stawiająca sobie za cel aktywności bilansu przez potaniecie produkcji i zwiększenie eksportu, nie jest lepszą polityką od tej, która cały nacisk kładzie na ograniczenie importu. — Ostatnia może być wynikiem jedynie przymusowej sytuacji, w której w 1924 r. się nie znajdowaliśmy i która nastąpiła dopiero wtedy, gdy nieurodzaj porobił zbyt duże szczyrby i gdy Niemcy przez wojnę celną zagroziły zbyt poważnie naszemu eksportowi.

Polityka gospodarcza rządu w 1924 r. była jedyną właściwą polityką państwową. Nie była ona wcale wyrazem liberalizmu celnego, tylko umiarkowanego protekcyjizmu.

Polityka celna rządu w 1924 r. znalazła swój wyraz w taryfie celnej, o której Minister Kiedroń w mowie swej powiedział, że przygotowaną została przy pomocy kół fachowych i przedstawicieli życia gospodarczego. Taryfę tę scharakteryzował przed Sejmem wiceminister Klarner w mowie swej z dnia 8 lipca 1924. Wskazał on, że nowa taryfa celna rządu była mniej liberalna od tej, którą zastał:

„Nasza dawna taryfa celna, nie ta, którą rząd ogłosił na podstawie pełnomocnictw, ale dawniejsza, miała charakter liberalny i ona odpowiadała całkowicie wskazaniom uchwały Sejmowej z dnia 1 sierpnia 1919 roku.” „Taryfa, którą rząd ogłosił na podstawie pełnomocnictw, podniosła znacznie cła na towary kolonjalne, co miało na celu ochronę waluty. Również podniesiono stawki na inne wytwory przemysłu.” W tem miejscu przemówienia wiceministra Klarnera dały się słyszeć na sali sejmowej wyrazy niezadowolenia, tak, że mówca przeszedł do tłumaczenia się: „chciałem dodać, że wysokie cła, które panowie usłyszeli, są cłami maksymalnymi, a od tych cef będą dawane ustępstwa dla uzyskania cef konwencyjnych”.

Zachowanie się Sejmu w tej sprawie wykazuje, że już w 1924 r. rząd poszedł w kierunku protekcyjizmu dalej, niż nastrój Sejmu do tego upoważniał i, gdyby sprawa była oddana w jego ręce, stawki celne wypadłyby jeszcze mniejsze. — Dzięki pełnomocnictwom rząd dał już w 1924 ochronę naszemu przemysłowi większą niż ta, którą była w dawnej taryfie. — Wyjątki, które omówiłem powyżej, nie odgrywały większej roli. Całe zwiększenie przywozu ubrań, obuwia i bielizny, będące wynikiem ulg celnych przezemie zaprowadzonych w 1924 r., dało w ciągu swego istnienia aż do ich skasowania przewyżkę w imporcie ponad rok poprzedni wyrażającą się w sumie zaledwie 20 milionów złotych. — Czyż taka suma mogła poważnie zaważyć na szali losów naszej reformy? A tymczasem w sprawozdaniu Banku Polskiego za rok 1925 znajdujemy przedstawiony zarzut, że liberalizm celny rządu w 1924 r. doprowadził do spadku kursu złotego. — Zarzut ten bezkrytycznie został przez innych powtarzany. Jest on zupełnie bezpodstawny.

Polityka celna rządu 1924 r. nie była polityką zbyt liberalną. To, że nie lekceważyła ona sprawy potaniania środków życia robotniczego i że dążyła tą drogą do obniżenia kosztów

produkcji oraz do powiększenia naszej zdolności eksportowej, dowodzi, że była to polityka zdrowa i słuszna, a zmiany, które w niej następnie zaszły, nie były naprawą początkowych błędów, a tylko wynikiem smutnej konieczności, którą okoliczności wywołały.

W każdym programie gospodarczym, obok interesów rolnictwa i przemysłu, odgrywa dobitną rolę utrzymanie stałości waluty. Co do tej części mego programu, zarzuty, jakie później zostały sformułowane, zawierały w sobie znaczne sprzeczności, gdy bowiem jedni twierdzili, że w roku 1924 zbyt jednostronnie zapatrzony byłem w sprawy walutowe, i że mało troszczyłem się o produkcję, oraz że zbyt późno nawróciłem z tej drogi jednostronnej jakoby mojej polityki, drudzy odwrotnie zarzucali mnie, że za mało widać troszczyłem się o samą walutę, gdyż do zbyt ujemnego bilansu handlowego, a więc i do wyczerpania zapasu walut w Banku Polskim dopuściłem.

Niesłuszność pierwszego zarzutu wykazałem w poprzednim rozdziale. Dla oświetlenia drugiego zarzutu rozpatrzę jakie środki dla podtrzymania nowej waluty były przedsięwzięte.

Już przy omawianiu programu gospodarczo przemysłowego zaznaczyłem, że w taryfie celnej, jaką wydałem na mocy pełnomocnictw, uległy znacznejwyżce cła na towary kolonjalne. Dokonano to było na moje wyraźne polecenie. Tą drogą chciałem zabezpieczyć dochody Skarbu z jednej strony, ale i aktywność bilansu handlowego z drugiej. Prócz na towary kolonjalne, cła zostały podniesione na przedmioty zbytku, oraz na automobile, a jednak w 1924 r. i w pierwszej połowie 1925 r. powiększył się znacznie import zarówno automobili, jak i perfum, pomarańcz i delikatesów.

Dużo o tem było pisane następnie, że winą rządu było, że do tak dużego importu dopuścił. Istotnie list towarów zakazanych w 1924 r. nie mieliśmy, bo polityka takich list była już przed 1924 r. powszechnie potępiona, jako prowadząca do nadużyć i nie dająca dobrych skutków. Ale podnieśliśmy w roku 1924 cła. Okazało się to niewystarczającym z dwóch powodów. Raz dlatego, że te podwyżki były nie dość jeszcze wysokie i dopiero je w maju 1925 r. znacznie wyżej jeszcze podnieśliśmy, gdy się okazało, że niezdrowy pęd naszego społeczeństwa do nabywania przeważnie przedmiotów zagranicznych nie da się bez takiej podwyżki opanować. Drugą przyczyną tego, że podwyżki celne z 1924 r. nie zatamowały importu zbędnego, były to nasze umowy handlowe, do zawierania których systematycznie od paru lat robiliśmy nieustanne przygotowania.

Nasze sfery przemysłowe i handlowe zgodnie z ogólną opinią społeczną dopominały się od rządu, by przystępował do zawierania umów handlowych z szeregiem państw, które ze swej strony również tego pragnęły. Zawieraniu tych umów sprzyjało przede wszystkim ministerstwo spraw zagranicznych, które przywiązywało do tego duże znaczenie ze stanowiska konsolidacji naszej sytuacji międzynarodowej. Szczególne znaczenie przywiązywano powszechnie do umowy handlowej z Francją, wykazując, że jest ona wprost koniecznością państwową. Dla mnie w tej umowie widoczne były niebezpieczeństwa walutowe, gdyż wiadomo, że główny import z Francji do nas, to przedmioty zbędne. Nakazałem jak najdalej idącą ostrożność w rokowaniach. Śledziłem, za ich biegiem. Gdy zauważyłem, że zanoszą się na zbyt duże ulgi celne przy wwozie win i automobili, kazałem rokowania wstrzymać i wniosłem sprawę za Komitet Ekonomiczny Ministrów. Tutaj wykazywało mi, że ulgi które były porobione dla importu francuskiego, okupione zostały z korzyścią ulgami uzyskanymi dla naszego eksportu do Francji. Nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych i nasze poselstwo w Paryżu bardzo silnie podkreślały mniemane korzyści ekonomiczne tego naszego traktatu handlowego.

Rozumowaniom tym niedowierzałem i słusznie, ale mając wszystkich przeciwko sobie i widząc, że rokowania posunęły się bardzo już daleko, musiałem ustąpić.

W całej akcji obrony naszego bilansu płatniczego musiałem iść przebojem, wbrew ustalonej opinii ogółu. Najwyraźniej to się uwidoczniło w sprawie paszportów. Zaprowadziłem opłatę zasadniczą 500 złotych. Pierwsze otwarte wystąpienie Sejmu przeciwko mnie nastąpiło właśnie z powodu tego mego zarządzenia. Jest to znamienne. Miało to miejsce w lipcu 1924 roku. Poseł Byrka dnia 8 lipca wywodził: „Nie rozumiem... i nikt nie może uwierzyć, iż sanacja Skarbu może zostawać w związku z zamykaniem ludzi w kraju”. — Tak jest, ja to zrozumiałem jeden i to od samego początku, gdy zabrałem się do reformy walutowej, ale miałem cały Sejm w tej sprawie przeciwko sobie. Widziałem szaloną

lekkomyślność ogółu, która musiała okazać się zgubną. Sejm w lipcu 1924 r. wbrew memu stanowisku przeprowadził ustawę, wprowadzającą normy 20 i 25 złotych dla całego szeregu paszportów i tylko wobec groźby mojej dymysji zgodził się pozostawić furtkę, z której mogłem skorzystać, by utrzymać opłatę 500 złotych dla niektórych kategorii paszportów, poza licznymi wyjątkami dającymi prawo do ulg przez Sejm uczynionych.

Właściwie już powinienem był zrozumieć, że zadania, którego się podjąłem, nie będę mógł doprowadzić do końca, gdyż pomiędzy mną i Sejmem, nie było tej atmosfery, która była niezbędna, ażeby rzeczy wielkie i trudne, choć już zaprowadzone, mogły się ostać i utrzymać wobec piętrzących się trudności.

Troska moja o bilans płatniczy wyrażała się w r. 1924 nie tylko w tem, by podnieść cła na towary kolonialne i zbędne oraz utrudnić wyjazdy zagranicę, ale i w szeregu innych zarządzeń z zakresu polityki gospodarczej. Postawiłem na porządku dziennym głównie rozbudowę naszych uzdrowisk, która zatamowana była przez to, że dochody swoje musiały one oddawać do Skarbu, a na inwestycje musiały uzyskiwać osobne fundusze. Zdecydowałem, by na przyszłość oddać uzdrowiskom ich dochody dla wprowadzenia niezbędnych inwestycji. Robotą zawrzała na wielką skalę, głównie w Krynicy. Rozwój naszych uzdrowisk od 1924 r. poszedł szybko naprzód, odciągając naszych kuracjuszków od wyjazdów zagranicę.

W sprawie polityki nawozów sztucznych oraz buraczano-cukrowniczej kierowałem się zawsze względami na to, by Polska mogła podnosić swoją produkcję rolną przy pomocy nawozów sztucznych, płacąc za nie eksportem rolnym, oraz by mogła mieć wystarczającą ilość cukru na wywóz.

Zarówno organizacje rolnicze w sprawie nawozów sztucznych, jak i fabryki cukru w sprawie stosunków kredytowych stale potrzebowały poparcia rządowego. Zawsze mieli je z mej strony udzielane, bez trudności, pomimo różnych intryg przeciwko temu kierowanych.

Gdy cukrownictwo znalazło się w trudnych warunkach, przeforsowałem ustawę gwarantującą możliwość utrzymania możliwie największej ilości fabryk i plantacji. Potrzeba było w tym celu doprowadzić do zgody między dwoma obozami fabrykantów z jednej strony, a ogółem fabrykantów i plantatorów z drugiej strony. Wszystkie te kroki rządu miały zawsze na celu interesy produkcji krajowej i eksportu.

Wielkie znaczenie dla naszego eksportu, a również i dla wzmocnienia naszej produkcji krajowej przemysłowej miało to, że natychmiast, gdy tylko ustabilizowałem nową walutę, zaraz zrezygnowałem zupełnie z podatku węglowego, który poprzednio stanowił przeważnie źródło dochodów skarbowych. W tym samym duchu szło stale i coraz liczniejsze obniżanie podatku obrotowego przy eksporcie. W ten sposób cała polityka rządu w 1924 r. była wyraźnie skierowana ku wzmoczeniu eksportu oraz produkcji krajowej.

W imię również zabezpieczenia naszego bilansu płatniczego, zagrożonego przez ujemny bilans handlowy, rozpocząłem akcję zmierzającą do przygotowania gruntu dla pożyczek zagranicznych, co uwidoczniło się w 1925 roku.

Jeżeli niesłusznym jest zarzut, jakoby nie doceniał niebezpieczeństw jakie dla naszej waluty powstawały z ujemnego bilansu handlowego i płatniczego, zarówno jak niesłusznym jest zarzucanie mnie, jakoby nie doceniał w 1924 roku znaczenia rozwoju życia gospodarczego, to przyznać muszę dziś słusność tym zarzutom, jakie w 1926 r. zostały sformułowane przez prof. Taylora przeciwko polityce kredytowej Banku Polskiego i Rządu z 1924 r. Żałować bardzo należy że profesor Taylor sformułował swój pogląd dopiero w 1926 r. Pogląd jego zasadza się na tem, że polityka kredytowa, polegająca na tem, by zasilać nieustannie wzrastającymi z miesiąca na miesiąc kredytami życie gospodarcze, nie była zdrową. Kredyty te nie mogły być płynnymi.

Istotnie w ciągu całego pierwszego półrocza 1924 r. ilość znaków obiegowych rosła nieustannie. Podczas gdy na 31 grudnia 1923 wynosiła ona w markach 102,8 milionów złotych, doszła ona na 27 kwietnia do 317 milionów, a na 30 czerwca do 489,6 milionów złotych. Prawie pięciokrotny wzrost w ciągu 6 miesięcy był bardzo szybki i z oddalenia sądząc można uważać, że był za szybki. Ale w owym czasie i w ciągu całego 1924 r. nie było w Polsce ani jednego człowieka, który by twierdził, że mieliśmy za dużo znaków obiegowych. Przeciwnie wszyscy twierdzili, że mamy ich znacznie za mało. Istotnie, porównywując nasze środki obiegowe z temi, jakie były w innych państwach, lub jakie

były na naszych ziemiach przed wojną, widocznym było że mieliśmy znaczny ich brak w 1924 roku. Opinia publiczna widziała w założeniu Banku Polskiego jeden ze środków zwiększenia tych środków. Kredyty Banku Polskiego miały uzdrowić stosunki gospodarcze, ożywić przemysł, podnieść eksport. Z oddalenia sądząc łatwo jest dziś twierdzić, że kredyty te rosły nadmiernie szybko i że w znacznej mierze sprzyjać one musiały zgubnemu faworyzowaniu importu i zwiększaniu deficytów bilansu handlowego. Wynikało stąd duże niebezpieczeństwo dla naszej waluty, które się w 1925 r. uwidoczniło. Podczas gdy dnia 28 kwietnia przy założeniu Banku Polskiego kredyty dochodziły do 110,7 milionów, doszły one dnia 31 sierpnia do 199,7 milionów, a 31 października 245 milionów. W ciągu pół roku kredyty te zwiększyły się $2\frac{1}{4}$ razy. Że te kredyty nie szły na pożytek produkcji, a konsumpcji, widać z tego, że w tym półrocznym okresie eksport nie rósł wcale, tylko się zmniejszał, gdyż spadł z 121 milionów złotych na 109 w październiku, podczas gdy w tym samym czasie import powiększył się z 141 milj. na 152,2.

W ten sposób Bank Polski od samego początku wziął zbyt szybkie tempo wzrostu udzielanych kredytów i emisji banknotów. W owym czasie w ciągu całego 1924 r. rząd nie tylko nie zwiększał, ale zmniejszał ilość bilonu i biletów skarbowych znajdujących się w obiegu. Gdy ilość ta wyrażała się w 30 czerwca 155 milionami złotych, spadła ona na 30 września do 131,719 a na 31 grudnia do 124,9 milionów. Rząd z miesiąca na miesiąc wycofywał w 1924 r. bilety zdawkowe najpierw markowe, później złotowe. Z końcem 1924 spora ilość tych biletów stanowiła rezerwy kasowe. Jednocześnie Bank Polski powiększał znacznie swoją emisję, którą z 334,4 na 30 czerwca doprowadził do 550,9 miliona.

Politykę Banku Polskiego z 1924 r. prof. Taylor nazwał inflacyjną. Ale Bank Polski postępował w myśl ustawy, oraz zgodnie z całą uświadomioną opinią społeczeństwa i rządu. Głównym celem polityki kredytowej po zaprowadzeniu reformy musiało być doprowadzenie do potaniaenia kredytu. Czyż możliwym było myśleć o takim potanianiu, gdyby Bank Polski powstrzymywał się od powiększania udzielanego kredytu. Wszyscy byli przekonani, że jedynym sposobem potaniaenia kredytu jest to otwieranie coraz szerszych źródeł uzyskiwania go. Pogląd ten nie był całkowicie słusznym, gdyż przy silnie wzrastającym z miesiąca na miesiąc zapotrzebowaniu kredytowym, potanianie kredytu nie następowało pomimo tego, że rosły kredyty nie tylko w Banku Polskim, ale i w Banku Gospodarstwa Krajowego oraz Banku Rolnym. Prócz tego rosły kredyty, na jakie zadłużały się nasze banki oraz nasz przemysł i handel zagranicą. Skutkiem tego na razie deficyt bilansu handlowego nie wydawał się groźnym.

W przemówieniu jakie wygłosiłem na otwarciu Banku Polskiego dnia 28 kwietnia 1924 r. rozwinąłem myśl, że pieniądź nie tworzy bogactwa, bo bogactwo tworzy tylko praca ludzka. Ostrzegałem przeto społeczeństwo, by nie szukało w powołaniu do życia Banku Polskiego źródła do wzbogacenia się, gdyż nowy pieniądź złoty może być tylko lepszym miernikiem wartości od dawnej marki, ale nie może stanowić nowego bogactwa krajowego. Myśl moja nie była wcale zrozumianą. Opinia powszechna żądała od Banku Polskiego wciąż wzrastających kredytów, choć praca społeczeństwa nowych bogactw nie tworzyła. Ja zaś z mej strony nie rozwinąłem żadnej systematycznej opieki nad działalnością Banku Polskiego, całkowicie zawierając, że potrafi on znaleźć najwłaściwsze drogi postępowania, by utrzymać nowy pieniądź złoty, który mu został powierzony, na stałym i równym gruncie.

Wielką trudność dla Banku Polskiego i dla rządu stanowiło zagadnienie, jak poprowadzić politykę w stosunku do banków prywatnych. W czasie inflacji fundusze własne banków albo znikły zupełnie przez dewaluację, albo zostały ulokowane w nieruchomościach. Wkłady w bankach były też bardzo małe. Ale za to placówek bankowych namnożyła się ilość niezmierną. Banki ratowały swoją egzystencję tem, że brały wysokie procenty od udzielanych kredytów, a płaciły bardzo małe od wkładów. Takie postępowanie sprzyjało rozwieleniu się lichwy prywatnej. W interesie publicznym leżało, by zaraz po zaprowadzeniu reformy walutowej większa ilość banków uległa likwidacji. Ale banki przyjęły dość żywy udział w powołaniu do życia Banku Polskiego, więc liczyły na jego poparcie. Również do rządu zwracały się banki by umożliwić im egzystencję. Uważając, że upadek zupełny wielu banków mógłby zaostriżyć kryzys, którego rząd pragnął uniknąć, zalecał rząd słabo stojącym bankom sfuzjonowanie się, by tą drogą dojść

do sanacji bez wstrząśnień. Droga ta zastosowana w kilku wypadkach nie dała dobrych rezultatów.

Ze stanowiska ogólnych celów polityki kredytowej rzeczą pierwszej wagi było potanień kredytu. W tym celu służyły dwie drogi, jedna to zwiększanie ilości przyznawanych tańszych kredytów rządowych, druga droga to obniżanie norm prawnych dla kredytów bankowych. Obydwa te środki nie były w stanie oddziaływać zbyt dodatnio na wytworzony stan rzeczy. Zwiększenie tańszych kredytów rządowych czy bankowych groziło wytworzeniem inflacji kredytowej, która jest czynnikiem wzrostu drożyzny. Takie zresztą tańsze kredyty nie były dla producentów zbyt tanimi, gdyż banki pośredniczące zarabiałały nadzwyczaj wysokie stawki prowizyjne. Drugi możliwy środek: ograniczenie prawne pobieranych procentów groziło tem, że banki omijałyby normy prawne, nie czując się w stanie do nich zastosować. Rząd mógł być jednak w 1924 zaprowadzić politykę twardszej ręki w stosunku do banków i, gdyby skutkiem tego nastąpiły w owym czasie przymusowe likwidacje wielu placówek, nie byłoby w tem nic zbyt niebezpiecznego, a sprowadziłoby szybszą sanację z gruntu niezdrowych stosunków.

Jeżeli rząd w stosunku do banków okazał się w 1924 i 25 r. liberalnym, objaśnia się to atmosferą reakcji przeciwko etatyzmowi i nawrotu do uznawania konieczności opierania się w sprawach ogólnie finansowych na miarodajnych czynnikach życia gospodarczego. Pod wpływem tej atmosfery powołaliśmy do życia Bank Emisyjny prywatny z bardzo małą ingerencją rządu, pod wpływem tego samego czynnika rząd ograniczył swoje oddziaływanie na banki prywatne jedynie do nadzoru praworządności ich postępowania, wyrzekając się wszelkiej linii naginania ich z góry do stawianych postulatów naszej polityki finansowej.

ROZDZIAŁ X

Waloryzacja zobowiązań

Osobne miejsce w mojej polityce w 1924 roku należy dać waloryzacji zobowiązań. Wspomniałem na początku, mówiąc o pierwszym moim ministerstwie z 1920 r., że zająłem stanowisko nieprzychylnie do objawu spłaty zobowiązań po relacji nominalnej. Uważałem, że moratorium należało się wierzycielom dla przyjmowania spłat, oraz że procenty i spłaty powinny być oparte na współczynniku wartości obiektów, na których transakcje między wierzycielami i dłużnikami były oparte. Pogląd ten wykazałem w całej pełni w 1923 r. za drugiego mego ministerstwa. Poruszyłem i postawiłem wtedy na warsztacie sprawę waloryzacji zobowiązań. Leżało to wtedy całkowicie po linii interesów wierzycieli. Dłużnicy bali się waloryzacji i myśleli, że jej unikną. Uprzedzałem ich i wskazywałem na konieczność odpowiednich układów dobrowolnych. Jednocześnie wystąpiłem z tem, by zabezpieczyć Skarb we wszelkich wypadkach, w których był on wierzycielem.

Przystępując do reformy walutowej, zażądałem pełnomocnictw dla przeprowadzenia waloryzacji, bo wiedziałem, że Sejm nigdy by tej sprawy nie załatwił. Już wówczas uprzedzono mnie, że podejmuję się rzeczy tak niewdzięcznej, że nie warto było brać jej na barki rządu. Wspominano, że gdy Austria po wojnach napoleońskich przeprowadziła ustawową waloryzację, nikogo to nie zadowolniło i przeciwko rządowi zwróciło się niezadowolone jednych i drugich. — Uważałem jednak, że sprawy nie wolno zostawiać nierozstrzygniętej. Przecież złoty miał być równym milionom marek. — Czyż można było zostawić nierozwiązane zagadnienie, czy wolno będzie zobowiązania zaciągane w setkach tysięcy marek przedwojennych, rubli, lub koron płacić groszami. A przecież bez ustawy o waloryzacji taki musiałby być wynik, że o wyższą waloryzację niż ta, która wypływała z zamiany marek na złote, każdy by się musiał upominać sądownie.

Podjąłem zatem sprawę waloryzacji zobowiązań ze względu na ochronę interesów wierzycieli, ale oczywiście rozumiałem, że między ich interesami a interesami dłużników państwo musi doprowadzić do rozsądnego i godziwego kompromisu. Ażeby do tego doszło uprosiłem prof. Zolla z Krakowa, by podjął się trudnej misji zbadania poglądów tych dwóch stron w osobie licznych reprezentantów jednych i drugich i opracował odpowiedni projekt.

Gdy Komisja prof. Zolla przystąpiła do pracy, zaraz ujawniły się dwie koncepcje: jedna by ustalić normy kompromisu i ustanowić spłaty po paru latach, druga, by przyjąć jako zasadę normę pełnej relacji w złocie i dać dla spłaty bardzo długie moratorium. Za tą drugą koncepcją wyrażało się nie wiele tylko osób. Przeważało zdanie, by sprawy nie odwlekać ad infinitum, gdyż wtedy żaden nowy kredyt nie byłby możliwym, hypoteki byłyby zamazane, a wierzyciele i tak by nic nie mieli. Znaczna przeto większość opinii zarówno ekonomistów jak i prawników była za normami kompromisowymi.

Komisja składała się przeważnie z prawników, a opinie sfer zainteresowanych badała za pomocą osobnych zebrań o szerszym składzie. Praca komisji była bardzo sumienna i poważna. — Prof. Zoll włożył w nią duże bardzo oddanie się sprawie publicznej i wykazał dużo talentu w sposobie ujmowania i formułowania zagadnień.

Rozporządzenie o waloryzacji zobowiązań, jest poważnym dziełem prawniczym i to samodzielnie w Polsce wypracowanym. Ustawa niemiecka ukazała się później od naszej i na polskiej twórczości prawniczej wzorowaną była.

Jak było do przewidzenia „*lex Zoll*” wywołała duże niezadowolenie. W porównaniu z normami niemieckimi w naszej ustawie normy są dużo więcej szczegółowe, bo idące od 5% do 50% a właściwie do 100%. Przytem w naszej ustawie normy idą w swojej rozciągłości dalej od ustawy niemieckiej w kierunku właśnie więcej dla wierzycieli korzystnym. To, że normy w naszej ustawie idą na ogół wysoko, stało się to na skutek wyraźnych moich nalegań. Gdyby nie takie moje naleganie, zapewne nasza ustawa nie przekroczyłaby normy 25%. Zdaniem moim norma 5% od których zaczyna się nasza waloryzacja jest za niska. Ale na to nie mogłem oddziaływać, gdyż te 5% jako najniższa stawka miały swoich gorących obrońców. Każdy szczegół ustawy był bardzo dokładnie badany i sumiennie obmyślany.

Na razie, po wyjściu „*lex Zoll*”, wierzyciele nie byli niezadowoleni, gdyż otrzymali znacznie więcej niż mieli poprzednio. Ale potem zaczął się skup wierzycieli i listów zastawnych i utworzyła się grupa spekulantów, którzy rozpoczęli szaloną kampanję w kraju przeciwko „*lex Zoll*” w imię zasady pełnej waloryzacji.

Jeżeli się uwzględni, że w żadnym kraju nie ma i nie było nic podobnego, że w Niemczech waloryzacja jest na 15%, że w Belgii po reformie jasnym się stało, że waloryzacja wynosi 16%, bo na nowy pieniądz idzie 6 dawnych jednostek, że waloryzacja Francji i Włosech też nie przekracza 20%, a Czech 15%, — to okaże się, że w Polsce waloryzacja o ile przekracza 25% nie może być uważana za zbyt niską, oczywiście, gdy uwzględnimy, że w 1924 roku złote były pełnowartościowe.

Ci, którzy występują przeciwko „*lex Zoll*” operują szeregiem argumentów, którą część opinii publicznej przyjęła za dobrą monetę, a mianowicie, że dlatego nie może się rozwinąć u nas kredyt hipoteczny, bo wierzyciele zostali skrzywdzeni. Jest to fałsz tak wyraźny, że dziwić się należy tym, którzy w to wierzą. Kredyt długoterminowy dlatego nie może się rozwinąć, że jest mało kapitałów ruchomych i że te, które są, wymagają ogromnie wysokiego oprocentowania. — Tego kto dziś ma pieniądze, nic a nic nie odstrasza od dawania na hipotekę pieniędzy, jeżeli znajdzie kogoś, kto da mu wysoki procent i zahypotekuje sumę w dolarach lub w złotych w złocie.

W sprawie waloryzacji dużo osób krytykuje *lex Zoll*. Ale nikt nie chce się podjąć rewizji tej ustawy i nikt zapewne nie potrafiłby zredagować coś lepszego, coś bardziej przejętego duchem rozumnego i koniecznego kompromisu. — Jest ona wyrazem poważnego ducha prawniczego. — Napaści na nią — to gra spekulacyjna, próbująca występować pod płaszczykiem zasad moralnych, czy politycznych. — Są takie czynniki życia politycznego, które nie wiedzą jak tę grę traktować i gotowe ją brać na serio. Ale nie wiedzą, jak się do tego zabrać. A tymczasem nikt na tem dobrze nie wychodzi, gdy istnieje niepewność co do tego, czego się trzymać należy.

Gdy ustąpiłem, przeciwnikom *lex Zoll* zdawało się, że nastął moment obalenia samej ustawy. Od tego czasu zmieniło się kilku ministrów Skarbu, a *lex Zoll* została nienaruszoną. Najlepszy to dowód, że była to ustawa o poważnych zasadach prawnych.

ROZDZIAŁ XI

Ponieważ podejmowałem się rządów w celu przeprowadzenia reformy walutowej, więc z chwilą, gdy ją przeprowadziłem, należało po skończeniu tego terminu pierwszych pełnomocnictw odejść i pozostawić Sejmowi troskę o dalsze sprawowanie rządów.

Sejm nie był rad z tego, że reformę walutową przeprowadził rząd pozaparlamentarny. Ale Sejm obalać rząd mego nie chciał, bo nikt w Sejmie nie widział sposobu, jak można by powołać do życia rząd parlamentarny. To co się stało możliwym w końcu 1925 r. t. j. połączenie części prawicy z socjalistami, które wtedy nastąpiło, stało się wynikiem moich długich w tej sprawie zabiegów, godzących te sprzeczności. Ale w roku 1924 coś podobnego było nie do pomyslenia. Sejm nie chciał brać władzy w swoje ręce, ale nie chciał również pozwolić, by rząd pozaparlamentarny umocnił swoją władzę.

Zdawałem sobie z tego sprawę i, jeżeli nie zdobyłem się na rezygnację już w połowie 1924 roku, uczyniłem to dlatego, że w ciągu całego życia mojego uważałem pełnienie obowiązków publicznych nie jako pole popisu, ale jako funkcję życia, którą się wypełnia zgodnie z poczuciem obowiązku. Skoro Sejm brać władzy nie chciał i obalać mnie również nie chciał, nie mogłem się podawać do dymisji, gdyż byłoby to niespełnieniem swego obowiązku.

Mogłem natomiast uczynić co innego: sprecyzować tak swoje warunki, by na podobieństwo pierwszych pełnomocnictw mogły posłużyć drugie do dokonania dalszych poważnych postępów w dziedzinie sanacji naszego życia gospodarczego.

Gdybym był jednak takie pełnomocnictwa sprecyzował, było by to z mej strony wyraźną prowokacją pod adresem Sejmu, a przecież rok 1926 wykazał dowodnie, że Sejm nawet sponiewierany i rządzony pod terrorem nie jest gotów poddawać się na tyle, by podpisywać pełnomocnictwa z zamkniętymi oczami.

Wielu osobom się zdawało, że gdybym po przeprowadzeniu reformy walutowej, zażądał od Sejmu pełnomocnictw w dziedzinie ustawodawstwa socjalnego, byłbym je otrzymał, a wtedy mógłbym, w ich mniemaniu, uratować produkcję a zatem i walutę. Jest to trochę romantyczne ujęcie zagadnienia. Niezależnie od tego, czy jądro sprawy leżało w ustawodawstwie socjalnym, o czym będę mówił później, należy uświadomić sobie, że nigdyby Sejm żadnemu rządowi takich pełnomocnictw wówczas nie dał. Jeżeli rządowi Marszałka Piłsudskiego po wypadkach majowych Sejm nie dał pełnomocnictw w sprawach podatkowych, szkolnych i innych, cóż dziwnego, że i mnie nie byłby dał wszystkiego, czego bym zażądał. — Zresztą los tak zwanych „drugich pełnomocnictw” w całej pełni wykazał, że rachować na Sejm już wtedy, pomimo, że dopiero dwa miesiące upłynęło od zaprowadzenia złotego, było dla mnie bardzo trudne.

Gdybym drugie pełnomocnictwa zredagował w sposób dla Sejmu prowokujący, gdybym zażądał tego, co było niemożliwością otrzymać, wtedy jasnym byłoby, że byłoby to z mej strony jedynie manewrem w celu podania się do dymisji i w celu usunięcia się od kierowania nawą państwową po spełnieniu swego głównego zadania, ale przed zmierzaniem się z głównymi trudnościami, jakie mnie czekać musiały.

Dla tego też postanowiłem wystąpić o pełnomocnictwa, ale takie, któreby mogły nie psuć mego stosunku do Sejmu, a pomogły jednak w dalszym sprawowaniu władzy ku pożytkowi państwa i kraju. — Wysunąłem przeto na czoło nie sprawy socjalne, a oszczędnościowe, żądając pełnomocnictw w zakresie redukcji urzędów i ograniczania wynagrodzeń w tych działach służby państwowej, w których powstały pewne uprzywilejowane stanowiska (gdzie urzędnicy mają zarobki z racji ich fachu, jak lekarze, weterynarze i architekci). — Pełnomocnictwa w sprawach socjalnych ograniczyłem do sprawy kasowania świąt, co było od dłuższego czasu debatowane w Sejmie, ale bez żadnej decyzji. Pozatem pełnomocnictwa zawierały szereg upoważnień w zakresie przeważnie kredytowym i administracyjnym, szczegółowo sprecyzowanych, dających w sumie swojej pole do pożytecznej pracy rządu w wielu dziedzinach.

Teren Sejmowy okazał się trudnym dla rządu. Choć pełnomocnictwa były zredagowane w sposób jasny, konkretny i na tyle szczegółowy, że nie dawały pola do posądzenia rządu o chęć stanięcia ponad Sejmem, były one jednak zwalczane. Najwięcej występowali przeciwko mnie socjaliści. Rozpoczęli oni wówczas opozycję przeciwko rządowi, obawiając się, by Rząd nie poszedł na zwiększenie dnia pracy. — Sprawa stała się aktualną, ze

względu na wprowadzenie 10 godzin pracy w hutach górnośląskich, o czym będziemy mówili jeszcze później.

Pomimo, że reforma walutowa była wielkim dobrodziejstwem dla całej rzeszy tych, którzy żyją z zarobków czy pracy fizycznej, czy umysłowej, gdyż ustalała wartość tych zarobków i to na poziomie wysokim, pomimo to socjaliści nie wahali się zająć stanowiska opozycyjnego z pierwszą chwilą, gdy widzieli niebezpieczeństwo dla ich programu socjalnego.

Działo się to w lipcu 1924 r. Ponieważ poprzednio piastowcy parokrotnie wyrażali swoje niezadowolenie z rządów, jeden z przewodców P. P. S. zwrócił się do jednego z głównych przedstawicieli piastowców (nie do Witosy) z propozycją, ażeby łącznym wysiłkiem obalić rządy Grabskiego, nie uchwalając mu pełnomocnictw. Reprezentant Piasta odpowiedział wówczas: „Nie, bo gdybyśmy teraz obalili Grabskiego, musielibyśmy się składać następnie na postawienie mu pomnika, a gdy poczekamy do następnej zimy, to sam upadnie.” Gdy przyszła ta następna zima leader Piasta przypomniał tę propozycję leaderowi P. P. S., ale ten ostatni odrzekł: „że teraz socjaliści obalać rządu Grabskiego nie myślą”.

Pełnomocnictwa drugie zostały przeto uchwalone, ale z trudem i z obcinkami. — Głównie skreślono cały szereg punktów dotyczących się oszczędności. Nie było ani jednego punktu oszczędnościowego, któryby skupił za sobą całą izbę, wiele zostało obalonych, tylko niektóre mniej ważne ocalały.

Do jakiego stopnia Sejm bał się dać rządowi pełnomocnictwa oszczędnościowe, choć często robił zarzuty, że rząd oszczędności nie przeprowadza, widać z tego, że w pierwszych pełnomocnictwach, jakie w styczniu otrzymałem, Sejm odrzucił jeden jedyny ich punkt dotyczący oszczędności drogą zmian i organizacji zakresu działania i postępowania władz i urzędów. Te właśnie zmiany mogły być i mogą i dziś jeszcze dać największe co do oszczędności rezultaty, ale tego właśnie Sejm zawsze się najwięcej obawiał. Ten sam Sejm, który w końcu 1925/26 dał nie jeden raz świadectwo temu, że żąda i wymaga oszczędności w budżecie, wziął na swoją odpowiedzialność w 1924 r. odmówienie rządowi lub wielkie skrócenie pełnomocnictw oszczędnościowych. — Pozwoliło mnie to powiedzieć w Sejmie 15 lipca. „Jest rzeczą Sejmu dać możliwość sprawdzenia, czy Sejm przyczyni się do robienia oszczędności. Im więcej Sejm wykreślił z pełnomocnictw punktów programu oszczędnościowego, tem mniejsze będzie pole i mniejsza będzie odpowiedzialność Rządu w jego następnej działalności.”

Wypowiadając taką opinię byłem w błędzie. Czem większą była wina Sejmu, że oszczędności okazały się nie wystarczającymi, czem silniej Sejm ukrócił program oszczędnościowy pełnomocnictw Rządu w lipcu 1924 r. i bardziej rozszerzył zakres wydatków budżetowych 1924 r. i 1925 r., czem więcej upominał się o wydatki poza budżetowe, — tem bardziej, w późniejszym biegu wypadków, gdy ujawniły się zgubne tego skutki, bezceremonjalnie zdjął z siebie całą za to odpowiedzialność i włożył ją na jednego człowieka — na mnie.

W połowie 1924 r. zblądziłem nie przez to, że się nie podałem do dymisji, dla ułatwienia sobie sytuacji, ale, że nie rozumiałem tego, że psychika ciała zbiorowego takiego jak Sejm jest przeniknięta atmosferą walki o własny autorytet do tego stopnia, że na istotną współpracę z rządem pozaparlamentarnym bez szczególnych okoliczności rachować nie można.

ROZDZIAŁ XII

Sprawy robotnicze i reforma rolna

Gdy obejmowałem władzę i gdy podejmowałem się przeprowadzenia reformy walutowej, z góry ustaliłem, że spraw socjalnych nie podejmuję się rozstrzygać w żadnym kierunku. Byłem zatem przygotowany na to, by przeprowadzić reformę walutową bez zmian w „zdobyczach socjalnych sfer robotniczych”, a co do reformy rolnej wypowiedziałem się wyraźnie w tym duchu, że należy ją odłożyć do czasu, aż okrzepnie reforma walutowa, która dla ludności włościańskiej jest sama w sobie nie mniejszem dobrodziejstwem od reformy rolnej, gdyż bez pierwszej jakakolwiek reforma rolna, jest nie do pomyslenia.

Takie moje stanowisko zasadnicze nie zostało należycie zrozumiane i poparte. Wprawdzie samą reformę walutową przeprowadziłem bez dopuszczenia do jakiegokolwiek naruszenia zdobyczy socjalnych pomimo, że w Niemczech nastąpiło bardzo silne powiększenie godzin pracy w wielu dziedzinach. Ale na wiosnę 1924 r. okazało się, że nasze huty Górnośląskie, zmuszone do wytrzymania konkurencji z niemieckimi, gdyż pracujące na tutejszy rynek, czuły się zmuszone żądać od rządu upoważnienia na czasowe zaprowadzenie 10 godzinnego dnia pracy pod grozą konieczności w przeciwnym razie zupełnego zaprzestania pracy.

Rząd wszedł w porozumienie z przedstawicielami partyj robotniczych, którzy zdawali się tolerować fakt, żeby rząd zgodził się na taki stan rzeczy. Ale tem nie mniej partje te wystąpiły w czasie debat czerwcowych w Sejmie z atakiem przeciwko rządowi, by zdemontrować swoją obronę zdobyczy socjalnych.

O ile łatwo było przeprowadzić reformę walutową bez naruszania zdobyczy socjalnych, o tyle utrzymać tę reformę na właściwym poziomie i przeprowadzić dalszą i niezbędną sanację życia gospodarczego było rzeczą niezmiernie trudną, przy tej skali tych zdobyczy, jaka u nas zapanowała. Wiadomo wszak, że Niemcy, zabierając się do sanacji, zaczęły od zawieszania tych zdobyczy i, gdy już sanację przeprowadziły, przywróciły ich moc z powrotem, choć nie w całej pełni.

Dla tego też uświadamiałem sobie w zupełności, że program gospodarczy, na czele którego stoi potaniecie produkcji, program który postawiłem i na który wszyscy niby się zgodzili, że program ten nie da się przeprowadzić, o ile w ważniejszych dziedzinach pracy nie zaczniemy więcej, a więc i dłużej pracować.

Gdy jednak wypłynęła sprawa 10 godzinnego dnia w hutnictwie na Górnym Śląsku okazało się, że mam większość Sejmu przeciwko sobie.

Widząc się zaatakowanym w sprawie 10 godzinnego dnia w hutach Górnośląskich, mimo tego, że po cichu wszyscy przyznawali, że to było konieczne, musiałem dojść do przekonania, że sprawa zmian w zdobyciach specjalnych jest terenem, na którym nie da się rządowi dokonać żadnych realnych zmian w imię głównego celu potanienia produkcji. Wprawdzie w Niemczech było inaczej, ale tam wybuchł w okresie sanacji wielki, olbrzymi wprost kryzys z milionami bezrobotnych.

Choć w lipcu i sierpniu 1924 r. ilość bezrobotnych u nas wzrosła i to dość znacznie, ale było to niczem w porównaniu z kryzysem niemieckim. Z drugiej strony stronnictwa robotnicze, podzielone na 3 odłamy, (nie licząc czwartego komunistów), a mianowicie Polską Partję Socjalistyczną, Narodową Partję Robotniczą i Chrześcijańską Demokrację, zachowywały się w ten sposób, że nie można było rachować na to, by zdobyły się one na głębsze wejrzenie w potrzeby kraju, i na uzgodnienie swego stanowiska. Te stronnictwa właściwie dbały głównie o to, by się nie skompromitować w oczach swoich wyznawców i by zwolennicy jednego z nich nie mogli zarzucać innym, że mniej dbają oni o masy robotnicze. Stąd płynęła właściwie tendencja stała do przelicytowywania się. Czynnikiem refleksji, czyli tak zwane opamiętanie się, nie miał wówczas do tych stronnictw dostępu, pomimo, że każde z nich składało się z ludzi poważnie i sumiennie myślących. Pojedynczo łatwo było się porozumieć, ale zbiorowo było to rzeczą niemożliwą. Doświadczyły tego samego i te rządy, które po mnie przyszły. W rządach tych reprezentowane były stronnictwa reprezentujące producentów, które stawiały mnie zarzuty, że zmian w ustawodawstwie socjalnem nie wprowadzałem, a same one, gdy doszły do władzy, zupełnie tego przedmiotu nawet nie dotykały.

Widząc, że w sprawie przedłużenia dnia pracy w celu potanienia produkcji nie da się narazie nic zrobić, a zdając sobie z tego doskonale sprawę, że dla tego drogo produkujemy, gdyż źle i za mało pracujemy, chciałem zacząć choćby od tego, by przynajmniej zmniejszyć w Polsce liczbę świąt. Przecież tyle o tem było zawsze mowy, że mamy zbyt dużo świąt! Mamy ich więcej niż na Zachodzie. Partje lewicowe świąt bronić nie mogły, bo to nie była „zdobycz socjalna”, partje prawicowe dopominały się by więcej pracować, była to więc sprawa, w której zdawało się mnie, że właśnie rząd najlepiej jest powołany do tego, by choć częściowo wzmóc naszą zdolność wytwórczą.

Zagadnienie, żeby więcej pracować i żeby taniej produkować, to nie jest przedmiot zadań rządu, a społeczeństwa. Rząd może tylko ubocznie wpłynąć na to, by społeczeństwo więcej pracowało.

Takim ubocznym wpływem rządu w kierunku programu większego wysiłku pracy dla potanienia produkcji było podjęcie się przezemnie i wprowadzenie do drugich pełnomocnictw sprawy zmniejszenia liczby świąt.

Punkt pełnomocnictw o tem zmniejszeniu świąt przeszedł gładko i rząd istotnie spełnił swoje zadanie, kasując obowiązki wstrzymania się od pracy w święta, w których to jest zbędnem ze stanowiska wyznania rzymsko katolickiego, podobnie jak to jest na Zachodzie.

Ale cóż z tego wynikło: ogół społeczeństwa nie zastosował się w najmniejszej mierze do rozporządzeń rządowych, a ponieważ rozporządzenie nie mogło nakazywać pracowania, tylko zwalniało od obowiązku świętowania, więc świętowanie zostało utrzymane jako zwyczaj w całej pełni. Mamy teraz ten dziwny objaw, że w pewne dni nie świętują urzędy, ale świętuje społeczeństwo. A co gorsza, gdy wśród ciemnych warstw ludności zaczęła się agitacja przeciwko kasowaniu obowiązku niepracowania w niektóre święta, Sejm stanął po stronie tej ciemnej agitacji i żadne stronnictwo nie miało odwagi cywilnej stanąć na gruncie, że przecież trzeba w Polsce więcej pracować, a mniej świętować i że musimy być nieco podobni do Zachodu, bo inaczej na świecie trudno będzie się nam utrzymać. Lewica i prawica połączyły się, by przywrócić ludowi święta, które rząd chciał odebrać. Była to demagogja najgorszego gatunku.

Demagogja ta wymierzona była przeciwko stanowisku Prezydenta Rzeczypospolitej. Stawiano nie ze strony posłów, ale ze strony agitatorów w szerokich warstwach ludu sprawę tak, że Prezydent skasował święta, a Sejm je przywrócił. Głosy takie dochodziły do osoby Prezydenta.

Ze wszystkich ustaw wydanych na mocy pełnomocnictw, Sejm nie znalazł prawie ani jednej do zmiany, prócz tej, która się tyczyła świąt.

Lex Zoll została nienaruszona i wiele innych, które krytykowano. Ale święta zostały przywrócone. Prócz świąt znowelizowano również jeszcze tylko jedno rozporządzenie, mianowicie o przerachowaniu pożyczek państwowych.

Sprawa świąt była jaskrawym wyrazem ogólnego niskiego poziomu poczucia odpowiedzialności naszych decydujących w Sejmie czynników życia politycznego.

Po atakach na rząd w sprawie 10 godzinnego dnia w hutach Górnego Śląska i po obronie niektórych świąt przez Sejm, a zupełnem zignorowaniu wszystkich rozporządzeń rządowych o świątach przez samo społeczeństwo, doszedłem do przekonania, że na potanienie produkcji drogą zwiększenia pracy u nas liczyć nie można i że w sprawie ustawodawstwa socjalnego jedynie można jeszcze stanąć na gruncie *status quo ante*.

O sprawę rolną potknął się w Sejmie rząd Witosa przy końcu 1923 roku. — Sprawy rolnej nie miałem zamiaru podejmować przed uporządkowaniem stosunków skarbowych. Zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że najważniejszą rzeczą dla włościan jest to zdobyć stałą walutę, za którą mogliby kupować grunty od większej własności. Rozumiałem również dobrze, że wobec progresji podatku gruntowego i dochodowego oraz wobec podatku majątkowego podaż ziemi na sprzedaż parcelacyjną, musi być nadzwyczaj silną i że ustawa o reformie rolnej na razie była zbędną.

Rachowałem na to, że zdrowy rozsądek nakaże stronnictwom sejmowym zdobyć się na zawieszenie broni w sprawie reformy rolnej. — Niestety pomyliłem się. Bo oto już w maju 1924 r. w Sejmie wpłynęły wnioski Piasta i Wyzwolenia o „przyśpieszenie wykonania reformy rolnej”. Pierwszy wniosek przeszedł głosami całego Sejmu, drugi większością 147 na 117. Za nagłością wniosku Wyzwolenia, domagającego się radykalnego rozwiązania sprawy rolnej, głosowali również posłowie Piasta.

Najpierw wobec tych rywalizacji partyjnych zająłem stanowisko wyczekujące. Uważałem tę rywalizację za grę i to fałszywą, nie widziałem w niej nic głębokiego, nie widziałem wiary w świętość i wielkość podejmowanej sprawy i dla tego sumienie nakazywało mnie zachowywać się biernie. Atoli za tę moją bierność spotkała mnie krytyka ze strony zgola nieoczekiwanej. Poseł Głębiński w dyskusji budżetowej w Sejmie dnia 11 czerwca wystąpił z krytyką tej bierności mojej, dopominając się, by „rząd wystąpił z własnym

projektem reformy”. Ku memu zdumieniu Głębiński dowodził, że „reforma rolna nie może być odwlekana”, „musi być załatwiona”. Jakże dziwnie brzmią dziś te słowa, gdy się uprzytomni, że rządy Piłsudskiego i Bartla głoszą, że reforma rolna, to nie jest sprawa aktualna poza parcelacją dobrowolną i komasacją.

Ta moja zasadnicza tendencja, by po przeprowadzeniu reformy walutowej iść na uzgodnienie swego stanowiska z Sejmem, a nie szukać starcia, skłoniła mnie do tego, by przyspieszyć wniesienie przez ministra Ludkiewicza ustawy o reformie rolnej. Ustawa zbliżona była do tej, która w 1923 roku była przez rząd Witosza wniesiona i przez Sejm rozpatrywana.

Takie postawienie sprawy dawało możliwość Sejmowi kontynuowania rozpraw nad reformą rolną już w 1923 r. rozpoczętych. Rząd w ten sposób zajmował stanowisko realne i obiektywne.

Ale to właśnie nie spodobało się stronnictwom Sejmowym. Projekt Ludkiewicza był zwalczany przez Wyzwolenie dlatego, że był zanadto podobny do dawnego projektu w rządzie Witosza, a przez Piastowców dlatego, że nie był identycznie tym samym projektem. Z tej sytuacji nie miałem innego wyjścia, jak wycofać ministra Ludkiewicza z gabinetu. Na jego następcę wybrałem Kopczyńskiego, z którym omówiłem naprzód główne zasady reformy rolnej, uzgadniając to, że ma się ona opierać przeważnie na dobrowolnej parcelacji, a jednocześnie delegacja prezydium Wyzwolenia zapewniała mnie, że kandydat ten cieszy się zaufaniem w Klubie. Zdawało się mnie przeto, że przez tę nominację umożliwię realny sposób odnoszenia się Sejmu do sprawy reformy rolnej. Realny ten stosunek wymagał przedewszystkiem tego, by się z przeprowadzeniem ustawy nie spieszyć. Minister Kopczyński stał również na tym gruncie. Ale stronnictwa Sejmowe w dalszym ciągu niecierpliwiły się i żądały ustawy rządowej. Stwierdziłem, że nie mogę uniknąć tego, żeby w danej sprawie się nie wypowiedzieć i nie zająć własnego stanowiska, co też następnie uczyniłem.

Sprawa rolna w 1924 roku musiała ustąpić pierwszeństwa sprawie sanacji skarbu i waluty, ale w 1925 r. wypłynęła ona na jedno z miejsc naczelnych wśród trosk państwowych Rządu i Sejmu.

ROZDZIAŁ XIII

Pierwszy kryzys po reformie. Wpływ nieurodzaju

Jakkolwiek maj i czerwiec wyraźnie wykazały, że reforma walutowa się udała i stała się czynnikiem dobroczynnym, bo drożyzna malała, a bezrobocie nie rosło, ale już lipiec przyniósł złowrogi zwrot w stosunkach.

Czem można taki złowrogi zwrot objaśnić w trzecim miesiącu po zaprowadzeniu reformy walutowej, a w szóstym po uzdrowieniu skarbu, licząc że to uzdrowienie już w lutym nastąpiło?

Było by nierozumnem upatrywać innej tego przyczyny jak tej właśnie, która w lipcu zaczęła ujawniać swój wpływ. Rozpoczął się dla Polski rok wielkiego, dawno nie pamiętanego nieurodzaju.

Ze na pogorszenie się naszej sytuacji ogólnej, które rozpoczęło się w lipcu 1924 r., a skończyło się spadkiem złotego w lipcu 1925 r., wpływał przedewszystkiem nieurodzaj, wskazują na to cyfry same.

Jeżeli wskaźnik cen hurtowych i kosztów utrzymania wzrastał od lipca do końca 1924 r. nieustannie, to w tym objawie szczególną rolę odgrywał wzrost cen produktów spożywczych, zbożowych i zwierzęcych. Wskaźnik cen żywności roślinnej podniósł się z czerwca do grudnia 1924 r. z 84,1 do 134,7, a żywności zwierzęcej z 113 na 181,7. Jest to wzrost o 60%, podczas gdy ogólny wskaźnik wzrósł zaledwie o 18%. Jeżeli zaś wyeliminujemy z ogólnego wskaźnika ceny żywności roślinnej i zwierzęcej, to wzrost wskaźnika innych towarów okaże się równym zaledwie 8%. Z tego wynika jasno, że głównym promotorem drożyzny w drugiej połowie 1924 r. był to nieurodzaj. Gdybyśmy w 1924 i 1925 r. nieurodzaju nie mieli, nie było by wcale wzrostu drożyzny ogólnej jaki nastąpił. Czy by zaś wtedy nastąpiły inne objawy kryzysu, jakie się ujawniły, o tem później będziemy mówili.

Z czynnikiem nieurodzaju będziemy mieli wciąż do czynienia w następnym przebiegu zdarzeń. Z mej strony nie było nigdy niedoceniaenia tego czynnika, a często spierano się o to zemną, że za dużą rolę nieurodzajowi przypisuję. Tymczasem to, że nie wyciągnęliśmy należytych wniosków z nieurodzaju, to zbyt często stawało na przeszkodzie pozytywnemu biegowi rzeczy. Gdy szło o to, by stawiać żądania i wymagania od rządu w zakresie ulg podatkowych, środków pomocy i kredytów, przedstawiano, że nieurodzaj był katastrofalny. Gdy zaś tłumaczyłem, że skutkiem nieurodzaju nie mam możliwości czynienia zadość wszystkim wymaganiom i żądaniom, i gdy żądałem ograniczeń paszportowych oraz innych, zarzucano mnie, że rozmiar nieurodzaju przesadzam.

Nawet w ostatnich czasach w ostatnim zeszycie Ruchu Prawniczego i Ekonomicznego z 1926 roku, Prof. Krzyżanowski dowodził, że nieurodzaj 1924/25 nie był tak wielki, jak to było zwykle przedstawiane. Podkreśla on bowiem, że nieurodzaj zbóż wyrażał się wprawdzie cyfrą 30% niedoboru produkcji, ale urodzaj pasz i okopowych, a również i produkcji zwierzęcej był dobry, więc zdaniem jego nieurodzaj wyrażać się mógł najwyżej w ogólnym zmniejszeniu produkcji o 10%. Gdyby to było prawdą, okazałoby się, że zostałem okrutnie oszukany przez rolników, udzielając im znacznych ulg podatkowych, właśnie ze względu na wyjątkowy nieurodzaj, o którym rolnicy sami mówili, że był tak wielki, jakiego nikt nie pamiętał. Niedobór 10%, to stan zupełnie znośny. Ale prof. Krzyżanowski zdaje się być w błędzie uważając, że urodzaj pasz i okopowych mógł znaczenie niedoboru 30% zbóż, zredukować do 10% ogólnego niedoboru. Przedewszystkiem niedobór głównych zbóż, to jest pszenicy i żyta, był znacznie większy niż 30%, gdyż w stosunku do przeciętnych zbiorów 1909–1913, niedobór pszenicy w 1924 roku wynosił 47%, a dla żyta 36,5%, a co do urodzaju kartofli to był on zaledwo o 8% wyższy od przeciętnego. Wydajność zaś produkcji zwierzęcej, zależy bynajmniej nie tylko od urodzaju kartofli, koniczyny i traw, ale również w znacznej mierze i od urodzaju zbóż. Obliczenie znacznego nieurodzaju 1924 r., wyprowadzone przez prof. Krzyżanowskiego na 10%, jest zupełną fantazją, podyktowaną tendencją do lekceważenia znaczenia czynnika, jakim był wielki nieurodzaj 1924 roku.

Pod wpływem nieurodzaju wzrastać zaczęła od lipca 1924 r. drożyzna. Ujawniło się to w podniesieniu się wskaźnika cen hurtowych, a również i kosztów utrzymania. Jednocześnie zaczęła rosnąć liczba bezrobotnych, która skoczyła z 98 tysięcy w czerwcu, na 138 tysięcy w lipcu i doszła do 165 tysięcy we wrześniu, poczem dopiero zaczęła nieco spadać.

Bilans handlowy ujemny, poczynając od marca, nieco się w lipcu, sierpniu i wrześniu poprawił, gdyż rynek krajowy pokrywany był zbożem krajowym, którego część nawet szła za granicę. W październiku deficyt bilansu handlowego wzrósł groźnie.

Ale nie tylko nieurodzaj był tym czynnikiem konjunktury zewnętrznej, niezależnym od woli ludzkiej, który spowodował szereg fatalnych dla nas skutków w ciągu całego okresu, który nastąpił po zaprowadzeniu u nas reformy walutowej. Nieurodzaj wywołał dwa objawy klęskowe: wzrost drożyzny oraz ujemny bilans handlowy. Otóż na ten ostatni, prócz nieurodzaju, wpłynęło jeszcze to, że na trzy główne nasze produkty wywozowe, węgiel, drzewo i cukier nastąpiła na rynkach zagranicznych w roku gospodarczym 1924/25 niżka cen taka, że wielka ilość wywożonych tych produktów dawała znacznie mniejsze sumy w bilansie wartości wywozu, niżby to miało miejsce przy sprzyjającej konjunkturze rynkowej, jaka miała miejsce przed tem i jaka nastąpiła częściowo później.

Ci, którzy ujemny nasz bilans handlowy w roku 1924/25 kładą na karb jedynie stosunków celnych i walutowych, niedoceniają znaczenia tych naturalnych, wyjątkowo niesprzyjających nam w owym okresie, warunków.

Wprawdzie depresja cen wyżej wymienionych trzech towarów trwała prawie cały następny rok 1925/26, ale też to było również przyczyną trudności tego następnego najbliższego okresu czasu. Gdy zaś w 1926 roku podniosły się ceny węgla na rynkach międzynarodowych skutkiem strajku angielskiego, stało się to czynnikiem decydującym dla poprawy naszej sytuacji walutowej opartej na eksporcie. Ceny drzewa poprawiły się w końcu 1926 roku, a cukru na początku 1927. Lata 1924 i 1925 miały wyjątkowo złe ceny na wszystkie te produkty.

Poza nieurodzajem i złą konjunkturą zagraniczną, na kryzys, który się rozpoczął w lipcu 1924 roku, a trwa właściwie do dnia dzisiejszego, wywarł swój wpływ również i ogólny

ny czynnik nieuniknionego przesilenia, przez które przejść musi każdy kraj z chwilą, gdy z hyperinflacji czy inflacji decyduje się wstąpić w erę gospodarki opartej na stałej walucie.

Już w czasie debaty budżetowej w czerwcu 1924 r. mówił poseł Wierzbicki: „Uniknąc przesilenia gospodarczego Polska nie jest w stanie. Niech będzie ono wyraźnie silne, dotkliwe, ale niech będzie za to krótko, choćby dlatego, że nas nie stać na długotrwały wysiłek”.

Ze słów tych przebija dużo mądrości. Gdyby to od rządu zależało, to może byłoby lepiej dopuścić latem 1924 do silnego, a krótkiego kryzysu. Ale nigdy i nigdzie takie rzeczy od rządów wyłącznie nie zależą.

Gdyby zaś rząd w zakresie dostępnych dla siebie środków działania, a więc w zakresie polityki kredytowej banków państwowych i Banku Polskiego wziął na serjo powiedzenie posła Wierzbickiego i gdyby nie szedł na ciągle udzielanie kredytów w imię zażegnania kryzysu i gdyby nie obawiając się go, powstrzymał wszelkie zwiększanie kredytów, wtedy można być pewnym, że miałby przeciwko sobie w pierwszym rządzie wszystkich tych, którzy gotowi byli przyznawać rację posłowi Wierzbickiemu. Taką politykę nie zwiększania kredytów zarówno Banku Polskiego, jak i banków rządowych, uznał za najbardziej wskazaną już od końca lata 1924 roku prof. Taylor, widząc w restrykcjach kredytowych jedyny sposób uniknięcia tych wszystkich objawów kryzysu przewlekłego, który w 1925 r. nastąpił i który pociągnął spadek złotego, ale pogląd ten sformułował prof. Taylor dopiero w 1926 roku. W roku 1924 nawet ci, którzy mówili: „Niech będzie kryzys, choć silny, byleby krótki”, byliby najbardziej oburzeni, gdyby się okazało, że polityka rządu nie zmierza do łagodzenia kryzysu.

Niewątpliwie w kryzysie, który ujawnił się w lipcu 1924 roku w większej skali, a w skali mniejszej mógł już tkwić i wcześniej, była znaczna doza koniecznej reakcji organizmu gospodarczego na skutki stabilizacji waluty, czyli stabilizacji przede wszystkim marki i wprowadzenia złotego. Czy złoty został wprowadzony, czy by go nie było, to na kryzys by nie oddziaływało z chwilą, gdy już wcześniej marka była stabilizowana.

Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że ten nieuchronny kryzys sanacyjny nie byłby taki przewlekły, a przede wszystkim, żeby się nie odbił tak dotkliwie na bilansie handlowym i stał się tak niebezpiecznym dla naszej waluty, gdyby nie nastąpił niebываły nieurodzaj zbóż chlebowych oraz złe konjunktury w handlu zagranicznym na główne przedmioty naszego eksportu.

Zatem w 1924 r. uwidoczniło się w całej pełni:

- 1) że mamy klęskę nieurodzaju i złe konjunktury dla naszego eksportu;
- 2) że kryzysu gospodarczego tak zwanego sanacyjnego nie unikniemy.

Do tych dwóch czynników dołączył się jeszcze jeden rys na naszym horyzoncie życia politycznego: akcja dywersyjna na kresach.

ROZDZIAŁ XIV

Akcja dywersyjna na Kresach. Polityka państwowa wobec mniejszości

Już w roku 1923 stosunki na kresach zaczęły ulegać stopniowemu pogarszaniu. Dla wszystkich nie ulegało to wątpliwości, że główne sprężyny działające znajdowały się poza granicami Polski. Organizowano w Rosji ekspedycje węgłab Polski. Przynęcano młodych ludzi do przechodzenia z Polski za granicę rosyjską i tam urabiano z nich drużyny, przeznaczone do wpadania węgłab kresów Polski. Jednocześnie wśród ludności miejscowej urobiono sobie dla takich wypadów tajnych sojuszników, którzy dawali wszelką pomoc w drodze, kryjówki na postojach i którzy wzmacniali szeregi napastujących.

Obok tak zorganizowanej akcji, mającej swe źródło poza granicami Polski i noszącej charakter polityczny, rozpanoszyła się na kresach akcja czysto bandycka lokalna. Potworzyli się prowodyrzy band rozbójniczych, siejący postrach i nie dający się uchwycić.

Cały ten ferment zaczął przybierać groźne rozmiary latem 1924 r. Zachowanie się nie polskich posłów kresowych przed rozjechaniem się ich na ferje letnie było tego rodzaju, że można było spodziewać się z ich strony czynów natury politycznej, wymierzonych przeciwko państwowości naszej.

Przy tworzeniu rządu pod hasłem sanacji waluty od razu postawiłem sprawy tak, że do czasu przeprowadzenia tej sanacji wszystkie inne sprawy, jak reforma rolna, sprawy mniejszości narodowych i inne odkładam na później. Posłowie tych mniejszości uznali takie moje w stosunku do nich stanowisko za dowód ich zlekceważenia, porównując mnie do Stołypina, który powiedział: „najpierw uspokojenie, a później reformy!” Co prawda z tem powiedzeniem moje hasło „najpierw reforma walutowa, a później inne” miało mało wspólnego, ale posłowie mniejszości słowiańskiej coraz bardziej występowali w stosunku do rządu napastliwie i widocznym było, że nie brak wśród nich takich, którzy otrzymywali pod tym względem dyrektywy z zewnątrz.

Latem 1924 opinia całego kraju wstrząśnięta została bezczelnością i powrotem szeregu napadów band dywersyjnych. Najsłynniejszy był napad na Stołpce, najbardziej upokarzający był napad na wojewodę Downarowicza.

Obserwując to, co się na Kresach działo, widziałem, że główną przyczyną niepowodzeń przy odpieraniu i tępieniu band dywersyjnych był to paraliż naszej władzy wykonawczej. Starostowie i wojewodowie nie umieli wykorzystywać sił policji, która była zupełnie niezdolną do walk, na serio przeprowadzonych. Z drugiej strony wojsko nie było należycie sprzągnięte z akcją odpierania i opanowania band. Spełniało ono swe zadanie w tym względzie nieumiejętnie, bez żadnego ducha i ostatecznie i bez rezultatu. Ludność to widziała i coraz bardziej ulegała demoralizacji.

Trzeba było skończyć z całym ślamazarnym przyglądaniem się rozwojowi stosunków, wpływających ze stanu rzeczy, który zastałem, obejmując władzę.

Zdaniem moim osobistym, główna wina naszej ówczesnej nieudolności wypłynęła z tego, że nie było jedności władzy na miejscu, że dowództwo wojskowe nie poczuwało się do akcji pomocniczej skutecznej, że policja również nie była dostatecznie wciągnięta przez administrację do działania.

Zmiany na stanowiskach wojewodów i odpowiednie instrukcje udzielone wojsku oraz policji przy zmianach w dowództwie wojska i policji moim zdaniem powinny były i mogły zaradzić potrzebie i pozwolić opanować sytuację.

Takiemu jednak postawieniu sprawy stało na przeszkodzie to, że pomiędzy władzami cywilnymi i wojennymi uwidoczniły się daleko idące wewnętrzne tarcia. Poza tem stały poważne względy natury technicznej, które utrudniały użycie wojska na linii granicznej, na której koszar nie było.

Widząc trudności natury administracyjnej i technicznej dla opanowania sytuacji drogą zwykłą i normalną i chcąc doprowadzić do tego, by położyć kres stosunkom na kresach, podkopującym powagę Państwa, zwróciłem się do Ministra Sikorskiego, by on sam podał plan uzdrowienia stosunków. Plan ten Minister Sikorski widział w tem, by na wojewodów mianować wojskowych, a dla ochrony granicy zorganizować osobny korpus, któryby nosił charakter policyjno wojskowy, z wojskowymi na czele, zwerbowany wśród wojska, ale który byłby wynagradzany specjalnie i dla którego pobudowane byłyby specjalne pomieszczenia na samej granicy.

Realizacja tego planu wymagała przeznaczenia zgóry i to jaknajszybszego znacznych sum pieniężnych. Obok klęski nieurodzaju wyrastała przed nami druga potrzeba nagle i niespodziewana: kosztownej kampanji dla ochrony kresów przed dywersjami z zewnątrz. Wydatki na korpus ochrony pogranicza należało przyjąć na końcu 1924 i na cały 1925 w wysokości 200 milionów złotych, co stanowiło bardzo wielki wydatek nadzwyczajny. Ale plan był racjonalny, przyniósł on swoje dodatnie skutki i trudno było go nie przyjąć.

Zdając sobie doskonale sprawę z tego, że gdy się ma do czynienia z rozruchami i zamieszkami, wywołanymi pod wpływem czynników zewnętrznych, należy prowadzić politykę zdecydowanej siły i sprawności aparatu państwowego, nie uważałem bynajmniej, żeby nasz program na kresach miał się ograniczać jedynie na utrzymaniu spokoju i porządku publicznego. Przeciwnie byłem całkowicie świadom tego, że sprawy mniejszości wogóle, a mniejszości słowiańskich w szczególności, to wielkie dla Polski zagadnienie, które wymaga rozwiązania na szerszą zakrojonego skalę.

Rozwiązanie to jest niezwykle trudne, gdyż przedstawiciele mniejszości naszych nie przestają spoglądać na czynniki zewnętrzne, często wprost nam wrogie, jako na swoją ostoję.

Wiele osób sądzi, że zagadnienie wyrobienia wśród ludności kresowej przywiązania do Polski jest łatwym do przeprowadzenia, o ile tylko zaczniemy na kresy udzielać więcej funduszy na inwestycje i będziemy podnosili ich dobrobyt materialny. Taki pogląd jest nadzwyczaj naiwny, gdyż trudno żebyśmy byli w stanie forsować nakłady i inwestycje na kresach wschodnich, gdy nie stać nas na to w stolicy i w innych częściach kraju, które wcale nie mniej od kresów ich potrzebują. A największym byłoby błędem przypuszczać, że usposobienie ludności daje się pozyskiwać samymi materialnymi korzyściami. Polityka Prus była bardzo korzystna dla rolników w poznańskim, a polityka Rosji dla przemysłu i miast w Królestwie Polskim, a właśnie rolnicy w Poznańskim, a mieszczaństwo w Królestwie mieli najbardziej wyrobione poczucie patriotyczne, zwrócone przeciwko zaborcom. Najgorszą dla stanu gospodarczego była polityka Austrii wobec Galicji, a jednak rezultaty polityczne w tej dzielnicy rząd zaborczy osiągnął największe.

Zagadnienie naszych kresów nie da się rozwiązać za pomocą pieniędzy. Nie może ono polegać również na tym jedynie, by robić stale ustępstwa tym, którzy się tam upominają o nie u rządu. Ustępstwa mogą być bardzo celowe, ale na to by niemi były, muszą istotnie być dobrze przemyślane i zastosowane, tak by wzmocniły, a nie osłabiły naszą państwowość.

Na zagadnienie kresowe nasze sfery prawicowe i lewicowe miały bardzo rozbieżne poglądy. Tymczasem interes państwowy wymaga, by w stosunku do zagadnień mniejszościowych wytworzył się wspólny front rozumu państwowego, zarówno na lewicy jak i na prawicy.

W celu doprowadzenia do takiego wspólnego frontu postawiłem sobie za cel, by zetknąć w naradach nad zagadnieniami kresowymi i mniejszościowymi dwóch ludzi, mających wspólne tło rozumienia doniosłości interesu państwowego, a stojących na stanowisku jeden lewicy, drugi prawicy. Mówię o Thugucie i Stanisławie Grabskim. Współpracowali oni nad zagadnieniami mniejszości przy rządzie, zanim do niego weszli i nauczyli się wspólnie obmyślać celowe środki.

Z pośród spraw mniejszości na czele postawić należy sprawę ukraińców z Małopolski wschodniej. Rząd próbował za mnie nawiązać kontakt z najbardziej umiarkowanymi ich przedstawicielami. Szło o to, by przygotować nauczanie uniwersyteckie w języku ruskim. Miało to być zorganizowane w Krakowie. Ale partje nieprzejednane uważały, że jedynie Uniwersytet Ukraiński we Lwowie może odpowiedzieć zadaniu. Na to ostatecznie zaś społeczeństwo polskie we Lwowie nie mogło się zgodzić.

Polityki państwowej na kresach wbrew opinii miejscowego społeczeństwa polskiego nie sposób jest prowadzić. Dla ludności miejscowej nie polskiej polacy, wśród nich się znajdujący, reprezentują polskość i ideję Polski. Jeżeliby rząd postępował wbrew opinii ogółu polskiego na kresach, dla ludności miejscowej będzie to dowodem, że rząd w Polsce to nie jest rząd o usposobieniu polskim i o sile państwowo polskiej, a tylko taki, na którym łatwo jest wymusić to lub inne. Mniejszości te będą rozumowały, że jeżeli rząd w Warszawie liczy się więcej z nimi, niż z polakami miejscowymi, to widocznie boi się Moskwy i że trzeba z tego skorzystać.

Wszelkie ustępstwa i kroki, mające na celu zjednanie mniejszości, nie powinny być przeprowadzane wbrew miejscowemu społeczeństwu polskiemu, a przy jego czynnym udziale. Powinny one prowadzić do tego, by w łonie mniejszości wytwarzały się przyjazne usposobienia nie tylko do władzy polskiej, co może być bardzo łatwo fałszywie udaniem, ale do elementów społeczeństwa polskiego.

Ażeby to było możliwe, społeczeństwo polskie na kresach musi stać na odpowiednim poziomie poczucia i zrozumienia naszego interesu państwowego. Nad wyrabianiem tego poczucia konieczną jest praca. Administracja polska w tym zakresie ma poważne zadania.

W stosunkach kresowych szczególniejszą kładłem osobiście wagę na to, by nie drażnić uczuć religijnych ludności prawosławnej. Ludność ta czuła się często bardzo dotkniętą, gdy oddawano kościołowi katolickiemu dawne cerkwie unickie, później zamieniane pod presją rządu rosyjskiego na prawosławne. Rozstrzygnięcie podobnych spraw nie może być oparte na wywodzie prawnym, który jest zawsze spornym, a na kompromisie w zakresie poczucia słuszności dwóch spierających się o dany budynek kościelny grup ludności. Władza polska musi być w tym względzie bezstronnym rozjemcą. Ta zasada przy mnie

została uznana za miarodajną pod wpływem mojego bezpośredniego wglądu w ową sprawę.

Wogóle nalegałem na to, by stosunek rządu do kościoła prawosławnego oparty był na takich zasadach, któreby umożliwiły mu ustosunkowanie się pozytywne do Państwa Polskiego. Nie jest to łatwą rzeczą wobec dawnych tradycji, identyfikujących prawosławie z polonofobstwem, ale jest to możliwe wobec tego, że w Rosji Sowieckiej kościół prawosławny jest prześladowany.

Sprawy językowe wobec mniejszości słowiańskich były przedmiotem długich przygotowawczych narad w rządzie i ujęte zostały w znane ustawy językowe, które wydane zostały w 1925 roku i o których będzie zatem mowa poniżej. Stały się one pierwszym dziełem prawnopństwowym Polski, które sprawy tych mniejszości ruszyły z martwego punktu.

ROZDZIAŁ XV

Pierwsza rekonstrukcja gabinetu. Wejście do rządów Skrzyńskiego. Polityka zagraniczna

Tworząc rząd w grudniu 1923 r., dobieierałem ministrów pod kątem widzenia przeprowadzenia reformy walutowej bez oglądania się na kombinacje parlamentarne. Zamiana Ministra Sosnkowskiego na Sikorskiego odbyła się też nie pod kątem widzenia politycznym, a tylko rzeczowo budżetowym. Na takim stanowisku apolitycznym mogłem stać tylko do czasu przeprowadzenia reformy. Z chwilą, gdy się zdecydowałem pozostać dłużej przy władzy, musiałem stanąć na gruncie takiej polityki w stosunku do Sejmu, który by umożliwiał rządowi egzystencję i spokojną pracę.

Celem jaki sobie stawiałem było to zagwarantowanie rządowi maksimum swobody w pracy na dobro państwa i niezależności od wymagań, dążących do podporządkowania partjom aparatu rządzącego.

W metodzie podporządkowania władz i urzędów interesom partyjnym najwięcej wyrobionych tradycji i wpływów miało stronnictwo Piasta. Jemu też mój system rządzenia najmniej dogadzał i zemną też Piast prowadził nieustanną walkę. Z mej strony walki z Piastem nie było, gdyż go z zasiedziały wpływów nie ruszałem, ale dla rozszerzenia się tych wpływów pola nie dawałem.

Powyzsza sytuacja polityczna wymagała tego, by nie iść po linii ani centro-prawa, ani centro-lewa, a po zupełnie innej, mianowicie po linii opierania się na obydwóch skrzydłach, a właściwie na tych częściach obydwu skrzydeł, z którymi można było nawiązać najłatwiej kontakt, bez poświęcenia zasadniczego sposobu postępowania rządu, to jest bez zejścia z gruntu niezależnego od partij stanowiska interesu państwowego.

Utrzymanie się na takiej platformie było niezmiernie trudnem. Każde skrzydło ciągnęło w swoją stronę i żądało odemnie, bym się wyraźnie deklarował, tworząc czy centro-praw, czy centro-lew. Ja zaś systematycznie prowadziłem linię godzenia dwóch skrzydeł.

Czy linja ta była dobra? w każdym razie po moim odejściu ta linja właśnie ustaliła się choć na krótko, a wypadki majowe nastąpiły dopiero wtedy, gdy odstąpiono od tej linii.

Dla mnie było rzeczą jasną, że utrzymywanie kontaktu zarówno z częścią prawą jak lewą Sejmu było najlepszem zabezpieczeniem państwa przed kataklizmami.

Dla tego też przed ferjami letnimi 1924 r. robiłem usiłowania, by wciągnąć do gabinetu dwóch z pośród najwybitniejszych posłów jednego z prawicy, drugiego z lewicy. Usiłowania te nie dały na razie skutków, gdyż potrzeba było jeszcze czasu, by lepiej grunt przygotować. Ale rezultatem tych nieudanych prób było podanie się Ministra Spraw Zagranicznych Zamojskiego do dymisji.

Krok Ministra Zamojskiego postawił mnie w trudnej sytuacji. Zbliżała się sesja Ligi Narodów. Wobec tego, że kombinacje parlamentarne na razie odpadły, wybór następcy nie był łatwy. Prosiłem Zamojskiego by pozostał, ale nie mogłem mu się dziwić, że na dymisję swoją nalegał, gdyż miał uzasadnione do tego moralne prawo, skoro przygotowywane kombinacje parlamentarne miały się odbyć kosztem jego portfela.

Na zastępcę po Zamojskim należało wybrać kogoś, kto by nie przechylił gabinetu na żadne skrzydło. Niestety nie mogłem tego uczynić, z powodu braku odpowiedniego kandydata. Wielu z kandydatów ze względu na swoje zabarwienie polityczne nie mogło

wchodzić w grę. Jedynym kandydatem okazał się Aleksander Skrzyński. Zdecydowałem się na niego.

Wybór ten sprowadził na mnie wybuch niezadowolenia na prawicy. W tym samym czasie co nominacja Skrzyńskiego nastąpiła również i nominacja Kopczyńskiego na ministra reform rolnych. Obydwie te zmiany szły w kierunku lewicy. Już w czerwcu w czasie debat budżetowych przemówienia posłów prawicowych nie były zbyt dla rządu przychylnie. Mowa Głębińskiego była pełna krytyki, bez cienia prawdziwego za dokonane dzieło uznania. Dla prawicy, tak samo jak dla Piasta, rząd mój był nie miły z tego względu, że przyszedł po ich rządzie. Gdybym się stał powolnym w ręku prawicy lub Piasta narzędziem, miałbym ich poparcie, ale znów na to ja nie mogłem pójść, miałem bowiem zbyt jeszcze świeży dowód tego w końcu 1923 roku, że rządy prawicowe były przy istniejącym stanie umysłów niemożliwe. Jakkolwiek nominacje Kopczyńskiego i Skrzyńskiego miały charakter lewicowy, ale w gruncie rzeczy były one wywołane względami rzeczowymi i państwowymi, a nie taktycznymi i politycznymi.

Skrzyński jako minister spraw zagranicznych położył na szalę w tej dziedzinie swoją indywidualność pełną dużego, wyższej miary talentu. — Pomimo tego, że miał przeciwko sobie od początku całą prawicę, zdołał pracą swoją zyskać sobie powszechne uznanie wśród polityków w Sejmie i w społeczeństwie, a został po mnie premierem Rządu koalicyjno-parlamentarnego.

Dziś natomiast powszechne są głosy krytyczne o jego polityce zagranicznej. Dziś widzimy wyraźne niebezpieczeństwo niemieckie i ogół pragnie winić Skrzyńskiego, że on nie tylko go nie zażegnał, ale pozwalał wytwarzać się atmosferze, usypiającej nas i innych przed tym niebezpieczeństwem.

Nie ma nic bardziej charakterystycznego dla naszej opinii publicznej jak szybkość, z jaką się reakcja w sądach o ludziach dokonytuje.

Niebezpieczeństwo niemieckie zawisło zupełnie wyraźnie nad Polską z chwilą, gdy tylko Francja zdecydowała się ustąpić z Zagłębia Ruhry i gdy większość narodu we Francji wyraziła się przeciwko polityce zagranicznej Poincarégo. Już w czerwcu 1924 r. rząd otrzymał poważne dane, wskazujące, że Anglja gotowa jest zagwarantować bezpieczeństwo Francji tylko o tyle, o ile ta ostatnia przestanie interesować się Polską. Niebezpieczeństwo niemieckie wtedy już stało przed nami w całej nagości. U władzy był Minister Zamojski i na tę sytuację na razie nie znajdował planu działania. Skrzyński miał pewien plan. Sądzić o tym planie nie należy podług tego co mówił, ale do czego zmierzał i w jakiej mierze niebezpieczeństwa, które istniały, były przez niego paraliżowane.

Na niebezpieczeństwo niemieckie miałem osobiście stale oko otwarte. Również i Minister Sikorski czuwał nad nim nieustannie ze swego stanowiska jako minister spraw wojskowych i często stawiał wnioski, dotyczące się naszej polityki zagranicznej. Starłem się doprowadzić je do uzgodnienia z planem postępowania Ministra Skrzyńskiego, co zawsze następowało.

Zaraz przy pierwszym swoim wystąpieniu na terenie międzynarodowym na sesji jesiennej 1924 roku Ligi Narodów, Skrzyński dotknął spraw pretensyj niemieckich i chcąc je sparaliżować zadeklarował, że rząd polski w stosunku do pewnej kategorii Niemców, których majątki w Polsce miały podlegać likwidacji, poczyni dość poważne ustępstwa. Ta deklaracja wywołała burzę protestów polskich w dzielnicy zachodniej.

Już wówczas jasnym było dla mnie, że przed przyszłością naszą wyrasta nowe widmo: rewanżu niemieckiego.

Widziałem, że jest to zagadnienie wielkie, o które będzie się odbywała gra sił na bardzo szerokiej płaszczyźnie. W tej grze sił to ustępstwo, które uczynił Skrzyński było drobiazgiem. Perswadowałem to delegatom naszych organizacji narodowych z byłego zaboru pruskiego, jako obywatel kraju blisko ich poglądów politycznych stojący i podziwiający ich zasady i obawy. Ale nie mogłem nic na ich jednostronność zapatrywać poradzić. Nienawiść do Skrzyńskiego rosła, a ponieważ tłumaczyłem jego postępowanie, ścigało to nienawiść również i przeciwko mnie.

ROZDZIAŁ XVI

Gdy latem 1924 roku gromadziły się chmury na kresach i widoczne się stawały trudności na terenie międzynarodowym, wówczas miałem parę narad z Marszałkiem Ratajem, który przedstawił mi plan, ażeby koło niego skupić przedstawicieli poważniejszych klubów poselskich, z którymi mógłbym pozostawać w bliższym kontakcie w imię wspólnego dobra interesu państwowego. — Nie bardzo dowierzałem tej koncepcji, ale gdy na jesieni na pogrzebie Sienkiewicza, a na krótko przed zebraniem się Sejmu, zagadnąłem Marszałka Rataja w tej sprawie, ten powiedział mi, że próbował zrealizować swoją koncepcję, ale przekonał się, że jakkolwiek stronnictwa innego rządu na moje miejsce powołać nie chcą, ale również nie chcą brać odpowiedzialności na siebie za rząd i chcą mieć wolną rękę w krytykowaniu go, — gdyż mają wiele powodów do niezadowolenia. Wtedy ja od razu powiedziałem, że na taką sytuację się nie godzę, gdyż metoda osaczania rządu i tropienia go, dając mu żyć, jest zgubną i na taką grę nie pójdę, tylko sprawę stosunku do rządu postawię wobec Sejmu jasno i kategorycznie.

Dobrze rozważywszy sytuację, postanowiłem nie robić nic takiego, coby wyglądało, że ubiegam się o poparcie stronnictw. Zaprosiwszy przeto przed sesją przedstawicieli stronnictw do siebie, przedstawiłem im obraz trudności w jakich się jako państwo znajdujemy. Przedstawiłem im, że według danych jakie rząd posiada, nieurodzaj staje się klęską groźną dla państwa, wykazałem, że mamy w całej pełni kryzys gospodarczy, który może się przeciągnąć i nie wiadomo na czym się skończy, podkreśliłem konieczność dokonania znacznych oszczędności. Przemówienie moje było przyjęte minorowo. Przedstawiciele stronnictw byli przekonani, że ja będę wychwalał sytuację, a oni będą mieli wdzięczniejszą rolę wykazywania słabych stron naszej rzeczywistości, a tymczasem ja sam odmalowałem śmiało ujemny stan rzeczy, wskazując, że to nakłada znaczne na rząd i Sejm obowiązki.

Na zebraniu tem było z mej strony kilku ministrów i wyższych urzędników, chciałem bowiem nadać mu charakter szczególnej wagi. Widząc wielkie przed Polską niebezpieczeństwo sytuacji chciałem wy badać, czy pomiędzy rządem a niektórymi leaderami stronnictw sejmowych nie dałoby się stworzyć takiego usposobienia, przy którym można by liczyć na twórczą współpracę. Dawałem do zrozumienia, że gotów jestem sam każdej chwili ustąpić miejsca dla umożliwienia skryształizowania się takiej współpracy na terenie sejmowym.

Przemówienie moje i zachowanie się leaderów sejmowych na zebraniu u mnie ujawniły, że nie natrafiłem na grunt podatny. Przedstawiciele stronnictw unikali wypowiedziania się co do swego stanowiska wobec rządu i widziałem, że stosunek ich do mnie nie zapowiadał się dobrze. Gdy odmalowywałem trudności nasze, nie widziałem, by przemówiono się niemi i szukano dróg wyjścia, ale szukano czego innego, mianowicie, jak z tych trudności ukuć broń przeciwko rządowi. Widziałem, że konferencja, którą zainicjowałem, nie może być uważana za zadatek stałego porozumiewania się rządu i Sejmu, i że musiała pozostać jedynie sposobem wzajemnego zbadania terenu przed spotkaniem się na plenum Sejmu, co wkrótce miało nastąpić.

Dla tego zebranie, które się u mnie odbyło, nie wróżyło nic dobrego.

Przemówienie moje w Sejmie dnia 22 października przy zagajeniu dyskusji budżetowej było utrzymane w tonie pesymizmu, do którego nie była sala nawykła. Dlatego też sala sejmowa zareagowała na takie przemówienie oczywiście bez żadnych objawów zadowolenia, które byłyby w tym wypadku nawet nie na miejscu. Sam w ten sposób ułatwiałem rolę tym, którzy pragnęli krytykować rząd i oczekiwałem tej krytyki, sądząc jedynie, że będzie ona tak samo, jak i moje eksposé zupełnie rzeczową.

Tymczasem w mowie swojej, która zaraz po mojej nastąpiła, Głębiński wystąpił z przemówieniem pełnym złośliwości pod adresem rządu. — Póki docinki obracały się w sferze spraw finansowo-gospodarczych, uważałem je za znośne. Ale Głębiński namiętnie zaczął krytykować politykę Skrzyńskiego, a jednocześnie próbował również przeciwko mnie obrócić falę podniecenia obrażonego uczucia godności narodowej. Przypomniał więc Głębiński moją bytność w Spaa w 1920 r., zarzucając mi, zupełnie zresztą niezgodnie z prawdą, jakoby ja nie miał odwagi „na Sejmie przedstawić do ratyfikacji”,

„zrzeczenia, które musiałem tam podpisać”, gdyż Sejm, zdaniem Głębińskiego, „czegoś podobnego nigdy by nie ratyfikował”.

Drugą uległość Polski wobec zagranicy popełnił jakoby Skrzyński w Genewie w 1924 roku i oto konkludował Głębiński: „musimy się przeciwstawić metodom uległości wobec obcych państw, czy obcych żywiołów, które podkopują powagę naszego państwa, a nawet groźne są dla naszej przyszłości”.

Zdanie to ostatnie ze strony Głębińskiego uważałem za niedopuszczalne i postanowiłem na nie zareagować. — Ale, że chciałem to dobrze obmyślić, więc reagowanie odłożyłem na następne posiedzenie. opuściwszy zresztą salę zaraz przed końcem danego posiedzenia.

W mowie Głębińskiego uczulem się bardzo dotkniętym, faktem wypomnienia i sposobem oświetlenia mojej akcji w Spaa z 1920 r. Głębiński zupełnie błędnie zaznaczył, że nie śmiałem poddać ratyfikacji to, co podpisałem. Prawdą jest bowiem, że właśnie zaraz po powrocie poddałem ratyfikacji wszystko co zrobiłem, ale oczywiście nie Sejmu, bo go nie było, tylko Rady Obrony Państwa, która Sejm zastępowała. Ale w Radzie tej wszyscy posłowie reprezentujący prawicę właśnie ratyfikowali moje układy, które uzyskały aprobatę ogromnej większości Rady, przy nielicznych tylko głosach przeciwnych. Gdy zaś Sejm się zebrał, układy w Spaa żadnej ratyfikacji nie wymagały, gdyż upadły one same przez się, skoro tylko bolszewicy, jak się później okazało, roli anglików jako rozjemców nie przyjęli. Układy te bowiem niczego innego jak tylko rozejmu się dotyczyły. Rozejmu tego armja nasza zdawała się potrzebować absolutnie. Stwierdziła to decyzja Rady Obrony Państwa poprzedzająca mój wyjazd do Spaa. Układy moje tak były zredagowane, by nie wykraczać poza ramy ścisłej konieczności chwili bieżącej. Zabezpieczały one nam dowóz amunicji, co było absolutną dla nas koniecznością. Jadąc do Spaa spełniłem ciężki obowiązek ratowania państwa, którego egzystencja była silnie zagrożona na polu działań wojennych. Pojechałem, by choć „cywil” przynieść pomoc wojsku i pomoc tę przyniosłem. Wypiłem kielich goryczy, który los nie dla mnie przecież napełnił. Będąc wówczas premierem nie cofnąłem się przed tem, by go za kogo innego wychylić. I za to wystąpił przeciwko mnie poseł Głębiński, z powodu tego, że wprowadziłem do gabinetu Skrzyńskiego. — Było to zbyt dla mnie bolesne, by na to nie zareagować.

Widząc, że się zanosi na politykę zohydzenia rządu i osaczania go, jak to mnie już Marszałek Rataj dał do zrozumienia na pogrzebie Sienkiewicza, postanowiłem nie czekać na dalsze występy innych posłów i postawić od razu sprawę tak, by Sejm musiał dać wyraz temu, czy rządy sprawować nadal mogą. Postanowiłem dać Sejmowi okazję wypowiedzenia się przeciwko mnie.

Ułożyłem przeto deklarację, której treść podaję poniżej i która była istotnie rękawicą rzuconą przezemnie Sejmowi. Tak wypadło, że ta rękawica rzucona była przedstawicielowi najliczniejszego klubu w Sejmie, klubu, który następnie najmniej sprawiał rządowi trudności swoim zachowaniem się, a który przy końcu mego urzędowania wykazał najwięcej zrozumienia dla trudności, z którymi rząd walczył. Rozumiałem, że wystąpieniem mojem naruszę równowagę sił politycznych, już mocno przez samą nominację Ministra Skrzyńskiego nadwyróżoną. Ale nie miałem innej drogi do wyboru.

Zarzut uległości wobec knowań przeciwko Polsce, rzucony przeciwko mnie, był w najwyższym stopniu niesprawiedliwym. Na knowania te ze strony niemieckiej miałem zawsze otwarte oko. — Skrzyński też je rozumiał doskonale, tylko wybrał taktykę, której na razie wiele osób nie rozumiało i która z dzisiejszego stanowiska też może być krytykowana. Ale związek ludowo narodowy później zupełnie pogodził się z polityką Skrzyńskiego. Napaści na Skrzyńskiego w październiku 1924 roku były nie robieniem polityki, a manewrem parlamentarnym.

Manewr ten pragnąłem udaremnić.

Na następne posiedzenie Sejmu przybyłem z Radą Ministrów *in corpore* i odczytałem deklarację następującą:

„Miałem zamiar odpowiedzieć na zarzuty przy końcu debaty, ale widzę, że wobec Rządu została obmyślona specjalna taktyka zohydzenia go bez sprzeciwiania mu się. Rząd nie ma zamiaru poddawania się biernie przeprowadzaniu tej akcji. Wiem doskonale, że ci, którzy uważają się za jedynie

powołanych do ratowania Ojczyzny, nie mogą pogodzić się z myślą, że dzieło sanacji Skarbu jest przeprowadzone przez Rząd, nie przez nich powołany i dlatego dążą do stworzenia atmosfery, umożliwiającej im powrót do władzy. Chwili tego powrotu unikać nie myślę kosztem godności Rządu. Utrzymywanie się Rządu przy władzy w atmosferze, w której hasłem stronnictw będzie osaczać Rząd i zmuszać go do ustępstw na wszystkie strony, obarczając go jednocześnie najcięższymi zarzutami, byłoby niezgodnym z świadomością tego, że dokonane dzieło reformy walutowej może być utrzymane tylko wtedy, gdy Rząd będzie miał należytą powagę i gdy będzie właśnie nadal, tak jak dotychczas, służyć Ojczyźnie bezustannie, czerpiąc podstawy do działania w złożonej przez siebie przysiędze.

„Wczoraj prezes najliczniejszego klubu Sejmowego poseł Głębiński w zakończeniu swego przemówienia użył zwrotu, który podług stenogramu brzmi: „przeciwstawimy się metodzie uległości wobec obcych państw lub żywiołów obcych”. Mimo to mówca skonstatował, że klub jego godzi się z istnieniem obecnego nieparlamentarnego Rządu, jako z koniecznością chwilową.

„Rząd, który by istotnie ulegał wobec państw lub czynników obcych, nie wart byłby ani chwili istnienia. Zarzut, który poseł Głębiński postawił jest w najwyższym stopniu niesprawiedliwy, ale co więcej, jest tak dla Rządu ubliżający, że Rząd nie może godzić się z tem, by zarzut ten zawisł niejako w powietrzu. Jeżeli Klub, w imieniu którego poseł Głębiński przemawiał, godzi się z istnieniem chwilowem Rządu, który obarcza tak ciężkim zarzutem, to Rząd nie może ani chwili dłużej korzystać z takiej tolerancji klubu wobec siebie”.

„Wobec powyższego proszę Pana Marszałka Sejmu o sprawdzenie drogą głosowania, czy Sejm podziela w swej większości zarzut postawiony Rządowi.

„Do czasu wyjaśnienia sprawy ubliżającego Rządowi zarzutu, postawionego przez prezesa najliczniejszego klubu poselskiego, Rząd zniewolonym się czuje opuścić salę posiedzeń.”

Po odczytaniu deklaracji wyszedłem z Sejmu wraz z ministrami. Treść deklaracji utrzymałem w tajemnicy. Zrobiła ona duże wrażenie. Obrady Sejmu przerwano. Konwent senjorów zaczął obradować, co robić. — Związek Ludowo-narodowy i klub chrześcijańsko-narodowy były oburzone na mnie. Ale Chryścijańska Demokracja na prawicy stanęła po mojej stronie, Polska Partja Socjalistyczna na lewicy również, gdyż bronili oni Skrzyńskiego. Zredagowano dwie formuły, które obydwie dawały mi satysfakcję, jedna Chacińskiego, druga Barlickiego. Pierwsza nie uzyskała większości. Przyjęto natomiast formułę Barlickiego, „Sejm oświadcza, że polityka zagraniczna Rządu odpowiada interesom i godności Rzeczypospolitej.”

Incydent powyższy został zażegnany. Wpłynął on na to, że ton następnych mówców był mniej od przedmowy Głębińskiego zjadliwy. Ale na dalszą fizjonomję polityczną gabinetu ten incydent nie miał dobrego wpływu. Stworzył on nadmierną zależność rządu od lewicy. Wiadomem się stało, że rząd musi ulec nowej rekonstrukcji, by utrzymać się na powierzchni życia parlamentarnego.

Właściwie jasnym było już wtedy, że dalsze sterowanie nawą państwową przez rząd nieparlamentarny przy dużych ambicjach parlamentu i partyj będzie męką, która nie pozwoli należycie skupić pracy nad istotnymi potrzebami państwa. Ale nie danem mnie było jednak znaleźć momentu dla decyzji co do ustąpienia.

Pierwsze moje bliższe zetknięcie się ze sprawami polityki zagranicznej pozwoliło mi sformułować przed Sejmem postulat, który nabiera szerokiego znaczenia w oświetleniu bieżących wypadków: Oto ustęp z mojego przemówienia w Sejmie dnia 28/X 1924 roku.

„Narody świata, które przez uznanie wskrzeszonej Polski jej dawną niewolę potępiły, nie powinny wywoływać przed Polską upiórów dawnych kno-wań, czyhających na jej osłabienie i zgubę, i dlatego nie powinny nadawać któremukolwiek z mocarstw rozbiorowych Polski miejsca w Lidze Narodów wyższego niż Polsce”.

Niestety stało się inaczej.

Dyskusja budżetowa, która się w pierwszych dniach listopada rozwinęła, prowadzona była w tonie dość spokojnym, choć krytycznym. W imieniu piastowców przemawiał Witos, który wystąpił głównie z krytyką polityki kresowej, nie wierząc w skuteczność działań rządu, zmierzających do opanowania rozruchów, w czym się pomylił. Najbardziej rzeczową mowę miał Michalski, który wystąpił z programem, w którym obok spraw, które stale podnosił, jako to większej sprawności przedsiębiorstw państwowych i reformy podatków w duchu rozszerzenia w dół systemu podatkowego, żądał zmian ustawodawstwa socjalnego dla ulżenia kryzysowi gospodarczemu, oraz pożyczki zagranicznej dla wzmocnienia tętna życia gospodarczego.

W dyskusji budżetowej ujawniły się z nową siłą żale rolników, które już w czerwcu 1924 roku jaskrawo wystąpiły. Żale te jednak sam starałem się zgóry sparaliżować, poświęcając im dłuższy ustęp mego ekspozé. Wykazałem mianowicie, że, dzięki podrożeniu cen na produkty rolne, główny przedmiot żalów tych, mianowicie dysproporcja cen, odpadł. Stwierdziwszy to, poświęciłem osobny ustęp omówieniu politycznego charakteru biadań rolników; ustęp ten brzmiał:

„Wśród tych, którzy usłyszą jedno lub drugie zdanie krytyczne o dzisiejszym stanie rzeczy, wielu będzie takich, którzy nawiążą zdanie takie o dzisiejszej Polsce z tem, co im głęboko tłumaczono ze strony dawnych rządów zaborczych: że nie było i nie będzie — tak im mówiono — lepszego opiekuna ludu polskiego nad zaborcę. Setkę lat truciznę tę sączono. Skutki tej trucizny i dziś są widoczne; skonstatować to można w wielu wypadkach, w wielu powiedzeniach: „a jednak za cesarza”, „a jednak za ruska”, „było lepiej”. Nie podsycajmy więc tych wpływów. Jeżeli czuły jestem na to, ażeby sprawiedliwą miarę znaleźć dla tych wszystkich zagadnień, to między innymi dlatego, że wiem, że nie zostały jeszcze, bo nie mogły być, wykorzenione ze względu na zbyt dużą liczbę analfabetów, te dawne, stare a złe nawyki niewoli. Dlatego niema nic groźniejszego dla naszego Państwa, nad to, aby odżyły skłonności do zwalania wszystkiego, co jest złe w życiu, co nie daje spokoju codziennego — na Polskę. Ja nie bronię samego Rządu, ja bronię również i Sejmu, gdyż to niewiele dobrego, co zrobiono dla ludu, jest to przecież wynikiem również prac sejmowych. Więc nie można nieustannie powtarzać, że ludowi dzieje się źle. Dlatego pragnąłbym, ażeby antagonizm socjalny pomiędzy wsią a miastem zniknął z powierzchni naszego życia politycznego tak, jak już zniknął w wielu innych państwach współczesnych”.

Sprawom gospodarczym, które już omawiałem w moim ekspozé w czerwcu, poświęciłem specjalną uwagę również i w październiku. Na czoło wysunąłem sprawę naszego nieurodzaju. Określiłem, że uszczuplił on wytwórczość rolną o 30–40%, i stanowi ciężką klęskę gospodarczą. Wskazałem, jakie środki rząd zastosował wobec nieurodzaju. Wśród tych środków było udzielenie przez Bank Rolny kredytów drobnym rolnikom na 22 miliony. Prócz tego rząd ulokował swoje środki w Banku Gospodarstwa Krajowego, który rozszerzył akcję kredytową dla ulżenia życiu gospodarczemu. Odmalowawszy, że prócz nieurodzaju mamy kryzys ogólny gospodarczy, podniosłem potrzebę, ażeby całe społeczeństwo przystąpiło do walki z tym stanem rzeczy, w którym koszty produkcji są nadmierne, a wśród nich wskazałem na przesycenie naszego życia gospodarczego wydatkami ogólnie administracyjnymi. Oto ustęp o potrzebie reform w naszym życiu gospodarczym:

„Jeden z Anglików w taki sposób tłumaczył, dlaczego w Polsce nie można dawać pożyczek. Mówił on, że w Polsce każda nowa rzecz, nowa fabryka, nowe przedsiębiorstwo od razu tyle zje kapitału na założenie, na koszty ogólne i na administrację, że reszta niezbędnych nakładów nie może dostatecznie się procentować.

„To są wady i nawyknięcia z ostatnich lat, które trzeba w całym społeczeństwie wykorzenić. W każdej czynności za dużo jest sił pomocniczych, wszędzie każdy chce się kimś wyręczyć. W aparacie państwowym zrobiliśmy

znaczne redukcje, usunęliśmy bardzo dużo tego właśnie niepotrzebnego balastu sił ludzkich, ale całe życie gospodarcze musi to samo zrobić, a również i instytucje społeczne.

„Najważniejszy z czynników, które mogą wprowadzić pewną taniłość w produkcji, której tak wszyscy pragniemy, jest to wydajność pracy każdej jednostki, która musi być bardzo wysoko podniesiona. Musimy stawiać duże wymagania wszystkim, stawiamy je Rządowi, ale stawiamy i samym sobie. Stawiamy je w społeczeństwie na każdym kroku. Tylko przez ten łączny wysiłek aparatu rządowego i całego społeczeństwa będziemy mogli naszej polityce gospodarczej nadać prawdziwie skuteczny kierunek.”

Widziałem przeto wielkie wady, błędy i niedomagania naszego życia gospodarczego i pragnąłem wlać w nasze społeczeństwo nowego ducha tak, by ono odzwyczaiało się od marnotrawstwa sił i środków, oraz od rozleniwienia, a nabrało potrzebnej prężności i szerokiego pędu do wydajności w pracy.

Konieczność ożywienia tętna życia gospodarczego podkreśliłem w mojem ekspozycy, które miałem w Senacie w dniu 29 października. Stwierdziłem, że w zakresie naszych stosunków gospodarczych sytuacja jest poważna, gdyż okres kryzysu gospodarczego, który był nieunikniony, łączył się z okresem nieurodzaju, którego nikt przewidzieć nie mógł. „Mamy, mówiłem, podwójnie skomplikowaną sytuację”.

Program rządu streściłem w tej mowie w sposób następujący: „Skupienie całego aparatu rządowego, aby drogą równowagi budżetowej, polityki podatkowej i celnej, oraz drogą układów handlowych i polityki kredytowej, uchronić dokonaną już reformę walutową od załamania się pod naporem kryzysu gospodarczego i nieurodzaju.”

ROZDZIAŁ XVII

Złagodzenie kryzysu zimą 1924/25

Widząc cały fatalny wpływ nieurodzaju w 1924 roku na nasz stan gospodarczy, a głównie na rozwój drożyzny, nie mogłem nie dostrzedz, że kryzys gospodarczy przemysłowy, który zaczął silnie rósć w lipcu i sierpniu, następnie uległ znacznemu osłabieniu. Ilość bezrobotnych, która we wrześniu doszła do 165.000, spadła w październiku do 156.000, w listopadzie do 147.000, a w grudniu, gdy stanęły roboty budowlane i ziemne podniosła się tylko do 151.000. Był to stan ulgi bardzo wybitny, jeżeli się weźmie pod uwagę, że w końcu 1926 i w 1927 roku mieliśmy znacznie większe ilości bezrobotnych, pomimo powszechnie konstатовanej poprawy sytuacji gospodarczej.

Wskaźnik kosztów utrzymania, który od czerwca do października podniósł się z 123,7 na 150, podniósł się następnie do grudnia tylko do 153,1. Tak samo wskaźnik cen hurtowych, który od czerwca do października podniósł się ze 100,6 do 116,4, podniósł się do grudnia zaledwie do 118,3. Jednocześnie wpływy skarbowe zwyczajne t. j. bez bilonu podniosły się z sumy: 111,9 milionów zł. w sierpniu i 111,4 milionów we wrześniu, do 157,1 w październiku, 160,6 w listopadzie i 200 milionów zł. w grudniu.

Jeżeli te wszystkie wskaźniki z 1924 roku porównamy ze wskaźnikami dla 1926 r. to okazuje się, że poprawa w IV kwartale 1924 r. była w porównaniu z III kwartałem większa niż ta, która się uwidoczniła w 1926 roku. Poprawę spostrzegłem już w początkach listopada i podałem odpowiednie dane o tem Sejmowi. Miałem do tego prawo i obowiązek.

Taka poprawa była jednak dla stronnictw Sejmowych, niechętnych rządowi, zupełną niespodzianką. Replika moja, która oparła się na tym stanie rzeczy, nie zadowolniła wielu. Najbardziej niezadowolnionymi okazali się chrześcijańsko narodowi. Domagali się oni programu gospodarczego, wskazując, że ogólne tętno życia gospodarczego winno być wzmożone, co zdaniem ich wymagało zmiany ustawodawstwa socjalnego. Również Zdziechowski wytknął, że potrzeba zbudować „skrzydło gospodarcze”. Tym wywodom przysłuchiwałem się uważnie, ale w nich nic, prócz domagania się zmian w ustawodawstwie pracy, oraz wyczekiwania na pożyczkę zagraniczną, nie widziałem. Tymczasem zaś front polityczny gabinetu, jak zaznaczyłem wyżej, przesunął się na lewo i sprawa godzin pracy, o którą najbardziej się rozchodziło, najmniej nadawała się do realizacji.

Patrząc z oddalenia możnaby powiedzieć, że, gdyby nie było ulgi w kryzysie gospodarczym, jaka nastąpiła w IV kwartale 1924 roku i gdyby właśnie wtedy kryzys rozwinął się w całej pełni, to uniknęlibyśmy zapewne wysokiego budżetu 1925 r., a więc nadmiernej emisji biletów zdawkowych, uniknęlibyśmy wysokiego importu, a więc wyczerpania się zapasów walutowych Banku Polskiego i w ten sposób moglibyśmy, w razie wcześniejszego wybuchu ostrego kryzysu gospodarczego, t. j. zimą 1924 r., uniknąć załamania się złotego, jakie w drugiej połowie 1925 r. nastąpiło. Ale nie ma chyba rządu na świecie, który by mógł oddziaływać w kierunku przyspieszania i zaostrzenia kryzysu, a nie jego odwlekania i łagodzenia.

Na karb czynników, które na to złagodzenie kryzysu oddziaływały, można położyć politykę Banku Polskiego, który stale zwiększał emisję swoich biletów bankowych i dyskonto weksli, jakkolwiek tempo tego wzrostu w IV kwartale (o 90 milionów) było nawet nieco mniejsze niż w III (o 126 milionów). Osłabienie napięcia kryzysu w IV kwartale było wynikiem oczywiście nie tylko wzrostu emisji w tym kwartale, ale i w poprzednim. Na ten III-ci właśnie kwartał przypadał główny wzrost portfela wekslowego. Również kredyty Banku Gospodarstwa Krajowego i Banku Rolnego wpływały dodatkowo w owym okresie czasu na życie gospodarcze.

Jeżeli zwrócimy uwagę na to, że w rozpatrywanym okresie nastąpiło zmniejszenie długu Skarbu Państwa wobec Banku Polskiego z 45,762.823 zł. w dniu 31 sierpnia do 20,770.970 zł. w dniu 31 grudnia, oraz że obieg biletów zdawkowych zmniejszył się w tym samym okresie ze 109,492.326 zł. na 31 sierpnia do 98,788.045 zł. w dniu 31 grudnia, to jasnym było po pierwsze, że ogólna poprawa sytuacji w tych miesiącach była widoczna, ale jednocześnie, że wzrost emisji biletów bankowych był nie dość usprawiedliwiony. W tym samym bowiem okresie ilość walut i dewiz w Banku Polskim nie rosła. Doszła ona do najwyższej sumy brutto 272,137.898 w dniu 31 lipca, co dało netto 218 milionów, które na 30 września spadło do 215 milionów. Te dwa miesiące zatem były pierwszym dla Banku Polskiego ostrzeżeniem. Następnie jednak widzimy pewną, nie wielką zresztą, poprawę i 31 grudnia przy 257 milionach zł. walut brutto, było netto 242 miliony. Poprawa sytuacji walutowej ostatniego kwartału uświadliwiła czujność polityki Banku Polskiego. Emisja biletów Bankowych rosła pomimo, że zapas walut powiększał się nieznacznie. Przy wzroście tego zapasu netto od 31 lipca do 31 grudnia zaledwo o 24 miliony, ilość dyskontowanych weksli wzrosła o 90 milionów, a emisja bankowa o 156 milionów. Wszystko to szło na potrzeby życia gospodarczego. Była to polityka zbyt mało ostrożna i nieprzewidywająca. Nie liczył się Bank Polski z tem, że bilans handlowy w tym czasie był stale ujemny i że właśnie w ostatnim kwartale 1924 r. znacznie się pogorszył. Podczas, gdy deficyt bilansu handlowego w 3 kwartale wyniósł 51 milionów złotych, w 4 kwartale wyniósł on już 117 milionów.

Wobec wielu innych oznak dodatniego zwrotu w stosunkach gospodarczych i finansowych Państwa, który nastąpił w 4 kwartale 1924 r., ten ujemny bilans handlowy był groźnym memento. Bank Polski z niego nie wyprowadzał konsekwencji w swojej polityce emisyjnej i kredytowej.

Na brak przezorności w polityce kredytowej Banku Polskiego ujemny wywierał wpływ stosunek, jaki się wytworzył pomiędzy tym Bankiem, a Bankiem Gospodarstwa Krajowego. Ten ostatni, wyposażony przez rząd dość poważnie, głównie przez skoncentrowanie w nim wszelkich lokat instytucyj publiczno-prywatnych, oraz przedsiębiorstw państwowych, a nawet i rezerw skarbowych, mógł odgrywać stopniowo coraz poważniejszą rolę na rynku kredytowym. Wytworzyła się pewna rywalizacja między tymi dwoma bankami. Nie była ona czynnikiem zdrowym. Wynikiem tej rywalizacji stało się to, że ani Bank Polski, ani Bank Gospodarstwa Krajowego nie miały ulokowanych swoich kredytów w sposób dostatecznie płynny, co się w 1925 roku uwidoczniło w sposób bardzo zgubny dla finansów państwowych i dla kursu złotego i co już w 1924 roku miało swoje źródło w dążeniu obydwóch banków do zbyt szybkiego rozwoju swoich operacyj.

Prezes Banku Polskiego Karpiński nieraz zwracał uwagę na to, że pomiędzy Bankiem Polskim a Bankiem Gosp. Krajowego powinna nastąpić wyraźna linja demarkacyjna w polityce kredytowej. Prezes Steczkowski sam był zwolennikiem również jaknajwiększej ostrożności polityki kredytowej w Banku Gospodarstwa Krajowego, ale ogólny charakter stosunków panujących w 1924 r. tak się składał, że obydwa te Banki nie mogły

się powstrzymać od zwiększania swojej działalności, a więc inflacji kredytowej w takim momencie naszego życia gospodarczego, kiedy względy ostrożności nakazywały unikania wszystkiego, co mogło sprzyjać zwiększeniu się konsumpcji naszego społeczeństwa, której stale wzrastające rozmiary były największym niebezpieczeństwem dla naszego bilansu handlowego, waluty i budżetu.

Dyskusja, jaka miała miejsce w Sejmie w listopadzie, nie ujawniła najmniejszego zrozumienia tego, w jakiej dziedzinie powstawało największe niebezpieczeństwo. Mówiono dużo o programie, ale wcale nie mówiono o potrzebie wstrzymywania wyjazdów zagranicę, o potrzebie podwyżek celnych lub ograniczeń importu. Nikt o tem nie wspomniał ani słowem, jak również o restrykcjach kredytowych i ograniczeniu emisji bankowej, a tylko odwrotnie dopominano się powiększenia kredytów i emisji. Zdziechowski dnia 28 listopada w Sejmie wyraźnie podniósł, że emisja i kredyty są niewystarczające. Oczywiście wszyscy wymagali od rządu, by wystarał się o pożyczkę zagraniczną.

W rezultacie stanu rzeczy, z którego sobie zupełnie zdawałem sprawę i, chcąc być w zgodzie z żądaniem sfer politycznych i gospodarczych, skierowałem moje starania w kierunku uzyskania pożyczki zagranicznej.

W sytuacji, jaka się z końcem 1924 r. wytworzyła, były dwie drogi wyjścia. Należało albo ograniczać import polityką celną i ograniczać kredyty Banku Polskiego i banków rządowych, co niewątpliwie ujemnie by wpłynęło na życie gospodarcze, ale wzmocniłoby walutę i zabezpieczyło ją przed spadkiem, albo należało uzyskać szeroki dopływ pożyczek zagranicznych. Po tej drugiej linii poszły Niemcy. Nie była to zła polityka. Gdybyśmy idąc po tej linii, uzyskali choć drobną część tych kredytów, jakie dostali Niemcy, to okazałoby się, że ani duży budżet 1925 r., ani bilety zdawkowe, ani brak ograniczeń importowych w 1924 r., ani brak ograniczeń kredytowych w owym czasie, że to wszystko wcale by nie spowodowało załamania się złotego i ostrego kryzysu 1925 roku.

Gdybyśmy wiedzieli w końcu 1924 r., że pożyczki zagraniczne w 1925 r. nie dopiszą, to wtedy możnaby mówić o tem, że błędem było, że restrykcje celne i kredytowe nie były już w 1924 zaprowadzone. Ale do takiego pesymizmu nie było podstaw. Wszak wszyscy finansisci zagraniczni, a również i eksperci z misji Jounga, stale twierdzili, że wystarczy, aby w Polsce tylko przez 3 miesiące zaistniał zrównoważony budżet i ustabilizowana waluta, a pożyczki zagraniczne same miały do nas napłynąć.

Przecież w końcu 1924 r. mieliśmy ustabilizowane stosunki walutowe już od 11 miesięcy, nową walutę 8 miesięczną, mieliśmy tak wydatne wpływy skarbowe ostatniego kwartału, że przy 517,7 milionach dochodów zwyczajnych, pokryliśmy wydatki i dochody zwyczajne i nadzwyczajne w wysokości 477,9 milionów, spłaciliśmy znaczną część ustawowego zadłużenia w Banku Polskim, zmniejszyliśmy ilość biletów zdawkowych w obiegu i zostawiliśmy zapasy kasowe, lokowane w Bankach państwowych. Sytuacja Skarbowa była tak świetna, że wszystko pozwalało przypuszczać, że kredyt zagraniczny dla Polski stanie się rzeczą zupełnie naturalną i okaże się wystarczającym dla podtrzymania naszej waluty, życia gospodarczego i budżetu, pomimo klęski nieurodzaju.

ROZDZIAŁ XVIII

Ogólne rezultaty 1924 r.

O tem, że koniec 1924 roku ujawnił zupełne uzdrowienie naszych finansów publicznych i że zmora deficytu budżetowego zupełnie została zażegnana, wszyscy wówczas byli najzupełniej przekonani. Dopiero w 1926 roku zaczęto robić wywody i zestawienia, mające udowodnić, że już 1924 rok był deficytowy. Dowodzenia te, oparte zostały na tem, że jako deficyt uznano wszystko to, co zostało pokryte biletami zdawkowymi, bilonem i pożyczkami zagranicznymi. Dochody z tych 3-ich źródeł nadzwyczajnych wyniosły w 1924 r. 249,4 milj. zł. i oparte były na ustawach i budżetach, ale też mieliśmy w tym roku i wydatki zupełnie nadzwyczajne, które trzeba było z tych źródeł zgodnie z budżetem, pokryć. Styczeń i początek lutego wykazały wielkie niedobory dochodów zwyczajnych, był to bowiem czas, w którym sanacja Skarbu nie była zaprowadzona. Niedobór ten wyniósł 60 milionów. Następnie mieliśmy znaczne wydatki na wykup fabryk tytoniowych, na co właśnie zaciągnęliśmy pożyczkę włoską. Mieliśmy w drugiej połowie 1924 r. wielkie

wydatki na budowę strażnic na kresach i wyekwipowanie korpusu ochrony pogranicza, a na same wydatki nadzwyczajne wojska użyliśmy 153 milionów złotych.

Jeżeli stanąć na jedynie słusznym stanowisku, żeby rozróżnić budżet dochodów i wydatków zwyczajnych i nadzwyczajnych osobno, to, zaliczając do pierwszego podatek majątkowy, który miał za zadanie uzupełniać niedostateczność dochodów zwyczajnych w pierwszych latach po reformie, okaże się, że dochody zwyczajne wyniosły w 1924 r. 1,453,8 milionów złotych, wydatki 1304,2 miliony, zostało więc na czysto 149,6 milionów złotych nadwyżki. Ponieważ zaś wydatków nadzwyczajnych było 295,5 milionów złotych, a dochodów 249,4 powstał tutaj niedobór 46,1 milionów złotych, pokryty z wielkim nadmiarem nadwyżką dochodów zwyczajnych. Ostatecznie rok 1924 dał nadwyżkę 103,5 milionów złotych.

Ci, którzy dowodzą, że rok 1924 był deficytowy, opierają się na tem, że w roku tym na potrzeby wydatków nadzwyczajnych wzięto 150 milionów dochodu z bilonu i biletów zdawkowych. Ale to było z góry przewidziane i było wprost konieczne nie dla budżetu, a dla życia gospodarczego. Wszak po wycofaniu marek nie można było kraju zostawić bez drobnych monet. Wszak wszystkie bilety tysiąco markowe były to bilety zdawkowe. Gdyby nie było drobnych biletów złotych spowodowałoby to tylko duże trudności płatnicze i gospodarcze. W końcu 1924 roku nie było absolutnie żadnego nadmiaru drobnych, przed ich brak. Z całej ilości 150 milionów bilonu i biletów jaka była emitowana w 1924 r., rząd zapotrzebował na cele budżetu nadzwyczajnego tylko 46,5 milionów złotych, a 103,5 milionów stanowiło nadwyżkę dochodów, którą ulokował w bankach państwowych, a częściowo zostawił w kasach na pokrycie wydatków najbliższych miesięcy 1925 roku. Jeżeli sobie uprzytomnimy, że kasy skarbowe na 1 stycznia 1924 r. były puste, to widzimy jak znakomitemi były rezultaty 1924 r., który pozwolił na zupełną zmianę sytuacji, dał superaty kasowe, dał lokaty skarbowe w bankach na cele gospodarcze i dokonał tego wszystkiego przy wysokości emisji bilonu i biletów zaledwie 150,7 milionów, a więc bardzo niskiej i przy wycofywaniu z obiegu całej ilości marek, które były przecież biletami zdawkowymi.

Wyniki finansowe 1924 r. były tak świetne, że wszyscy to doskonale rozumieli i nikt tego nie kwestjonował. Dopiero w końcu 1925 r. i w 1926 r. utworzono teorię, że rok 1924 był deficytowy, bo zamknięty był emisją biletów i bilonu w wysokości 150,7 milj.

Jak widzieliśmy tylko nieznaczna część tej emisji poszła na pokrycie deficytów, które istniały tylko w pierwszych dwóch miesiącach roku. — W następnych miesiącach mieliśmy już superaty i cały rok dał nadwyżkę w postaci rezerwy na 1925 r. Rezerwa ta była poważną. Ale okazała się niewystarczającą. Znaczna jej część poszła na pokrycie wydatków 1924 roku, dokonywanych w styczniu 1925 r. Nie można jednak stwierdzić, by już w 1924 r. sytuacja budżetowa nie była opanowana całkowicie.

Co innego, że to opanowanie nie dało tak dużej rezerwy, jak to było potrzebne, ze względu na nieurodzajny rok 1925. Rezerwy te przytem były unieruchomione w Bankach państwowych i na czas najbardziej potrzebny nie okazały się płynnymi.

Gdyby nie wydatki na zaprowadzenie bezpieczeństwa na naszych kresach wschodnich, rezerwa 1924 r. byłaby znacznie większa, i wydatki w 1925 r. również byłyby odpowiednio mniejsze.

Widzimy przeto, że rok 1924 skończył się dla Skarbu Polskiego nadzwyczaj pomyślnie. Rok to był pod każdym względem wielki.

Polska w r. 1924 sama dokonała reformy walutowej, powołała do życia Bank Polski, zrównoważyła budżet, stworzyła rezerwy kasowe, opanowała kryzys gospodarczy, uspokoiła kresy, zaprowadziła ogólną atmosferę równowagi. — Żadnych nie było przytem strejków, ani rozruchów wewnętrznych, (napady na kresach były organizowane z zewnątrz). Wszelkie mieliśmy znamiona, że posiadamy dane i zdolności do wytrwania i opanowania naszych trudności wewnętrznych.

Rok 1924 dał wielkie świadectwo naszej wartości jako państwa i dał nam prawo do tego, by rachować na współpracę z nami innych narodów, opartą na normalnych zasadach. Na tym gruncie jednak spotkał nas w roku następnym zawód.

DZIAŁ III. DRUGI ROK PRACY

ROZDZIAŁ XIX

Pożyczka zagraniczna i pierwszy atak niemiecki na Polskę

Już w 1923 roku upatrywano w pożyczce zagranicznej jedyny ratunek. Starania o pożyczkę prowadziło Ministerstwo Skarbu za czasów Kucharskiego początkowo niefortunnie, następnie jednak rozpoczęto pertraktacje o pożyczkę tytoniową, która na początku 1924 roku przysłała do skutku. Pożyczka ta była nie wielką, ale moment, w którym była realizowaną był bardzo ważny, była to bowiem chwila wprowadzenia reformy walutowej. Warunki tej pożyczki nie były dobre, gdyż zawierały obowiązek nabywania we Włoszech pewnej ilości tytoniu podczas, gdy Włochy nie są dla nas właściwym źródłem zaopatrywania w ten surowiec. Drugą stroną ujemną pożyczki jest warunek zakupywania wogóle tytoniu, aż do 60% ogólnej potrzebnej ilości, przy pośrednictwie firmy bankowej, która nam dała pożyczkę. W tych 60% zawartą była również i ta ilość tytoniu, którą obowiązymani byliśmy nabywać z plantacji włoskich i co stanowić miało 15% ogólnej ilości surowca. Jakkolwiek 40% surowca pozostawało wolne do nabycia, ale te 60%, co do których firma bankowa miała pierwszeństwo, stanowiło poważne skrępowanie gospodarki monopolu tytoniowego.

Warunków pożyczki tytoniowej nie uważałem za dobre, ale w porównaniu z tem, jakie w końcu 1923 roku były omawiane i przygotowywane, były one znakomite. W końcu 1923 r., za ministra Kucharskiego projektowano wydzierzawienie monopolu tytoniowego dostawcom surowca. W „Drogach Polski” i w „Kurjerze Warszawskim” napisałem, przed objęciem rządów, artykuł bardzo silnie ostrzegający przed wydzierzawianiem monopolu tytoniowego w momencie, w którym ani nie mieliśmy jeszcze wprowadzonego pełnego monopolu w życie, ani też nie mogliśmy mieć żadnych danych co do wydajności tego środka dochodów skarbowych wobec tego, że spadek ówczesny marki przewlekał możliwość jakiegokolwiek prawidłowej kalkulacji. Gdy przeto zaproponowano mnie pożyczkę, przy warunku jedynie nabywania znacznej ilości surowca od firmy po cenach konkurencyjnych, nie mogłem tej pożyczki odrzucić. Istotnie była ona bardzo pożyteczną. Nikt też jej na razie nie krytykował, gdyż każdy widział, że w tych warunkach w jakich się wówczas znajdowaliśmy, o pożyczce na lepszych warunkach szkoda było myśleć. Dopiero znacznie później, zaczęto tę pożyczkę krytykować. Ale jeżeli rozważyć to, że dziś pomimo rozgłaszania i wykazywania istotnej równowagi budżetu, starania o pożyczkę idą bardzo powoli, to trzeba uznać za duży sukces to, że w 1924 roku uzyskaną została pożyczka włoska wcześniej jeszcze, niż nastąpiła równowaga budżetu, jakkolwiek już po opanowaniu przezemnie spadku marki polskiej. Dojście do skutku pożyczki włoskiej miało przeto wielkie dla Polski znaczenie, ono bowiem torowało drogę dopływowi kredytów zagranicznych w następnych miesiącach 1924 r. Handel i przemysł z dopływu tych kredytów korzystał w ciągu 1924 roku i pierwszej połowy 1925 roku stosunkowo bardzo obficie.

Pożyczka włoska opiewała na niewielką stosunkowo sumę. Dla Skarbu większej pożyczki nie było potrzeba, ale życie gospodarcze dopominało się silnie o kredyty, a środki banków prywatnych były tak nieznaczne, podczas gdy potrzeby przemysłu tak wielkie, że zaciągnięcie przez rząd większej pożyczki zagranicznej na potrzeby życia gospodarczego krystalizowało się, jako główna treść programu gospodarczego wszystkich grup i stronnictw.

Trzeba było sobie przeto wytknąć linię postępowania w sprawie polityki, mającej na celu pozyskanie dla Polski kredytów na cele gospodarcze. Pierwszym warunkiem tego było uregulowanie dawnych zobowiązań wobec Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej oraz szeregu innych krajów, które zaciągnęliśmy w latach 1918–20, ze względu na pomoc jaką otrzymywaliśmy w naturze na wyżywienie kraju i na inne potrzeby w pierwszych latach naszej niepodległości. Największy nasz dług był w stosunku do Ameryki. Cały szereg państw miał ze Stanami Zjednoczonymi rachunki nie wyrównane, zwlekając z ich uregulowaniem. Nasz poseł w Waszyngtonie otrzymał odemnie wskazówkę, by, nie oglądając się na inne państwa, doprowadził koniecznie układ co do naszego długu szybko i korzystnie. Wywiązał się on całkowicie z włożonego nań zadania. Gdy to nastąpiło

na początku zimy 1924 roku, uregulowanie innych długów nie przedstawiało, zdawało się, już tak wielkich trudności, gdyż były one znacznie mniejsze. Ale co do nich sytuacja o tyle stała się gorszą, że Anglja wystąpiła jako mandatarjusz grona szeregu państw europejskich, które razem były naszymi wierzycielami. Anglja chciała stawiać swoje warunki. Kredyt, który otrzymaliśmy, był krótkoterminowy, paroletni i termin upływał w 1925 r. Szło o zamianę tego kredytu na długoletni. Było to zupełnie naturalnem i z góry wierzyciele nasi byli na to przygotowani, ale nigdzie na piśmie nie było to zaznaczone. Wobec tego wiceminister Skarbu Anglji, który przewodniczył w komisji długów „reliefowych”, czyli kredytów „pomocy”, jak się one nazywały, postawił tezę, że do Polski należy zastosować łącznie z zamianą kredytów na długoterminowe, rodzaj kurateli i nadzoru. Stał przedemną upiorny duch, który mnie się już ukazał, gdy na początku 1924 roku odesłałem do Anglji misję ekspertów z grzecznym podziękowaniem z mej strony i ogromnym niezadowoleniem z drugiej. Przedstawicielowi naszego ministerstwa Skarbu Woytkiewiczowi, którego posłałem do Londynu, poleciłem, by pod żadnymi warunkami na to się nie godził. Wśród naszej dyplomacji powstała konsternacja, obawiano się, że stosunki nasze z Anglją ułożą się fatalnie, bo Prezes Komisji długów zajął wobec nas stanowisko twarde i wyniosłe. W moim imieniu przedstawiciel nasz powiedział, że Polska na żadne warunki dodatkowe się nie godzi i raczej poczuje się do obowiązku płacenia należności w przypadających terminach krótkoterminowych i rzeknie się dobrowolnie konwersji, ale oczywiście będzie się umawiała z każdym państwem z osobna.

To zdecydowane stanowisko moje całkowicie zatryumfowało. Anglja ustąpiła. Było to zimą 1924 roku, w momencie, gdy *prestige* nasz na terenie międzynarodowem stał wysoko.

Po uregulowaniu sprawy kredytów międzynarodowych mogłem spokojnie przystępować do realizacji kredytów gospodarczych dla Polski. Już jesienią 1924 r. powierzyłem Bankowi Gospodarstwa Krajowego staranie o pożyczkę zagraniczną, która była potrzebna dla życia gospodarczego, a więc dla szeregu Towarzystw kredytowych ziemskich, Towarzystwa Kredytu Przemysłowego oraz na ożywienie ruchu budowlanego i na rozwój działalności Banku Rolnego. Na te cele potrzebne były kredyty długoterminowe gospodarcze. Ponieważ jednocześnie takie pożyczki zagraniczne sprowadziłyby napływ do kraju walut, stanowiłyby to wzmocnienie rezerw Banku Polskiego. Bank Gospodarstwa Krajowego rozpoczął starania. Jednocześnie i Towarzystwa kredytowe ziemskie oraz kredytu przemysłowego, zaczęły się starać na swoją rękę. Sprzyjałem temu wszystkiemu jednocześnie, nie chcąc utrudniać żadnej inicjatywy.

Rychło się okazało, że takie starania nie doprowadzą do celu, gdyż nikt z zagranicy nie chciał dawać pożyczek osobnym bankom lub towarzystwom, a żądano gwarancji rządu tak, żeby dla publiczności zagranicznej, lokującej swoje kapitały, papier pożyczkowy polski nosił charakter pożyczki państwowej. Przy sposobności tych pertraktacji ujawniło się, że zagranicą mają największe zaufanie właśnie do rządu i do państwa w Polsce, a nie do banków lub instytucji. Wobec takiego stanu rzeczy stawało się zrozumiałem, że danie gwarancji jednemu Towarzystwu lub bankowi, zamknęłoby drogę realizowania pożyczki dla drugiego, gdyż zaabsorbowałoby rynek emisyjny.

Rynkiem zaś tym realnym były dla naszych pożyczek, na większą zakrojonych skalę, jedynie Stany Zjednoczone. W końcu 1924 r. i początku 1925 roku Anglja nie mogła wchodzić w grę, jako rynek na papiery publiczne. W Anglji chciano projektować pożyczki, ale pieniądze były tylko w Stanach Zjednoczonych.

W tych warunkach doszła do skutku pożyczka Dillonowska. Do Warszawy w czasie świąt Bożego Narodzenia przyjechali reprezentanci tej firmy, poprzedzeni jak najlepszą opinią naszego posła w Waszyngtonie. Postawili oni propozycję pożyczki państwowej polskiej, która, według ich myśli, mogła być użytą na cele gospodarcze, ale stosownie do zamiarów rządu bez żadnej kontroli grupy finansowej i bez żadnych przywilejów gospodarczych dla tej grupy. Były to warunki zatem zasadniczo lepsze niż przy pożyczce włoskiej. Stało się to rezultatem tego wzrostu autorytetu, jaki Polska w 1924 roku zdobyła.

Finansiści amerykańscy nie chcieli się jednak angażować na większą sumę. Mnie zaś rozchodziło się bardzo o to, by pożyczka nie była mała, wiedziałem bowiem, jak znaczne były potrzeby kredytowe życia gospodarczego z jednej, a małe zapasy Banku Polskiego z drugiej strony.

Pożyczka Dillonowska traktowana była przezemnie jako pożyczka, która miała wynosić 50 milionów dolarów nominalnie, a efektywnie 44,3 milionów. Gdyby wyniosła ona tę sumę, zapewne okazała by się wystarczającą. Było to minimum niezbędne w tym celu, by wpływ nieurodzaju na stan zapasów walutowych Banku Polskiego sparaliżować. Ale niestety pożyczka Dillonowska nie wpłynęła w umówionej pierwotnej wysokości, a w sumie znacznie mniejszej. Stało się to wynikiem akcji zewnętrznej, przeciwko Polsce świadomie rozpoczętej i na terenie tej pożyczki poprowadzonej.

Pertraktacje pożyczkowe z domem Dillon Read prowadzone były w tempie przyspieszonym, gdyż obydwie strony zdawały sobie sprawę z tego, że rzecz jest dojrzała i wymaga finalizacji. W Warszawie warunki pożyczki omawiał z reprezentantami domu bankowego Dillon Read wiceminister Klarner, przy współudziale pana Adamskiego, współpracownika Banku Gospodarstwa Krajowego. Narady w Warszawie nie doprowadziły do ostatecznego załatwienia sprawy. Poseł nasz w Waszyngtonie Wróblewski dopominał się, by jemu powierzyć sfinalizowanie pertraktacji. Zgodziłem się na to, gdyż wiedziałem, że trzeba kuć żelazo na gorąco.

Na 1-go lutego 1925 r. rzecz cała miała być gotowa.

Na tydzień przed ostatecznym terminem zaczęły się pojawiać wiadomości, że Niemcy rozwijają wielką agitację w Ameryce przeciwko pożyczce dla Polski, przedstawiając, że kraj nasz, to lokata niepewna, bo sytuacja polityczna nasza jest pełna niewiadomych na przyszłość. Cała masa pism, w języku angielskim w Stanach Zjednoczonych wydawanych, a pozostających pod wpływem niemieckim, rozpoczęła agitację antypolską. Stało się to jak gdyby na komendę. O tem, że komenda została wydana i skąd ona wyszła, zostałem poinformowany z bardzo poważnego źródła.

Skutki tego wnet się okazały. Poseł nasz telegrafował, że Dom Bankowy Dillon Read nie może dać 50 milionów, a tylko 35, oraz żąda opcji na resztę 15 milionów do 1 sierpnia. Ja wolałem ustąpić na 35, ale opcji już nie dawać, gdyż miałem złe co do wyników opcji odczucie. Ale firma domagała się opcji. Ostatecznie zamiast 35 dała tylko 27,5, a właściwie 26 i opcję otrzymała na dalszą ratę, z czego nie skorzystała. Poseł nasz w Waszyngtonie znalazł się sam w trudnej sytuacji. Zerwać stosunków nie można było. Byłby to wtedy całkowity sukces akcji niemieckiej. Nie pozostawało nic innego jak zgodzić się na to, co firma uważała jedynie za możliwe. Atak niemiecki okazał się częściowo skutecznym, gdyż straciliśmy na nim to, że zamiast dużej pożyczki, otrzymaliśmy prawie dwa razy mniejszą.

Każda pożyczka zagraniczna jest złem. Jak że szczęśliwe są te kraje, które mogą udzielać pożyczek, zamiast je zaciągać! Żadna pożyczka nie jest zawierana na dobrych warunkach dla dłużnika, bo wierzyciel jest zawsze głównym panem sytuacji. Nikomu tak bardzo nie stawiano zarzutów, że o pożyczki zagraniczne nie dba, a nikt ich tyle nie zawarł co ja. Robiłem to zawsze jako zło konieczne i to konieczne nie tyle dla rządu, co dla społeczeństwa. Pożyczki zagraniczne dla Polski są większym złem, niż dla wielu innych krajów. Na gruncie kredytu zagranicznego jest zawsze duże pole dla gry intryg polityki międzynarodowej. W tej polityce mamy niebezpiecznych przeciwników. Chcąc by nam nie mogli szkodzić, musielibyśmy zrezygnować z pożyczek zagranicznych.

Dla naszej waluty i dla życia gospodarczego, pożyczka Dillonowska miała wielkie znaczenie: była ona prawie konieczną. Ponieważ zawsze czujny byłem na to, ażeby żadna pożyczka zagraniczna nie uzależniła nas od czynników międzynarodowych ogólnych, w których by nasi wrogowie mieli swobodną rękę dla ich gry przeciwko nam, więc za ważną zaletę tej pożyczki uważałem to, że ma być ona zaciągnięta jedynie w Ameryce na terenie tego kraju, który zdawał się być odpornym na wpływy niemieckie. Ale i w tem się pomyliłem. Gra Niemiec, przeciwko nam skierowana, rozwinęła się na terenie pożyczki Dillonowskiej i jawnie przeciwko nam się zwróciła. Niemcy amerykańscy, którzy w pierwszych latach po wojnie nie mieli żadnego autorytetu, doszli do głosu w 1924 i 1925 roku. Pracowali oni w tym duchu, by wszystkie wolne środki, gromadzone w Stanach Zjednoczonych, skierowywać do Niemiec, a izolować Polskę i to im się w znacznej mierze udało.

To powodzenie akcji niemieckiej doprowadziło do niepowodzenia pożyczki Dillonowskiej głównie z tego względu, że firma ta bankowa nie była tak potężna, za jaką pragnęła w naszych oczach uchodzić. A ponieważ była to firma nowa, więc inne stare domy bankowe amerykańskie, widząc wpływ na opinię amerykańską agitacji niemieckiej an-

typolskiej, odmówiły Dillonowi wszelkiego poparcia, pozostawiając dom ten własnemu losowi.

Gdyby dom bankowy Dillon Read miał z góry zawarte umowy z innymi domami bankowymi, nie byłby się naraził na skutki osamotnienia, które tworzyły dla niego sytuację zbyt trudną. Był to błąd ze strony tego domu bankowego, płynący z nadmiaru jego zbyt młodej ambicji. Skutki z tego dla nas wypadły ujemne.

Jakkolwiek koniecznym był dla nas dopływ 50 milionów dolarów i pożyczka 26 milionowa była dla dotrwania do nowego urodzaju niewystarczająca, na razie sprawiła ona znaczną ulgę na rynku życia gospodarczego i pozwoliła podtrzymać nieco upadający ruch budowlany.

ROZDZIAŁ XX

Nowa faza programu gospodarczego w r. 1925

Pierwsze półrocze 1924 roku wymagało z mej strony tak dużej pracy myśli, w ciągłym kontakcie z najbliższymi moimi współpracownikami i takiego ciągłego śledzenia za przebiegiem przeprowadzonej reformy walutowej, co wymagało pracy gabinetowej, że na bliższy kontakt ze sferami gospodarczymi zupełnie czasu starczyć nie mogło.

Czas na to przyszedł w drugiej połowie 1924 roku, ale wtedy okazało się, że sfery te zaczęły zajmować stanowisko wobec mnie nieufne. Gabinet pod względem politycznym przesuwał na lewo, sfery zaś były usposobienia prawicowego.

Zarzut, który mnie stawiano był, że nie dbam o pożyczkę zagraniczną i że całe życie gospodarcze traktuję tylko pod kątem widzenia waluty.

Co do pierwszego miałem w pogotowiu pożyczkę, którą doprowadziłem następnie do skutku. Co do drugiego postanowiłem po pierwsze wejść w kontakt z przedstawicielami życia gospodarczego na szeregu narad specjalnych oraz wygłosić przemówienie specjalnie, poświęcone życiu gospodarczemu jako takiemu, bez łączności ze sprawami walutowymi, czy skarbowymi.

Kontakt ze sferami gospodarczymi miałem już zorganizowany w roku 1924. Polegał on na spraszaniu przedstawicieli różnych zrzeszeń razem. Zebrania takie nosiły charakter dość biernych i chaotycznych dysput. Widocznym było, że uczestnicy ich nie byli do swojej roli przygotowani. Wypowiadane były często sprzeczne poglądy, co utrudniało dojście do porozumienia rządu ze sferami gospodarczymi na tle konkretnych zagadnień.

Otóż na 1925 rok stwierdziłem, że łatwiej będzie dojść do porozumienia z każdą grupą gospodarczą osobno, gdyż można wtedy sprawy rozpatrywać bardziej szczegółowo. Przed zainicjowaniem zaś takich narad postanowiłem w przemówieniu przybrać ton taki, żeby zgóry usposobić przychylnie tych, którzy domagają się pomocy państwowej dla sprawy rozwoju życia gospodarczego.

Pod tym kątem widzenia wypowiedziałem w dniu 19 stycznia w Komisji budżetowej dłuższe przemówienie, które politycy uznali za nowe wyznanie wiary z mojej strony, za jakieś, jak gdyby, pójsście moje do kanossy gospodarczej.

Istotnie użyłem zwrotu, że poprzednio sformułowany przeze mnie program uważam za „jednostronny” i nie nadający się „do dzisiejszej chwili”. Dalej mówiłem: tamten program był więcej ochronny, wciąż zapatrzony w walutę. Dzisiaj trzeba sobie postawić za zadanie:

„Skupienie aparatu rządzącego i zorganizowanie sił społecznych, ażeby przeżywany kryzys gospodarczy usuwać na drodze — z jednej strony wzmożonej wydajności pracy, bardziej umiejętnego i mniej kosztownego kierownictwa i oszczędności w kosztach produkcji, oraz gromadzenia kapitału przez oszczędności, z drugiej zaś — na drodze dostosowania polityki kredytowej, podatkowej, celnej, polityki taryfowo-kolejowej i umów handlowych rządu do tego, by podnieść produkcję krajową we wszelkim zakresie bez naruszania interesów konsumenta ponad istotną konieczność i ponad skalę drożyzny innych sąsiednich krajów.”

„A więc podniesienie produkcji musi być uwarunkowane tem, aby nasze ceny nie były wyższe, niż ceny światowe. Później będę szczegółowo rozwijał

tu zawarte myśli. Teraz chciałem stwierdzić, że przyznaję się do jednostronnego kierunku w poprzedniej mojej polityce, kierunku, którego jednostronność umyślnie podkreślałem. Umyślnie był on jednostronny, podporządkowujący wszystko temu, ażeby uchronić zdobycze ostatniego roku reformy walutowej od wszystkiego, co mogłoby im zaszkodzić. Dziś uważam, że ta jednostronność jest nie na miejscu, bo — jest niepotrzebna.”

To powiedzenie moje znalazło powszechny aplauz wśród leaderów Sejmowych i w prasie. Mówiono z ulgą i radością, „nareszcie Grabski zrozumiał, że trzeba stanąć na gruncie potrzeb gospodarczych”. A tymczasem z dzisiejszego stanowiska, jakże inaczej należy zapatrywać się na ówczesny zwrot w moim usposobieniu!

Zwrot ten nie był co prawda głęboki i istotny. Bo instynktownie i przed samym sobą uważałem nadal sprawę walutową za najważniejszą i dominującą. Ale chciałem sam sobie narzucić ustępliwość wobec opinii publicznej. Sam chciałem dać tej opinii satysfakcję i wyraziłem się o sobie, że poczuwam się do poprzedniej jednostronności, co nie odpowiadało wcale istocie rzeczy.

Z odległości dwóch lat dziś powiedzieć wprost należy, że zwrot mój ówczesny był błędny. Polityka moja z 1924 r. nie była błędną i jednostronną. Przeciwnie błędnym był zwrot, dokonany w początkach 1925 roku, bo zamiast na drogę dogadzania życiu gospodarczemu za pomocą kredytów, do czego ten zwrot zmierzał, trzeba było zastosować politykę restrykcyjną antyimportową, a pożyczkę zagraniczną, zamiast obrócić na ruch budowlany i na kredyt długoterminowy, należało zużyć ściśle na cele wzmocnienia naszego eksportu i znalezienia dla niego nowych dróg zbytu. Gdybym uznał wprost przeciwnie, że wobec ujemnego bilansu handlowego i nieurodzaju trzeba zaostrzyć środki zabezpieczające walutę, byłbym na lepszej drodze, niż wtedy, gdy powiedziałem, że już czas na to, by uznać walutę za zabezpieczoną i myśleć tylko o potrzebach życia gospodarczego.

Wszak pod potrzebami życia gospodarczego rozumiano powszechnie tylko jedno: pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. Zaczęły się nieustanne korowody deputacji po kredyty rządowe z Banku Gospodarstwa Krajowego lub Rolnego, a ja, w imię mojej nowej orjentacji, przychylnie je przyjmowałem.

Nie to było moim błędem, że byłem za mało przystępny i że unikałem wpływu na siebie różnych sfer i opinii różnych obozów i kierunków, lecz to było złem, że był moment, gdy tej opinii częściowo uległem.

W najważniejszych sprawach opinia zbyt często jest ślepa, choć zawsze jest wymagająca. Pomimo, że dawałem kredytów więcej niż należało, każdy uważał, że to była kropla w morzu i że to nie wystarcza.

Postawiwszy sobie za cel, by kredytami gospodarczymi przeciwdziałać rozwojowi kryzysu gospodarczego, wszedłem na niebezpieczną dla Skarbu drogę. Bankowi Rolnemu dałem 20,819.000 zł. na kredyty dla rolników z sum obrotowych. Kredyty te miały być zwrotne na jesieni 1925 r. z nowego urodzaju, gdyż one konieczne były, ażeby przewidywane deficyty budżetowe września i października pokryć. — Ale okazało się później, że rolnicy w żaden sposób zwrotu tych sum dokonać nie mogli. W ten sposób straciłem możliwość dysponowania sumami skarbowymi w najbardziej decydującej chwili. Tak samo zgodziłem się wtedy, by środki Pocztovej Kasy Oszczędności były rozpozyczane w postaci kredytów budowlanych i rolnych. Doszło do tego, że poczynając od wiosny ta instytucja zaczęła stale zalegać wobec Skarbu na kilkanaście milionów złotych z tytułu inkasowanych, a nie wpłacanych przez nią do Skarbu sum z podatków. Pieniądze te ogromnie mnie były potrzebne w czerwcu i lipcu, ale ich otrzymać nie mogłem, bo P. K. O. miała za dużo rozpozyczonych pieniędzy, których zaraz otrzymać z powrotem nie można było. Tak samo i lokaty w Banku Gospodarstwa Krajowego, jakkolwiek okazały się bardziej płynnymi, niż poprzednio wymienione, też nie stały się zwrotnymi w wymaganych terminach.

Chcąc pójść z pomocą życiu gospodarczemu, rząd od początku 1925 roku zaczął dawać samorządom na prowadzenie różnych robót znaczne pożyczki, które na I/IV doszły do sumy 11,946.000 zł. Na te pożyczki i lokaty rząd funduszków nie miał, bo rezerwy kasowe z 1924 roku już w styczniu znakomicie stopniały. Ażeby dawać te pożyczki samorządom, ażeby dodawać Bankowi Rolnemu i P. K. O., rząd musiał uruchomić swoje rezerwy zawarte

w uprawnieniu ustawowem do wypuszczenia biletów zdawkowych i bilonu. Ale rezerwy te zbyt szybko topniały, a wynikiem ich uruchomienia była zbyt wielka emisja tych biletów.

Jednocześnie rząd w początkach 1925 roku uruchomił kredyty budowlane i wogóle inwestycyjne dla poszczególnych ministerstw w zbyt wielkich rozmiarach, zgodnie z budżetem, ale niezgodnie z koniecznością oględności niezbędnej w roku nieurodzaju. Na samo budownictwo państwowe od 1/I do 31/VI 1925 roku rząd wyasygnował 117.635.552 zł.

Wszystko to się robiło pod znakiem nowej polityki gospodarczej. W całej mojej pracy państwowej nie było tak wybitnego błędu, jak ustąpienie moje w tej sprawie głosom opinii publicznej. Pojęcia tej opinii były bardzo niewyrobite i nie stały na należytych poziomach, że z nimi przeważnie nie należało się liczyć.

Na usprawiedliwienie moje mogę przytoczyć tylko to, że z błędnego kursu wkrótce, bo już na wiosnę 1925 roku nawróciłem. W uleganiu zresztą prądowi nie szedłem zbyt daleko i nie utraciłem świadomości trudności położenia. Przyznając bowiem potrzebę popierania życia gospodarczego kredytami, powstawałem jednocześnie w szczególnie dobitny sposób przeciwko ujawnionej w Sejmie tendencji do powiększania budżetu na 1925 rok.

ROZDZIAŁ XXI

Opozycja moja przeciwko powiększaniu przez Sejm wydatków na 1925 rok

Znakomite rezultaty finansowe 1924 roku, a w szczególności wielkie wpływy skarbowe ostatnich 3 miesięcy, oddziaływały na opinię sfer sejmowych w tym duchu, że w Komisji budżetowej ujawniła się tendencja do powiększenia wydatków.

Tendencja ta zaniepokoiła mnie poważnie. Nalegałem na to, że budżet na 1925 rok trzeba rozpatrywać z uwzględnieniem koniecznej równowagi realnej. W replice mojej w Sejmie z dnia 7 listopada 1924 r. oświadczyłem:

„Nie chcę być wielkim optymistą pod tym względem; wiem bowiem, że drożyzna jest wielką plagą ludności i państwa. I dla nas ona może być istotnie plagą bardzo dotkliwą, dlatego z całą oględnością postępuję z rezerwami na rok obecny, i dbać będę, ażebyśmy rok przyszły nie rozpoczęli z pustymi rękami. Mam nadzieję, że Sejm i Senat nie zwiększą pozycji budżetowych w wydatkach na przyszły rok, a będą w stanie spowodować skreślenia i zmniejszenia pozycji budżetowych tam, gdzie zwiększenie nie jest tylko mechanicznym wynikiem drożyzny”.

Wbrew powyższemu Komisja budżetowa Sejmu zaczęła w styczniu znaczną większością głosów uchylać zwiększanie pozycji wydatkowych, co groziło poważnie równowadze budżetowej. Prym w tej akcji trzymali piastowcy, ale sekundowała im cała prawica. Troška o równowagę budżetu jak gdyby znikła zupełnie. — Jeden Zdziechowski zrozumiał niebezpieczeństwo, ale widać było, że fala nie liczenia się z realnymi stosunkami bierze górę. Wszyscy narzekali na nieurodzaj, ale nikt nie chciał z faktu nieurodzaju wyciągnąć innej konkluzji jak ta: „a więc niechaj rząd pomaga”.

Taki lekkomyślny nastrój wywołał z mej strony ostry protest. Gdy przeto Komisja budżetowa zdołała podnieść sumę wydatków na kilku pierwszych swych posiedzeniach o całe 30 milionów złotych, uznałem za konieczne, by ostudzić zapędy dalsze w tym kierunku. Oto treść ustępu mej mowy w Komisji temu tematowi poświęcony:

„Nie mogę sobie wyobrazić egzystencji takiego państwa, któreby nie miało rezerw, lub które doprowadziłoby je do stanu całkowitego wyczerpania.

„Zdajemy sobie sprawę, że nieurodzaj jest klęską, jednak dziwnem jest, że nie chcemy wyciągnąć konsekwencji z tego. Gdy się wymaga czegoś, to się mówi, że jest klęska, a w ogólnym rozumowaniu nie chce się wyprowadzić z tego należnych wniosków. Dlaczego przytaczałem cenę żyta, że tak silnie idzie w górę? Jaka z tego jest konsekwencja dla budżetu? Budżet jest obliczony przy 38 gr. za 1 punkt w wynagrodzeniach dla urzędników, przy

cenie owsa i żyta 12 zł., a intendantura kupuje obecnie po 26, więc proszę obliczyć. Czy dzisiaj można rachować pensje w budżecie po 38 gr. za 1 punkt, gdy już dzisiaj płaci się pensję według 42, to jest o 10% więcej? A czy mamy prawo w naszym sumieniu powiedzieć, że się skończy 42-ma gr. na punkcie w ciągu całego r. 1925? Może panowie powiecie: należy zafiksować pensje urzędników i nie stosować wskaźnika drożyznianego? Nie radzę takiego sposobu. Owszem, moglibyśmy to zrobić, ale trzeba powiększyć pensję od razu o 20%. I ten sposób jest dobry. Lecz czy można się ludzić, by to było możliwym, żebyśmy skutkiem nieurodzaju i wzrostu drożyzny nie byli zmuszeni wydać w roku 1925 więcej niż to, co jest w budżecie pomieszczone. Sam wzrost drożyzny wyniesie 200–250 milionów zł. Na to trzeba znaleźć pokrycie. Czyż można dodawać do tego jeszcze 30 milionów nowych wydatków, myśląc że to bagatela?

„Jeżeli mamy te dwieście kilkadziesiąt milionów wydać, to trzeba wyrzec się nie tylko tamtych 30 milionów, lecz trzeba znaleźć jeszcze inne oszczędności, i powiększyć niektóre pozycje dochodowe, a i to może się okazać niewystarczającym”.

„Wszystko, co należy wziąć pod uwagę, nie upoważnia nas do powiększenia ani o 1 zł., ani jednej pozycji wydatków. Podkreślam to bardzo silnie i kategorycznie, bo mam poczucie rzeczywistości, bo muszę za tę rzeczywistość odpowiadać. Nie załamało się dotychczas jeszcze nic w Skarbie. Ale czyż nam wolno jest myśleć, że to naprawdę jest jakaś siła wyższa opiekuńcza, która wszystko to robi? Rzeczywistość może przewrócić wszystko najzupełniej. Co się stanie, gdy któregośkolwiek pierwszego lutego, czy marca, czy kwietnia, zabraknie nam na pensję dla urzędników? Co panowie wtenczas będą radzili robić? Dać urzędnikom jakiś fabrykowany pieniądz? Podkopać wtenczas nasz złoty? Wiem, że jest bardzo dużo ludzi, którzy powiadają, że fabrykować pieniądze należy, że to jest upór Ministerstwa Skarbu, że nie przyjmuje żadnych nadzwyczajnych projektów, jak ich nazywam projektów „falszowania pieniędzy”. Wszystkim, którzy przychodzą z temi projektami mówię, że nie chcę ich słuchać, bo oni chcą fałszować pieniądze. Takich różnych pomysłów jest bardzo dużo, ale ja na nie nie pójdę. Ale czy będą pieniądze na 1 lutego, czy marca, czy kwietnia, tego wiedzieć nie można. Ba, muszę się przyznać, że ja miesiąc temu nie wiedziałem, czy będą pensje na 1 lutego i dopiero dwa tygodnie temu się upewniłem, że je mam, choć jeszcze miesiąc temu, nie byłem tego pewny. Więc nie jesteśmy w takim położeniu, któreby nam pozwalało powiedzieć: wolno uchylać większe wydatki. Nie wolno! Musimy czuwać nad wszystkim i winniśmy się tych wydatków, które nie są konieczne, nie tylko wyrzekać się, ale prowadzić w 1925 roku silną politykę oszczędnościową. Czy panowie myślą, że można prowadzić silną politykę oszczędnościową, a jednocześnie uchylać nowe wydatki? Czy to psychicznie jest do pomyślenia? Czy to nie jest załamanie psychiki tych ludzi, którzy muszą innych przez zredukowanie stanowisk, narażać na tragedje życiowe? Nie, to nie jest do pomyślenia.

„Następnie, jak powiedziałem, musimy kontynuować politykę wyrzekania się tego, by tworzyć szczęście dla Polski naszymi uchwałami o szczęściu. Szczęście dla Polski stworzy się siłą Polski. Gdy będzie Polska silna, będzie i szczęśliwa!”

„My musimy nie tylko skonstruować budżet bez deficytu, ale nawet bez skonsumowania wszystkich rezerw, jakie posiadamy z 1924 roku.

„Mam nadzieję, że referent budżetowy Ministerstwa Skarbu w tym względzie przyjdzie mi z ogromną pomocą, gdyż znam jego tendencje i jestem przekonany, że jego referat przyczyni się do tego, żeby Komisja Budżetowa zdała sobie sprawę z istotnej niemożności pozwalania sobie na zwiększenie wydatków i z konieczności wprowadzenia oszczędności z bardzo ostrożnym rachowaniem na te siły, które się ujawniły, ale które musimy oszczędzać i szanować”.

Z powyższej dłuższej cytaty jasno wypływa, że komu jak komu, ale mnie trudno stawić zarzut, że sytuację skarbową oceniałem wtedy zbyt optymistycznie. Akcenty mego przemówienia były silne i szczerze. Ale niestety były grochem o ścianę. Apel mój do referenta (posła Michalskiego), by pomógł mnie w utrzymaniu niskiej normy wydatków w budżecie, nie został wcale podtrzymany. Żadnej dobrej chęci z niczyjej strony w tej sprawie nie widziałem.

Przy rozważaniu tematu oszczędności w budżecie na 1925 r. następuje się pytanie, dla czego ja sam, który nawoływałem Sejm do oszczędności i skracania kredytów, wniosłem budżet, który był na ogół wysoki. Któż mógł mnie przeszkodzić w sporządzeniu mniejszego budżetu przed wniesieniem go do Sejmu?

Otóż co do tego trzeba sobie uświadomić, że budżet był układany we wrześniu 1924 r., a wtedy jeszcze nie mogło być dostatecznych danych orientacyjnych co do trudności jakie nas czekać mogą. Natomiast w ciągu zimy 1924 i 1925 r. uświadamiałem Ministrów, że będą musieli się pogodzić z tem, że nie dostaną takich sum, jakie były w budżecie, gdyż to się okaże niemożliwym.

Pod wpływem jednak tej mojej akcji oszczędnościowej niektórzy ministrowie zaczęli spoglądać w stronę Sejmu, rachując na to, że Sejm przyzna im i powiększy nawet kredyty, które ja miałem zamiar uszczuplić.

Istotnie tak się stało, z największą szkodą dla dzieła równowagi budżetowej.

Z cytaty mojej widać jedno wyraźnie, że dodatnie wyniki roku 1924 wyrobiły nadmierny optymizm Sejmu, wśród niektórych ministerstw i w Sejmie, ale nie u mnie.

W danym miejscu godzi się zastanowić nad tem, że skoro widziałem stały wzrost drożyzny i niebezpieczeństwa stąd wynikające dla budżetu, to czemu nie zdecydowałem się na skasowanie wskaźników drożyznianych.

W cytowanym ustępie mojej mowy wyraziłem się, że w razie skasowania tego, trzeba byłoby podnieść pensje o jakie 20%. Na przykładzie 1926 roku widzimy, że można to było zrobić taniej, a więc dla skarbu korzystniej.

Ale już rok 1927 wskazuje co innego i roku 1926 za przykład stawiać nie można. Nie wystąpiłem z inicjatywą skasowania wskaźnika drożyznianego, ale nikt inny z taką inicjatywą też nie wystąpił. Niektórzy posłowie krytykowali wskaźnik drożyzniany, ale nie proponowali jego zniesienia. A ponieważ był on zamieszczony w ustawie o wynagrodzeniu pracowników państwowych, uważałem za niezbędne szanować ten warunek. Wydawał się on mnie zawsze słusznym i jakkolwiek przyznawałem, że należy z czasem skasować ten wskaźnik, ale nie uważałem, by rok nieurodzaju miał być właśnie do tego najodpowiedniejszym. Może to był nadmiar szanowania praw rzesz pracowników państwowych z mej strony, ale to poszanowanie tak tkwiło we mnie, że nie mogłem na inną, być może bardziej celową, wstąpić drogę.

Ze strony różnych ekonomistów sformułowano w r. 1926 pod moim adresem zarzuty, że powinienem był skasować wskaźnik drożyzniany po zaprowadzeniu reformy. W 1926 roku pogląd ten utarł się jako bezwzględnie słuszna diagnoza, istniało bowiem przeświadczenie, że skasowanie mnożnika przez ministra Zdziechowskiego dało na stałe poważne oszczędności budżetowe. Ale w styczniu 1927 r. już nastąpił poważny zwrot w tej sprawie. Najbardziej miarodajne stronnictwa Sejmu, a w tej liczbie i Związek Ludowo Narodowy, który politykę Zdziechowskiego najbardziej popierał, stanęły na tym gruncie, że urzędnikom państwowym należy się dać podwyżkę pensji taką, która by przywróciła pensjom urzędniczym zdolność nabywczą z listopada 1925 roku, kiedy ja odszedłem. Czyż takie postawienie sprawy nie jest przyznaniem słuszności temu stanowisku, którego ja się trzymałem, że w roku nieurodzaju nie można kasować mnożnika drożyznianego, bo trzeba będzie na tyle podnieść pensje, żeby to nie dało żadnej dla budżetu oszczędności. Jeżeli w 1927 roku mają być płacone pensje w wysokości odpowiadającej wzrostowi kosztów utrzymania w porównaniu z listopadem 1925 roku, to znaczy się, że w 1925 powinny być płacone pensje podług wzrostu tych kosztów w stosunku do 1924 roku.

Niektórzy wyrażali opinię, że skasowanie wskaźnika drożyznianego mogło być zatrzymać wzrost cen, jaki następował w 1924 i 25 roku. Przypuszczenie to jest nadzwyczaj nierealne. Urzędnicy państwowi — to ogromna mniejszość konsumentów, oni o cenach nie decydują. Zresztą jeżeli stosowanie przez min. Zdziechowskiego wskaźnika przy wy-

placie pensyj nie wstrzymało wzrostu drożyzny w ciągu całego 1926 roku, czemuż miało ono wpłynąć na to wstrzymanie w 1925 roku.

Skasowanie wskaźnika drożyznianego przy wypłacie pensyj urzędniczych niewątpliwie musiałyby wywrzeć pewien nie wielki wpływ na ceny w 1924 i 25 w kierunku hamującym wzrost drożyzny, ale wpływu tego nie można wyolbrzymiać. Jeszcze silniej na tamowaniu wzrostu drożyzny w 1924 i 25 powinno było oddziaływać, gdyby Bank Polski i Banki rządowe stosowały wówczas restrykcje kredytowe, zamiast nieustannie powiększać kredyty gospodarcze. Czy jednak nawet te obydwa czynniki razem wzięte, to jest i skasowanie wskaźnika i restrykcje kredytów, w razie gdyby były zawczasu zaprowadzone, mogły być wywołać ten wielki skutek, ażeby w roku nieurodzaju, gdy kraj musiał importować zboże, które zagranicą znacznie zdrożało, ceny produktów spożywczych nie poszły znacznie w górę? Takie przypuszczenie byłoby zupełnie błędem.

Gdyby w 1924 r. skasowane zostały wskaźniki przy wypłacie pensyj i gdyby pomimo to drożyzna nie przestała wzrastać, tak jak wzrastała, co jest najbardziej prawdopodobnym, wobec dominowania w sprawie wzrostu drożyzny faktu nieurodzaju, wówczas pożytku żadnego ze skasowania tych wskaźników by nie było, gdyż usposobienie opinii publicznej nie było wcale takim, jak w końcu 1925 i na rezygnację niczyją rachować nie można było. Wszak w 1925 r. pomimo tego, że wskaźniki były wypłacane, domagano się od rządu podwyżek to dla wojskowych, to dla sędziów, uważając płace za zbyt niskie. Głosy takie odzywały się to w Sejmie, to w Senacie, a gazety najbardziej umiarkowane wyrażały się, że wynagrodzenia są za małe. Były one znacznie wtedy wyższe, niż te, które w 1927 roku otrzymują wszyscy, prócz wojskowych, ale w owym czasie uważano ustawę o uposażeniu urzędniczym za to, co stanowi dopuszczalne minimum, które tylko może być podwyższonem, ale nigdy zmniejszonem.

To, że nie chciałem robić oszczędności na pensjach urzędniczych, nie może być uważane za dowód, jakoby o oszczędnościach wogóle nie dbałem, bardzo kategorycznie bowiem przeciwstawiłem się wszelkim podwyżkom budżetowym w Sejmie dokonywanym. Budżet Prezydenta Rzeczypospolitej dawał wzór oszczędności. Budżet Prezydium Rady Ministrów był również bardzo umiarkowany. Natomiast Sejm postanowił przystąpić, pomimo roku katastrofalnie nieurodzajnego, jak to posłowie sami twierdzili, do budowy hotelu dla posłów i to niezwłocznie, z całym pośpiechem. Pozycja ta nie podlegała nawet uzgodnieniu ze mną. Sejm bowiem uchwała swój budżet sam, bez projektu rządowego. Byłem zdumiony tym brakiem poczucia miary. A było ono powszechnem w Sejmie. Wszystkim stronnictwom bardzo się to podobało, by budować dla nich hotel.

Również i inne podwyżki w budżecie komisja budżetowa, a później i Sejm, pouchwalały bez żadnej istotnej konieczności, z wyraźnem lekceważeniem moich przestróg, że rok jest ciężki i że trzeba się do tego w wydatkach zastosować.

Temu, że budżet na rok 1925 został uchwalony w nadmiernej wysokości, pomimo moich przestróg, winne były wszystkie stronnictwa Sejmowe w równej mierze. Niektóre z nich w następstwie chciały tę winę zwalić na innych. W kołach prawicowych, upatrujących przyczyny kryzysu, który w końcu 1925 r. nastąpił, w tem, że budżet był za wysoki, sformułowano pogląd, że to ja podniosłem budżet pod naciskiem kół lewicowych, dla których byłem zbyt uległym. Takie opinie i dziś jeszcze są wygłaszane i to z najlepszą wiarą. Jest to najzupełniejszy fałsz. Głównie podwyżki budżetowe proponowali i przeprowadzali: z jednej strony piastowcy dla rolnictwa, z drugiej proponował je poseł Związku Ludowo narodowego Seweryn Czertwertyński dla wojska. Lewica w sprawie podwyżek budżetu odgrywała rolę podrzędną. Popierała ona podwyżki proponowane przez wyżej wymienione grupy i dodawała ze swej strony podwyżki w budżecie ministerstwa pracy. Stanowisko rządu było w tych warunkach niezmiernie trudne. Staralem się, by proponowane podwyżki utrzymywać w możliwie skromnych rozmiarach, ale nie udawało się to mnie dostatecznie. A gdy stronnictwa zaczęły się ubiegać, gdzie które w jakim ministerstwie przeprowadzi podwyżki, któremi mogłoby się pochwalić, to o tem, by porobić w innych dziedzinach jakiegokolwiek oszczędności zupełnie już w Sejmie nie myślano.

ROZDZIAŁ XXII

Niebezpieczeństwa sytuacji gospodarczej w pierwszej połowie 1925 roku i polityka gospodarcza rządu

Początek 1925 roku, który tak optymistycznie nastroił Sejm, istotnie wykazywał dużo oznak, że dalsze ujemne skutki nieurodzaju nie są tak groźne, jakby mogły się wydawać. Wskaźnik cen hurtowych, który w grudniu doszedł do 118,3 podniósł się w marcu do 121,6, ale spadł w maju do 118, koszt utrzymania równy w grudniu 163,1, spadał co miesiąc i w maju doszedł do 147,2. Było to niespodzianką bardzo korzystną, która mogła dodawać otuchy. Ale inne czynniki życia gospodarczego kształtowały się ujemnie. Bezrobocie rosło nieustannie i ze 150,180 w grudniu doszło do 185,400 w marcu, a w maju spadło tylko do 173,140.

Najgorszym i wprost zatrważającym stawał się bilans handlowy oraz stan zapasu walut w Banku Polskim. — Już w lutym uwidocznił się silny odpływ walut z Banku Polskiego, wynoszących 32 miliony zł. netto. Pożyczka Dillonowska wystarczyła zaledwie, by ten odpływ wstrzymać na półtora miesiąca; w maju zapas walut był nieco mniejszy niż w lutym, gdyż ubytek wyniósł 31 milionów. Proces topnienia walut od maja zaczął przybierać charakter lawinowy. Czerwiec był jeszcze gorszy od maja.

Pomimo tak niebezpiecznej sytuacji emisja banknotów i biletów Banku aż do czerwca nie zmniejszyła się, lecz rosła, doszedłszy do maksymalnej cyfry w końcu kwietnia 567 milj. zł., i zmniejszywszy się w końcu maja zaledwie do 557. Ostatnia ta suma była jeszcze o cztery miliony złotych wyższą od emisji w końcu stycznia. W ten sposób Bank Polski w przeciągu okresu 4 miesięcy, w ciągu których zapas walut zmniejszył się o 63 miliony, powiększył emisję o 4 miliony złotych. Był to objaw wielkiego braku przezorności.

Gorzej jeszcze przedstawiał się stosunek portfela wekslowego do zapasu walut. W tym samym fatalnym już okresie, portfel ten, zamiast zmaleć, powiększył się. Z 270 milionów zł. w końcu stycznia doszedł do 306 w końcu marca i spadł zaledwie do 296 w końcu maja, czyli był w końcu maja o 26 milionów większy, niż w końcu stycznia, pomimo, że w tym czasie ubyło zapasu netto walut o 63 miliony.

Ta nadzwyczaj lekkomyślna polityka Banku, mieściła w sobie najwyższe niebezpieczeństwo. Dopiero od czerwca widzimy zmniejszenie się emisji bankowej. Ale portfel w czerwcu i lipcu, gdy już ta katastrofa była tuż za drzwiami, zamiast się zmniejszyć, rósł jeszcze i doszedł w końcu lipca do 302 milionów. Wtedy zapas walut spadł netto do mi, zamiast się zmniejszyć, rósł jeszcze i doszedł w końcu stycznia, a portfel wekslowy był o 32 miliony większy. Czyż ten stosunek nie był wprost objawem zabójczej lekkomyślności.

Władze Banku Polskiego widziały zbliżające się niebezpieczeństwo, ale nie czyniły nic, co od nich samych zależało, by mu zapobiec. Natomiast zwracały się one z radami do rządu, co ma on robić, choć to do tych władz wcale nie należało. Swego zaś właściwego, bezpośredniego i jedynego obowiązku nie dopełniły, choć do tego zostały powołane. Cyfry są dostatecznym dowodem, że Bank Polski na sytuację, wytworzoną nieurodzajem i odpływem walut, nie zareagował do ostatniej chwili ani na jotę we własnym zakresie działania. Z oddalenia stosunków wygląda tak, jak gdyby Bank Polski z zamkniętymi oczami szedł ku katastrofie złotej, skutkiem własnej zupełnej bierności.

Oczywiście, że w Banku Polskim były jednostki, które widziały niebezpieczeństwo, nie miały one jednak widocznie siły, by oprzeć się prądowi opinii publicznej, który domagał się zwiększenia kredytów dla życia gospodarczego i nie chciał widzieć jakichkolwiek niebezpieczeństw w wytworzonej sytuacji.

Bilans handlowy, jak zaznaczyłem, przybrał kierunek w 1925 roku wprost groźny. Podczas, gdy w listopadzie deficyt tego bilansu wynosił zaledwie 22 miliony, w styczniu wyniósł on 65,1, w lutym nieco tylko mniej, bo 48, w marcu 69,6, w kwietniu 93,1.

Już w kwietniu jasnym było, że zły bilans handlowy staje się źródłem wysychania walut w Banku Polskim.

Niebezpieczeństwo właściwie powstało z chwilą, gdy w lutym uwidoczniło się niepowodzenie pożyczki Dillon. Jej mały wpływ, jako rezultat knowań niemieckich, był tak niewystarczający, że sparaliżował działanie ujemne bilansu handlowego na zapasy Banku Polskiego zaledwie na jeden miesiąc marzec i połowę kwietnia. Kwiecień z kolosalnym deficytem bilansu handlowego, prawie stumiljonowym, pochłonął resztki walut z pożyczki Dillon i zaakcentował dalsze topnienie zapasów Banku.

Ale niepowodzenie pożyczki Dillona miało jeszcze drugi ujemny skutek. Jakkolwiek sam Dillon zabiegał o to, by to niepowodzenie nie nabrało rozgłosu, jednak wtajemniczeni wiedzieli o niem i oddziaływać to musiało poważnie na kredyt Polski. Podczas, gdy deficyty bilansu handlowego w 1924 r. równoważone były pozycjami dodatnimi bilansu płatniczego, to jest kredytami zagranicznymi handlowymi, bankowymi i przemysłowymi, to w 1925 roku ten czynnik odgrywał coraz mniejszą rolę i ujemność bilansu handlowego odbijała się bezpośrednio na zapasach walut Banku Polskiego.

Widzieliśmy, że poprawa stanu rzeczy w ostatnim kwartale 1924 r. i dobre widoki na pożyczkę zagraniczną, skłoniły mnie do tego, by z początkiem 1925 r. zainicjować nowy kurs polityki rządowej, polegającej na tem, by ulegać presji czynników gospodarczych i sejmowych i udzielać dość szeroko kredytów.

Kurs ten przyjęty był z zadowoleniem, jakkolwiek na krótko tylko, gdyż apetyty otrzymywania kredytów rosły i nie mogły być nasycone. A nasylenie apetytów była to najbliżniejsza polityka, jaka właśnie mogła być stosowana, gdyż nic tak nie pogarsza bilansu handlowego i nic tak nie obniża zapasów walutowych Banku Emisyjnego, jak możliwość zaspokajania dużych apetytów w społeczeństwie w momentach, gdy nie ustalily się potrzebne czynniki równowagi i przezorności gospodarczej.

Do jakiego stopnia jednak apetyty te rosły, dowodzi fakt z kredytami dla rolników. Najpierw przyszła do mnie delegacja, z kół sejmowych kilku stronnictw agrarnych włościan, o 5 milj. zł., z powodu nieurodzaju. Ponieważ było to wtedy, gdy właśnie postanowiłem zmienić kurs, więc odrazu się zgodziłem bez targu, ku zdumieniu petentów. W tydzień potem była druga delegacja o to, by podnieść sumę do 10 milionów. I na to się zgodziłem, a nawet po pewnym czasie powiedziałem, że dam 15 milionów. Wtedy to samo stronnictwo, które przychodziło po 5 milionów, przedstawiło w Sejmie wniosek, żeby wstawić do budżetu prowizorycznego na kwartał 1925 r. aż 25 milionów kredytu dla drobnych rolników. Musiałem się kategorycznie temu oprzeć, dowodząc, że kredyty dają z sum obrotowych, a nie z budżetu. Poseł Zdziechowski poparł mnie. Ale aż dwukrotnie w Sejmie musiał być przegłosowywany wniosek, by nie powiększać kredytów budżetowych o 25 milionów, które zresztą dałem całkowicie poza budżetem.

Tymczasem wyniki budżetowe 1925 r. kształtowały się dużo gorzej, niż to można było, sądząc po wynikach ostatniego kwartału 1924 r., przypuszczać. Przedewszystkiem styczeń wykazał wydatków 203,8 milj. zł., łącznie z wydatkami z okresu ubiegłego roku, tak zwanego ulgowego. Ponieważ tenże miesiąc, dał dochodów 140,1 milj., pochłonął więc on w ten sposób wszystkie rezerwy kasowe z 1924 r. Wprawdzie wydatki styczniowe odnosiły się w dużej mierze do okresu 1924 roku, ale nie zmniejszyło to tego stanu rzeczy, że rezerwy kasowe w ten sposób zbyt szybko topniały. Ponieważ zaś zostały one w znacznym stopniu ulokowane w Banku Gospodarstwa Krajowego i Rolnym, więc na wycofanie ich nie można było rachować. Jako rezerwa na cały szereg ciężkich miesięcy 1925 r. pozostawał tylko bilon i bilety skarbowe, przewidziane w budżecie.

Rok 1924 wykazał, że wpływy skarbowe jesienne zdolne są przekroczyć wydatki tego okresu, że więc w pierwszych trzech kwartałach można wyczerpywać zapasy kasowe rachując, że się je w kwartale czwartym znów uzupełni. Ale jak duże powinny być te zapasy, tego trudno było przewidzieć.

Zapasy jakimi rozporządzaliśmy były jak widzieliśmy nie wielkie: było to 103 milionów złotych, znajdujących się w kasach skarbowych oraz w bankach rządowych i w Banku Polskim. Z tego 60 milionów poszło w styczniu na rachunek przeważnie 1924 r., reszta była to suma oczywiście zupełnie nie wystarczająca. Właściwie zatem po obliczeniu tego, co w styczniu i lutym trzeba było wydać na rachunek roku poprzedniego, cała przewyżka dochodów 1924, na którą można było liczyć w 1925 roku, wyniosła 50 milionów złotych.

Jako dalszy zapas wolno było i należało uważać ilość bilonu i biletów, które Ministerstwo Skarbu miało prawo w myśl ustawy wypuścić i z których część znaczną, ale nie wszystko, budżet 1925 przewidział i upoważnił do wydania. Rezerwa ta była bardzo mała. Ale niezależnie od tego, że rezerwy na 1924 r. były skromne, bo niedosięgały jednomiesięcznego budżetu, najgorszem było to, że rezerwy te były w formie zupełnie niewłaściwej: z jednej strony były one w lokatach bankowych, płatnych nie wcześniej niż na jesieni 1925 r., z drugiej w biletach skarbowych, a więc jedna i druga forma były bardzo w momentach krytycznych zawodne i nieodpowiednie, jak to się później okazało.

W takiej sytuacji było rzeczą bardzo z mej strony nieopatrzoną, że zgodziłem się, ażeby pożyczkę Dillon przeznaczyć na potrzeby gospodarcze, na które miała być natychmiastowo użyta. Powiniennem był żądać, by pożyczka ta stanowiła rezerwę kasową, aż do okresu jesiennego. Dillonowi było to wszystko jedno, gdyż on żadnej kontroli nad użyciem funduszu nie wymagał. Jak się później okazało, spodziewane wpływy skarbowe nie dopisały. Bank Gospodarstwa Krajowego i Rolny lokat rządowych nie oddały, a pożyczka Dillonowska była wydana na kredyty budowlane. W dodatku apetyty kredytowe były tak duże, że nie zostały zaspokojone przez użycie tej pożyczki. Najlepszym użyciem pożyczki było zatrzymanie jej w zapasie skarbowym i wypożyczenie jej bankom rządowym w momencie zwrotu lokat rządowych. Wtedy niepotrzebną okazałaby się emisja biletów zdawkowych, jaka na jesieni nastąpiła z konieczności.

Nowy kurs mojej polityki gospodarczej, który trwał w ciągu całego pierwszego kwartału 1925 r. był niewątpliwie błędem, biorąc ze stanowiska odległych jej skutków. Zwiększona działalność kredytowa na korzyść życia gospodarczego, zwiększała niewątpliwie nie tylko produkcję, ale i zdolność konsumpcyjną społeczeństwa. A konsumpcja ta, nadmierna jak na rok nieurodzaju, stawała się czynnikiem zabójczym.

Nowy kurs mojej polityki był ustępstwem z mojej strony, uczynionym opinii publicznej. Na szczęście spostrzegłem się, że zrobiłem krok fatalny i że trzeba wrócić do polityki twardej ręki.

Nie ustawały w stosunku do mnie petycje i delegacje o kredyty, a jednocześnie mnożyła się w całym kraju ilość samochodów prywatnych, ruch uliczny w Warszawie ożywił się z miesiąca na miesiąc i śladów depresji, wywołanej klęską nieurodzaju, nie było wcale w głównych ośrodkach widać. Obcokrajowcy podziwiali, jak wielce ożywił się ogólny wygląd kraju.

Zorientowałem się, że kontynuując politykę dogadzania społeczeństwu, popełniam błąd, który może mieć skutki fatalne. Od drugiego kwartału 1925 roku zrobiłem nowy zwrot w polityce gospodarczej, zwrot, idący po linii obrony naszego bilansu handlowego przez zmniejszenie importu.

Dawniejszym moim hasłem było: powiększać eksport. Hasło to było słuszne, zdrowe i racjonalne pod tym warunkiem, by społeczeństwo było silne i zdrowe. Myślałem, że przy pomocy kredytów siły i zdrowie wzmocnię. Ale przekonałem się, że na to rachować nie można, że tą drogą szybkich rezultatów nie otrzymam, więc postanowiłem zastosować inne środki i spotęgować działanie cel w kierunku zmniejszenia importu, oraz wzmódcz utrudnienia paszportowe.

Ten mój nowy zwrot w polityce gospodarczej, który zaczął się na wiosnę 1925 r., uznany został następnie za spóźniony. Oczywiście, że gdyby on nastąpił o całe pół roku lub rok wcześniej, byłoby lepiej. Ale trzeba sobie uświadomić, że zwrot ten w każdym razie dokonałem wcześniej, niż opinia publiczna, niż Sejm, lub prasa. Przez dokonanie tego zwrotu wykazałem, że na niebezpieczeństwa walutowe zareagował rząd wcześniej znacznie, niż Bank Polski. Rząd już w kwietniu skasował ulgi celne dla przedmiotów pierwszej potrzeby, jak tanie ubrania, bieliznę i obuwie, zaprowadził nowe restrykcje paszportowe, a w maju wprowadził podwyżki celne na większość produktów importowych, podczas gdy Bank Polski dopiero w czerwcu zaczął zmniejszać emisję swoich banknotów, a na zmniejszenie kredytów wekslowych poszedł dopiero w sierpniu, gdy było po niewczasie.

Obok fatalnych wyników bilansu handlowego, na zmianę kursu mojej polityki gospodarczej na wiosnę 1925 r. wpłynęła świadomość potrzeby przygotowywania się naszego do możliwości wypowiedzenia nam wojny celnej przez Niemcy. Część pożyczki Dillonowskiej została z góry zarezerwowana na budowę linii kolejowej, skierowującej transport węgla górnośląskiego przez terytorjum wyłącznie polskie. Ale o wojnie celnej z Niemcami będziemy mówili osobno.

ROZDZIAŁ XXIII

Sprawy polityczne w pierwszej połowie 1925 r. Konkordat. Mniejszości słowiańskie. Strejki rolne i reforma rolna

Wspomniane przezemnie przesunięcie się gabinetu na lewo, jako skutek rozpraw sejmowych na jesieni 1924 r. miało swój wyraz w powołaniu na Ministra pracy p. Sokala, oraz na wicepremiera posła Thugutta, co nastąpiło 17 listopada. Słabą kontrwagą na korzyść prawicy, było powierzenie stanowiska wiceministra spraw wewnętrznych posłowi Smulskiemu, w miesiąc później (24 grudnia). Czuł się on zbyt zależnym na tem stanowisku, by mógł przeprowadzać swój punkt widzenia, od którego nie chciał odstępować, mając swoje wyrobione poglądy. Wolał przeto po paru miesiącach ustąpić. Wtedy wytworzył się tak jednostronny skład rządu, że, dla wyrównania jego charakteru politycznego, koniecznym było powołać na stanowisko ministra oświaty mego brata Stanisława (25 marca 1925 r.). W ten sposób w rządzie znaleźli się wybitni przedstawiciele dwóch krańcowych skrzydeł: lewicy i prawicy.

Jako koncepcja rządów nie było to pójście po linii bezpartyjności, a więcej międzypartyjności. Dla utrzymania równowagi w Sejmie był to sposób dobry. Dla pracy twórczej państwowej sposób ten był już trudniejszym.

Co jednak właśnie musi być uwzględnione to to, że znalezienie się w jednym gabinecie przedstawiciele tak krańcowo usposobionych stronnictw nie było dziełem jedynie kombinacyj taktycznych, a wynikiem dążenia do umożliwienia twórczej pracy państwowej. Przed wejściem do gabinetu brat mój dobrze zasłużył się państwu i wykazał wobec wszystkich stronnictw swoje walory męża stanu przez ułożenie i przeprowadzenie ze Stolicą Apostolską Konkordatu, oraz przez przygotowanie i ułożenie wraz z Thugutem ustaw językowych, dotyczących się mniejszości narodowych słowiańskich.

W sprawie stosunku do mniejszości położony został jeden z pierwszych fundamentów myśli państwowych, twórczych i realnych w postaci ustaw językowych, które przeszły w Sejmie przy zupełnie niezwykłej harmonii i zgodności zapatrywań ogromnej większości głosów polskich zarówno z prawicy, jak z lewicy. Ustawy te stały się dowodem, że jest rzeczą możliwą ustalić państwowy, a nie partyjny punkt widzenia na tak trudne zagadnienie, jak polityka kresowa. Szkoda tylko, że wzięta wówczas linja nie znalazła później swojej konsekwentnej kontynuacji. Dalszym krokiem na tej drodze był kompromis z żydami, ale sprawa ta nie miała tak przemyślanego charakteru, jak ustawy językowe i nosiła cechy więcej próbnych posunięć, niż twórczej pracy organiczno państwowej.

Wielkie znaczenie ma dla Polski to, że ze Stolicą Apostolską zawarty został konkordat wcześniej, niż zrobili to Niemcy i Litwa. Stało się to jedynie dzięki bardzo umiejętnemu wzięciu się do tej sprawy przez brata mego Stanisława, zanim został ministrem Oświaty. Wszyscy byli przekonani, że układy o konkordat trwać muszą lata całe. Brat mój zdołał je przeprowadzić w parę miesięcy. Sprawy natury ogólnie politycznej zostały w konkordacie ułożone ze znacznymi korzyściami dla Polski. Stosunek władzy kościelnej do rządowej również czyni zadość wszystkim postulatam nowoczesnej państwowości. W Sejmie konkordat przeszedł dość łatwo. Część duchowieństwa była niezadowolona i to niesłusznie. Konkordat polski jest dobrem dziełem prawniczym i doskonałym dziełem politycznym.

Opinia, że rząd mój ograniczył się do spraw finansowych, była błędna. — W trudnych dziedzinach wyżej wyłożonych dokonał rzeczy poważnych, w sposób sprawny i fachowy.

W zagadnieniach socjalnych widziałem, że dokonać rzeczy programowych było rzeczą na razie niemożliwą. — Miałem bolesne doświadczenie, jak Sejm potraktował sprawę świąt w sposób polegający na dogadzaniu skłonnościom społeczeństwa do próżniactwa. Uważałem, że w sprawach socjalnych maksimum tego dobrego, co można było osiągnąć to to, by na czas jakiś wszystko zostało tak jak było i by praca nie była przerywana strejkami. — Ale tak samo jak stronnictwa prawicowe wykazały, że nie umieją zdobyć się na konsekwentne postępowanie w imię idei wzmaganie pracowitości w narodzie, gdyż uchwały powiększenie liczby świąt, tak samo partje lewicowe wykazały, że nie rozumieją doniosłości dla rzesz pracujących spokojnej pracy na dogodnych warunkach, gdyż na wiosnę 1925 r. ogłosił związek socjalistyczny robotników rolnych strejk. Powstał on na skutek niezadowolenia tego związku z legalnego orzeczenia komisji rozjemczej.

W sprawie strejku rolnego na wiosnę i latem 1925 r. musiałem zająć się czynnie pertraktacjami zarówno z jedną stroną jak i z drugą, t. j. związkiem pracodawców i pracowników. W tych warunkach szło mnie o to, by interes państwowy zwyciężył. Pierwszą rzeczą dla mnie było to, by strejk, o ile nie mógł być powstrzymany, nie rozszerzał się i nie zakłócił produkcji, oraz by, wobec małych szans realnych strejku, strona słaba, jaką byli

pracownicy, nie została rozgoryczoną w stosunku do państwa i jego reprezentantów, czy władz na miejscu. — Obydwa te cele zostały w obydwóch tych strejkach osiągnięte i to muszę uważać za wynik właśnie tej polityki, jaką w tej sprawie przeprowadziłem. Jeżeli dodam, że pomimo dwukrotnych strejków, obydwie strony również wyszły bez szczególnego zaognienia stosunków wzajemnych, to należy uznać, że strejki te były łagodnym tylko naruszeniem równowagi stosunków na wsi i ogólnej równowagi stosunków społecznych w całym kraju, jaka istniała w 1924 i 25 r.

Natomiast w sprawie agrarnej nie udało się mnie osiągnąć tego rezultatu, by doprowadzić do załagodzenia stosunków. W sprawie rolnej przedewszystkiem nie mogłem ująć nici przewodniej w moje ręce. Nici te bowiem wrywali sobie wciąż Piast i Wyzwolenie. Nie chciałem jednak i w tej dziedzinie być jedynie świadkiem zapasów tych dwóch stronnictw i wysunąłem sprawę zabezpieczenia, przy każdym rozdrabnianiu gruntów folwarcznych, interesów służby folwarcznej. — O tę ostatnią żadne z tych stronnictw nie dbało, a socjaliści, którzy się tą warstwą opiekują, zbyt są zapatrzeni w sprawę interesów czysto klasowo robotniczych, by umieli sformułować postulaty, mające na celu zabezpieczenie interesów tych z pośród służby folwarcznej, którzy by mieli przechodzić z rzędu proletariatu robotniczego do kategorii drobnych posiadaczy. Tymczasem w dobie kryzysu gospodarczego parcelować majątki wśród samych małorolnych, a bezrolnych wyrzucać na bruk, by powiększali szeregi bezrobotnych, utrzymywanych przez państwo, było by to równoznaczne z prowadzeniem polityki antygospodarczej, nie mówiąc o tem, że taka polityka była by antysocjalną.

Ponieważ ani Wyzwolenie, ani Piast w swoich projektach nie uwzględniali tej strony zagadnienia reformy, więc opracowałem sam odnośny wniosek, który został przyjęty przez rząd i włączony do projektu wniesionego przez Ministra Reform Rolnych do Sejmu. Był to drugi projekt reformy, który wniósł Minister Reform Rolnych w okresie rządów moich. Pierwszy projekt wniesiony przez Ludkiewicza, obalony był przez Piasta i Wyzwolenie łącznie. Drugi miał zapewnione poparcie stronnictw robotniczych wobec tego, że w nim poraz pierwszy mieściło się zabezpieczenie praw do gruntu i do szczególnej pomocy dla służby folwarcznej. Wobec tego Piast i Wyzwolenie nie mogli rozpocząć gry, polegającej na odrzuceniu *en bloc* projektu, jak to poprzednio uczyniły. Wniósł projekt Minister Kopczyński, który był mnie polecony przez zarząd stronnictwa Wyzwolenia, ale stronnictwo to bynajmniej nie poczuwało się do obowiązku bronienia swego Ministra. Gdy się uwidocznilo, że Wyzwolenie przechodzi do opozycji, minister Kopczyński musiał ustąpić, a miejsce jego zajął Radwan, którego zadanie polegało na tem, by projekt rządowy w Sejmie przeprowadzić, uzgadniając go z możliwie największą ilością stronnictw. Ponieważ z góry najbliżej projektu rządowego stały stronnictwa robotnicze, więc szczególnie zadaniem rządu było uzyskanie kompromisu na tle tego projektu między temi stronnictwami a w pierwszym rządzie Polską Partją Socjalistyczną, a Związkiem Ludowo Narodowym. Gdy to się okazało możliwem, wtedy i przystąpienie Piasta do kompromisu musiało nastąpić. Gdy już możliwość takiego kompromisu została ustalona, wówczas Marszałek Rataj zorganizował u siebie konferencję przedstawicieli Z. L. Nar., Pol. P. Soc. i Piasta, w których przyjmowałem aktywną rolę. — Dla mnie nie było rzeczą tyle ważną, by projekt reformy rolnej przeszedł przez Sejm przed ferjami letnimi, byleby przeszedł w atmosferze możliwie szeroko uzgodnionej. Piast natomiast bardzo do tego parł, by się spieszyć z przeprowadzeniem ustawy. Ja zaś zaznaczałem, że nie będę się przyczyniał do przeprowadzenia reformy na terenie Sejmu, o ile nie nastąpi między temi trzema stronnictwami pełne uzgodnienie ich stanowiska co do wszystkich szczegółów ustawy.

Z mego zasadniczego stanowiska w sprawach polityczno socjalnych wypływało, że staraniem moim było, ażeby ustawa o reformie rolnej nosiła właśnie charakter wyraźnego kompromisu takiego, który by uczynił zadość tym, którzy chcą reformy, a nie krzywdził tych, co jej podlegać mają. Było to rzeczą bardzo trudną do osiągnięcia, bo każda ze stron uważała, że każde ustępstwo jest zdradą zajmowanego zasadniczego stanowiska. Ideję konieczności państwowej zawarcia kompromisu rozumieli jednak liderzy trzech wymienionych stronnictw. Dzięki temu sprawa uzgodnienia stanowiska z rządem, który parł do kompromisu, mogła dojść do skutku, ale z tarciami.

Latem 1925 r. ustawa poszła na debaty w plenum Sejmu i pomimo, że miała poważne walory dodatnie ogólnopolskie i gospodarcze w porównaniu z poprzednimi projektami, spotkała się z namyślnym zwalczaniem z lewa i z prawa. Wobec tego, że kompromis z liderami stronnictw już był zawarty, nie było żadnej potrzeby, bym występował w tej sprawie na mównicy. Marszałek Rataj i piastowcy prosili mnie jednak o to, bym wystąpił. Uczyniłem to w imię poczucia spełniania wszelkich obowiązków, jakie z roli premiera wypływają, wiedząc, że muszę się narazić niepotrzebnie krańcowej prawicy. Ze strony piastowców była to w stosunku do mnie gra polegająca na tym, by wystawiać mnie na sztych. Wiedziałem o tem, ale tej gry nie chciałem uniknąć. Wiele osób tego nie zrozumiało i uważało to za mój błąd. Spełniać swój obowiązek jest to nie zawsze rzeczą dogodną. Często trzeba się świadomie narazić, chcąc być w swoim sumieniu spokojnym, że się spełniło swój obowiązek. Ja zaś byłem i jestem przekonany, że sama ustawa o reformie agrarnej żadnej krzywdy Polsce nie wyrządziła, o ile będzie rozumnie wykonywana, tembardziej że nie uchodziła ona i nie może uchodzić za ostatnie słowo w tej sprawie. Dziś już i wielu ziemian spokojniej na nią patrzy, niż latem 1925 roku.

Ci, którzy krytykują ustawę o reformie agrarnej z roku 1925, zapominają, że układ stronnictw w Sejmie był taki, iż bardzo łatwo mogła przejść ustawa o charakterze znacznie mniej kompromisowym, niż to miało miejsce. Gdyby część prawicy nie była uzgodniła swego stanowiska z Piastem, wtedy to ostatnie stronnictwo zmuszonym byłoby głosować za poprawkami Wyzwolenia, które by w ten sposób nadały ustawie charakter znacznie bardziej doktrynerski i radykalny.

W ciągu 1926 r., a i dziś jeszcze, silnie rozlega się ton krytyki tego, że w r. 1925 przeszła ustawa zdaniem kół prawicowych zbyt radykalna. Koła te są w wielkim błędzie i zaślepieniu, gdyż nie uświadamiają sobie, jak wielce rzeczą dobroczynną dla Polski stało się to, że wogóle w 1925 r. ustawa o reformie rolnej została przeprowadzona. Gdyby to się nie było wtedy stało, pierwsza połowa roku 1926, tak pełna momentów trudnych i niebezpiecznych, byłaby obciążona jeszcze jednym balastem niezłałatwionej ustawy o reformie agrarnej. A w razie gdyby ta ustawa wcale przez Sejm obecny nie była przeprowadzona, przeszła by ona jako hasło wyborcze przy wyborach do następnego Sejmu i zatrułaby atmosferę wyborczą. Dziś, gdy okazało się przy nowej ustawie, że parcelacja prywatna stała się bardziej ułatwioną, niż nią była przed jej wydaniem, każdy musi przyznać, że ustawa o reformie rolnej z 1925, stanowi krok naprzód w rozwoju naszych stosunków społecznych i gospodarczych. Krytyki tej ustawy oparte nie na faktach, a na wyobrażeniach, nie są poważnym i sumiennym rozważaniem przedmiotu. Rok 1926 w stosunkach agrarnych nie był cofnięciem się wstecz. To, że dużo majątków przez częściową parcelację spłaciło swoje długi, było dla wielu właścicieli finansowym ich ratunkiem i gospodarczo poprawiło stan reszty ich majątków, a to, że wielu włościan dokupiło gruntu, stało się również postępem społecznym a często i ekonomicznym.

Gdy stwierdziłem, że w połowie 1925 r. wytworzyły się warunki do kompromisowego załatwienia ustawy o reformie rolnej, zdecydowałem się, by ustawę przeprowadzić. Dziś mogę stwierdzić, że żałować tego ze stanowiska państwowego w żaden sposób nie można. Dojście do kompromisu w tak ważnej sprawie społecznej, to rzecz wielce doniosła dla każdego państwa, a dla Polski, będącej na pograniczu z bolszewizmem, rzecz doniosła w szczególności.

ROZDZIAŁ XXIV

Rząd i Sejm przed spadkiem złotego. Dyskusja budżetowa w maju 1925 r.

Stosunek między rządem a Sejmem uwidocznia się zawsze najlepiej przy sposobności debat budżetowych, które się odbywają w dwóch zwykle terminach: jedna przy wnoszeniu budżetu do Sejmu, gdy miewa miejsce eksposé Ministra, druga gdy budżet wraca z komisji do Sejmu. Ta druga debata miała miejsce w maju 1925.

Maj 1925 roku był to miesiąc przełomowy dla całego następnego okresu. W tym miesiącu ujemne czynniki naszego życia przybrały silne rozmiary, bilans handlowy bardzo zły, zapas walut bardzo niski, dochody skarbowe mniejsze niż można było się spodziewać. Maj był przeto odpowiednim momentem do tego, ażeby wystąpić otwarcie i wywołać

kryzys polityczny. Istotnie w hotelu Europejskim u jednego z posłów odbywały się zebrania reprezentantów różnych klubów lewicy z udziałem Piasta, którzy radzili nad tem, czy by nie należało obalić rządu.

Narady te nie były odpowiedzialnymi przygotowaniem do działania. Stronnictwo Piasta nie miało ochoty iść z całą lewicą razem, wiedząc, że rola jego była by w takiej kombinacji podrzędną. Zarówno PPS., jak i NPR. do przesilenia nie dążyły. Sytuacja polityczna nie była zasadniczo trudna. Ale na horyzoncie zjawiały się chmury. Dość niespodzianie dla mnie zgłosił swoją dymisję wicepremier Thugutt, który zadeklarował wobec mnie, że klub jego nie chce brać odpowiedzialności za krytyczny stan gospodarczy kraju. Był to zły omen. Na terenie Sejmowym nie mogło to mieć szczególnych konsekwencji, wobec tego że Thugutt poparcia w żadnym większym stronnictwie nie miał.

Jeżeli jednak stosunki parlamentarne nie dawały pola do przesileni i odejmowały debatom majowym zgóry doniosłość ogólnie polityczną, to należało się spodziewać po tych debatach szczególnego wyjaśnienia sytuacji gospodarczej i finansowej kraju i wskazania środków zaradczych. Do tego wszak sytuacja ta całkowicie dojrzała, by wznieść się na odpowiedni poziom.

Jakże głośno w 1926 r. było nieraz powtarzane, że budżet 1925 roku był deficytowy, że wydatki były za duże, że był to błąd wielki mego rządu, że tego nie przewidział i temu nie zapobiegł. Już wyżej przytoczyłem moje przemówienie na jesieni 1924 r. i w styczniu 1925 r. pełne ostrzeżeń przed nadmiernymi wydatkami. W styczniu jednak Sejm był pod wrażeniem doskonałych rezultatów skarbowych ostatniego kwartału 1924. Ale w maju 1924 r. już sytuacja była odmienna, Sejm i jego referenci mieli w ręku potrzebne dane, by się orjentować. Zobaczmy, co mówili i jakie wyciągali wnioski.

W całej debacie Sejmowej nad budżetem 1925 roku, jaka się w maju tego roku odbyła, sam nie zabierałem głosu. Zastępował mnie wiceminister Klarner. Sam chciałem zachować cały spokój potrzebny dla czuwania na sytuację, której niebezpieczeństwo całkowicie pojmo wałem. Sejm, który sytuacji nie rozumiał, brał to za objaw z mej strony lekceważenia, że nie zjawiam się i nie przyjmuję udziału w debatach.

Ja miałem na głowie przygotowanie nawy państwowej do przyjęcia zapowiadającego się wydania nam wojny celnej przez Niemcy. W takich chwilach wołałem, by w Sejmie zastępował mnie wiceminister Klarner, z którym już dłuższy czas współpracowałem.

O ile w debacie budżetowej przy wnoszeniu budżetu punkt ciężkości przypada na ekspozycję ministra, o tyle w debacie nad uchwalaniem budżetu punkt ciężkości spoczywa na mowie referenta generalnego, którym był prezes komisji budżetowej poseł Jerzy Zdziechowski.

Exposé swoje złożył Zdziechowski przed Sejmem w dniu 22 kwietnia. Włożył on w nie wiele pracy i umiejętności. Dał wiele cyfr i ich analizę i ostatecznie stwierdził, że: „równowaga jest uzyskana w budżecie na 1925 r. lepiej, niż w budżecie na 1924 r.”

Co do reformy walutowej Zdziechowski stwierdził, że „oparcie finansowe reformy monetarnej w Polsce, polegające na zdrowej i ostrożnej polityce Banku Polskiego (niestety się mylił) i na równowadze budżetowej, jest mocne, ale oparcie gospodarcze, którego wyrazem jest bilans handlowy i siła nabywcza złote go na rynku wewnętrznym, jest jeszcze słabe.” Żadnego jednak wyraźnego i bliskiego niebezpieczeństwa Zdziechowski nie widział. Wyraz „słabe” poprzedził wyrazem „jeszcze”, przez co osłabił swoją krytykę. Zastrzegł się on nawet wyraźnie przeciwko temu, by miał kwestjonować wybitną wartość reformy walutowej i mówił: „Wiele osób uprościło sobie ogromnie zadanie, rozumując w ten sposób, iż „nie było reformy monetarnej, nie było kryzysu gospodarczego — jest reforma monetarna, jest kryzys gospodarczy”. Takie powiedzenie uważał Zdziechowski za równoznaczne z tem, gdy kto rozumuje: „był narkotyk, nie czuć było bólu, nie ma narkotyku i ból jest”.

Zdziechowski dużo mówił o potrzebie podniesienia produkcji i o naprawie życia gospodarczego, dążąc do „zwiększenia siły nabywczej złote go na rynku wewnętrznym”. O niebezpieczeństwie dla złote go — nie było najmniejszej wzmianki. Wrócił następnie Zdziechowski do sprawy równowagi budżetu mówiąc: „Granice budżetu na 1925 rok są znacznie szersze od granic budżetu na 1924 r.”, ale z tego faktu Zdziechowski nie robił najmniejszego zarzutu, gdy dodał: „ale to jest zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę znaczny wzrost drożyzny”. Dalej mówił on: „Można uważać, że budżet, który komisja budżetowa

przedstawiła Wysokiemu Sejmowi jest budżetem zrównoważonym”. Zdziechowski zaznaczył, że przewiduje, iż „dochody zwyczajne, prócz podatku majątkowego, nie tylko dadzą sumy preliminarzowe, lecz je jeszcze przewyższą.”

W całym referacie była tylko jedna nuta pewnej refleksji, wykazującej troskę o naszą przyszłość: „Możemy mieć trudności i wiele rzeczy nie tylko od naszej woli zależy, a od tego co się będzie działo na świecie całym.” Ten motyw zupełnie ogólnikowy skłonił Zdziechowskiego, by zalecić Ministerstwu Skarbu pójście po linii kompresji wydatków przy pomocy budżetów miesięcznych.

Następny mówca Głębiński zrobił apel również co do tej kompresji ze strony Skarbu, odnosząc się krytycznie do pracy samej komisji budżetowej i widząc w niej zbyt ni optymizm. Zaznaczył przy tem Głębiński, że stosunki polityczne międzynarodowe były wówczas istotnie nadzwyczajnym ciężarem dla całej naszej akcji sanacyjnej, gospodarczej i finansowej. Miał zatem Głębiński świadomość tej samej troski, którą i ja byłem przejęty, ale żadnych wskazań realnych nie dawał.

Dalsza dyskusja rozwinęła się dość ospale. Krytykowano rząd bez szczególnej energii. Jedni domagali się dalszego rozwoju popierania ruchu budowlanego, inni ogólnikowo wskazywali na potrzebę ożywienia gospodarczego oraz poprawy bilansu handlowego, co jednocześnie trudno właśnie było osiągnąć. Kiernik postawił kategorię zarzut stale ze strony Piasta stawiany, że rząd zniszczył chłopów.

Ożywienie w dyskusji budżetowej wywołał Michalski wystąpieniem swoim w dniu 7 Maja jako referent budżetu Ministerstwa Skarbu. Porzucił on tym razem swoją dotychczasową rezerwę. „Jaki wpływ wywarło wprowadzenie nowej waluty? „Czas dostarczył już odpowiedzi bezapelacyjnej — jasnej i już niespornej. Kontrawersja już nie istnieje. Rzecz została wyjaśniona.” Tak wyrokował złowrogo Michalski.

Ponieważ ja nie byłem obecnym na sali, replikował mu Klarner, przyczem wyraził on wątpliwość, czy Michalski jako referent istotnie wyraził opinie komisji budżetowej. Na to Zdziechowski pospieszył z krótką, a znamioną deklaracją: „Uważam, że krytyka w sprawie natury tak doniosłej, jak w sprawie pieniądza, w chwilach bardzo poważnych zmagania państwa z kryzysem gospodarczym, musi być najogólniejsza, bo pamiętać należy o roli czynników psychicznych w kształtowaniu się siły nabywczej pieniądza na rynku wewnętrznym i zewnętrznym”, a dalej mówił: „Komisja budżetowa Sejmu zdaje sobie sprawę z powagi zagadnień związanych z opanowaniem kryzysu gospodarczego, ale uważa przeprowadzoną reformę waluty za doniosły etap na drodze do osiągnięcia gospodarczego rozkwitu Rzeczypospolitej i mam zaszczyt to oświadczyć w imieniu Komisji budżetowej Sejmu”.

Zdziechowski po tem oświadczeniu dostał brawa Sejmu. Rola, którą on spełnił wtedy, była rolą obrońcy interesów państwowych przeciwko atakom, podyktowanym przez zawiedzione ambicje. Ale ataki te były prowadzone nieustannie, uporczywie i z coraz większą natarczywością. Nasza reforma walutowa miała wciąż wrogów, którzy tylko czekali na to, kiedy też złoty się załame. Ale miała i obrońców.

Przeciwko Michalskiemu wypowiedział się Łypacewicz i Moraczewski. Głębiński wziął Michalskiego lekko w obronę, wykazując, że komisja budżetowa, która znała poglądy Michalskiego, powierzyła mu przecież referat w jej imieniu, więc nie można mu robić zarzutu, że nie powinien wygłaszać swoich własnych poglądów, występując jako referent. Ale co do samej sprawy Głębiński wypowiedział dużo pochwał dla Ministerstwa Skarbu: „Muszę przyznać, że w naszej administracji Skarbowej jest duży postęp”. „Znaczny postęp jest także w opracowaniu projektów Skarbowych. Również asygnowanie podatków staje się coraz lepszym”. Zarzut, że została wprowadzona reforma walutowa bez należytego przygotowania, zbijał Głębiński w sposób następujący: „Nie my jedni to uczyniliśmy. Wskażę na Rosję i Niemcy”, „My w trudniejszym jesteśmy położeniu. Rosja nie dopuszcza do żadnego importu bez zezwolenia rządu”. „Niemcy są bardziej od Polski popierane przez zagranicę”. „Chodzi o to, jak wyjść z przesilenia gospodarczego”. „Tak jednakowoż źle nie jest i nie można, jak niektórzy, poddawać się pesymizmowi”. „Musimy wierzyć, że gospodarstwo społeczne poradzi sobie z tem przesileniem i wyjdziemy z tych trudnych stosunków, gdybyśmy wszyscy do tego się przyczynili, bylebyśmy pamiętali o tem, że obywatele mają nie tylko prawa ale i obowiązki i nie tylko w stosunku do siebie, ale także do państwa i skarbu państwowego”.

Za ten apel Głębiński otrzymał oklaski. Sejm wyraźnie stwierdzał, że nie podzielał stanowiska Michalskiego. Moja replika była zbyteczna.

Zdziechowski i Głębiński rozumieli, że rzeczą jest ważną, wobec trudności jakie mieliśmy ze strony Niemiec, zachowanie całej naszej psychicznej odporności w sprawach walutowych i podatkowych.

Niestety coraz więcej przybywało defetystów, dyskontujących z góry możliwość naszego załamania się w walce, która nas czekała.

W całej dyskusji budżetowej pozostał jeden punkt drażliwy, że pomimo moich protestów komisja budżetowa podniosła ogólną sumę wydatków, a Sejm poszedł na tej drodze jeszcze dalej. Jednym z powodów, dla których nie zjawiałem się przed Sejmem w dyskusji majowej budżetowej, było to, że tę politykę rozdymania budżetu potępiałem. Byłem często szachowany domaganiami o podwyżki. Gdy zacząłem w budżetach miesięcznych obcinać budżet ministerstwa spraw wojskowych, referent tego ministerstwa w komisji budżetowej Poseł Ks. Czertwertyński wystąpił z tem, że budżet ten jest za niski. Oczywiście, że to całkowicie sparaliżowało moje tendencje do uszczuplania budżetu. Minister Spr. Wojsk. wystąpił o zwiększenie budżetu i ja się musiałem nawet na to zgodzić. Widziałem grę polityczną w całej sprawie budżetowej. Właściwie powinienem był już w maju wystąpić, w imię grożących nam niebezpieczeństw, o rewizję całego budżetu i jego pomniejszenie. Ale nie widziałem wcale nastroju odpowiedniego, by można było dojść do możliwego z Sejmem porozumienia. Czułem, że nie byłbym wcale w razie takiego wystąpienia zrozumianym. Większa część Sejmu uznawała, że reforma walutowa była dobrodziejstwem, ale ofiar dla obrony tego dobrodziejstwa ponosić nie chciano. Gdy złoty spadł, oszczędny budżet, mocno skrócony, stał się koniecznością, ale, w imię ochrony złotego od spadku, nie mogłem się doprosić, by budżetu nie rozdymano.

Choć sam nie zjawiałem się w Sejmie, wiceminister Klarner w moim imieniu oświadczył po trzecim czytaniu budżetu w dniu 15 maja, że „minister Skarbu jest przeciwny powiększaniu wydatków o 50 milionów i zmniejszeniu dochodów o 27 milionów, czyli tworzeniu deficytu 77 milionów”, jak to Sejm uchwalił w trzecim czytaniu. — Zdziechowski poparł Klarnera i postawił wniosek o odrzucenie poprawek Sejmu, prowadzących do deficytu. Wniosek Zdziechowskiego został odrzucony 134 głosami przeciw 121. Działo się to dnia 15 maja. Przez to głosowanie Sejm przyjął na siebie odpowiedzialność za deficyt roku 1925. Pomimo to ogół obarczył nie Sejm, a mnie odpowiedzialnością za deficyt, który się okazał. Istotnie moją winą było chyba tylko to, że się wówczas nie podałem do dymisji.

W zakończeniu posiedzenia Marszałek Rataj, nie zdając sobie sprawy z tego, że Sejm, uchwalając zwiększenie wydatków, nie dobrze przysłużył się Polsce, zrobił w przemówieniu swoim z okazji ukończenia rozpraw budżetowych aluzję do mnie: „Żałuję, że nie widzę Pana Prezesa Ministrów i Ministra Skarbu.”

Jakże głęboka istniała między nami różnica w odczuwaniu potrzeb kraju. Marszałek nie czuł całej zgubności zachowywania się Sejmu i żałował, że nie asystuję, jakby przy jakiej uroczystości, przy tym akcie, który we mnie mógł tylko największy smutek i poważne obawy wywołać.

W kilka miesięcy później tenże sam Marszałek stał się rzecznikiem idei małego, bardzo ukróconego nawet budżetu państwowego. Ale to już było zapóźno.

Była to chwila, w której istotnie nagromadziło się sporo motywów dla podania się mego do dymisji. — Okazja do tego była odpowiednia i mogłem być z niej skorzystać, gdybym zasadniczo uznawał za dopuszczalne porzucanie w owym momencie nawy państwowej. Ale sumienie mnie na to nie pozwalało. Staliśmy bowiem wobec największych niebezpieczeństw i moja dymisja byłaby ucieczką przed zmierzeniem się z niem.

W maju sytuacja była już bardzo zła, ale urodzaje zapowiadały się dobrze, nawet świetnie. Czekala nas co prawda wojna celna z Niemcami, ale to był motyw, by właśnie przed spróbowaniem sił nie wycofywać się z zajętej placówki. Wiedziałem, że na pomoc Sejmu trudno rachować, ale myślałem, że siły naszego społeczeństwa pozwolą doczekać się odprężenia sytuacji.

Uchwalenie przez Sejm zwiększonego budżetu miało zgubny bardzo wpływ na oddzielne Ministerstwa. Dwa z nich zaraz w czerwcu i lipcu zaczęły znacznie przekraczać sumy budżetów miesięcznych. Wytworzyła się opinia, że ja niepotrzebnie skąpię, podczas

gdym Sejm ma szeroką rękę. To przekroczenie budżetów miesięcznych w czerwcu i lipcu zwiększyło nadmiernie ilość biletów zdawkowych w obiegu.

Dzień 15 maja 1925 r. należy uznać za żałobny dzień w dziejach naszej sanacji skarbowej. Był to triumf lekkomyślności Sejmu.

ROZDZIAŁ XXV

Sprawa nadmiernego budżetu w 1925 roku i nadmiernych ciężarów podatkowych

Już poprzednio zaznaczyłem, jak fatalną politykę prowadził Sejm wobec budżetu na 1925 r. Ale i mnie stawiano w końcu 1925 r. zarzuty, że niedość energicznie przeciwstawiłem się tendencjom Sejmu. Stworzono teorię, że Sejm jest od tego, by iść dalej w różnych wydatkach, ale rząd powinien czuwać nad tem, by nie były one wygórowane. Teoria to błędna i fałsz z niej zupełnie jasno wygląda. Ani Sejm, ani rząd nie zrobią nic poważnego w zakresie zmniejszenia wydatków, jeżeli akcja ich nie będzie całkowicie uzgodnioną. To uzgodnienie nastąpiło w końcu 1925 r. po moim ustąpieniu i dało dobre owoce. O ile Sejm nie jest zgóry zdecydowany, by poprzeć wszelkie oszczędności, wymagane przez rząd, ten ostatni czuje się sparaliżowany w robieniu jakichkolwiek propozycji oszczędnościowych, by nie być skompromitowanym. Czy można sobie wyobrazić Ministra wojny lub oświaty, któryby chciał narazić się na to, że Sejm podniesie wydatki, które on chciałby zmniejszyć na dane cele.

O ile byłem zawsze za tem, by ograniczać możliwie wydatki, których można uniknąć lub zmniejszyć, o tyle nigdy nie holdowałem zasadzie, by budżet był zasadniczo bardzo niski. Bardzo niski budżet, to budżet państwa o niskim poziomie. My nie możemy mieć bardzo niskiego budżetu, bo zginiemy; to było i jest mojem najgłębszem przekonaniem.

Ale w 1925 roku powinniśmy byli mieć budżet niższy od uchwalonego, czyli, że Sejm zamiast podnieść wydatki, powinien był je zostawić w ogólnej wysokości przez rząd zaprojektowanej. Ogólna zaś ta wysokość dałaby różnicę całych 188 milj. zł., czyli nieco nawet więcej niż wyniósł ostatecznie deficyt kasowy i nadmierna emisja biletów zdawkowych. Budżet, który rząd wniósł na 1925 r., zamykał się bowiem w sumie 1982 milionów złotych, a budżet, który wyszedł z Sejmu wyrażał się sumą 2170 milionów złotych. Cyfry podają z budżetem poczt brutto i dla tego są one o kilkadziesiąt milionów złotych większe od tych, które zwykle są przytaczane co do lat 1924 i 25 w sprawozdaniach, które się pojawiały w 1926 i 27 r. Objasnia się to tem, że poczynając od r. 1926 w budżecie poczta rachowana jest netto, co obniża budżet ogólny zarówno dochodów, jak i wydatków o całą pozycję wydatków pocztowych, które wyniosły w budżecie w 1925 sumę 86,987.367 zł. Bez tej sumy budżet, który wniósłem na 1925, wynosił 1,892 milj. złotych, czyli był o 9 milionów większy od budżetu Zdziechowskiego, który zeszedł do rozmiarów najbardziej okrojonego budżetu, jaki tylko był możliwy. Po ustąpieniu mojem z rządu dały się słyszeć opinie, że nawet budżet który wniósłem by za wysoki. Istotnie wykonanie budżetu wykazało, że wydaliśmy nieco mniej, bo tylko 1969 milj. złotych. Czyż zatem rząd nie powinien był sam skrócić jeszcze budżetu na 1925 r.? Przecież budżet na 1924 r. był mniejszy. Czyż godziło się w roku nieurodzaju projektować większe wydatki, niż w roku urodzajnym poprzedzającym. Odpowiedź na to jest prosta: budżet na 1924 był już budżetem bardzo skromnym i to przy poziomie cen mniejszym niż w 1925. Zamknąć budżet na 1925 r. w ramach 1924 r., było rzeczą zbyt trudną, ale z tego, że budżet na 1925 r. był większy niż na rok 1924, nie wypływa bynajmniej, iżby akcja oszczędnościowa rządu została w 1925 istotnie sfolgowana. Przecież w ciągu całego roku 1924 i 1925 akcja ta nieustannie prowadzoną była z całym natężeniem.

Ilość urzędników i funkcjonariuszy państwowych, o który budżet 1924 został skrócony w porównaniu z 1923 r., wyraziła się cyfrą 22.652, a ta ilość, o którą został skrócony budżet 1925 w porównaniu z 1924 r. wynosiła 22.962 osób; razem w ciągu dwóch lat zmniejszono ilość urzędników i funkcjonariuszy, otrzymujących uposażenie państwowe, o 45.614, a prócz tego na kolejach państwowych, w lasach i zakładach graficznych zredukowano pracowników 15.883, razem w budżetach na r. 1924 i 25 dokonano oszczędności przez zredukowanie 61.497 osób. Prócz tego zniesiono tabory i konie wyjazdowe, których dawniej była rażąca obfitość. Ustanowiono normy ubrań, opału i światła w urzędach

państwowych, przeprowadzono lustrację domów i mieszkań urzędniczych, oraz zapasów materiałów i zaprowadzono ściśle wyrachowanie się z każdego szczegółu. Lata 1924 i 25 były świadkami wielkiej pracy na polu oszczędności państwowych i pogląd, jakoby budżety tych lat nie opierały się na zasadach oszczędności, jest zasadniczo mylny.

Niemniej błędem było z mej strony, że nie oparłem się energicznie temu, by Sejm nie podnosił budżetu o ogólną sumę 188 milionów. Różnica 188 milj. między budżetem rządu i Sejmu wynikała w znacznym stopniu z tego, że drożyzna w drugiej połowie 1924 wzrosła i trzeba było zastosować powiększony mnożnik dla płac. Ale zamiast żeby do tego czynnika, który automatycznie podniósł wydatki, dodawać, jak to zrobił Sejm, różne jeszcze wydatki z inicjatywy poselskiej, należało wprowadzić takie redukcje wydatków, które by wpływ zwiększonej mnożnej na ogólną sumę wydatków sparaliżowały, i utrzymały ogólną sumę budżetu poniżej dwóch miliardów.

Takie stanowisko było jedynie słusznem i celowem. Ono jedno gwarantowało istotną i realną równowagę budżetu, a nie to co, w zamian za rozdymanie ogólnej sumy wydatków, uznał Sejm za główny sposób zachowania równowagi: budżety miesięczne.

Nie ulega wątpliwości, że moje zapatrywania na ogólną sytuację budżetową nie były dość pesymistyczne i że wiele z moich oświadczeń w pierwszej połowie 1925 było zbyt optymistycznych. Wpływało to z tego, iż chciałem dodawać ducha społeczeństwu dla przetrzymania kryzysu. Nie była to droga właściwa. Optymizm mój zbyt udzielał się sferom sejmowym w pojmowaniu ich obowiązku wobec budżetu, a zbyt mało wpływał na producentów i na sfery gospodarcze w zakresie energii gospodarczej, natężenia pracy i gotowości płacenia podatków. Dziś łatwo sobie z tego mogę zdawać sprawę. Ale jeżeli zbytnim optymizmem nacechowany był mój stosunek do budżetu w pierwszej połowie 1925, to był on jeszcze bardzo umiarkowany w stosunku do optymizmu samego Sejmu. Najbardziej rozważny z posłów w ujmowaniu spraw budżetowych prezes komisji Zdziechowski i ten nie ustrzegł się nadmiernego optymizmu. Kto z nas dwóch zaraził się optymizmem, czy ja od niego, czy on odemnie, to trudno określić, gdyż przed jego wglądem nie było żadnych tajnych w Skarbie aktów i dokumentów, wszystkie wykazy i papiery były mu przedstawiane i mógł on wyrobić sobie o stanie rzeczy swój sąd zupełnie samodzielnie.

Jeżeli błąd optymizmu w ocenie sytuacji budżetowej był błędem powszechnym i to większym u innych, niż u mnie, to niedocenianie sprawy przeciążenia podatkowego może być prędzej położonym na mój wyłączny karb. Istotnie bowiem Zdziechowski nieustannie podkreślał, że podatki u nas są zbytnim ciężarem dla produkcji. Nie wyprowadzał z tego zresztą Zdziechowski wniosku o konieczności rewizji podatków, ale sygnalizował słaby punkt, na który nie zwracałem należycie uwagi. W ciągu 1925 r. na ogół wszystkie podatki i opłaty wpływały w sposób normalnie przewidziany, ale wpływy z podatku majątkowego zamiast 300 milj. złotych, znajdujących się w budżecie, dały zaledwie 61.4 milj. Co prawda na 300 milionów nigdy nie rachowałem i wprowadzałem je do budżetu, bo tak wynikało z ustawy o podatku, z góry na trzy lata obliczonej. Było to zdecydowane także nie przy mnie. W moim projekcie podatku majątkowego z 1923 roku liczyłem na 200 milionów rocznie z tego źródła. Tyle istotnie wpłynęło w 1924 r. Na tyle tylko można było rachować w 1925. Gdyby nie kryzys, który nastąpił, wpływy istotnie mogły być okazać się do tej cyfry zbliżone. Tymczasem uzyskaliśmy tylko 61,4 miliona.

Wobec nieurodzaju dawałem szeroko odroczenia płacenia podatku majątkowego do jesieni 1925 r. Ale, jak zobaczymy, ta jesień okazała się właśnie najbardziej krytyczną. Do kryzysu dołączyła się kampanja antypodatkowa.

Przeciążenie podatkami stało się przedmiotem jaskrawych skarg właśnie na jesieni 1925 r., gdy wszyscy uważali, że nastął moment porachunków z rządem, z chwilą gdy autorytet jego upadł po zachwianiu się kursu złotego i jego spadku. Przeciążenie to istniało w stanie ukrytym już wcześniej, gdyż dochody skarbowe w maju i czerwcu nie stanęły na należytych poziomach.

Obok podatku majątkowego, który, będąc uchwalonym przez Sejm w nadmiernej wysokości, przerastał zdolność płatniczą ludności, czego zasadniczo byłem zawsze świadom, i czemu dałem następnie wyraz w złożonym Sejmowi projekcie nowelizacji ustawy, podatki dochodowe i obrotowe przedstawiały teren ciągłych nieporozumień między rządem i społeczeństwem.

Rząd miał dane stwierdzające, że cyfry obrotu i dochodu całego społeczeństwa są znacznie niższe od rzeczywistych. — W społeczeństwie zaś szerzył się pogląd, że uczciwi obywatele kraju wydani zostali na łup samowoli przy określaniu wysokości podatków. Kto tutaj ponosił winę tych nieporozumień, trudno ścisłą miarą to określić. Zapewne, że urzędy skarbowe nie były bez winy. Ale i społeczeństwo znaczną część winy ponosiło za stan, który się wytwarzał.

Jeden z autorów bezimiennej pracy na konkurs Banku Gospodarstwa Krajowego na temat „Program gospodarczy Polski”, (godło Kotwica), podkreślił fatalny wpływ na ogólną wydajność podatków złej organizacji komisji podatkowych. Komisje te, zdaniem autora, „złożone są w większości wypadków z ludzi należących do towarzystwa wzajemnego popierania się w uchylaniu się od płacenia podatków. — Wynikiem tego były prowokacyjnie wysokie wymiary ludziom niezamożnym, przy równoczesnym masowym wymiarze podatków stosunkowo zbyt niskich potentatom finansowym, związanym całym spłotem interesów z członkami komisji szacunkowych, a w stosunku do Państwa nastroszonych co najmniej wątpliwie. — Dalszym wynikiem tego było powstanie w szerokich masach społeczeństwa błędnego zgoła mniemania, jakoby nałożone przez Państwo podatki były w ogólnej swej sumie za wielkie.”

Tak pisał autor bezstronny w 1926 r. Tak też te sprawy rozumiałem w 1924/25 r. Ale Sejm miał inny pogląd na nie. Otrzymując zażalenie z kół podatników, nie znajdował nic lepszego jak winić urzędy. Wybrał też Sejm wiosną komisję śledczą dla zbadania działalności urzędów podatkowych, — w Lwowskiej Izbie Skarbowej.

Szereg posłów wyjechało na miejsce, zbierali zażalenia, odgrywali rolę sędziów nad urzędnikami. Komisja ta sporządziła długi protokół, stawiający szereg drobiazgowych i nic nie znaczących zarzutów. Żadnych głębszych jednak niedomagań podatkowych ona nie wykazała. Do żadnych płodnych zarządzeń nie dała podstawy. Była ona jedynie wyrazem intrygi przeciwko rządowi skierowanej i zachętą dla akcji antypodatkowej ze strony społeczeństwa.

ROZDZIAŁ XXVI

Początki sprawy bilonu i niebezpieczeństwa utrzymania realnej równowagi budżetowej

Należy rozróżnić sprawy biletów zdawkowych od bilonu. Wiele osób gdy mówi o bilonie ma na myśli bilety zdawkowe.

Bilon jest to moneta zdawkowa, a więc moneta nikłowa i srebrna. — Póki trwało nasykanie rynku samym bilonem, sprawy jego nadmiaru nie było. Wprawdzie często worki z bilonem nikłowym wędrowały z rąk do rąk nie rozpieczętowane po parę miesięcy, tworząc nową monetę stu złotych nikłowych, ale było to zjawisko przejściowe. Natomiast wszystkie srebrne monety jedno czy dwu złotowe chętnie były od razu pochłaniane. Pięć złotych srebrne miały zapewnioną pojemność.

W końcu 1924 r. i w pierwszym kwartale 1925 r. szło o rozprowadzenie w obiegu monet nikłowych. Nasykanie rynku monetami srebrnymi następowało od stycznia do czerwca 1925 r. Na 30 czerwca 1925 r. było w obiegu 83,5 milj. zł. monet srebrnych, 52,6 milj. zł., nikłowych i 107,9 milj. zł. biletów zdawkowych. Tych ostatnich znajdowało się w obiegu na 30 czerwca mniej niż na 28 lutego, kiedy było ich w obiegu 119 milj. Mniej wtedy za to było w obiegu srebra, bo tylko na 17 milj. A więc w ciągu pierwszego półrocza 1925 roku nastąpiła znaczna poprawa jakościowa naszej monety zdawkowej. A pomimo to już wtedy podniesiono i rozgłoszono sprawę bilonową.

Kwestja bilonu jest tak nazwaną błędnie, gdyż właściwie powinna ona być nazwaną kwestją biletów zdawkowych. Gdybyśmy jednocześnie z wpuszczaniem do obiegu nikłowych 50 groszówek wycofywali z obiegu bilety jednozłotowe, wówczas nie kursowałyby nie rozpieczętowane worki z bilonem nikłowym, jak to miało miejsce na wiosnę 1925 roku. Gdybyśmy, powiększając ilość monet srebrnych w obiegu, zmniejszali choćby w powolniejszym tempie ilość biletów skarbowych, również nie mielibyśmy kwestji tak nazwanej bilonowej.

Pierwsze objawy przesylenia rynku biletami zdawkowymi okazały się już w kwietniu i maju przy wypłatach pensji urzędnikom. Wtedy stało się widocznym, że w miarę

puszczania na rynek monet srebrnych wracają do kas bilety jednozłotowe oraz nierozpieczętowane worki z niklem. — Chcąc z powrotem puścić do obiegu te pieniądze, trzeba było wypłacać niemi pensje urzędnikom. Stąd wytworzyło się wrażenie, że rząd widocznie powiększa nieustannie ilość biletów i niklu. Było to niesłuszne. Ilość bilonu niklowego w obiegu do końca marca wcale nie wzrastała, tak samo jak ilość biletów. Rosła ilość srebra, a publiczność miała wrażenie, że rząd wypuszczał wciąż nowe ilości bilonu niklowego i papierków jednozłotowych.

Ministerstwo Skarbu nieustannie zwracało uwagę kas skarbowych oraz Banku Polskiego, żeby nie robić wypłat workami z niklem zapieczętowanymi, a tylko rulonami, co by stanowiło duże ulepszenie w rozprowadzeniu niklu między publicznością. Ale to przedstawiało trudności techniczne, które nie mogły być od razu usunięte. Gorzej było z nadmiarem w kasach skarbowych biletów jednozłotowych.

O ile drobnych monet zdawkowych był już widoczny nadmiar, brak było w obiegu papierków 5 złotych. Były to papierki Banku Polskiego. Powinny były one być wyciśnięte z rynku przez monety srebrne 5 złote.

Wprowadzenie w obieg 5 złotych srebrnych niewątpliwie wpłynęłoby na uregulowanie sprawy bilonowej dodatnio. Jednocześnie widocznym było, że jednozłotowe papierki należy zamienić 2 złotowami, bądź monetami srebrnymi, bądź papierkami. Wobec znacznej ilości niklu półzłotowego i jednozłotowych monet srebrnych istnienie biletów jednozłotowych było zupełnie zbędne. Rząd przystąpił istotnie do zupełnego wycofania ich i zastępowania papierkami dwu złotowami.

W programie rządu leżało również nasycenie rynku monetami drobnymi 5-cio złotowami, których bicie było zamierzone. W ciągu lata 1925 miało się odbyć właśnie wypuszczenie tych monet. Niestety fatalny bilans handlowy i odpływ gwałtowny walut z Banku Polskiego musiał skłonić rząd do odstąpienia od tego planu. — Zamówienia na srebrne pięć złotych zostały cofnięte, a zamiast tego zostało uplanowane, że rząd będzie wypuszczał pięć złotych papierowe.

Zanim jednak pięć złotych zostały w obieg puszczane, Bank Polski zaniepokoił się tem, że zbyt duża ilość biletów jednozłotowych i dwuzłotowych wracała do Banku i że skutkiem tego wytwarzał się nienormalny charakter obiegu, gdyż zbyt duże wypłaty musiały być dokonywane temi biletami, co przeczyło ich charakterowi, jako monet zdawkowych. — Chcąc ten obieg uregulować wiceprezes Banku Dr. Młynarski w czerwcu, w czasie bytności na urlopie Prezesa Karpińskiego, zaproponował, by wprowadzić zarówno dla rządu, jak i dla innych instytucyj, a nawet osób prywatnych, fakultatywnie dwa konta: jedno w biletach Banku Polskiego, drugie w biletach zdawkowych i bilonie. Co wpłynie na to drugie konto, to będzie mogło być dysponowane w tych samych biletach i w bilonie, ale kto będzie chciał dysponować biletami, ten będzie musiał mieć je na swoim rachunku na osobnym koncie. Cel Banku był taki, by za bilety zdawkowe nie można było nabywać walut zagranicznych. Miało to na widoku ochronę złotego od spadku, czego już wtedy można się było obawiać.

Widząc, że drogą tej propozycji Bank Polski chce brać całkowitą odpowiedzialność za losy banknotu swego, zgodziłem się na nią, będąc świadom, że w danym zarządzeniu mieści się ryzyko groźne dla biletów zdawkowych. Propozycja Banku Polskiego i układ który w myśl jej nastąpił było to pod pewnym względem wprowadzenie dwuwalutowości formalnej, podobnej do zaprowadzonej obecnie w Belgji. Istnieje tam nowa moneta „belg”, który służy do stosunków międzynarodowych, a zostawiony jest frank dla obiegu wewnętrznego. Z chwilą, gdy Bank Polski wprowadzał dwa rachunki, osobny dla biletów swoich oraz inny dla biletów rządowych, z tem, że waluty obce sprzedaje tylko na podstawie pierwszego rachunku, wprowadził tem samem Bank Polski drugą walutę, pod postacią biletów zdawkowych, mających pełny obieg w kraju, ale które nie miały wcale służyć do stosunków międzynarodowych.

Jeżeli zgodziłem się na daną propozycję Banku, zrobiłem to ze świadomością tego, że choć za tę drugą walutę nabywać dolarów nie będzie można, ale skoro będzie można nią płacić podatki, to nic jej grozić nie może, o ile nie będzie się jej znajdowało zbyt wiele w obiegu. Przy skali płaconych podatków miesięcznie około 150 miljonów złotych znajdowanie się w obiegu takiej samej ilości biletów zdawkowych, przyjmowanych bez żadnych ograniczeń do kas zdawkowych, nie mogło wytworzyć żadnego niebezpie-

czeństwa agia dla dwóch rodzajów papierków i dwuwalutowość, zaprowadzona dwoma rachunkami Banku Polskiego, była tylko fikcją.

Przewidywania moje się sprawdziły i istotnie agia na bilety skarbowe się nie wytworzyło. W ciągu kilku zaledwie pierwszych dni w Wilnie i w niektórych innych miastach kazano sobie za stułotowy papierek dawać więcej biletów zdawkowych niż za sto złotych. W Warszawie nigdy to nie miało miejsca. Przepowiadanej przez niektórych dwuwalutowości nie okazało się w istocie rzeczy zupełnie.

Dwa rachunki w Banku Polskim okazały się dla Skarbu dogodne. Rachunki te w ciągu każdego miesiąca układały się tak, że rachunek w banknotach wystarczał na potrzeby walutowe i na większe jednorazowe wypłaty.

Zarządzenia Banku Polskiego o dwóch kontach, jednym banknotowym, drugim zdawkowym, nie sprowadziło żadnych realnie ujemnych skutków, ale wywołało kwestję bilonową.

W Komisji budżetowej Sejmu i Senatu zaniepokojono się sprawą, żądano wyjaśnień, których udzielałem; żądano by więcej biletów skarbowych nie wypuszczać. Żądanie takie było nieuzasadnionem wobec tego, że w budżecie dopiero co uchwalonem i to z deficytem figurowała pozycja dochodu Skarbu z bilonu i biletów zdawkowych w wysokości 128 milj. złotych. Do wyczerpania tej sumy, przyznanej w budżecie, było daleko, a do ustawowej granicy emisyjnej było jeszcze dalej. Pomimo to wygłosiłem opinię, że zapewne więcej już biletów zdawkowych emitować nie będzie potrzeba. Omyliłem się w tym względzie. Nie mogłem wiedzieć wtedy w ciągu czerwca, że właśnie czerwiec i lipiec staną się okresami bardzo krytycznymi właśnie dla równowagi budżetów miesięcznych i dla dopływu do kas normalnych dochodów.

Niemniej nie można kwestji biletów zdawkowych uważać za podstawowy czynnik kryzysu, który się następnie zarysowywał. W końcu czerwca i w lipcu, gdy kwestja ta wynikła, daleko było do wyczerpania emisji uchwalonej w budżecie, a na realne stosunki kursu złotego ilość biletów zdawkowych nie mogła wywierać wpływu wobec tego, że Bank Polski zaprowadził dla nich zupełnie osobny rachunek.

Jeżeli późniejsi znawcy finansowi, (których Polsce duża ilość przybyła) uznali, że błędem było pokrywać wydatki budżetu 1925 r. częściowo biletami zdawkowymi i bilonem, to stwierdzić należy, że przy uchwalaniu budżetu na 1925 r. nikt, ani referent główny i prezes komisji Zdziechowski, ani krytyk nieustanny Byrka nie protestowali i nie krytykowali ani słowem tego źródła dochodów budżetowych. Byrka wystąpił z krytyką biletów dopiero wtedy, gdy rząd wniósł projekt, by zaniechać bicia bilonu srebrnego i zastąpić go pięcioletówkami papierowymi, oraz wtedy, gdy Bank Polski otworzył osobne rachunki, w biletach swoich i w bilonie. Było to po uchwaleniu już budżetu.

W pracy swojej *Druga inflacja Polska* prof. Taylor postawił twierdzenie, że wobec małej ilości ogólnej sumy obiegu bankowego norma biletów zdawkowych i bilonu 12 złotych na mieszkańca była zbyt wielka i że nie powinna ona była przekraczać normy 200 milionów złotych. Jednocześnie prof. Taylor postawił drugą tezę, że ilość banknotów, łącznie z bilonem i biletami zdawkowymi, nie powinna była przekroczyć 600 milionów, czyli, że ilość banknotów nie powinna była przekroczyć 400 milionów. Otóż tę ostatnią normę przekroczył Bank Polski już we wrześniu 1924 roku, a normę 200 milionów przekroczył rząd dopiero w końcu maja 1925 roku.

O normie 200 milionów biletów zdawkowych i bilonu ani w 1924, ani w 1925 r. nigdy nie było mowy, nikt jej nie stawiał, nikt jej nie bronił. Wszyscy uważali, że należy zwiększać środki obiegowe. Pomimo to rząd ostrożnie to czynił i jak się okazuje tempo tego zwiększania było ze strony rządu w ciągu całego 1924 i aż do maja 1925 r. dużo bardziej ostrożne i wstrzemięźliwe, niż ze strony Banku Polskiego, który pierwszy wszedł na drogę nadmiernej emisji pieniężnej bankowej, co spowodować musiało w dalszem następstwie i nadmierną emisję pieniędzy skarbowych (bilonu i biletów zdawkowych).

Gdyby teoria o tem, że bilonu i biletów nie powinno być w obiegu więcej niż 200 milionów lub więcej jak 50% emisji bankowej była postawiona wcześniej, przed uchwaleniem budżetu na 1925 r., wtedy byłoby rzeczą możliwą powstrzymać wysokość uchwalanych wydatków, które biletami zdawkowymi miały być pokrywane. Ale te teorie, pełne przezorności, sformułowane zostały dopiero w 1926 r. W ciągu całego 1925 r. panowało

powszechne mniemanie, że bolączką naszą, wywołującą kryzys jest szczupłość naszych środków obrotowych.

Już poprzednio zaznaczyłem, że po świetnych wynikach finansowych ostatniego kwartału 1924 r., ujawnił się w 1925 r. stan znacznie mniej zadawalniający. Wprawdzie to, że dochody są mniejsze w początku niż w końcu roku, było rzeczą z góry wiadomą, tak że Ministerstwo Skarbu z tem się liczyło i układało budżety miesięczne z takim wyrachowaniem, by w początku roku wypadło nieco mniej wydatków niż w końcu roku, niemniej jednak wpływy dochodowe w 1925 r. stawały się stopniowo coraz bardziej szczupłe. Wobec tego, że zapas kasowy na 1925 r. po pokryciu w styczniu pozostałości z roku zeszłego stopniał do 50 milj., pozostało jako główne źródło dochodów nadzwyczajnych na 1925 r. uchwalenie w budżecie 128 milj. zł. dochodu z bilonu i biletów zdawkowych. Należało sumę tę rozłożyć na 9 pierwszych miesięcy lub 3 kwartały z tem, by na każdy z tych kwartałów wypadło z tego źródła nadzwyczajnego nie więcej jak 43 milionów.

Istotnie w I kwartale 1925 roku niedobór innych dochodów prócz dochodów z bilonu wyniósł równo 43 milj. Stało się to dzięki temu, że wydatki w tym kwartale wyniosły nie więcej jak 453,5 milj. zł., to jest mniej niż 1/4 całego budżetu.

Sądząc podług zwykłego i naturalnego biegu rzeczy, drugi kwartał roku powinien dać więcej dochodów niż pierwszy, gdyż wypadają w nim główne terminy płatności podatków z pierwszego półrocza. Istotnie, gdy w pierwszym kwartale wszystkie dochody prócz bilonu i biletów dały sumę 410 milionów, w drugim doszły one do 455,6 milionów. Gdyby przeto wydatki w tym drugim kwartale były utrzymane na poziomie kwartału pierwszego, okazałoby się, że deficytu żadnego by nie było i że normy bilonu i biletów, wskazane do wyzyskania w budżecie, zupełnie nie potrzebowały być użyte i pozostałyby w zapasie na następne miesiące.

Tymczasem właśnie w tym drugim kwartale okazało się, po raz pierwszy, że normy budżetów miesięcznych wymknęły się z rąk Ministra Skarbu, jako oręż posiadający moc regulowania biegu wydatków, gdyż doszły one do wysokości 502,6 milj.

Największą sumę wyniosły wydatki w czerwcu bo 189 milj., podczas, gdy Ministerstwo Skarbu trzymało się tego, by do przekraczania normy 150 milj. miesięcznie nie dopuszczać.

Wprawdzie niedobór drugiego kwartału wyniósł tylko 47 milionów zł., to jest zaledwie o 4 milj. więcej, niż było to dopuszczalnem ze stanowiska prawidłowego planu rocznego, ale zawód, jaki sprawiło tempo wzrostu wydatków w czerwcu, przy tempie spadku dochodów zwyczajnych w ciągu całego drugiego kwartału 1925 r., był niebezpiecznym i źle wróżył o najbliższej przyszłości.

Podczas gdy w kwietniu dochody zwyczajne wyniosły 173 milj. zł., w maju spadły do 141,70 a w czerwcu do 134,9 milionów. W kwietniu dochody zwyczajne starczyły na pokrycie wydatków zwyczajnych i nadzwyczajnych, w czerwcu były o 54,1 milionów mniejsze, a od samych wydatków zwyczajnych dochody zwyczajne były mniejsze o 23,1 milionów, co było w ciągu całego 1924 i początku 1925 r. rzeczą zupełnie niezwykłą.

Miesiąc czerwiec dał rezultaty wprost fatalne. Nastąpiło załamanie na froncie skarbowym, który dotychczas trzymał się mocno. Miesiąc lipiec to załamanie się jeszcze silniej uwidocznił. W tym miesiącu dochody skarbu zwyczajne wyniosły nieco więcej niż w czerwcu, gdyż doszły do 144,3 milionów, ale wydatki zwyczajne dosięgły sumy 166,1 milionów, a wraz z nadzwyczajnymi 190 milionów. Deficyt wyniósł 45,8 milj.

Wprawdzie w sierpniu zdołałem już zaprowadzić równowagę budżetową, ale nie mniej było już widocznem, że sytuacja była naprężona do ostatnich granic i że jedynie dobra jesień, na którą rachowałem, byłaby ją mogła zupełnie wyrównać. Wobec znakomicie zapowiadających się urodzajów, wszyscy na tę dobrą jesień rachowali, a ona właśnie największy następnie miała sprawić zawód na każdym polu.

Czem objaśnić to, że do maja włącznie sytuacja skarbową była dobra i normalna i że właśnie w czerwcu nastąpiło załamanie. Jeżeli spojrzeć na 1924 i 1926 rok, widzimy że czerwiec i lipiec nie są złymi miesiącami i że w tych dwóch latach dochody zwyczajne skarbu były niższe niż w maju. A więc to, że w 1925 roku były one niższymi było niespodzianką i było to wynikiem kryzysu wewnętrznego społeczeństwa. Wprawdzie dla wydatków te dwa miesiące są stale co rok niedobre dla skarbu, gdyż w nich reguluje się wiele zobowiązań półrocznych, ale różnica w tym wzroście wydatków w 1925 r. była również szczególnie wielką.

Jeżeli spojrzymy na liczby bezrobotnych to okaże się, że miesiące czerwiec i lipiec 1925 r. nie były wcale złymi miesiącami. Bezrobotnych było wtedy mniej niż w lutym, marcu i kwietniu 1925 r., znacznie mniej niż w ciągu całego następnego okresu od sierpnia po dziś dzień. Załamanie się skarbowe, jakie wtedy nastąpiło miało za powód rozpoczynający się kryzys ogólny całego naszego społeczeństwa, kryzys o podłożu jednocześnie materialnym i psychicznym, który trwał już od roku, ale który doprowadził dopiero z czasem do ostrych odruchów i masowych rozprzężeń.

Przewyżka faktycznych wydatków w czerwcu i lipcu 1925 roku ponad preliminarze miesięczne była dowodem pewnego rozprzężenia w rządzie samym. W jednym z ministerstw wyszedł rozkaz, by wykorzystać w tych miesiącach wszystkie niewydatkowane z poprzednich miesięcy kredyty. Ściąganie dochodów też się rozluźniło. Wobec ciągłych żalów na ciężar podatków, poleciłem by udzielać odroczeń i zbyt łatwo widocznie z tego korzystano. Podatnicy zaczęli spekulować na zwłokę. Gdy na jesieni 1925 r. jeden bank poważnie się zachwiał i nie wypłacał wkładów, przyszło do mnie kilku poważnych podatników z tem, że oni uzyskali, to jest wyprosili, odroczenia podatkowe do jesieni i na to konto składali sobie pieniądze w banku, w którym dawano im wyższy procent, niż był wymagany przez skarbu przy odroczeniach i że nie będą oni mogli teraz zapłacić podatku, o ile bank nie zwróci im pieniędzy.

Zaznaczyłem wyraźnie, że w czerwcu i lipcu 1925 r. nastąpiło załamanie się frontu budżetowego i że to spowodowało nadmierną emisję biletów skarbowych. To załamanie się i ta emisja niewątpliwie odegrały swoją rolę w dalszym kształtowaniu się kryzysu walutowego, który nastąpił. Czy jednak kryzys ten został wprost spowodowany przez tę emisję, w to należy wątpić. Jakkolwiek wpuszczenie do obiegu 100 milionów biletów zdawkowych w ciągu dwóch miesięcy było to danie dawki niezdrowej i niebezpiecznej, jednak ogólna ilość biletów będących w obiegu przed spadkiem złotego nie była jeszcze tak duża, by spadek ten mogła spowodować. — Część przeważna tych 100 milionów była wpuszczona do obiegu pod postacią srebra i ta ujemnego wpływu wywierać nie mogła. Na 31 lipca, gdy złoty spadł, mieliśmy w obiegu biletów skarbowych zaledwie na 134,5 milionów, co stanowi w stosunku do biletów bankowych nie całe 30%.

Tymczasem emisja skarbowa w Niemczech w tymże czasie na 1 lipca 1925 r. wynosiła w stosunku do bankowej 63,5%, w Stanach Zjednoczonych 58,6%, w Anglii 167,5%. Jeżeli pozostawimy te dwa ostatnie kraje na boku, jako niewspółmierne z nami, to przecież fakt, że w momencie gdy się złoty załamał, emisja skarbowa u nas była stosunkowo zgórz dwa razy słabsza niż w Niemczech, powinien chyba jasno jak na dłoni wykazać, że upatrywać głównej przyczyny załamania się złotego w tem, że w czerwcu i lipcu zostały deficyty budżetowe pokryte biletami skarbowymi, w proporcji istotnie nadmiernej, byłoby zupełnym błędem. Proporcja ta była czynnikiem fatalnym, gdyż wskazywała na niebezpieczeństwo dalszego prowadzenia nawy skarbowej przy tak dużym deficycie miesięcznym, ale te dwa zaledwo miesiące istotnie wielkich niedoborów dochodów zwyczajnych nie były jednak w stanie zaszkodzić walucie, gdyby nie zachodziły inne wpływy i okoliczności, które jej kurs poderwały.

Waluta się zachwiała, bo kryzys ogólny, który się objawiał w rozprzężeniu społecznym i rządowym pogłębił swoje koryto i porwał w wir swego pędu walutę polską. Co się do tego głównie przyczyniło zobaczymy następnie.

ROZDZIAŁ XXVII

Wojna celna z Niemcami

Od początku 1925 r. przystąpiliśmy do rokowań z Niemcami o umowę handlową. Poprzednio zawarliśmy umowę z Francją, Danją i Holandją. Z Niemcami i Czechami traktowaliśmy o umowę jednocześnie.

Gdy przystępowaliśmy do umowy z Niemcami wyłonił rząd delegację, której zadanie wydawało się na razie analogicznym do tych, które załatwiały umowy handlowe z innymi krajami.

Na samym wstępie narad z Niemcami jeden z członków delegacji, ówczesny dyrektor Ministerstwa Przemysłu i Handlu p. Tennenbaum, po zetknięciu się ze stroną niemiec-

ką nabrał przekonania, że Niemcy rozpoczynają z nami grę, która z ich strony zmierza widocznie do wypowiedzenia nam wojny celnej, wybierając jako motyw do tego wypowiedzenia nam odbioru węgla z naszego Górnego Śląska, termin dla obowiązkowego przyjmowania którego kończył się 15 czerwca.

Mieliśmy jeszcze kilka miesięcy czasu, aby się przygotować, ale inni członkowie delegacji uznali, że podejrzania co do złych zamiarów niemieckich są nie uzasadnione. Dopiero w maju delegacja zaczęła brać niebezpieczeństwo ze strony Niemiec za prawdopodobne i rozpoczęły się z naszej strony przygotowania do odparcia ataku.

Co do sposobu, jak należy się na atak niemiecki przygotować, odrazu powstały dwie opinie: jedna, że należy zająć stanowisko bierne i w razie zamknięcia dla naszego węgla granicy niemieckiej protestować, upominać się i wchodzić w układy, by uzyskać zwolnienie dla naszego wywozu, drugie by przyjęc wyzwanie i zareagować na nie zakazem wwozu do Polski różnych towarów z Niemiec.

Delegacja podzielała właściwie pogląd pierwszy, tak samo zresztą jak większość przedstawicieli ministerjalnych. Ale pogląd ten nie był wypowiedziany jasno i wyraźnie. Wiadziałem, że właściwie większość była w rozterce, co począć. Rozumiano, że Niemcy gotowi są dążyć do upokorzenia nas i że warto byłoby ich ataki odeprzeć, jak należy. Ale obawiano się, że może to nas za drogo kosztować, że Niemcy wtedy nie poprzestaną na węglu, a zastosują inne jeszcze do nas ograniczenia, że zaognioną zostanie na całej linii walka celna, która mogłaby doprowadzić do naszej zupełnej przegranej.

Oglądano się na mnie, gdyż tylko ja jeden mogłem powiedzieć, czy stać nas na to, by iść świadomie na wojnę celną z Niemcami.

W maju nie mogłem dostrzedz jeszcze kryzysu skarbowego, który się rozpoczynał i który właściwie rozwinął się w czerwcu i lipcu. Wziąłem zaś pod uwagę to, że jeżeli Niemcy chcą nam wojnę wypowiedzieć, to nasza uległość wobec nich wcale nas od tej wojny nie ochroni. Miałem na myśli to, że wszak Niemcy zepsuły nam pożyczkę Dillona. Jeżeli mają oni zamiar przypuścić do nas atak na polu gospodarczym, by zmiażdżyć naszą naradzającą się siłę finansową, to czem bardziej my okazywać się będziemy wobec nich uległymi, tem gorsze będą oni nam przygotowywali ciosy. — Strategia ich bowiem jest znana i ustalona. Ustąpić Niemcom i przejść nad zamknięciem granicy dla węgla Górnośląskiego do porządku dziennego, zgodzić się na to, by Niemcy, które wówczas kupowały węgiel angielski, zabroniły kupować węgiel Polski, byłoby to dać Niemcom dowód, że my się boimy zmierzyć z nimi nasze siły.

Rozważając ogólną sytuację Polski i Niemiec, zdawałem sobie z tego sprawę, że Polska, której połowa przywozu i wywozu przypadła na Niemcy ulegnie w razie wojny celnej silniejszemu wstrząsowi od Niemiec, dla których stosunek wymienny z Polską wyrażał się 10% w porównaniu ze stosunkami z innymi krajami. Ale rozumiałem również, że dla naszego bezpieczeństwa i niezależności gospodarczej jest rzeczą ważną, abyśmy właśnie ten stosunek zbytniego uzależnienia gospodarczego od Niemiec zmienili i weszli w kontakt bliższy z innymi krajami.

Nie pragnąc bynajmniej zerwania stosunków celnych z Niemcami, które bądź co bądź zawierało w sobie duży element ryzyka, rozumowałem, że zasadniczo nie wolno nam się go lękać, a trzeba się doń jedynie dobrze przygotować, czyli mieć rozplanowany cały szereg środków odwetowych, w razie ataku pierwszego i następnych ze strony niemieckiej.

Zdecydowałem przeto, że w razie ataku niemieckiego idziemy na wojnę celną. Wszyscy musieli się tej mojej decyzji poddać, bo była ona najbardziej państwową. Ale była to decyzja bardzo odpowiedzialna. Sam miałem odczucie, że nastają chwile bardzo dla nas trudne i niebezpieczne. Członkowie delegacji mieli wiele co do przyszłości obaw. Łudzili siebie i innych przypuszczeniem, że może Niemcy nie zdecydują się na wykorzystanie terminu 15 czerwca, że może mniejszą ilość węgla, ale nie zabronią całkowicie jego dowozu. Zhudzenia te trwały do ostatniego dnia. Dopiero dnia 15 czerwca stało się jednak wiadomem, że Niemcy zamykają wywóz naszego węgla definitywnie. Jeszcze niektórzy łudzili się, że to się da cofnąć i ułożyć. Proszono mnie bym ze środkami odwetowymi czekał i wstrzymywał się z nimi choć parę dni. Jednocześnie miałem na głowie sprawę rachunków bilonowych w Banku Polskim i ataki z tego powodu w Sejmie i Senacie.

Jednocześnie gromadziły się trudności budżetowe. Druga połowa czerwca zaczynała się zarysowywać jako moment tragiczny.

Od decyzji zgóry i z rozmysłem przyjętej, by na atak niemiecki co do węgla Górnośląskiego odpowiedzieć represjami, pomimo piętrzących się różnych wielkich trudności, nie odstąpiłem. To, że trudności wewnętrzne się piętrzyły, to uświadamiało mnie tylko, że Niemcy nie cofną się, by sięgać po owoce swego udanego ataku, w razie gdybyśmy go nie odpierali.

Widocznem było, że Niemcy szykują się, by podnieść kwestję Górnego Śląska. Miałem co do tego informacje, że świata dyplomatycznego nam przychylnego pochodzące. — Chcieli oni wykazać, że nasz Górny Śląsk bez Niemiec egzystować nie może. — Wprawdzie przeczuwałem, że moja decyzja przyjęcia wojny celnej nam wypowiedzianej może nas kosztować drogo, bo może zachwiać kursem złotego, ale nie sądziłem, że tak się istotnie stanie. Wszak do realizacji nowego urodzaju było już tylko nie wiele więcej jak miesiąc.

Czyż byśmy mieli tego nie móż przetrzymać! Skrzyński był w Ameryce i przygotował teren pod to, by Dillon dał resztę pożyczki, dla której termin upływał dn. 1 sierpnia. Zapasy walutowe Banku do tego czasu powinny były starczyć, a od początków sierpnia, gdyby nawet pożyczka nie dopisała, powinny już były wpływać waluty z realizacji i eksportu nowego urodzaju.

Jeżeli zerwanie stosunków celnych z Niemcami miało nas kosztować powstania znacznych utrudnień dla naszego eksportu, to z drugiej strony powinno być przez nas wykorzystane, by wogóle zatamować import do Polski i przygotować polepszenie się całego naszego bilansu handlowego.

Z wojny handlowej z Niemcami, która nas czekała, chciałem ukuć broń, któraby nam dała zasadnicze uzdrowienie naszego bilansu tak, ażeby deficyt jaki trapił Polskę od początku 1924 roku zamienić na odwrotny charakter bilansu, to jest na przewyżkę eksportu skutkiem łącznego działania zahamowania importu, oraz wzmożenia eksportu wywołanego nowym dobrym urodzajem.

Przeprowadziwszy to rozumowanie, które się sprawdziło i które było zupełnie słuszne, dodawałem wszystkim otuchy twierdząc, że Niemcy nie wiedzą jaką nam oddają usługę przez rozpoczęcie kroków wojennych, gdyż pozwolą nam odrobić straty walutowe, jakie ponieśliśmy w roku nieurodzaju. Nie dodawałem tylko, że cała rzecz i trudność polega na tem, byśmy do czasu wprowadzenia w życie tego planu, opartego na realizacji urodzaju oraz na restrykcjach importu, dotrwali.

Na razie wszyscy ulegli mojej dyrektywie co do polityki naszej celnej w związku z wojną przez Niemcy wydanej. Na zakaz wwozu do Niemiec węgla Górnośląskiego odpowiedzieliśmy szeregiem zakazów wwozu ze strony Niemiec. Niemcy odpowiedzieli na to swoją listą innych zakazów, my również wnieśliśmy naszą listę. Niemcy jeszcze raz odpowiedzieli dalszą listą, my także. Nasza odpowiedź pozostała ostatnią. Niemcy już nie mieli co dalej odpowiadać, bo dalsze zakazy wwozu do nich z Polski byłyby dla nich więcej niż dla nas szkodliwe. Niemcy więc pierwsi zaprzestali dalszej walki. Przewidywałem ten stan rzeczy, gdyż wywóz nasz do Niemiec to surowce, których oni potrzebują, a dowóz do nas z Niemiec to fabrykaty, których każdy chętnie nam zawsze będzie się starał dostarczyć. Ten odmienny charakter towarów w handlu między Polską a Niemcami daje nam pewną przewagę przy wojnie celnej. Gdy, po wymianie takich list z zakazami wywozowymi, wzajemne ataki i rewanże ustały, rozpocząłem działania, by daną sytuację wykorzystać dla wzmocnienia ogólnego naszego bilansu handlowego. Zakazy wwozu niemieckiego nie mogły by okazać się skutecznymi, gdyby towar niemiecki mógł przez inne kraje jak Austria, Czechy i inne dostawać się do Polski. Trzeba było zatem sporządzić listy towarów, których wwóz do Polski wogóle musiał podlegać kontroli i reglamentacji. Wprawdzie to narażało nasze stosunki z Austrią i Czechami, z którymi dopiero co zawarliśmy umowy. Ale gdy się jest w stanie wojny, to sojusznicy muszą dużo rzeczy wyrozumieć. Zdawałem sobie sprawę z tego, że z Czechami będziemy musieli się porozumieć i porobić im pewne ustępstwa, ale w każdym razie jasnym było, że potrafimy opanować ruch importowy, skoro poszliśmy na listy towarów dopuszczanych do wwozu; w ten sposób mieliśmy w rękę właściwe środki dla zabezpieczenia naszej waluty. Wojna celna z Niemcami była przyjęta

przezemnie nie lekkomyślnie, nie impulsywnie jedynie, a z rozmysłem i prowadzona była z planem zgóry ułożonym.

Niemcy później przechwalali się, że to oni zdołali zachwiać naszą walutą, podczas gdy ich waluta ani drgnęła. Do takiego wniosku mogli oni dojść na tej zasadzie, że kurs złotego zachwiało się właśnie w kilka tygodni po dojsciu naszej wojny celnej z Niemcami do największego natężenia.

Ale wojna celna sama przez się spadku złotego nie wywołała. Była ona tylko jednym z czynników wśród wielu innych, które się do tego przyczyniły i to czynnikiem więcej pośrednim niż bezpośrednim, jak to następnie zobaczymy.

ROZDZIAŁ XXVIII

Spadek złotego

Zbliżamy się do chwili najbardziej decydującej w 1925 r., do spadku złotego. Nastąpił on w dniu 28 lipca. Sytuacja była naprężona. Trudności budżetowe znaczne. Wojna celna z Niemcami w całej pełni. Odpływ walut z Banku Polskiego nieustanny.

Wykazaliśmy już, że ilość biletów zdawkowych, którymi był pokrywany deficyt ostatnich miesięcy nie była w sumie tak wielka, by mogła ona sama spowodować spadek kursu złotego, gdyż była dużo mniejszą niż w krajach, w których waluty stały zupełnie mocno. Wojna celna z Niemcami w zakresie bilansu handlowego dawała plusy i minusy, które się równoważyły, więc decydującego wpływu wyrzucić nie mogła. Ujemny bilans handlowy był w przededniu przewrotu w kierunku dodatnim, zarówno pod wpływem polityki celnej, wywołanej wojną celną z Niemcami, jak i nowego urodzaju. Cóż zatem było tą przyczyną bezpośrednią, która spadek wywołała.

W miarę zbliżania się do nowego roku gospodarczego deficyt bilansu handlowego stopniowo malał. Wynosił on w kwietniu 92,8 milj. zł., w maju 79,9 w czerwcu 66,3. W tym zupełnie niespodziewanie deficyt ten w lipcu wzrósł do kolosalnej cyfry, najwyższej z dotychczasowych, 94,4 milj. zł. Mylili by się, ktoby sądził, że to właśnie wojna celna z Niemcami tak nam zaszkodziła. Wartość wywozu naszego spadła w porównaniu z czerwcem zaledwie o 17 milj., ale wartość importu wzrosła o 11 milj. Tymczasem wojna celna, zmniejszając eksport, powinna była zmniejszać również import, jak to się uwidoczniło w następnych miesiącach bardzo nawet wyraźnie. Jeżeli zaś w lipcu import wzrósł i jeżeli deficyt był tak ogromny, na to złożył się zupełnie niespodziewany wzrost importu mąki pszennej amerykańskiej, sprowadzanej dla celów spekulacyjnych w ostatniej chwili przed realizacją nowego urodzaju. Tego czynnika nie sposób było naprzód przewidzieć, gdyż był on zupełnie nieoczekiwanym.

Ale jakkolwiek dużo było rozprawiania na temat szkodliwości importu mąki amerykańskiej, mylił by się ten, ktoby sądził, że to ten deficyt lipcowy i ten import właśnie spowodował spadek złotego. Mąka sprowadzana była na kredyt. Inaczej nie byłaby ona wcale do Polski w takiej ilości przychodziła. Cała spekulacja właśnie na tem polegała, że mąka szła do Polski na kredyt. Odbiło się to fatalnie na bilansie naszym płatniczym na jesieni 1925 r., ale na spadek złotego w końcu lipca oczywiście nie mogło to oddziaływać.

Odpływ walut netto z Banku Polskiego poczynając od początku kwietnia był, jak to widzieliśmy, bardzo znacznym. Wynosił on w kwietniu netto 41 milionów, w maju 39 milj. w czerwcu 52 milj. Ale w lipcu odpływ ten zmalał i wyniósł 34 miliony. Walut w Banku Polskim pozostało w końcu lipca 73 milj. złotych netto, a brutto 91 milj. Czemuż zatem Bank Polski w dniu 28 lipca nie zainterwenjował i nie skupił całej ilości złotych, które się ukazały na rynkach krajowych i zagranicznych. Miał dość sił po temu. Urodzaj był tuż. Import był okiełznany zarządzeniami rządu.

Patrząc na te rzeczy z odległości, nie sposób nie powiedzieć, że widocznie Bankowi Polskiemu zabrakło ducha, zabrakło siły decyzji i odwagi.

W czerwcu załamała się psychika podatników. Zaczęłam ją już w sierpniu naprawiać i przywracać równowagę budżetu. W końcu lipca załamała się psychika Banku Polskiego.

Co mogło wpłynąć na to załamanie się psychiki Banku. Dwie okoliczności. Najpierw nierównomierne zapotrzebowanie walut w początkach i w końcu lipca.

W pierwszej dekadzie lipca zaczęło w Banku Polskim przybywać walut. Był to objaw dawno już nie widziany. Ale ta poprawa trwała krótko. W ostatnich dwóch dekadach lipca nastąpił odpływ walut, wynoszący 37 milj., który nie był większy niż w odpowiednich okresach kwietnia i czerwca.

Co mogło jednak oddziaływać szczególnie deprymująco na psychikę Banku Polskiego to to, że w końcu lipca ujawniła się silna podaż złotego w takich miejscach, gdzie dawno już go nie było w większych ilościach widać, mianowicie zagranicą. Fakt ten na froncie walki o złotego był niespodzianką dla Banku Polskiego, który był nieprzygotowany do jego odparcia. Korespondenci Banku Polskiego nie mieli dyrektyw co robić, by nie dopuścić do spadku złotego.

To, że złoty zjawiał się w dużym i nagłym zaofiarowaniu zagranicą, było wynikiem zbiegu dwu jednocześnie działających przyczyn, zbiegu istotnie zupełnie przypadkowego. W końcu lipca kilkanaście tysięcy optantów opuściło granice Polski i udało się do Niemiec. Opuuszczając Polskę sprzedawali oni swoje ruchomości, zabierali zarobione pieniądze i w Niemczech oddawali naszą walutę, by uzyskać za nie marki. Termin do opuszczenia Polski mieli oni urzędowo już dawno przed tem wyznaczony na 1 sierpnia. Czekali oni prawie do ostatka i zaczęli oni masowo udawać się do Niemiec na parę dni przed terminem. Kilkanaście tysięcy Niemców, przeważnie niezamożnych, mogło rzucić na rynek kilka do kilkunastu najwyżej milionów złotych. Atak ten sam przez się nie był zatem zbyt silnym, ale był skoncentrowanym, bo optantom przy powrocie spieszyło się, by każdy całą swoją gotówkę od razu wymienił. Przytem objaw ten był zupełnie nieoczekiwanym. Był on naturalnym wynikiem stosunków. Ale to już było wyraźnym naszym nieszczęściem, że wogóle termin 1 sierpnia dla optantów tak się fatalnie zbiegł z okresem najbardziej dla złotego przełomowym, a co pogorszyło sytuację to to, że ani ja, ani Bank Polski nie wiedzieliśmy o tym terminie. Wiedziało o nim Ministerstwo Spraw Wewnętrznych oraz wojewodowie, ale nikomu nie przychodziło na myśl, że wyjazd kilkunastu tysięcy Niemców może mieć znaczenie dla naszej waluty i że należy o tem uprzedzić tych, którzy nad losami tej waluty czuwali.

Samo zaofiarowanie sumy prędzej nie dochodzącej do 10 milionów złotych, niż ją przekraczającej, nie mogło by spowodować katastrofy, gdyby Bank Polski sam nie popełnił fatalnego błędu w swoich posunięciach na gruncie czysto bankowym. Zaniepokojony niezwykle silnym odpływem walut w ostatniej dekadzie lipca. Bank Polski postanowił kontyngentować przydział walut na giełdzie i pokrywać ich zapotrzebowanie w pewnych tylko procentach. Niedobór walut, który się skutkiem tego wytworzył na rynkach krajowych, począł natychmiast szukać pokrycia zagranicą. Sfery handlujące, nie mogąc dostać na rynku krajowym waluty dla wypłat pochodzących z weksli importowych, zaczęły wypłacać złote na rachunki swych zagranicznych dostawców. Tą drogą zaczęły się dostawać za granicę ogromne ilości wypłat na Polskę. Chcąc ułatwić sobie sytuację, stąd powstała, Bank nakazał, swoim korespondentom zagranicznym przerwanie skupu złotego, względnie silne jego ograniczenie.

Skutek tych zarządzeń był fatalny i piorunujący. Ogromne ilości złotych zagranicą znalazły się wprost bez odbiorców. Nie można było ulokować nieraz drobnych stosunkowo sum. Spekulacja zagraniczna wnet wykorzystwała ten moment dla gry na zniżkę złotego. Oczywiście w tym stanie rzeczy Bank Polski musiał już po paru dniach wznowić skup złotego. W pierwszych dniach sierpnia musiał Bank Polski wykupywać dziennie około pięciu milionów złotych, to jest znacznie więcej niż przed przerwaniem skupu.

Nieumiejętne postępowanie Banku Polskiego było główną bezpośrednią przyczyną spadku kursu złotego, które dnia 28 lipca nastąpiło. Decyzja Banku, by kontyngentować sprzedaż walut obcych na rynku krajowym, była punktem wyjścia dalszych fatalnych posunięć. Decyzja ta powzięta była w złym bardzo momencie.

Do powzięcia takiej decyzji Banku przyczyniło się w znacznej mierze to, że Bank Polski poddał się depresji i stracił zupełnie wiarę w skuteczność walki o utrzymanie kursu złotego pod wpływem wiadomości, która w końcu lipca stała się wszędzie wiadomą, że Dillon drugiej części pożyczki amerykańskiej nie wpłaci i że Bank Polski na dopływ dolarów ze strony Skarbu rachować nie może. Pod wpływem tej wieści, Bank Polski zaczął patrzeć na resztę swoich walut jako na tak niezbędną rezerwę, że już jej do walki puścić nie chciał.

Dopuszczył przeto Bank Polski do pierwszego spadku złotego w dniu 28 lipca. Było to nieoczekiwane, więc mogło być następnie naprawione, gdyż ten pierwszy spadek był łagodny. Ale w dniu 31 lipca okazało się tak wielkie zaofiarowanie złotego, że jasnym było, że grozi to wielkim ostrym spadkiem kursu. I w tym jednak wypadku Bank Polski ku zdumieniu wielu banków zagranicznych okazał się pasywnym.

Postępował on tak, by zaoszczędzić swoje rezerwy, ale robił źle, bo i tak później musiał je wydać na hamowanie spadku od nadmiernej tendencji w dół. Gdy po spadku w dniu 31 lipca Bank Polski, pod naciskiem rządu, zaczął interwenjować, odrobił część skali spadku, ale zasadniczo to już złotego od spadku kursu uratować nie mogło.

Czy w całym przebiegu tego momentu spadku złotego wojna celna z Niemcami nie odegrała żadnej roli? Jak wykazałem bezpośrednio nie wywarła ona ujemnego wpływu na bilans handlowy, prędzej odwrotnie wywarła wpływ dodatni. Ale to, że Dillon na 1 sierpnia nie zaangażował się wobec nas na najmniejszą nawet sumę, to że kategorycznie nie dotrzymał opcji, o którą się upominał przy zawieraniu w styczniu pożyczki, w znacznym stopniu objaśnić się daje właśnie wojną celną, jaką prowadziliśmy i podkopywaniem zaufania do nas na rynkach finansowych zagranicznych, jakie Niemcy instygowały.

Wojna ta wywarła przytem bardzo ujemny wpływ na nasz bilans płatniczy. Niemcy, importując do nas, dawali naszym kupcom towary na kredyt, a zakupując przedmioty naszego eksportu — dawali zaliczki. Przy zerwaniu stosunków wymawiali kredyty i żądali zapłaty gotówką oraz żądali zwrotu zaliczek. Ten czynnik mocno zaciążył na naszym rynku płatniczym. Uwidocznił się on już w ostatniej dekadzie lipca. W późniejszych miesiącach czynnik ten spowodował nawet załamanie różnych firm i banków. Wojna celna z Niemcami przez zachwianie bilansu płatniczego utrudniła bardzo późniejsze powstrzymanie dalszego spadku złotego.

Złoty spadł nie tylko dla tego, że mieliśmy ogromny deficyt bilansu handlowego, nie tylko dla tego, że wojna celna z Niemcami dawała nam się we znaki, ale również i dla tego, że Bankowi Polskiemu zabrakło ducha, by stawać do walki z przeciwnościami i trudnościami, jakie pozostawały nam do przewyciężenia w momencie, gdy staliśmy na progu nowej ery aktywnego bilansu handlowego, jaka nas czekała.

Spadek złotego był nieszczęściem dla Polski. Do dziś dnia widoczne są tego skutki. Był ciosem zadaniem znaczeniu międzynarodowemu naszego państwa, co również się uwidoczniło. Było to przerwanie tamy, trzymającej na poziomie bezpiecznym wzbierające fale agresji niemieckiej. Było to zarzewiem wewnętrznych tarć i konfliktów, których skutki jeszcze długo będą się uwidoczniały.

Gdyby nie spadek złotego w drugiej połowie 1925 r. bylibyśmy w 1926 r. świadkami nieuniknionego spadku drożyzny, gdyż z chwilą, gdy doszliśmy do poziomu cen światowych w połowie 1925 r., musieliśmy w roku 1925/26 korzystać również z koniunktur tych cen, które wszędzie ujawniły w drugiej połowie 1925 roku ogromne potaniecie. Stanowiłoby to wielkie ułatwienie dla równowagi budżetu. We wszystkich krajach o stałej walucie drożyzna w drugiej połowie 1925 r. spadła i to znacznie. U nas musiałoby nastąpić to samo. Jednocześnie kredyt znalazł by u nas, tak jak i w innych krajach, znaczne pole dla podtrzymania produkcji, która zdążyć by musiała po jedynie skutecznej drodze prawdziwej sanacji, polegającej na potaniu samych kosztów produkcji. Przy spadku drożyzny budżet na 1926 rok można byłoby zamknąć w ramach mniejszej ilości złotych, niż w 1925 roku.

Taki zbawienny i jedynie zdrowy proces naszego rozwoju został przez spadek złotego uniemożliwiony. Zamiast niego doczekaliśmy się strasznego kryzysu bezrobocia zimą 1925/26 roku, bezrobocia, które prawie o 100% przekroczyło normę 1924 r. i pierwszej połowy 1925 r.

W miesiącu sierpniu import do Polski, który w lipcu wynosił 181,3 milj., spadł do 116,2 milj. Ten przełomowy wprost spadek nie był skutkiem spadku złotego, jak to nie jednemu się mogło wydawać, na podstawie tego, że istotnie spadek waluty utrudnia import. Dla obrotów handlowych zagranicznych w sierpniu spadek złotego tak świeży, gdyż poczynający się dopiero w dniu 28 lipca i tak na razie nieznaczny, nie mógł jeszcze oddziaływać. Wielki przełomowy spadek importu we wrześniu był wynikiem z jednej strony tego, że wpływ nieurodzaju poprzedniego roku się skończył i skończyło się sprowadzanie żywności.

ności z zagranicy, a z drugiej strony wynikiem tego, że rząd powziął w lipcu zarządzenia w związku z wojną celną z Niemcami, ograniczające import.

Jednocześnie z ogromnym spadkiem importu, eksport w sierpniu wzrósł znacznie bo do 99,1 milj. zł., podczas gdy w lipcu wynosił tylko 86,9 milj. zł.

Gdyby nie wojna celna ten wzrost byłby dużo większy. Również byłby on większym, gdyby nie spadek cen zboża na rynkach międzynarodowych. Ale niemniej od tego, jak to miało miejsce w sierpniu, eksport zaczął rósć co miesiąc, a import zaczął maleć: przewyżka naszego eksportu nad importem doszła we wrześniu do 35,9 milionów złotych.

Byliśmy wyraźnie w przededniu powrotu do równowagi, byliśmy u samego brzegu przystani po całorocznym zmaganiu się z trudnościami, gdy Bankowi Polskiemu zabrakło tchu i odwagi dla ostatniego wysiłku, by do przystani przybić.

W poprzednim rozdziale wskazałem na przyczyny wewnętrzne, które deprymująco musiały oddziaływać na Bank. Z jednej strony nieoczekiwane pojawienie się na rynkach zagranicznych waluty polskiej, wynikające częściowo z nieumiejętnych posunięć techniczno walutowych samego Banku, a częściowo ze sprzedaży złotych przez masowy odpływ do Niemiec optantów, — dezorientowało władze Banku, z drugiej brak odpowiedzi od Dillona, a więc pewność, że on nie da dalszej części pożyczki, odbierały nadzieję na sukcesy walutowe.

Ale te dwie przyczyny natury zewnętrznej nie byłyby w stanie spowodować paraliżu Banku w najtrudniejszej, wielce odpowiedzialnej chwili, gdyby nie to, że w łonie samego Banku zagnieździła się choroba groźna, bo osłabiająca wolę, a polegająca na przeświadczeniu, że dopuszczenie złotego do spadku umiarkowanego może być posunięciem, mogącem skutecznie ochronić zapasy Banku od wyczerpania.

Znałem ten pogląd od dawna. Za czasów markowych był on dominującym. Pokrywać całe zapotrzebowanie walut na rynku nazywało się to interwenjować na korzyść waluty krajowej. Nie pokrywać całego zapotrzebowania nazywało się prowadzić politykę przezorną. Za czasów markowych niewątpliwie ta druga polityka była często jedyną możliwością, ale też skutek jej był wiadomy: marka musiała spadać. Otóż w łonie Banku samego w połowie 1925 roku już urobił się pogląd, że skoro Polska ma tak ujemny bilans handlowy, złoty spadać będzie musiał i że na to rady nie ma.

Ci, którzy ten pogląd wyrażali nie wierzyli, żeby nawet w roku urodzaju bilans handlowy mógł się stać aktywnym, wskazywali oni bowiem, że wszak w pierwszej połowie 1924 r., gdy był rok urodzajnym, mieliśmy już bilans pasywny.

Obrońcy tego poglądu bynajmniej nie patrzyli na złotego jak na dawną markę. Wdzieli całą przewagę złotego, jako papieru bankowego. Ale właśnie dlatego byli przekonani, że skoro złoty ma solidne oparcie bankowe, to spadku jego, któryby wynikał z niepokrywania całego zapotrzebowania walutowego obawiać się nie należy, gdyż spadek taki nigdy by nie mógł być katastrofalnym, a będzie umiarkowany do granic jedynie racjonalnych, wywołanych naszym stanem gospodarczym.

Rozumowanie to uważałem zawsze za zgubne, błędne, doktrynerskie i niebezpieczne. Zwalczałem je kategorycznie. Było dla mnie bowiem widocznym, że był w niem jeden kapitalny błąd, polegający na przypuszczeniu, że złoty będzie w razie spadku ulegał działaniu tylko takich przyczyn jak te, które można obserwować u walut z dawno ustaloną wartością, to jest, że spadek będzie się wyrażał w drobnych ułamkach procentu i szedł tylko do granic naturalnych i racjonalnych. Dla mnie było rzeczą najzupełniej jasną, że wspomnienia losów dawnej marki były u nas zbyt świeże, a sytuacja Polski na rynku finansowym międzynarodowym zbyt młoda i niewyrobiona, by w razie dopuszczenia złotego do spadku nie uległ on takiemu parciu czynników psychologicznych na rynkach zagranicznych i krajowych, że rachuba na to, iż kurs będzie można zostawić grze swobodnej rynku zapotrzebowania i podaży, bez narażenia losu kraju na największe niebezpieczeństwa, okazało się całkowicie zawodną.

Przyszłość wykazała, że miałem najzupełniej rację. Już w końcowych dniach lipca i początkach sierpnia spadek złotego przybrał tak gwałtowny charakter, że zastraszyło to wyznawców polityki nieinterwencji.

Fale spadku złotego powtarzały się parokrotnie w drugiej połowie 1925 r. i w 1926 roku za mnie, za Zdziechowskiego i jego następców. Nie było wypadku, by fala taka się

zatrzymała bez interwencji Banku. Zawsze następowała interwencja i zawsze ona drogo kosztowała. Ale Bank decydował się na nią zwykle za późno.

Zdaniem mojem było to i jest to ciężką chorobą zagnieżdżoną w umysłach kierowników Banku, polegającą na tem, by dopuszczać do spadku złotego, mając jeszcze siły do powstrzymywania go, a zużywać ich dopiero na to, by opanować nadmierny jego spadek. Przy takiej metodzie nie można mieć wcale pewności, czy złoty nie będzie jeszcze spadał. W każdym razie, w wypadku nowego roku nieurodzajnego, nowy spadek złotego znów będzie mógł się powtórzyć, o ile Bank nie skorzysta z doświadczenia lat ubiegłych.

Pogląd, który nazywam nieszczęsną dla Polski chorobą, ma swoich wyznawców i obrońców i to gorliwych. Wszak ci, którzy zwalczają tak namiętnie kredyty interwencyjne, są wyraźnymi tego poglądu obrońcami. Uważają oni, że spadek złotego musiał nastąpić w 1925 roku, bo jakkolwiek ujemny bilans handlowy w sierpniu przełamał się na dodatni, ale na całe drugie półrocze 1925 r. rozciągały się terminy płatności, wywołane ujemnym bilansem poprzedniego półrocza. Podnoszą oni to, że od sierpnia do grudnia nie ustawało ogromne zapotrzebowanie walut na cele regulowania starych zobowiązań, co zupełnie paraliżowało skutki dodatniego bilansu handlowego. Zdaniem ich, gdyby załamanie się złotego nie było nastąpiło dnia 28 lipca; byłoby ono musiało nastąpić miesiąc, lub dwa miesiące później. Ci sami obrońcy tego, że spadku waluty nie należy sztucznie powstrzymać, idą w swoim rozumowaniu dalej i sądzą, że do spadku złotego należało dopuścić wcześniej, bo wtedy import wcześniej doznałby hamulca, a eksport zachęty i w ten sposób rezerwy walutowe mogły być zaoszczędzone.

Całe to rozumowanie jest z gruntu błędne. Na spadek importu i wzrost eksportu oddziaływały więcej wojna celna z Niemcami, zarządzenia celowe rządu i nowy urodzaj, niż spadek waluty. Zapasy walutowe przez spadek waluty nie tylko nie zostały zaoszczędzone, a przeciwnie jeszcze na większy zostały narażone szwank. Co zaś do tego faktu, że regulowanie zobowiązań płatniczych za miesiące deficytowe wytwarzało nadmierne zapotrzebowanie walut w miesiącach nawet o dodatnim bilansie handlowym, co musiało jakoby nieubłaganie sprowadzić spadek złotego po 28 lipca 1925 r., gdyby został on w tym czasie nawet powstrzymany, to fakt ten nastąpił właśnie dla tego, że złoty spadł. Spadek bowiem złotego był czynnikiem, który poderwał zaufanie do Polski i do jej stosunków wewnętrznych i gospodarczych. A gdy to zaufanie zostało poderwane, kupcy i bankierzy zagraniczni zaczęli wymawiać prolongatę udzielanych Polsce kredytów. Ta prolongata była by zupełnie naturalnym objawem, o ile by kurs złotego został utrzymany. Ale przy spadku złotego nic bardziej naturalnego, jak żądanie zapłaty. A gdy jeden i drugi kupiec u nas nie zapłacili w terminie, wtedy żądanie zwrotu stało się powszechnem. Kupcy zresztą nasi, widząc spadek złotego, również sami spieszyli się z nabywaniem walut dla spłaty zobowiązań zagranicznych, wiedząc, że gdy spłaca je później, to będzie ich to drożej kosztowało. Każdy więc wolał być dłużnym skarbowi, nie płacić podatków, nie płacić należności dostawcom w walucie krajowej, nie spłacać długów złotych, ale nabywał waluty dla spłaty zobowiązań zagranicznych. Tem się tłumaczy dlaczego od września do grudnia, pomimo przyływu walut z czynnego bilansu handlowego, życie gospodarcze pochłaniało cały przyływ walut z tego bilansu i jeszcze sięgało do zapasów Banku Polskiego. Gdyby nie spadek złotego, tego objawu albo by nie było zupełnie, albo rozmiary jego byłyby znacznie mniejsze.

Ale co również jest ważne, to to, że gdyby nie spadek złotego, nie było by zapotrzebowania na dolary dla celów waloryzacji, dla celów ochrony gotówki przed deprecjacją oraz dla celów spekulacji. Wszak te właśnie czynniki jeszcze w 1923 roku oddziaływały na rynek walutowy wszechpotężnie. Więc to, że odżyć one muszą, było zbyt jasnym i widocznym. Istotnie one odżyły. Spadek złotego do tego się przecież przyczynił. A więc przyczynił się on do uszczuplenia zapasów walutowych Banku Polskiego również. Pomimo spadku złotego zapasy Banku Polskiego od końca lipca do końca grudnia uszczupliły się o 56 milionów. Prócz tego rząd przyszedł na pomoc Bankowi kredytami interwencyjnymi i pożyczką zapalczaną, a Bank zastawił część złota, by zwiększyć zapasy walutowe.

Gdyby złoty był utrzymany w sierpniu na swoim stałym kursie, zapasy walutowe Banku mogły być tylko być prędzej utrzymanie na wyższym poziomie, niż się to stało, a kredyty interwencyjne mogły być nawet okazać się zbyt uczynnymi. Gdyby nawet jednak jedno i drugie musiało dojść do jednakowego stopnia natężenia, to pozostałby jeden

wielki plus: stały pieniądź polski, fundament jego siły wewnętrznej i zewnętrznej byłby nienaruszony.

Zdając sobie sprawę z tego, że spadek złotego musi wywołać cały szereg ubocznych skutków ujemnych, nie pozwalałem na razie, by spadek ten był oficjalnie notowany. Robiłem jednocześnie wysiłki, by spadek odrobić i kurs właściwy przywrócić. Było to jednak rzeczą niemożliwą. Trzeba było zatem zgodzić się z notowaniem niższych kursów złotego. Notowania bowiem nie realne nie mogą być dłuższy czas stosowane, gdyż nikt ich nie bierze na serjo, a tworzą pewien zamęt w stosunkach, z którego chcą korzystać mniej skrupulatni ludzie przy regulowaniu swoich zobowiązań w walutach zagranicznych, co podrywa tylko kredyt.

ROZDZIAŁ XXIX

Przeciążenie podatkowe

Spadek złotego przyjęty był przez społeczeństwo na razie jako coś nieoczekiwanego i przejściowego. Z mej strony zacząłem natężyć wszystkie sposoby i środki by mu przeciwdziałać. Z początku znaczna część opinii była po mojej stronie, ale wkrótce zaczęto się orjentować, że spadek złotego może dać wielu sferom znaczne korzyści.

Wtedy ujawnił się w całym społeczeństwie ruch przeciwko mojej polityce, skierowanej ku obronie złotego.

Po spadku złotego odrazu uświadomiłem sobie, że stało się to, co uważałem za cios śmiertelny dla całej mojej polityki. Widziałem, że powinienem ustąpić, że moje rządy dalej nie mają racji bytu. Cały mój autorytet oparty był na złotym. Być premierem na to tylko, by balansować wpływy ścierających się partij sejmowych, to nie był żaden dla mnie cel i sens. Robiłem to z niechęcią i wewnętrzną nudą. Jedyna rzecz, która mnie trzymała przy władzy, to oddanie się sprawie utrzymania nawy państwowej na wysokim poziomie autorytetu, wypływającego z wiary we własne siły państwa i społeczeństwa. Symbolem tych sił był złoty. Gdy on się zapadał, nie widziałem więcej dla siebie celu pracy.

Myślałem, żeby odejść od razu. Ale byłoby to dezercją z placu boju w trakcie walki z najgorszym niebezpieczeństwem. Widziałem, że spadku złotego już nie powstrzymam, bo rozumiałem, że pierwsze drgnięcie rozpęta wszystkie złowrogie siły. Widziałem przed sobą kielich goryczy. Ale czułem, że kielich ten wypić muszę.

Do walki o powstrzymanie spadku złotego przystąpiłem ze zmniejszoną już jako mąż stanu siłami. Natężyłem je jak mogłem. Pomagało mnie kilku współpracowników z całym oddaniem się. W moich oczach zaczął się formować i wzrastać obóz przeciwny. Zaczęto mnie zwalczać namiętnie bez pardonu. Zaczęto mnie winić za spadek złotego, jednocześnie uważając go za konieczny i nawet zbawienny i zwalczając mnie za to, że temu spadkowi staram się przeciwdziałać. Zaczęto urabiać opinię publiczną, że ja doprowadziłem przeciążenie podatkowe do takiego stanu, że Polskę zrujnowałem, a złoty spaść musiał i spaść powinien, bo to jedyny sposób, by ulżyć podatnikom i producentom. W jednej gazecie rozpoczęto kampanję zohydżającą mnie osobiście. Do niej przyłączyły się inne głosy. Rozpoczęło się szczucie. Do dziś dnia jedna gazeta została wierna, przyjętej już wówczas za hasło swe nagance.

O nadmiernym ucisku podatkowym płatników była mowa w Sejmie przy okazji prawie każdej dyskusji budżetowej. Posłowie wszędzie wogóle i wszelkie Sejmy, jak świat światem, są skłonne, by bronić podatnika przed uciskiem. Parokrotnie na ten temat w Sejmie odpowiadałem, zaznaczając, że ucisk ten nie jest w Polsce większy, a mniejszy niż zagranicą, że stosowane są u nas często ulgi, a wymiar podatków oparty jest na ustawach, które Sejm sam uchwalał.

Póki sprawa „ucisku podatkowego” poruszana była w Sejmie, uważałem, że nie stanowi to niebezpieczeństwa państwowego. Ale na jesieni 1925 r. zauważyłem, że ogół opinii publicznej nastraja się antypodatkowo. Właściwie już złe wyniki czerwca i lipca wykazały, że istnieją trudności znaczne na gruncie podatkowym. Ale trudności te same przez się nie były nie do opanowania, gdyż sierpień okazał się lepszym od lipca. Dał on 146,5 milj. zł. normalnych dochodów skarbowych tj. dochodów zwyczajnych, pomimo, że w tym miesiącu nie było żadnych terminów płatniczych. Na jesieni przypadały liczne terminy.

Jesień 1924 r. wykazała znaczny wzrost dochodów w porównaniu z latem. Rok 1925 był przecież urodzajnym. A tymczasem we wrześniu dochody spadły do 127,7 w październiku wyniosły 136,8, w listopadzie 125,7 milj. zł. Było to wyraźne załamanie się podatkowe.

Czy było ono konieczne i nieuniknione. Ani trochę: wynik dochodów w sierpniu dowodzi, że taki wynik koniecznym nie był, a wystąpił on jako skutek dopiero tego załamania się, które po spadku złotego nastąpiło. Dowodzi tego, że to nie była konieczność, ta okoliczność, że w grudniu po ustąpieniu mojem uwidoczniła się znaczna poprawa wpływów dochodowych. Podatnikom zaczęła przyświecać na jesieni 1925 r. nadzieja, że jeżeli nie będą płacili podatków w terminach, to doczekają się, że złoty będzie mniej wart, towary zdrożeją, a oni w ten sposób łatwiej i mniejszym kosztem wywiążą się z powinności podatkowych. Zaczęła się spekulacja na opóźnianie się w płaceniu podatków. Prócz tej rachuby spekulacyjnej, która zawsze przy spadku waluty we wszystkich krajach się uwidoczniła, spadek złotego spowodował trudności kredytowe, o których poniżej będziemy mówili i które istotnie utrudniły otrzymywanie gotówki wogóle, a więc i gotówki na podatki. Do tego przyłączyło się to, że na rynkach zagranicznych, wskutek wszechświatowego urodzaju, spadły ceny zbóż ogromnie, co u nas w kraju jeszcze silniej się ujawniło. Skutkiem tego rolnicy nie mogli wykorzystać urodzaju dla zwiększenia swojej siły płatniczej, gdyż za duże ilości sprzedawanego zboża uzyskiwali mało gotówki. Te trzy czynniki razem wzięte spowodowały załamanie się wydajności płatniczej podatkowej. Żadna z tych przyczyn nie była moją winą, że jednak nikt tych przyczyn widzieć nie chciał, nikt ich nie wyjaśniał i nie tłumaczył, więc podniesiono demagogiczny krzyk, że rząd winien, — Grabski winien. A ten krzyk do tego doprowadził, że do tych trzech czynników dołączył się czwarty: psychoza antypodatkowa natury politycznej, chorobliwy nastrój całego społeczeństwa, przy którym nie płaci nie tylko ten, który nie ma czym zapłacić, nie tylko nie płaci ten, który rachuje, że gdy odwlecze swoją zapłatę, to na tem lepiej wyjdzie, ale i ten, który płacić może i nie spekuluje na zwłokę, ale wprost rozumuje, że nie warto płacić, bo inni nie płacą, bo wszyscy mówią, że płacenie to zbyt ciężar, bo może się coś stać takiego, przy czem okazać się może, że należeć się nie będzie jutro to, co jest dziś wymagane.

Ze ta ostatnia psychika zrobiła duże postępy, przekonałem się o tem, gdy otrzymałem list od znajomego z kresów, proszący mnie, bym wstrzymał pobór podatków od ziemian, aż do czasu walnego ich zjazdu w Warszawie, który ma, jak się wyrażał mój korespondent, o wszystkim ostatecznie zdecydować. A że taka psychoza antypodatkowa została nawet usankcjonowana przez następne rządy, a również i przez rząd obecny, to znajduje swój wyraz w tem, że raty podatku majątkowego rozpisane na jesieni 1926 r. zostały wymagalne w granicach niższych stawek, niż wymierzone na jesieni 1925 roku kwoty już po zastosowaniu wielkich zniżek tych kwot, tak, że kto wtedy zapłacił to, co od niego na mocy prawa było wymagalne, ten okazał się nierozumnym, gdyż przepłacił niepotrzebnie to, co wcale od innych, którzy czekali na zwłokę nie stało się następnie wymagalnym.

Przeciążenie podatkowe! Jakie to pojęcie względne i nieuchwytnie. Próbowano wyliczać dochód społeczny w Polsce i w innych krajach i na tej zasadzie obliczać ciężar podatkowy, u nas i gdzieindziej. Ale każdy, kto takie wyliczenie robił, do innych dochodził wniosków. Podczas, gdy poseł Jerzy Michalski wyliczał, że istnieje u nas przeciążenie podatkowe w porównaniu z innymi krajami, cyfry Głębińskiego, Lubowidzkiego i P. Michalskiego, urzędnika Ministerstwa Skarbu, dowodzą wprost odwrotnie, że ciężar podatkowy u nas jest mniejszy niż w innych krajach.

Niemcy, Czesi i wiele innych krajów przodujących cywilizacji gospodarczej, mają na głowę bez porównania większy ciężar podatkowy niż my. O tem dawno wiadomo. Ale się mówi, że to nie może być żadną miarą, bo Czesi i Niemcy górują nad nami swoją gospodarnością, pracowitością, zasobnością, oświatą, więc mają więcej danych i zdolności, by licząc na głowę płacić więcej podatków. Ale w takim razie Rosja musi chyba mieć, licząc na głowę, mniejszą zdolność płatniczą od nas i w Rosji powinniśmy widzieć mniejszy na głowę rozmiar wydatków na armję, oświatę i administrację, bo tam przecież nie ma większej pracowitości, oświaty, zasobności niż u nas. Tymczasem cyfry z ostatnich lat wskazują, że ta część budżetu rosyjskiego, która odpowiada naszemu budżetowi, jest na głowę większa niż nasz budżet z 1926 roku.

Jeżeli będziemy dążyli do tego, by ciężar podatkowy u nas był jaknajniższy, to zachodzi obawa, czy zdołamy utrzymać się jako państwo pomiędzy wrogimi społeczeństwami o wyższej na rzecz państwa zdolności płatniczej. Sumienie podpowiadało mi, że gdy Polska nie zdobędzie się na znoszenie większego ciężaru podatkowego, to nie będzie rzeczą możliwą, by pomiędzy Rosją i Niemcami długo mogła się ostać. A gdy Polska, czując swe słabe siły i nie wierząc, by mogły one być znacznie zwiększone, wybierać zaczęła między Rosją i Niemcami, próbując na którym z tych państw się oprzeć, by uniknąć ciosu z ręki drugiego, to znajdziemy się zupełnie na tej samej pochyłości, która rozstrzygnęła złowrogo o naszych losach w końcu XVIII wieku.

Dziś, gdy wszyscy uznali za aksjomat, że nadmierny ciężar podatkowy był największym błędem mojej polityki, która doprowadziła do ruiny społeczeństwo, dziś nie znajduję nic lepszego do podniesienia jako temat rozważań tych sfer, które takie lekkomyślne wydają wyroki, jak zacytowanie zakończenia pracy prof. Romana Rybarskiego, wydanej w 1923 r. pod tytułem: *Ciężar podatków w Polsce*:

„Gdy sięgniemy w przyszłość Polski niepodległej, wypełzną z kątów bardzo bolesne analogie. Ile odnieśliśmy zwycięstw, których nie mogliśmy wyzyskać, bo brakło pieniędzy! Różnemi rzeczami górowaliśmy nad naszymi sąsiadami: nigdy chyba potęgą Skarbu. O to przykład z doby rozkwitu, z bujnej epoki Jagiellonów. Za Kazimierza Jagiellończyka w 1485 roku w obydwóch skarbach było dochodu 50.000 czerwonych złotych, za co można było utrzymać przez rok 20.000 jazdy, a równocześnie małe ksiąźątko pruskie Albrecht Achilles miał z Brandenburgji i innych posiadłości 100.000 dukatów. A o to drugi przykład, już z doby upadku. Dochody państwa pruskiego w 1740 r. liczącego 2,2 milionów ludności, wynosiły 7 milionów talarów, a w czasie wojny siedmioletniej przy 3,7 milionach ludności 24,8 milionów talarów. Polska wtedy daje tylko 1 milion talarów przy 10 milionach ludności. Wydajność skarbową państwa pruskiego mogła być 75 milionów większa niż w Polsce.

„Czy i dzisiejsza Polska ma być tak słabą i bezradną, jak dawna. Odrzućmy od siebie te koszmary. Polska musi być silną, a nasza dzisiejsza słabość niechaj jaknajprędzej zniknie, razem z innymi pozostałościami niewoli. I dla tego pomnóżmy nasze dochody skarbowe, doprowadźmy budżet do równowagi, choćby trzeba było mocno zęby zaciskać. Podatki, podatki, i jeszcze raz podatki”.

Tak pisał Rybarski w 1923 r. Tak myśleli wszyscy po ważniejsi i zatroskani o naszą przyszłość ludzie. Ale starczyło zaledwie 1½ roku płacenia wyższej skali podatków, niż poprzednio, a płacenie to tak wszystkim dokuczyło, tak obrzydło, że powstał ogólny odruch antypodatkowy. Nie tylko ziemianie, nie tylko żydzi, nie tylko sfery posiadające i produkujące, ale cały ogół nabrał przekonania, że wysokie podatki — to nasze nieszczęście. Przecież doszło do tego, że organ lewicy PPS. „Robotniczy Przegląd Gospodarczy” wystąpił z postulatem rewizji ciężarów podatkowych, które „są bezwarunkowo za wysokie”. (Artykuł p. Szymańskiego w numerze listopadowym 1925 r.).

Na jesieni 1925 r. otrzymałem sporo listów od znajomych z różnych sfer, a w ich liczbie i od takich, o uczciwości których byłem przekonany, wykazujących, że wymiar podatków był bądź dokonywany nieprawidłowo, bądź też, będąc prawidłowym, był nie do zniesienia. Dane dostarczano mnie sprawdzałem. Ulgi często kazałem stosować. System nasz podatkowy nie jest dobry. Dla niektórych rodzajów przedsiębiorstw podatek obrotowy jest nadmiernym ciężarem. Progresja w podatku gruntowym jest nonsensem. Podatek dochodowy i majątkowy mają za duże rozpięcie skali. Na 100 podatników zapewne z 10% jest niesłusznie obciążonych, drugie 10% jest obciążony, choć słusznie, lecz ponad miarę możliwości, ale wśród reszty bardzo wielu uchyla się kosztem Skarbu od należytego wymiaru i płaci mniej niż powinni. Jest to fakt, o którym zawsze byłem jaknajgłębiej przekonany i który najuczciwsi z podatników też zawsze przedemną przyznawali.

Ustawy nasze podatkowe powinniśmy reformować, ulgi przy ściąganiu należytości stosować musimy, ale gdy staje się widocznym, że to nie idzie o reformy lub ulgi, a o to,

by wogóle jaknajmniej płacić podatków, by doprowadzić do zasadniczego zmniejszenia ich dla skarbu wydajności, to w tem nie można nie widzieć „wypelzających z za kątów koszmarów złowrogięj naszej przeszłości”.

ROZDZIAŁ XXX

Podatek majątkowy i ziemianie

Cała naganka na temat zbytniego przeciężenia podatkowego prowadzona była pod moim adresem. We mnie widziano twórcę tego ciężaru. Istotnie występowałem i występuję jako obrońca tego, by w Polsce były podatki wydajne, ale nie byłem twórcą tych rodzajów podatków, jakie mamy i jakie w 1924 i 1925 r. mieliśmy.

Progressję i degresję w podatku gruntowym wprowadził Sejm wbrew mojej opinii. Było to za rządów Witosy, w 1923 roku. Perswadowałem Witosowi i innym przedstawicielom ówczesnej koalicji parlamentarnej, że progressja w podatku gruntowym jest herezją fiskalną. Ale znawca taki, jak poseł Byrka, upierał się przy tej błędnej zasadzie. Widząc, że progressja będzie przeforsowana, proponowałem, by zaliczyć ją przy podatku dochodowym, czyli by ją właściwie skasować w normalnych warunkach dochodowości majątku. Ale ta moja propozycja nie została poparta nawet przez prawicę, nie rozumiejącą zupełnie tej sprawy. Natomiast prawicy udało się przeprowadzić zasadę by progressję podatku gruntowego zaliczyć przy podatku majątkowym. Ale od tego znów cały Sejm odstąpił ogromną większością głosów w grudniu tegoż 1923 roku. W ten sposób progressja w podatku gruntowym została usankcjonowaną przez cały prawie Sejm.

W broszurze wydanej na miesiąc przed mojem ustąpieniem przez p. Wacława E. Zielińskiego pod tytułem *Nasi ministrowie Skarbu*, a krytykującej z bezwzględną ignorancją wszystkich po kolei ministrów, autor sformułował pod moim adresem ten głównie zarzut, jakoby dopuścił do uchwalenia zabójczej jakoby dla ziemian progressji podatku gruntowego, narażając na straty własny nawet majątek, byle by tylko zyskać sobie lewicę dla celów demagogicznych. Cała niesłuszność tego zarzutu widoczna jest z przedstawionego przeze mnie przebiegu historycznego stanu rzeczy. Nie ja potrzebowałem ubiegać się o względy kogokolwiek, gdy uchwalano progressję w podatku gruntowym, gdyż byłem wtedy ministrem Skarbu w gabinecie Witosy, a więc poparcia lewicy zupełnie nie potrzebowałem. Mnie się udało przeforsować złagodzenie progressji przez zaliczenie jej na inny podatek. Ale od tego znów odstąpił Sejm za tychże rządów Witosy, gdy mnie wcale w rządzie jego już nie było.

Progressję zwalczałem, uważając ją za niesłuszną przy podatku gruntowym. Oczywiście sprawy mego majątku nie wchodziły tu w grę. Nie potrzebowałem poświęcać jego interesów, gdyż, mając bardzo dobrego administratora, byłem spokojny, że dochód z tego dobrze urządzonego i prowadzonego warsztatu wytrzyma i niesłuszne nawet obciążenia. Wiedziałem również, że nie tylko ja, ale i bardzo wielu innych ziemian takie obciążenia mogło i może znieść śmiało. Ale nie mniej uważam progressję przy podatku gruntowym za ciężki grzech ze stanowiska nauki skarbowości, a również i ze stanowiska państwa polskiego. Skoro nie ma progressji w podatku przemysłowym, progressja przy podatku gruntowym jest nie tylko błędem skarbowym, ale i błędem polityczno państwowym, jest złym fermentem, wprowadzającym do naszej państwowości trzy pierwiastki negacyjne tam, gdzie powinno być pole jedynie dla pracy pozytywnej i twórczej.

Każdy podatek, który jest niesłusznym w swojej konstrukcji, wywiera wpływ fatalny na ogólną wydajność podatkową kraju. Do wytworzenia się nastrojów podatkowych na jesieni 1925 r., przyczyniły się różne niedomagania naszego ustawodawstwa podatkowego, w głównej jednak mierze wielkie wady ustawy o podatku majątkowym.

Wady zaś tych ustaw uwydatniły się najbardziej na tle kryzysu ekonomicznego, jaki powstał wśród rolników zaraz po nowych zbiorach 1925 roku, a który wśród sfer handlujących ujawnił się po spadku złotego.

Wśród kampanji antypodatkowej, jaka się na jesieni 1925 roku rozpętała, stanęły do walki frontowej ze mną dwie klasy: z jednej strony żydzi wystąpili przeciwko nadmiernym ciężarom podatku obrotowego, z drugiej ziemianie przeciwko podatkowi majątkowemu.

W chwilach spadku złotego i kryzysu kredytowego, niepłacenie podatku obrotowego, a nawet tylko opóźnienie się z tem płacaniem, nabierało szczególnego waloru. Tem się też tłumaczyły manewry polityczne Żydów na gruncie agitacji antypodatkowej w owym czasie.

Ziemiaństwo znalazło się w odmiennym położeniu. Dla nich spadek cen zboża, pochodzący z nowego urodzaju po żniwach 1925 roku, był gromem z jasnego nieba. W ciągu poprzedniego roku 1924/25 skutkiem nieurodzaju musieli się zadłużać, musieli wyjednywać odłożenie terminów płacenia podatków aż do jesieni, rachując, że urodzaj świetnie się zapowiada i na wszystko wystarczy. Cóż kiedy ceny jesiennego urodzaju nie sięgały nawet połowy cen poprzednich! Rozsądniejsi ziemiaństwo wiedzieli, że ceny spadną, ale nikt nie przypuszczał, że to nastąpi tak silnie. Ustalili się poglądy, że żyto niżej 25 złotych nie będzie stało. Wprawdzie w 1924 roku stało ono 12 złotych, ale w roku 1925 powrót do tej ceny wydawał się wszystkim zupełnym niepodobieństwem. Cenę 25 złotych za korzec żyta przyjęto za normę w umowach z robotnikami rolnymi. A tymczasem żyto spadło poniżej 15 złotych. Cały dobry urodzaj finansowo zupełnie przepadł. Otwierały się dla wielu osób perspektywy bankructwa.

Ziemiaństwo miało na jesieni dokonać spłaty pożyczek krótkoterminowych Banku Gospodarstwa Krajowego. Całe deputacje ziemiaństwa przychodziły o te pożyczki na wiosnę 1925 roku, jak o zbawienie. Ja dawałem je, nie mając na to właściwie środków, ale liczyłem, że w sierpniu i wrześniu, przydadzą się mi pieniądze, które ziemiaństwo zwróci mi ze sprzedaży zboża, gdyż liczyłem się z deficytem budżetowym w tych dwóch miesiącach. Pożyczałem więc Bankowi Gospodarstwa Krajowego dla ziemiaństwa pieniądze obrotowe Skarbu, tak jak dla włościan pożyczałem te same fundusze Bankowi Rolnemu. Ale gdy przyszedł termin zapłaty podniósł się gwałt, że zboże jest za bezcen, że zrujnuję rolników, o ile nie sprolonguję spłat. Musiałem dać prolongaty, zarówno dla pożyczek Banku Gospodarstwa jak i Banku Rolnego, a deficyt skarbowy musiałem pokryć nowymi emisjami biletów skarbowych. Ale gwałt swoje zrobił, bo głoszono, że o mało co nie doprowadziłem rolników do ruiny.

Ale już nie gwałt, a czarna rozpacz powstała wśród rolników, gdy ujrzeli rozesłane im na jesieni nakazy płatnicze podatku majątkowego. Powstał okrzyk zgrozy, że jest to wywłaszczenie bez odszkodowania.

Podatek majątkowy został uchwalony przez Sejm w 1923 roku za ministra Lindego. Wnieśli go przezemnie i ja broniłem jego idei. Ale ja wniosłem podatek w wysokości 600 milionów, a Sejm uniósł się wielkodusznością i uchwalił aż jeden miliard podatku. W dodatku, po moim odejściu ze Skarbu, wielkoduszność Sejmu stała się w gabinecie Witosa, tak istotnie wielką, że jeden z posłów, który mnie najwięcej zwalczał, broniąc interesów wielkiej własności, sam zadeklarował, że z ogólnej sumy miljarda, rolnictwo weźmie na siebie całą połowę.

Rolnicy lubią podkreślać, że ich jest większość w narodzie, że eksport rolniczy i produkcja rolna są najwięcej warte. Więc w uniesieniu przedstawiciele rolników w Sejmie wzięli na barki ogółu rolniczego połowę całego ogromnego ciężaru jaki miał spaść na całe społeczeństwo pod postacią miljarda podatku majątkowego.

Podatek majątkowy w wysokości miljarda był za duży, to był jeden błąd, który popełnił Sejm, a nie rząd. A powtóre nonsensem było brać na rolnictwo połowę tego podatku i to nonsensem podwójnym. Najpierw rolnicy nigdy i nigdzie nie są w stanie płacić jednorazowo tak dużych podatków, jak ci, którzy obracając majątkiem ruchomym lub pieniężnym i którzy są w stanie łatwiej uczynić część majątku płynnym. Zapłacić podatek to trzeba znaleźć na to środki, a rolnikom o takie środki trudno. Powtóre, jeżeli się powiedziało, że rolnicy mają płacić podatki, to trzeba było z góry wziąć pod uwagę, na jakich rolników, jaka część tego ciężaru spadnie.

Od płacenia wszelkiego podatku zostali zwolnieni wszyscy włościanie małorolni i znaczna część średniorolnych. Na 3,300.000 gospodarstw rolnych, jakie mamy w Polsce, pociągniętych zostało do podatku majątkowego zaledwie 713.000, a więc 2,600.000 czyli prawie 4/5 włościan było wolnych od podatku majątkowego. Ale i ta 1/5 włościan, którzy zostali pociągnięci do płacenia podatku majątkowego, nie miała go płacić na jednakowych z innymi zasadach, gdyż zostali oni zwolnieni od udziału w repartycji zwyczajnej kontyngentowej, jaką ustawa przewidywała. Wreszcie trzeba zaznaczyć, że lasy należące do większej własności obciążone zostały osobną daniną lasową, uzupełniającą podatek ma-

jątkowy. Danina ta obliczona była na wyższą sumę, niż ta część podatku majątkowego, która przypadła na drobną własność. W ten sposób na samych większych właścicieli przypadło podatku majątkowego łącznie z daniną lasową nie mniej jak pół miljarða złotych.

Więksi właściciele ziemscy liczbowo przedstawiają warstwę kilkunastu tysięcy jednostek gospodarczych. Do jednej z nich kategorii podatkowej zaliczona została średnia własność bardzo u nas nieliczna. Ogółem wypadło, że tych, którzy mieli uczestniczyć w repartycji kontyngentu podatkowego było 74.863 osób w grupie rolniczej. Obszar posiadaczy tej grupy nie przekraczał 30% ogółu ziem w Polsce. Te 30% pól i lasów nigdy nie mogło się równać bogactwem swoim z całym wielkim przemysłem, rzemiosłem, handlem i nieruchomościami miejskimi i wogóle całej ludności miejskiej. Obłożenie tej warstwy podatkiem pół miljarðowym było krzyczącym nonsensem skarbowym. Zrobił to Sejm, nie rząd. Z całym tym nonsensem ja nie miałem absolutnie nic wspólnego. Przeciwnie zawsze wyraźnie ten nonsensem potępiałem, jako rzecz nie realną i niesprawiedliwą. Ziemianie są warstwą prawie na wskróś polską. Moje poczucie państwowe wyraźnie mnie wskazywało, że brać od czysto polskiej warstwy na rzecz Skarbu większy procent majątku, niż od innych, byłoby szkodą dla Państwa Polskiego. Takie państwo, które by tak postępowało, musiałoby przestać być polskiem. Dlatego też zawsze zapowiadałem nowelizację ustawy o podatku majątkowym i wniosłem projekt takiej nowelizacji w duchu złagodzenia i naprawienia krzywdy, wyrządzonej ziemianom przez Sejm i przez obrońców ziemiaństwa w Sejmie.

Podatek majątkowy był podatkiem kwotowo repartycyjnym, to jest, że w ustawie była podana skala opodatkowania w stosunku do szacunku majątkowego, ale prócz tego podanem zostało, że skoro wymierzona z tej skali kwota nie dosięgnie wymaganej sumy, to nastąpi repartycja pozostałej reszty. Ten przepis okazał się właśnie dla większej własności, tak bardzo zabójczym dla tego, że dla rolnictwa została wyznaczona osobna suma dla repartycji i że od tej repartycji zwolnione zostały gospodarstwa rolne poniżej 10.000 franków złotych wartości, czyli prawie wszyscy włościanie. Przy oszacowaniu wszystkich majątków w Polsce okazało się, że ogólna wysokość podatku wynosiła zaledwo 521,447.913 złotych.

Gdyby Sejm nie był podniósł ogólnej sumy do 1 miljarða, a rolnicy nie byłiby sami wzięli na siebie z tego 500 milionów, to okazałoby się, że wymiar wypływający z oszacowania należało zwiększyć zaledwie o 16%, by otrzymać sumę 600 milionów, która była w moim projekcie. Należy jednak zaznaczyć, że w projekcie, który wniosłem do Sejmu w czerwcu 1923 r. nie było wogóle wcale repartycji i że, gdyby Sejm stanął był na gruncie mego projektu, wówczas wymiary nie uległyby żadnym dalszym mnożnikom.

Ale Sejm po mojem odejściu w 1923 r. zapragnął ulepszyć mój projekt. Było to za ministra Lindego w gabinecie Witosa. Jako rezultat tych ulepszeń okazało się, że do wymiarów już raz ustanowionych trzeba było dorobić repartycje, znacznie te wymiary przekraczające.

Z liczby 521,447.973 zł. ogólnego wymiaru przypadło na rolników tylko 150,452.577 zł. Z tego na rolników mniejszych, których majątek nie przenosił 10.000 zł., i którzy repartycji nie podlegali, przypadło 41,579.690 zł. a na resztę rolników 107,872.886 zł.

A tymczasem ze wszystkich rolników trzeba było podług ustawy ściągnąć 500 milionów zł. podatku.

Z tej liczby na rolników, majątek których był oszacowany powyżej 10.000 zł., przypadło 458,420.310 zł., a ponieważ wymiar wykazał, że się od nich należy się 108,872.886 zł., więc z tego wynikło, że wymiar trzeba z górą czterokrotnie powiększyć, by dojść do wymaganej przez ustawę sumy. A ponieważ ustawa przewidywała jeszcze, że dla wyrównania obniżeń z tytułu ulg, lub niemożności płacenia, należy do sumy, ulegającej repartycji, dodać 10%, więc z tego wynikło, że dla większej własności wymiar podatku należy powiększyć o mnożnik 467, lub, co na jedno wychodzi, dodać 367% do wymierzonego podatku.

Ponieważ skala podatku dochodziła przy największych majątkach do 13% ich wartości szacunkowej, więc okazało się, że przy takich majątkach podatek zabierał 60% szacunku. W średnich majątkach wynosiło to 20–30% szacunku.

Do takiego absurdu doprowadziła ignorancja i lekkomyślność Sejmu i rządów Witosa.

Ja odziedziczyłem tę sytuację po moim poprzedniku. Ani myślałem bronić tego przepisu ustawy. Wyraźnie oświadczyłem, że uważam taki stan prawny rzeczy za absurd i wniosłem dwa nowe projekty, regulujące tę sprawę, jeden już na wiosnę 1925 r. gdy tylko stały się wiadome cyfry wymiaru, a drugi na jesieni. Ale Sejm wcale się daną sprawą zająć nie chciał. Musiałem więc tymczasem stosować się do ustawy. Terminy w ustawie przepisane biegły. W ciągu 1924 roku i pierwszej połowy 1925 r. mogłem jeszcze opierać się na wymiarach tymczasowych oraz na zaliczkach, ale na jesieni 1925 r. trzeba było zaliczki podsumować i raty obliczyć definitywnie oraz doliczyć to, co było wymagalnym. Zostały rozesłane nakazy płatnicze. W nich figurowała na czele cyfra straszna do każdego płatnika wymaganego dodatku wynoszącego 367% w stosunku do wymiaru. Znajdowała się ta cyfra w wykazie płatniczym tylko jako konieczny świadek tego, do czego prowadzi i czego wymaga ustawa, poleciłem bowiem ze swej strony, by ostateczne powiększenie należnej na jesieni raty płatniczej znacznie zredukować, tak by utrzymać ją w normach dotychczasowych co pół roku placonych rat, a sprawę dalszego ściągnięcia podatku majątkowego w zmienionej wysokości pozostawić do rozstrzygnięcia Sejmowi. Ta moja decyzja o niższym wymiaru, stanowczo wymagalnego, była samodzielnym moim krokiem, wypływającym z zupełnego przeświadczenia o nierealności ustawy. Zniżka, którą zarządziłem redukowała wymagalne sumy do 15–25% tego, co by wypływało do płacenia na mocy ustawy. Ponieważ i ta moja zniżka jeszcze okazała się ponad siły płatnicze ziemiaństwu w ciężkim dla nich okresie jesieni 1925 r., gdy dotknięte było ono silnie w wyniku spadku cen na zboże, więc i tę zniżoną ratę obniżyłem jeszcze o 75%. Ostatecznie zatem wypadło ziemianom na jesieni 1925 r. płacić najwyżej 6% tego, co by przypadło na nich do płacenia na mocy ustawy, a i tak wielu nawet tak drobnej części nie zapłaciło.

Na nakazach płatniczych te zniżki, które najpierw zarządziłem, wypisane były ręcznie, a w rubrykach drukowanych były pomieszczone te ogromne sumy, które słusznie wywołały przerażenie. Przerażenie, które ogarnęło ziemian przemieniło się szybko w furję oburzenia oczywiście przeciwko mnie. Niektórzy ziemianie nie czytali deklaracji do końca, tylko widząc, że podatek jest podniesiony do 467%, siadywali na koń lub do pojazdów, by z sąsiadami razem dać folę swemu strapieniu i radzić o tem, co robić dalej. Takie typowe zdarzenia były mnie z paru stron komunikowane.

Ziemianie ostatecznie się uspokoiли. Nie jeden doczytał deklarację do końca. A gdy się dowiedzieli, że jeszcze dostają obniżkę dodatkową do 25% już obniżonego wymiaru, niejeden się ucieszył. Ale wtedy zaczęła się na dany temat wstrętna orgia demagogii podatkowej. W Sejmie zaczęto krzyczeć: Grabski pogwałcił ustawę. Jedni pod pogwałceniem rozumieli, że dałem zniżki, do czego nie byłem upoważniony, a drudzy rozumieli, że pogwałcenie było to wypisywanie w nakazach płatniczych zwyczajek, wypływających z nakazanej ustawą repartycji.

Wśród objawów tego, że ciała zbiorowe pozbawione bywają poczucia elementarnej odpowiedzialności, cały przebieg sprawy zarówno uchwalenia w 1923 r. wyraźnie nadmiernego podatku i jego niesprawiedliwego podziału na kontyngenty, jak i alarmy na jesieni 1925 r. z powodu wymiaru tego podatku oraz zupełna beczynność w ciągu całego 1925 i 26 r. nad jego nowelizacją, pomimo wniesienia przezemnie jednego projektu na wiosnę, drugiego na jesieni 1925, są to dowody, iż Sejm ma ciężki grzech na swoim sumieniu, iż podatku majątkowego nie traktował serjo, a tylko jako przedmiot gry politycznej.

ROZDZIAŁ XXXI

Run na Banki. Opanowanie sytuacji. Bilans rządów w 1925 r.

Gdy piętrzyły się trudności w połowie 1925 r., rachowałem, że urodzaj dopomoże. Wszak gdy urodzaj przychodzi po roku kłęski, jest to szczęściem, które swój błogi skutek wywierać powinno. Ale na to, by w dzisiejszych czasach ułatwień komunikacyjnych, urodzaj był szczęściem dla stanu gospodarczego i finansowego danego kraju, potrzeba by miał on miejsce głównie w tym jednym kraju, a nie we wszystkich innych jednocześnie. Tymczasem podczas gdy w 1924 r. nasz nieurodzaj był większym, niż w innych krajach,

urodzaj 1925 r. był w innych krajach nie mniejszym, niż u nas. Dlatego też ceny światowe spadły niezmiernie.

Ceny te u nas spadły jeszcze więcej. Jest to już rzeczą stwierdzoną, że w kraju o droгим i trudnym kredycie ceny ulegają przy nadmiarze zaofiarowania ogromnej depresji. Na zboże po żniwach 1925 r. wprost kupców znaleźć nie można było.

Niskie ceny na zboże i niemożność spieniężenia go w granicach niezbędnych dla rolników dla uczynienia zadość terminom ich płatności, były to nowe a niespodziewane klęski, które na kraj nasz spadły. — Klęski te nie były ani trochę wynikiem tej lub innej polityki rządu. Ale opinja publiczna przeciwko rządowi z tego powodu się zwracała. Klęski te rządowi poważnie właśnie dawały się we znaki.

Załamaniem się zdolności płatniczej rolników spowodowało niemożność zwrotu przez nich rat należnych Bankowi Gospodarstwa Krajowego i Bankowi Rolnemu. Na raty te liczyłem tymczasem, jako na źródło dochodów na wczesnej jesieni z chwilą, gdy w tych bankach lokowałem emitowane bilety skarbowe w pierwszej połowie roku. Załamanie tej zdolności płatniczej sprawiło, że na wpływy późnej jesieni, w której przypadał termin płacenia podatku majątkowego, rachować nie mogłem i że zredukowałem należne raty do minimalnych rozmiarów.

Spadek złotego stał się klęską. Ale spadek cen zboża był drugą zupełnie niezależną od pierwszej dalszą klęską. Gdy nastają czasy wielkich przełomów i mocowań się różnych sił głębiej sięgających, wtedy klęski nie idą w pojedynkę. Do tych dwóch klęsk dołączyła się pozostająca z nimi w związku nowa klęska kryzysu kredytowego.

Rolnicy nie byli w stanie płacić swoich zobowiązań, kupcy nie byli w stanie wypłacać się z wymagalnych kredytów zagranicą, Banki okazały się również bezsilnymi w spłacie swoich zobowiązań zagranicznych. Zapasów walutowych banki nie miały, a zagranicą zaczęto żądać spłat w gotówce.

Tymczasem Bank Polski, chcąc ratować złotego, zaczął stosować restrykcje kredytowe. Tak robią wszystkie banki emisyjne, gdy waluta się chwieje. Ale należało u nas robić to znacznie wcześniej, już od początku 1925 roku, a może wcześniej, od jesieni 1924 r. Bank zastosował restrykcję kredytowe dopiero w końcu sierpnia i września 1925 roku. Nie pomogło to już złotemu, a jednocześnie uniemożliwiło to Bankowi Polskiemu przyjście innym Bankom z pomocą z chwilą, gdy kryzys kredytowy w połowie września przybrał kształty runu na banki.

Już przed tem Związek Banków zwrócił się do mnie z tem, że bankom grozi krach, gdyż publiczność na gwałt wycofuje swoje wkłady. Wobec spadku złotego, publiczność oczywiście wolała lokować swoje sumy w dolarach, niż trzymać je w bankach. Związek Banków wystąpił do Banku Polskiego z tem, żeby tenże podwyższył im redyskont. A tymczasem właśnie Bank Polski ten redyskont zmniejszył. Bank Polski odmówił. Wtenczas Związek Banków zwrócił się do mnie o wpłynięcie na Bank Polski. Przypominano mi, że gdy krachy groziły bankom w Austrii lub w Rosji, Wiedeń i Petersburg nie odmawiały pomocy Krakowowi lub Warszawie.

Moja sytuacja wobec Banku Polskiego była trudna. Wszak ja od Banku wymagałem, by ratował złotego, a w tym celu musiał on ograniczać kredyty. Żądać od niego, by ratował złotego i ratował jednocześnie również i Banki, było to zawiele.

Dopuszczać zaś do krachów banków nie uważałem za możliwe. Gdyby szło o jeden, dwa, kilka banków to mniejsza. Istotnie, gdy jeden bank nawet dość duży zwrócił się do mnie o pomoc i zażądał zbyt wielkiej na to sumy i gdy opinja o nim wypadła ujemną, pomocy w sumie zażądaney odmówiłem, choć ją w granicach normalnych udzieliłem, za co później miałem wściekłą przeciwko sobie kampanję dziennikarską. Ale tu szło o ogół banków, o cały aparat bankowy Polski. Musiałem się zdecydować na okazanie bankom ratunku przed krachem, jaki im groził, skutkiem runu, jaki się rozpoczął.

Ale skąd wziąć na to środki? Rolnicy pożyczek nie zwrócili. Pożyczka zapalczana była tak mała, że wiele pomódz nie mogła, a deficyty budżetowe rosły. Emisja biletów i bilonu zbliżała się do swej normy ustawowej. Musiałem mieć jeszcze pewien zapas tej emisji na październik, więc gdybym się zdecydował na okazanie pomocy bankom musiałbym przekroczyć ustawowe granice emisji. — Wprawdzie Ministerstwo Skarbu sporządziło wyliczenie, że obieg jest znacznie mniejszy od emisji i że wobec tego mam jeszcze sporo biletów do dyspozycji, ale wolałem się zabezpieczyć i wtajemniczyłem w sytuację niektóre

najbardziej miarodajne osoby w Sejmie i Senacie, by, decydując się na okazanie pomocy bankom, uzyskać następnie w Sejmie i Senacie usankcjonowanie tego drogą nowelizacji ustawy o ograniczeniu granic emisji biletów zdawkowych i bilonu łącznie.

Krok ten uważałem za zupełnie błędny. Za sprzeczny z całą moją polityką. Zamiarem moim było niewykorzystanie pełne granic emisyjnych i pozostawienie części emisji niewykorzystanej na 1926 r., a jednak groźba runu na banki i perspektywa paniki, któraby stąd powstała, oraz katastrofy dla złotego, która by musiała nastąpić, wszystko to skłoniło mnie, by odłożyć na bok 30 milj. biletów zdawkowych i użyć je na zażegnanie runu na banki. Przeprowadzona z mego polecenia akcja zażegnania runu na banki dała dobre wyniki i to nie wielkim kosztem. W wielu innych państwach run na banki wymagałby zapewne większych środków dla zażegnania, a środki te zwykle nie bywają w takich razach ani budżetowo przewidziane, ani ustawowo prawidłowe. Jest to rodzaj siły wyższej, która w takich razach działa.

Krach, który zagroził bankom na jesieni 1925 roku był wynikiem nieogłędnej ich polityki z całego okresu poprzedniego. Banki nie miały środków płynnych. Sprzeniewierzyły się one najbardziej elementarnym zasadom prawidłowo i porządnie prowadzonej bankowości i winnymi lekkomyślności były prawie wszystkie banki. W czasie inflacji lokowały one nadmierne środki w nieruchomościach, w czasach złotego udzielały pożyczek takich, które płynności gotówki wcale nie gwarantowały. Robiły one to w celu zabezpieczenia sobie opłacalności nadmiernie rozrośniętej w czasie inflacji administracji. Dla sanacji banków najważniejszą było rzeczą, by większość ich w 1924 r. była zlikwidowana. Ale wtedy wszyscy widzieli inną drogę dla sanacji banków: drogę fuzyj szeregu banków. Droga ta nie była wcale właściwą. Źle prowadzone interesy bankowe drogą fuzyj wcale nie doznawały uzdrowienia.

W momencie gdy krach wisiał nad bankami, trudno było przeprowadzać głębsze posunięcia sanacyjne. Ale nie mniej warunkiem udzielania pomocy rządowej bankom było wymaganie od nich poddania się zarządzeniom, zmierzającym do uzdrowienia ich funkcjonowania i organizacji. Wraz z opanowaniem runu na banki rozpoczęta została ich sanacja.

Rzucając wzrokiem na całokształt prac państwowych dokonanych w 1925 roku stwierdzić musimy, że w roku tym poza sferą finansowo ekonomiczną, zostały przeprowadzone ważne poczynania w innych dziedzinach: zawarty został konkordat ze stolicą Apostolską, zapoczątkowana została realna praca państwowa w stosunku do mniejszości narodowych słowiańskich oraz dokonana próba ugody z żydami. W sprawie siły obronnej kraju zostały osiągnięte bardzo dodatnie rezultaty, które się uwidoczniły na wielkich manewrach latem 1925, oraz które znalazły swój wyraz w stworzeniu Korpusu Ochrony Pogranicza. W życiu społecznym wykazane zostało znaczne osłabienie napięcia antagonizmów socjalnych, co się uwidoczniło w wyjątkowo małej ilości zatargów strejkowych.

W zakresie życia ekonomicznego i finansowego został przerobiony nasz system celny tak, by nadać naszemu organizmowi gospodarczemu odporność niezbędną dla wytrzymania wojny celnej z Niemcami. Wojna ta została przez nas przyjęta i odwetowe środki przeprowadzone. Wobec klęski nieurodzaju rząd przychodził ze znaczną pomocą kredytową rolnikom na wiosnę 1925 r., a wobec nowej klęski rolników, wynikającej na jesieni ze zbyt niskich cen światowych, przyszedł z pomocą pod postacią odłożenia terminu płatności tych kredytów oraz znacznej bardzo zniżki przypadającej raty podatku majątkowego oraz licznych odroczeń wszelkich podatkowych od rolników należności.

Wobec spadku złotego rząd walczył na razie skutecznie przeciwko szybkiemu, a lawinowemu rozpełnieniu się tendencji zniżkowej, a wobec grożącego bankom krachu opanował run na banki i rozpoczął przy tej sposobności ich realną sanację.

Rząd doczekał się tego, że ujemny bilans handlowy, który trapił nasz organizm gospodarczy od marca 1924 r. do sierpnia 1925 r., zamienił się na bilans dodatni i to w bardzo silnym i wydatnym stopniu.

Rząd zaciągnął w 1925 r. pożyczkę zagraniczną bez najmniejszej w nasze własne sprawy ingerencji wierzycieli. Gdy trzeba było ratować kurs złotego po zachwianiu się od grożącej katastrofy, rząd przyszedł Bankowi Polskiemu z pomocą pod postacią szeregu pożyczek zagranicznych, które oddały wielką usługę państwu w tych trudnych chwilach.

Rok 1925 był świadkiem niemniej wytężonych prac państwowych niż rok 1924. Ale rok ten 1925, zamiast być świadkiem wielkich dzieł jak poprzedni, zakończył się ciężkim dla nas kryzysem. Załamała się nasza większa pożyczka zagraniczna, dając dwa razy mniej, niż było to konieczne, załamał się kurs złotego, załamały się dochody Skarbu. Życie gospodarcze uległo depresji i nie było w stanie dostarczyć państwu potrzebnych środków, a pomoc rządowa, udzielana temu życiu, tylko potęgowała trudności samego skarbu.

Na tle tej sytuacji wytwarzał się kryzys zaufania w stosunku do rządu.

DZIAŁ IV. ZAKOŃCZENIE PRACY DWULETNIEJ ROZDZIAŁ XXXII

Utworzenie się zdecydowanej opozycji w Sejmie. Ostatni mój program

Zażegnanie runu na banki, dokonane przez Ministerstwo Skarbu we wrześniu 1925 r., było chlubnym dziełem. Jedna z klęsk, która na nas spadła, została zażegnana. Zdawało się, że po tej udanej akcji, powinno było nastąpić uspokojenie. Ale na to już nie było pory.

Pomimo, że ziemianom poczyniłem wszelkie możliwe ulgi, że od drobnych rolników wogóle żadnych splat nie wymagałem, że bankom kosztem Skarbu, przy pełnej abstenencji Banku Polskiego, dopomogłem, że zacząłem naradzać się z przemysłowcami, by rozpocząć akcję bezpośredniej i dla nich pomocy, rosła atmosfera niewiary i animozji, która wskazywała mnie, że czas odejść. Przedtem jednak wypadło mnie jeszcze raz stanąć przed Sejmem.

Sejm miał się zebrać na jesieni 1925 r. w październiku, jak to już było przyjęte ze względu na normalny bieg prac, związanych z wniesieniem przez Rząd budżetu. Marszałek Sejmu przyjechał jednak wcześniej, by już w początkach września czuwać nad sytuacją, która była trudną. U Marszałka odbywały się narady różnych liderów stronnictw. Układano nowy gabinet. Do tych narad wciągnięty był i minister Sikorski. Zaczęto o tem głośno mówić. Ja sam też rozmawiałem z ministrem Sikorskim, zaznaczając, że bardzo by mi było miło widzieć w nim moją następcę jako premiera. Z prezesem Komisji budżetowej Zdziechowskim już od roku rozmawiałem na ten temat, że widzę w nim najodpowiedniejszego następcę po mnie jako Ministra Skarbu. Zdziechowski na stanowisku swoim w Sejmie zachowywał, aż do mego ustąpienia, całkowitą wobec mnie lojalność. Minister Sikorski zapewnił mnie, że on osobiście żadnych zmian nie pragnie i w kombinacjach, o których wieści dochodziły, żadnego nie przyjmuje udziału.

Marszałek Sejmu porozumiewał się z mną co do tego, czy by nie należało zwołać Sejmu wcześniej, niż to było zamierzonym, ze względu na ogólną sytuację. Nie chciał on dawać sam pobudki do alarmów. Ja zobowiązałem się, że wniosę budżet możliwie jak najrychlej, to jest w początkach października i w ten sposób można będzie Sejm zwołać również na początek tego miesiąca, przyczem obiecałem, że łącznie z budżetem wniosę projekty ustaw, stanowiących program rządu, tak by Sejm miał możliwość dania swobodnego i pełnego wyrazu w jakiej mierze popiera rząd lub mu się sprzeciwia.

Stosunek do rządu stronnictw w czasie ferji letnich wykazał kilka rysów znamienych. Korfanty zaczął prowadzić wyraźną i ostrą walkę z rządem. Chrześcijańska demokracja była skutkiem tego rozdwojona. Stosunek Piasta przed ferjami nieco złagodniał, w imię odczuwanej przez to stronnictwo potrzeby przeprowadzenia ustawy o reformie rolnej przez Sejm i Senat. W Sejmie sprawy były z Piastem stale uzgadniane dzięki konferencjom u Marszałka liderów trzech stronnictw. Ale Piast nie był zadowolony z poprawek do tej ustawy w Senacie. W czasie ferji letnich Witos szukał widzenia się ze mną, był u mnie w Krynicy, ale mnie nie zastał. Gdy jednak złoty spadł uznałem, że widzenie się moje z nim byłoby bezcelowe, bo wiedziałem, że dla Piasta wybiła godzina rewanzu, gdyż los dał temu stronnictwu w rękę nową okazję, by wobec niepowodzeń, jakie na mnie spadły, upomnieć się o władzę, którą utraciło ono w 1923 roku w wyniku niepowodzeń, jakie go wtedy dotknęły.

Wyzwolenie było wciąż wielce do mnie zrażone za zmianę na stanowisku ministra reform rolnych. Ja zaś miałem żal do tego stronnictwa, że nie poparło ono ministra Kop-

czynskiego, którego mnie leaderzy tego stronnictwa wskazali i za którego mnie ręczyli, jako w ich mniemaniu doskonałego ministra. Gdy przeto oni go nie popierali, wyciągnąłem konsekwencję z tego taką, że wziąłem do gabinetu na jego miejsce na ministra reform rolnych Radwana, który widząc, że nie dojdzie do porozumienia z Wyzwoleniem, starał się oczywiście o to, by stanowisko rządu w sprawach reformy uzgodnić przynajmniej z Piastowcami. Ci ostatni jednak zupełnie nie chcieli z tego powodu wyciągać jakichkolwiek konsekwencji co do ich stosunku do rządu. Straciwszy Wyzwolenie, nie zyskałem dla rządu Piasta, choć w całej sprawie reformy rolnej byłem aż nadto lojalny i postępowałem drogą zupełnie prostą, płynącą jedynie z poczucia służenia interesom państwowym.

Pod wpływem spadku złotego zmienił się do rządu zasadniczo stosunek żydów. Dawniej domagali się oni ugody i ugoda taka istotnie została przeprowadzona na gruncie jednak bardzo ograniczonym. Ugodę przeprowadził mój brat, jako minister Oświaty i czynny członek Gabinetu w sprawach mniejszości. Z mej strony pilnowałem, by była ona wykonana ściśle, gdyż zasadniczo uważam, że dla Państwa naszego ugody z mniejszościami narodowymi, byle były realnie traktowane, mają bardzo dodatnie znaczenie. Pierwszą ugodę żydowską traktowałem więcej jako próbę. Na to, żeby ugoda z jakąkolwiek grupą mniejszości narodowych miała realną wartość, potrzeba, by warunki ogólnie polityczne temu sprzyjały.

Druga połowa roku 1925 nie nadawała się do tego, by w nim ugodę z żydami przeprowadzać. Elementy siły państwowej polskiej zaczęły się chwiać, a w takich chwilach można rachować tylko na te żywioły w państwie, które są do niego najgłębiej przywiązane. Gdy takich elementów wśród ludności polskiej coraz mniej można było widzieć, jasnym było, że mówić o tem, by żydzi mieli dawać szczególny wyraz swoich państwowo pozytywnych dążeń, było trudno. Wymaganie od żydów takich wyrazów mogło wyglądać na szukanie przez rząd sojuszników, których mu zaczynało brakować. Nigdy na taką rolę się nie godziłem. Wiedziałem też, że przy pierwszym niepowodzeniu rządu, żydzi znajdą się w opozycji. Oto jak poseł Wiślicki z trybuny dobitnie objaśniał zmianę, jaka miała zajść u żydów w stosunku do rządu. „Jeszcze pół roku temu, my żydzi chodząc po wiecach żydowskich nie mogliśmy nic mówić przeciwko Panu Premierowi. Grabski to Bóg w Polsce, on uratował walutę. Nikt nie chciał z nami mówić”. Oto przyczyna, dla której żydzi miarkowali swoją opozycję przeciwko rządowi do czasu spadku złotego i nawet gotowi byli iść na ugodę. Co innego gdy złoty spadł. Rząd mój stracił autorytet wśród wszelkich mas, a więc i wśród żydowskich. Organy żydowskie przyczyniły się do naganki na rząd. Ale posłowie żydowscy byli nieco ostrożniejsi. Część ich wołała wstrzymać się od głosowania, część zaś wyraźnie atakowała.

U Marszałka Rataja niektóre ugrupowania sejmowe odbywały swe narady. W pierwszym momencie Pan Marszałek zaproponował mnie, bym zdał sprawę z położenia państwa przed dobraniem nielicznym gronem leaderów stronnictw polskich. Poszedłem na pierwsze takie zebranie. Było ono istotnie nieliczne, ale wśród zebranych znalazł się Korfanty i Wiślicki. Obydwaj oni byli u mnie niedawno przedtem w sprawie pomocy dla Banku dla Handlu i Przemysłu, której udzielić nie mogłem w żądanych rozmiarach, wobec ujemnej o tym Banku opinii miarodajnych dla ministerstwa Skarbu czynników (Banku Polskiego i Banku Gosp. Krajowego). Po tej nieudanej próbie nastąpiło zaostrenie naganki na mnie organów prasy Korfantego. Na zebraniu u Marszałka Rataja przemawiali jedynie Korfanty i Wiślicki. Wobec tego na następne zebranie udać się już tam nie chciałem, o czem Marszałka piśmiennie powiadomiłem.

W ten sposób wiedziałem dobrze, że w Sejmie rozpęta się przeciwko mnie burza nienawiści. Miałem w Sejmie oddawna wielu takich posłów, którzy mnie namiętnie zwalczali i nic nie robiłem, by ich ku sobie przychylnie usposobić. Czem trudniejszym stawało się położenie państwa, tem mniej okazywałem skwapliwości do zjednywania sobie dobrego usposobienia do mnie potentatów na gruncie Sejmowym. Wiedziałem, że właśnie wtedy, gdy położenie jest trudne, najmniej można liczyć na wszystkie rozmowy i przekonywania, a innych środków oddziaływania nie uznawałem.

W tem mojem postępowaniu nie mam sobie nic a nic do wyrzucenia. Postępowałem tak, jak każdy w tych samych okolicznościach mąż stanu postępować powinien. Cudzej nienawiści nie można i nie należy zdaniem moim rozbrajać. Gdy zwrócono mnie ze strony

osób przyjaznych uwagę, że narażam sobie zbyt wielu ludzi, mawiałem wtedy, że to nic nie szkodzi, póki nawa państwowa dobrze idzie, a gdy nawa państwowa się przechyli i sprawy zaczną się psuć, wtedy najlepsi przyjaciele pomódz nie są w stanie. Moją maksymą było, że najważniejszym jest, by „rzecz” sama stała dobrze, a o ludzi mniejsza. Tej trzymałem się zasady i, z oddalenia sądząc, do dziś dnia tego nie żałuję. Zawsze byłem zdecydowany, by odejść, gdy nie będę mógł opanować rzeczowo całej sytuacji, niezależnie od tego, czy będę miał za sobą większość, czy nie. Chciałem tylko naprzód wypróbować, czy zła nie zdołam nieco naprawić. Dlatego też nie odszedłem w sierpniu, a listopadzie.

Marszałkowi Sejmowi, który uprzedzał mnie, że w Sejmie całym wszyscy dopominają się o program rządu, obiecałem, że program taki przedstawię. Spodziewano się, że wystąpię o nowe pełnomocnictwa, a wtedy oczywiście bym ich nie otrzymał. Ale zamiast pełnomocnictw opracowałem trzy ustawy: jedną o wzmożeniu akcji oszczędnościowej i o państwowej radzie oszczędnościowej, drugą o środkach doraźnych naprawy i pożyczkach zagranicznych, trzecią o sposobach naprawy bilansu handlowego i poparciu produkcji krajowej. Te trzy ustawy razem stanowiły program. Przemówienie moje, czyli ekspozycja, od którego miała się rozpocząć sesja, ułożyłem tak, by właśnie z niego uwidocznił się program rządu, który poprzednio w postaci szeregu punktów sformułowałem i przedstawiłem Radzie Ministrów do aprobaty. Mając program gotowy, przedtem, niż przedstawiłem go Sejmowi, zwołałem prowizoryczną Radę Gospodarczą, by wypróbować, w jaki sposób na sytuację kraju reaguje społeczeństwo.

Zebranie przezemnie tej Rady było krokiem, wypływającym z prawidłowo pojętej troski o to, by poczynania rządu w chwilach trudnych i przełomowych nie były pozbawione czynnika współdziałania opinii społeczeństwa. W 1924 roku zwoływałem nieraz Rady finansowe i Rady Gospodarcze z udziałem sfer gospodarczo finansowych.

W początkach 1925 roku rozpocząłem systematyczne konferencje z przedstawicielami organizacji gospodarczych, a na wiosnę 1925 r. wniosłem do Sejmu projekt ustawy o Tymczasowej Radzie Gospodarczej. Ale Sejm, który początkowo krytykował rząd zato, że unika kontaktu ze sferami gospodarczymi, gdy miał gotowy projekt Rady Gospodarczej przez rząd wniesiony, nie chciał wcale nawet zabrać się do jego rozpatrzenia.

Widząc to, postanowiłem sam zwołać prowizorycznie taką Radę zgodnie z moim projektem. Oczywiście to nie była Rada właściwa, gdyż projekt rządowy nie był jeszcze uchwalony. Więc to, co zwołałem, to była narada. Miałem do tego prawo, było to nawet moim obowiązkiem. Cóż mogło być w tem złego, by zwołać duże zebranie przedstawicieli przemysłu, rolnictwa i sfer robotniczych i przed nimi przedstawić swój program.

Ogromnie się to jednak nie spodobało niektórym stronnictwom w Sejmie, oczywiście wcale nie większości stronnictw, ale tej mniejszości, która przystępowała do ostrej kampanji przeciwko mnie. Upatrywano, że dlatego zwołałem naradę gospodarczą, by paraliżować Sejm.

Narada się udała. Tylko reprezentanci organizacji drobnych rolników uczyli się urażeni tem, że udział ich w naradzie był niedostatecznie liczebny, co było nie do uniknięcia w dużym składzie czynników życia gospodarczego, wśród których żaden nie mógł być zbyt liczebnym. Program mój znalazł uznanie.

Po opanowaniu runu na banki stawał przedemną, jako nowa zmora i niebezpieczeństwo, rozpoczynający się zastój w przemyśle, wywołany brakiem kapitału obrotowego. Banki, które dzięki pomocy rządowej pooddawały publiczności wkłady, były spokojne, ale przemysł, który z banków czerpał środki dla swego ruchu, znalazł się w sytuacji krytycznej.

Delegacje przemysłowców zaczęły szeroko traktować sprawę poprzednio uważaną zupełnie za pogrzebaną: sprawę nowego pieniądza hipotecznego. Inni mówili o pieniądzu pod lombard kosztowności. Były to nonsensy i herezje, ale najpoważniejsi ludzie zaczęli je popierać. Inni zaczęli się domagać koniecznie pożyczki zagranicznej, choćby z opieką Ligi Narodów.

Jakiej miałem się trzymać taktyki wobec tych natarczywych żądań? Z początku odrzucałem wszelkie te myśli prosto i kategorycznie. Ale to nie pomogło. Przychodziły deputacje posłów ze wszystkich stronnictw j. n. z Krakowa, domagające się pieniędzy dla fabryk, bo one staną wszystkie i bezrobocie będzie klęską groźną dla Państwa. Na ulicach Warszawy nalepiano odezwy jednego z senatorów, wygrażające pod moim adresem

za upór z jakim odrzucałem jego zbawcze niby projekty pieniądza hipotecznego, przy pomocy którego obiecywał on zażegnać bezrobocie. Ilość bezrobotnych na koniec sierpnia wyniosła 186,230, na koniec września 195.230, koniec października 219,890. Wzrost ten nie był tak znów zastraszający, ale sygnalizowano, że będzie gorzej; istotnie w końcu grudnia bezrobocie doszło do 302.253, a dnia 13 lutego 1926 r. do 363.507 osób.

W programie moim postanowiłem użyć środków specjalnych, by do tak wielkiego bezrobocia, które już po mojem ustąpieniu się rozpętało, nie dopuścić. — Tak, jak na obronę banków od krachu wystarczyło 30 milionów zł., tak na ochronę fabryk od stnięcia z powodu braku środków obrotowych według mnie powinno być starczyć 70 milionów. Opracowałem zatem projekt o funduszu 100 milionów złotych w postaci, w połowie biletów zdawkowych, a w połowie nowych biletów państwowych o większych odcinkach, by mózdz opanować zamykanie warsztatów pracy z powodu braku środków obrotowych.

Plan ten, jak wiadomo, nie został przez mego następcę wykonany. Zresztą projekt mój, zawierający ten plan, został uchwalony przez Sejm zapóźno, bo po mojem ustąpieniu, a wtedy już 70 milionów zapewne by nie wystarczyło. Każdy kryzys bowiem tem łatwiej się daje opanować, czem wcześniej do tego się zabrać. Sejm nie miał odwagi odrzucić mego planu, ale zwlekał z jego uchwaleniem.

Prócz funduszu sanacyjnego dla banków i przemysłu, program mój jesienny zawierał upoważnienie do zaciągnięcia pożyczek zagranicznych. Za najważniejszy cel w tej sprawie uważałem, by nie dopuścić do pożyczki z gwarancją, a więc z kontrolą Ligi Narodów. Chcąc tę koncepcję sparaliżować, wysunąłem koncepcję innego rodzaju pożyczki, mianowicie z wydzierżawieniem którego z monopoli państwowych. Steczkowski właśnie prowadził z mego upoważnienia narady z finansistami zagranicznymi na temat wydzierżawienia monopolu spirytusowego, w związku z wielką pożyczką zagraniczną. Nie bardzo wierzyłem w to, by coś z tego wyszło, ale sformułowałem w ustawie odnośne upoważnienie, by nie mieć przed samym sobą nic sobie do zarzucenia, jakoby lekceważył jakąkolwiek możliwość otrzymania pożyczki na godziwych warunkach. Pod względem taktyki parlamentarnej to żądanie moje upoważnienia do wydzierżawienia jednego z większych monopoli państwowych w celu otrzymania pożyczki, żądanie od którego zresztą szybko odstąpiłem, zaszkodziło mnie na lewicy. Podniesiono demagogiczne przeciwko mnie ataki, przypisując mnie gotowość oddania części Polski, w postaci monopoli, w obce ręce. Nadmieniam, że w planie pożyczki na monopol spirytusowy, dzierżawcami mieli zostać nie wierzyciele zagraniczni, a producenci krajowi.

Poza tem w moim programie leżało, by sprawę oszczędności w budżecie wysunąć na czoło spraw państwowych. Pomnąc, że sprawa ta została skompromitowana przez rozcięcie budżetu na 1925 r. przez Sejm, zażądałem, ażeby postawić ją na gruncie współdziałania Rządu z Sejmem. Budżet na rok 1926 przedstawiłem w znacznie bardziej skromnych ramach niż na 1925 r., ale jeszcze ramy te były za duże. Nie sposób było jednak obciąć tych ram, nie mając zgóry zapewnionego poparcia Sejmu. Ponieważ budżet został ułożony w sierpniu i w pierwszej połowie września ze względu, by mógł być gotów na pierwsze dni października, nie mógł on uwzględnić tego pogorszenia się ogólnej sytuacji, która w drugiej połowie września stała się najbardziej widoczną. Dla tego też, wnosząc budżet, nie mogłem porobić w nim dostatecznych skreśleń w wydatkach i utrzymać go na dostatecznie niskim poziomie. W każdym razie był on o 170 milionów mniejszy niż budżet na 1925 r. Zdając sobie jednak sprawę z konieczności obniżenia jeszcze dalszego budżetu, wystąpiłem z projektem osobnej Rady, złożonej z kilku przedstawicieli rządu i sejmu oraz senatu, by najważniejszym oszczędnościom utorować drogę. Jednocześnie projektowałem, by minister Skarbu miał swoich kontrolerów budżetu we wszystkich ministerstwach, tak by nie mogło się powtórzyć to, co zaszło w czerwcu i lipcu 1925 r. t. j., by można było zapobiedz przekroczeniu kredytów miesięcznych przez różne ministerstwa, wbrew planom ministra Skarbu.

Cały powyższy program stanowił skończoną całość. Z oddalenia dzisiejszego czasu nic mu zarzucić nie można i tylko żałować należy, że nie został on przyjęty i wykonany.

Fundusz 100 milj. zł. został wprawdzie uchwalony, ale nie poszło z niego nic na zażegnanie bezrobocia w przemyśle, tylko poza 30 milj., które ja już wcześniej wydałem na ratunek banków od krachu i na ich sanację, reszta poszła na pokrywanie deficytów budżetowych za urzędowania ministrów Zdziechowskiego i Klarnera. Państwowa Ra-

da oszczędnościowa rządowo-sejmowa projektowana w myśl mego programu nie została uchwalona, gdyż rząd koalicyjny, który po mnie nastąpił, wziął na swe barki sam przeprowadzenie wszystkich oszczędności wymagających zmiany ustaw, lub zawieszenia ich działania, co wcale na dobro załatwienia samej sprawy nie wpłynęło.

Rzecz sama na tem może nie ucierpiała, ale interes państwowy lepiej byłby zachowany, gdyby nie koalicja stronnictw, a państwowa Rada, jak ja projektowałem, przeprowadziła konieczne oszczędności.

Że pożyczka zagraniczna nie została zaciągnięta, tego najmniej żałować można. Właściwie, od czasu spadku złotego, pożyczka długoterminowa była na pewien czas nie do pomyslenia. Od dzierżawy monopolów, jako środka uzyskania pożyczki, ja sam już w Sejmie w październiku w czasie debat komisyjnych odstąpiłem.

Największa szkoda stała się zatem głównie przez to, że Sejm w październiku nie uchwalił funduszu 100 milionów sanacyjnych i że rząd do podtrzymania upadającego ruchu przemysłowego przystąpić nie mógł, czego jasnym rezultatem stało się, że gdy w końcu października ilość bezrobotnych wynosiła jeszcze tylko 213,980, to w trzy miesiące później, a w dwa po moim odejściu (13 lutego), liczba ta podskoczyła do 363,507.

ROZDZIAŁ XXXIII

Ostatnie moje ekspozé i dyskusja generalna w Sejmie

Ostatnie moje ekspozé w Sejmie miałem dnia 6 października. Wnosiłem budżet i trzy ustawy sanacyjne oraz wyłożyłem mój program. Mówiłem dosyć sucho, bez żadnych akcentów szerszych, by utrzymać całą uwagę na tematach poważnych. Oczywiście przyjęty byłem chłodno. Zamierzeniem mojem było zająć postawę wobec biegu wypadków obojętną. Myślałem tylko o swoich obowiązkach. Na żadną grę parlamentarną iść nie chciałem.

Z tego mojego ostatniego ekspozé w Sejmie podaję kilka ważniejszych wyjątków. Sytuację gospodarczą określiłem w sposób następujący:

„W życiu gospodarczem, znajdującem się od roku już w stanie kryzysu przewlekłego, rozwinęło się od dwóch miesięcy ostre przesilenie finansowe. Zaczął się ono od spadku złotego, przeszło przez fazę ograniczenia kredytów, doprowadziło do wycofania wkładów i zakupywania dolarów i wyraża się obecnie w wielkim braku kredytu dla przemysłu i rolnictwa.

„W tak zarysowanym ostrym kryzysie największem niebezpieczeństwem było, ażeby złoty nie potoczył się w spadku swoim w sposób niepowstrzymany. Gdyby się to stało, nie byłoby możliwem opanowanie żadnego z dalej sięgających objawów kryzysu. Zapobieżeniu temu Rząd poświęcił całą energję i już w drugiej połowie sierpnia był w stanie dopomóc Bankowi Polskiemu, by ten opanował tendencję spadkową złotego. Stało się to dzięki temu, że już sierpień znamionuje przełom w charakterze naszego bilansu handlowego oraz dzięki uzyskaniu przez Rząd kredytów interwencyjnych i zastosowaniu środków ograniczenia wywozu, a poparcia przywozu.

„Gdy we wrześniu sytuacja walutowa już się uspokoiła, Rząd stanął wobec nowej trudności, stanowiącej nową fazę kryzysu pod postacią runu na banki.

„Jest to rzeczą powszechną, że w czasie kryzysów finansowych gorsze banki padają, co oczyszcza atmosferę. Ale staje się niebezpieczeństwem publicznym, gdy skutkiem psychozy społecznej narażona jest egzystencja ogółu banków. Rząd nie zawahał się też przyjść z pomocą bankom tak, by nie dopuścić do powszechnego załamania naszych instytucji kredytowych. Jednocześnie rząd domaga się od banków przeprowadzenia sanacji wewnętrznej.

„Dzisiaj rząd stoi przed nowem zagadnieniem dostarczenia środków kredytowych życiu gospodarczemu, które boleśnie odczuwa silne osłabienie tętna kredytu bankowego.

„W czasie ostrych kryzysów jak ten, który przeżywamy, trzeba działać szybko i doraźnie, ale nie można na tem poprzestać. Kryzysy takie to ostrzeżenia, wymagające zastosowania programowego postępowania dla osiągnięcia trwałego uodpornienia organizmu gospodarczego.

„Nad wytworzeniem programu polityki gospodarczej państwa rząd pracuje stale i program ten wprowadza w życie. Kryzys obecny jest bodźcem do tego, by program pogłębiać i udoskonalić”.

W programie gospodarczym podkreśliłem znaczenie produkcji i kredytu. Podniosłem znaczenie popierania drobnych producentów wsi i miast. W szczególności podkreśliłem konieczność rozwoju tych gałęzi produkcji, które pracują na eksport.

„Popierając wytwórczość wogóle, mówiłem, należy przedewszystkiem rozwijać te jej działy, które wzmogłyby naszą zdolność eksportową. Ona bowiem jest najpewniejszym i najzdrowszym źródłem zwiększenia zdolności emisyjnej Banku Polskiego, powiększając jego zapas walutowy. Dla wzmoczenia eksportu, prócz poparcia samej produkcji, odgrywa wielką rolę organizowanie samego eksportu pod względem technicznym i handlowym. W tej dziedzinie rząd przedsięwziął skuteczne środki, głównie w zakresie eksportu węgla do innych poza Niemcami krajów.”

Mówiłem dalej o zwiększeniu wydajności pracy, a największą wagę położyłem na oszczędność.

„Jeżeli obok wydajności pracy również i oszczędność jest koniecznym warunkiem taniości produkcji, jeżeli — jak widzieliśmy — jest ona również głównym źródłem zdrowego kredytu, to jasnym jest, że nie mogłaby się ona skutecznie krzewić w społeczeństwie, o ile zaistniałaby daleko posunięta oszczędność w życiu Państwa, samorządu i innych ciał życia publicznego. — Dlatego też Rząd uważa, że obecny kryzys, jaki przeżywamy, powinien posłużyć dla znacznego wzmoczenia akcji oszczędnościowej na całej linii Państwa i społeczeństwa.

„Już w budżecie, który został Panom rozdany, Rząd poczynił te oszczędności, które okazały się możliwe do uskutecznienia bez naruszenia obowiązujących ustaw, do czego Rząd nie jest upoważniony.

„Pomimo, że do budżetu na rok 1926 przyjęto normę uposażeń o 10% wyższą, niż w 1925 r., zgodnie ze stanem wskaźnika kosztów utrzymania na 1 września, pomimo, że wydatki rzeczowe na rok 1926 obliczone być muszą podług skali o 18% wyższej, niż na rok bieżący, skutkiem wzrostu drożyzny, pomimo, że wydatki na procenty i spłaty długów zagranicznych oraz rent inwalidzkich i emerytur są z konieczności wyższe w roku 1926 niż 1925, jednak, dzięki przeprowadzonym i zamierzonym oszczędnościom, ogólna wysokość wydatków państwowych została obniżona o sumę 190 milionów, nie licząc poczty, jako przedsięwzięcia, w obydwóch porównywanych latach. — Budżety administracyjne zostały w tej liczbie zmniejszone o 72,5 milionów zł.”

Omówiwszy szczegółowo temat oszczędności w budżecie, przeszedłem do bliższego objaśnienia treści wniesionych przezemnie ustaw sanacyjnych.

„Rząd widzi potrzebę nowej wzmocnionej formy akcji oszczędnościowej, któraby mogła stawiać szersze zadania głównie w zakresie inicjowania niezbędnych zmian prawodawczych i opracowania ogólnego, obejmującego wszystkie dziedziny, planu akcji oszczędnościowej. Do tak zakrojonego działania organ jedno osobowy nie wystarczy, i dlatego rząd proponuje utworzenie ciała nielicznego z 10 osób, w czem połowa z wyboru Sejmu.

„Do współpracy w tym organie przedstawiciele Sejmu Rząd przywiązuje szczególną wagę wobec tego, że akcja oszczędnościowa wysunięta być winna dziś na czoło zagadnień ogólnopaństwowych i jako taka wymaga wielkiego skoordynowania wszystkich miarodajnych czynników.

„W ustawie o ograniczeniu wydatków, którą Rząd wnosi, prócz działu poświęconego państwowej Radzie Oszczędnościowej, wprowadzony zostaje na wzór Francji instytut Kontrolerów budżetu w każdym Ministerstwie. — Prócz tego wprowadzoną zostaje odpowiedzialność urzędników w zakresie wykonywania budżetu oraz zastosowane są środki ograniczenia wydatków budżetowych samorządów i innych ciał prawno-publicznych.

„Prócz ustawy o oszczędnościach w wydatkach, Rząd wnosi obecnie do Sejmu jeszcze dwie inne ustawy, wynikające z jego zasad programu wyżej wyłożonych: projekt ustawy o środkach zrównoważenia bilansu płatniczego oraz o szczególnych środkach złagodzenia przesilenia finansowego.

„Zrównoważenie bilansu płatniczego Rząd opiera przede wszystkim na równowadze bilansu handlowego, którą rząd zabezpiecza swoją politykę celną ostatniego półrocza, a głównie ostatnich dwóch miesięcy. — Dla jej kontynuowania i udoskonalania nie potrzeba jeszcze osobnej ustawy. Obecnie są przeprowadzone zasadnicze podwyżki celne oraz reglamentacja importu luksusowego na zasadzie ustaw istniejących. W przedłożonym projekcie ustawy, odnoszącej się do równowagi bilansu płatniczego, poruszone są niektóre dodatkowe czynniki tej równowagi, jakoto: ulgi i gwarancje dla przedsiębiorstw eksportowych, ograniczenia w sprowadzaniu z zagranicy przez ciała publiczne przedmiotów produkowanych w kraju, reglamentacja przemiału pszenicy oraz cen mąki i pieczywa, reglamentacja paszportów zagranicznych.”

Z ostatniego ustępu mojego ekspozycji widać jak szczegółowo był opracowany przemennie plan oddziaływania rządu na aktywność bilansu handlowego. Dalej w ekspozycji mojej objaśniałem sprawy pożyczek zagranicznych, podkreślając niedopuszczalność udawania się po nie do Ligi Narodów.

Wreszcie w zakończeniu dałem pogląd mój na całokształt sytuacji politycznej.

„Moment, który przeżywamy, jest ciężki. Jest on dla naszego państwa i społeczeństwa próbą wytrzymałości naszego organizmu. Rząd zdaje sobie sprawę z obowiązków i pragnie przy poparciu Sejmu zaradzić najważniejszym koniecznościom państwowym. Wymaga to atmosfery pokoju i wielkiego poczucia miary w traktowaniu wszelkich zagadnień.” A dalej nieco mówiłem:

„Jakkolwiek kryzys, który przeżywamy jest ostry i bolesny, nie powinniśmy zapominać, że kryzysy finansowe i gospodarcze trapią ludzkość periodycznie, a i dziś wielu państwom kryzys daje się we znaki. — W blisko nas położonych ośrodkach życia gospodarczego miały miejsce niedawno i dziś powtarzają się wielkie bankructwa, a niepokojów masowego bezrobocia widzieliśmy po wojnie wiele i widzimy je dziś nie tylko u nas.

„Kryzys gospodarczy przeżywany obecnie jest próbą naszych własnych sił realnych i przeto jest też głęboką dla nas nauką. Ale jednocześnie jest on kryzysem moralnym części naszego społeczeństwa. Depresja nie jest czynnikiem twórczym, poddawać się jej nie wolno. Dlatego też Rząd stoi na tem stanowisku, by wspierać wszystko, co okaże siły twórcze, zwalczając defetyzm gospodarczy i nie poddając się atmosferze zwątpienia i przesadnych obaw.

„Dla odparcia i przetrzymania kryzysu mamy wiele sił własnych. — Jakkolwiek narzekania i żale są szeroko po kraju rozlane, nie znaczy to, by obok warsztatów zachwianych nie było wielkiej ilości takich, które, oparte na zdrowych i silnych zasadach, rozwijają się normalnie. Kryzys przetrwać zatem możemy i musimy.

„Po przetrwaniu go będziemy silniejsi i więcej warci. Chwila obecna więc nie wymaga jakakolwiek inna wymaga zgodnej współpracy rządu, Sejmu i społeczeństwa. Rząd ze swej strony pragnie uczynić wszystko, by to umożliwić.”

Po moim ekspozycji, które miało miejsce dnia 6 października, żadnej dyskusji nie zarządzono, aż dopiero w dwa tygodnie. Marszałek Sejmu uznał, że ponieważ Minister

Skrzyński był w Locarno, więc należy wczekać jego powrotu w imię tego, żeby dyskusje sejmowe misji jego nie zaszkodziły. Ale czemuż w takim razie Sejm był zwołany i moje ekspozycje wygłoszone? By dać czas do urabiania się kampanji przeciwko rządowi?

Sytuacja dla mnie stworzyła się nieznośna. W Sejmie był projekt funduszu 100 milionów zł. na potrzeby przemysłu. Widziałem, że trzeba kraj ratować, że każdy tydzień czasu to groźba nowych komplikacji. Dopiero co zdołałem uspokoić sytuację walutową i złoty trzymał się na poziomie 6-u za dolara. Ale ta sytuacja mogła lada moment pęknąć.

W takich chwilach albo się tworzy nowy rząd, albo daje się poparcie dawnemu. To, że Sejm od 6 października, nie dając mi poparcia, bo nie rozpatrując i nie uchwalając ustaw sanacyjnych, nie tworzył nowego rządu, bo ostatecznie votum nieufności mnie nie uchwalił, było to wielką dla Polski stratą. Gdyby Sejm mnie wtedy poparł wyraźnie, można uważać za bardzo prawdopodobne, że złoty nie byłby spadł poniżej 6 złotych za dolara, a bezrobocie nie było by doszło do liczby 363.000.

Ale stało się inaczej. Te stronnictwa, które nie czując się na siłach do obalenia mnie, chciały jednak to obalenie spowodować, postanowiły pójść drogą nie liczącą się wcale z dobrem Polski, bo drogą faktycznego podkopywania rządu. Gdy w chwilach dla życia narodu niebezpiecznych, a to był taki właśnie wtedy moment w Polsce, nienawiść partyjna idzie aż tak daleko, że pozwala prowadzić zgubną dla państwa taktykę, musi się to zwykle skończyć źle.

Z nienawiścią przeciwko mnie wystąpiły na jesieni 1925 r. stronnictwa Piast i Wyzwolenie.

To skończenie się „źle” nie było to moje ustąpienie, ale kolosalny dalszy spadek złotego, wielki kryzys bezrobocia, oraz niemożność opanowania sytuacji przez rząd koalicyjny. Wszystko to są skutki taktyki, jaką przybrał Sejm wobec rządu w październiku 1925 r. Nie mówię, żeby miał koniecznie udzielać mi poparcia, ani trochę. Mógł od razu mnie obalić i stworzyć nowy rząd. Ale to zmuszanie mnie do borykania się z trudnościami, bez dawania mi środków na to, bez uchwalania ustaw i bez poparcia moralnego, bez podtrzymywania autorytetu rządu i z obojętnym odnoszeniem się, gdy wielu ten autorytet zawzięcie szarpało, to ciężki grzech, którego się Sejm wobec Polski dopuścił, grzech który musiał mieć swoje konsekwencje.

Dyskusja Sejmowa nad moją ekspozycją i programem rozpoczęła się dopiero dnia 20 października. Pierwszy przemawiał Głębiński. Tym razem przemowa jego była na wysokim poziomie poczucia interesu państwowego. Stwierdził on, że istnieje przesilenie psychiczne społeczeństwa. Powstał przeciwko tym, którzy by chcieli oddać nas pod opiekę Ligi. — Zaznaczył, że Niemcy uzyskały swoje silne w świecie stanowisko dzięki silnemu nastrojowi psychicznemu społeczeństwa. Na pytanie, kto zawinił, dał Głębiński odpowiedź następującą: „Głównym winowajcą jest nasza historia, ale w tem i Sejm i rząd winę pewną ponosi i społeczeństwo nasze”. Potem precyzuje, że „Sejm winien, bo 1) uchwalił za duże wydatki w budżetach, 2) uchwalił ustawy podatkowe, które się okazały niewykonalnymi”. Przeszedłszy do określenia winy rządu zaznaczył Głębiński, że uważa za moją winę to, że byłem zbyt optymistą, że za mało poświęcałem uwagi na sprawy sanacji gospodarczej, że w sprawie bilansu handlowego niepotrzebnie wstrzymałem wywóz płodów rolnych w początkach 1924 r., gdy były po wysokiej cenie, a budżet na 1926 r. przedstawiłem za wysoki.

Co do tych czterech zarzutów już dałem w innych miejscach potrzebne wyjaśnienia dla wyświeślenia tego, że pierwsze dwa zarzuty oraz ostatni były tylko względnie słuszne. O sanacji gospodarczej myślałem od samego początku 1924 r., ale nie wiele mogłem w tej dziedzinie sam zrobić. — Budżet w 1926 r. sam uważałem za wygórowany, ale nie mogłem go poddać dalszym skrótom, bez współdziałania Sejmu, do czego potrzebowałem osobnego organu działania, o utworzenie którego wystąpiłem w jednej z moich ustaw sanacyjnych, które wniosłem do Sejmu. Najzupełniej niesłusznym był zarzut trzeci, że wstrzymałem wywóz płodów rolnych w początkach 1924 r. To wstrzymanie było bardzo zbawienne dla bilansu handlowego w pierwszej połowie 1925 r., gdyż dzięki temu właśnie wstrzymaniu części produkcji z 1923/24 r., w następnym nieurodzajnym roku 1924/25 o tyle mniej sprowadziliśmy produktów zbożowych po drogiej cenie, o ile mniej wywieźliśmy ich w 1924 r. po cenie znacznie tańszej. A ponieważ ceny w 1925 r. były dwa

do trzykrotnie wyższe, niż w 1924 r., więc na tem, co mnie Głębiński zarzucał, zarobiła bardzo dużo cała Polska, a również i rolnicy.

Głębiński stawiał mnie zarzuty w formie umiarkowanej i w tonie życzliwym. Zupełnie innem było przemówienie Stolarskiego. Była to namiętna doktrynerska napaść. W swojej zaciekłości partyjnej ten leader Wyzwolenia poszedł tak daleko, że rzucał z trybuny pod adresem rządu oszczerstwa takie, jak: „honor i uczciwość urzędników skarbowych zostały zachwiane”, co poseł oparł na „sprawozdaniu Kontroli Państwowej”. Dalej zaryzykował poseł takie zdanie jak: „że rząd zdeptał wieś samowolą podatkową”, lub „rząd topi kredyty inwestycyjne”.

Smutnie w duszy mojej odbijały się te występy chłodnego zupełnie zresztą fanatyka, który nie rozumiał, że, powtarzając takie słowa, staje się narzędziem wcale nie sprawy ludowej, której służył. Gdy mówił o samowoli podatkowej, dawał argument ziemianom, by nie płacić podatku majątkowego, bo dla ziemian samowolą było wykonywanie ustawy o repartycji tego podatku. Gdy mówił o topieniu kredytów inwestycyjnych, szedł na rękę tym, którzy pragnęli spadku złotego, co wcale w interesach ludu nie leżało. Gdy mówił o zachwianiu honoru i uczciwości urzędników skarbowych, torował drogę intrygom, których celem były rugi dla celów osobistych przeprowadzane.

Smutne refleksje budziły we mnie te akcenty namiętnej napastliwości u tego posła, który pół roku temu, bo 2 marca tegoż roku, podpisał do mnie następujący adres w imieniu „Prezydium Walnego Zjazdu delegatów Centralnego Związku Kółek Rolniczych”.

„Zważywszy, że przeprowadzona skutecznie sanacja Skarbu Państwa kładzie trwale podwaliny pod gospodarczą odbudowę Polski, że w akcji tej decydującą rolę odegrał obecny Prezes Rady Ministrów Władysław Grabski, Zjazd wyraża Mu hołd i oświadcza, że lud polski, świadomy wielkiej odpowiedzialności, jaka w odbudowującym się Państwie przypadła mu w udziale, gotów jest zawsze poprzeć ofiarne państwowo twórcze wysiłki rządu”.

O hołdy nigdy nie zabiegałem. Uważałem je w 1924 r. i w początkach 1925 r., gdy je częściej odbierałem, zawsze za przedwczesne i najzupełniej zbędne. Ale nie rozumiałem, dlaczego w pół roku można dojść od wielkiego dla kogoś uznania do nienawiści. Przecież w ciągu tych miesięcy nie przestawałem pracować na polu „ofiarnych, państwowo twórczych wysiłków rządu”. Wszak wytrzymałem na placówce pełny rok kłęski nieurodzaju, wytrzymałem ataki niemieckie i szereg trudnych momentów, które mieliśmy już za sobą. I widziałem, że to wszystko zupełnie w sumieniach ludzkich się nie liczyło. — Pod moim specjalnie adresem Stolarski w zakończeniu swej mowy sformułował zarzut, że „zgangrenowałem siły twórcze Sejmu za pomocą ulg podatkowych, kredytów protekcyjnych i uległości w nominacjach.”

Wyzwolenie, stawiające mnie te zarzuty, wzięło na siebie rolę fałszywą. Wszak to Wyzwolenie skłoniło mnie do uległości w nominacji Kopczyńskiego na ministra, wszak ono o ulgi podatkowe wciąż się upominało, a co do kredytów protekcyjnych to właśnie to stronnictwo było świadkiem tego, jak broniłem się przed presją, na mnie wywieraną i nie zgadzałem się na dawanie kredytów takim kooperatywom, które choć silnie popierane, okazywały się placówkami ekonomicznie fikcyjnymi.

Wyzwolenie zabiło sobie klina w głowę posądzeniem mnie o skorrumpowanie Sejmu. Nie mogło ono zrozumieć, dlaczego z chwilą, gdy ono przeszło do opozycji, że z tą chwilą nie przeszła do niej cała lewica. Nie mogło pojąć tego prostego faktu, że z chwilą gdy walczyłem o kurs złotego, zabezpieczającego wysoką wartość nabywczą płac i zarobków, gdy okazywałem wszelką możliwą pomoc bezrobotnym, to było by naiwnością i szczytem doktrynerstwa ze strony socjalistów, ażeby mnie tylko dlatego mieli zwalczać, że zasadniczo sam nie byłem lewicowcem.

Po Stolarskim w takim samym napastliwym przeciwko mnie tonie wystąpił Byrka. Powtórzył on zarzuty Stolarskiego: „Pan Premier ustaw nie szanuje”, nie dawał tylko do zrozumienia, co miał przez to powiedzenie na myśli. „Powodzianie nic nie dostali”, albo „prawie nic”. Ten ostatni zarzut był takim samem oszczerstwem, jak inne. Piastowcy dla swoich widoków partyjnych tak wyolbrzymili kłęskę powodzi w Galicji latem 1925 r., że wszystkie władze były tem zgorzzone. Wojewoda Krakowski, uległy piastowcom, mówił

do mnie, że nie wiedział co robić z wyką, którą Witos kazał zakupić do siewu, a włościanie na kredyt brać nie chcieli, bo uważali, że im niepotrzebna. Musiał im wojewoda przeto rozdać wykę za darmo. To charakteryzuje poziom pojmowania potrzeb państwowych przez niektórych piastowców i niesumienność zarzutu postawionego mnie o braku pomocy dla powodzian. — Byrka zakończył swoje przemówienie wnioskiem: „wybrania komisji, która miała zbadać warunki zaciągnięcia pożyczek państwowych, skontrolować ich użycie i zbadać stan skarbu.” Zaciąganie pożyczek zagranicznych jest czynnością, która zawsze ma charakter wysoce drażliwy. Wieluż to ludzi narzuca się ze swojemi usługami! Moją metodą było trzymać tych ludzi na odpowiednim dystansie i opierać się tylko na odpowiedzialnych czynnikach rządowych, mianowicie na urzędnikach Skarbu lub Ministerstwa Spraw Zagranicznych, oraz na Bankach rządowych. Przy mnie nikt za pośrednictwo przy pożyczkach nic nie otrzymał. Jeden z moich poprzedników, jako Minister Skarbu, wypłacił grubszą sumę prowizji od kredytu dla Polski, który nigdy nie był nawet wzięty. Jednego z natrętnych pośredników pożyczkowych kazałem zupełnie niedopuszczać do Skarbu. Zaczął on szukać kontaktu ze sferami Sejmowemi, by żalić się na mnie. Mój sposób postępowania w sprawie pożyczek wielu osobom właśnie się nie podobał. Poseł Byrka korzystał z każdej sposobności, by przeciwko mnie występować. Ukuł on też sobie oręż przeciwko mnie, żądając rewizji zaciągnięcia i użycia pożyczek, oręż będący czystą insynuacją, rzucającą podejrzenia nieuzasadnione co do prawidłowości postępowania rządu przy pożyczkach.

Niespodzianką dla mnie w Sejmie było to, że do napastliwych wystąpień dwóch poprzednich mówców przyłączył się całkowicie Thugutt, który w 1924 r. był pełen dla mnie uznania i który współpracował ze mną jako wicepremier przeszło pół roku.

Powtórzył on bezkrytyczną insynuację, złośliwie już przez Byrkę rzuconą: „nikt nie wie, co się stało z funduszem gospodarczym”, a przedewszystkiem zabawił się Thugutt w nakreślenie ujemne i zjadliwe mojej sylwetki politycznej. Jakże to było niesmaczne! Pracowaliśmy przecież razem i zgodnie. Zakończył Thugutt tem samem co Byrka: „żądaniem wyboru komisji, która by zbadała stan Skarbu”.

Następne przemówienia Strońskiego, Żuławskiego, Romockiego i Chądzyńskiego były utrzymane w zupełnie innym tonie, to jest nie było w nich ani jadu, ani napastliwości, ani podstępного rzucania insynuacji. Stawiano oczywiście zarzuty pod moim adresem. Ale Chądzyński w dobitny sposób stawiał również zarzuty i Sejmowi. Na zakończenie swej mowy Chądzyński zwrócił się z apelem: „by stworzyć rząd porozumienia stronnictw przez zawieszenie walk partyjnych”.

O innych przemówieniach nie będę wspominał, gdyż miały mniejsze znaczenie.

Dnia 28 października dałem replikę. Była to mowa obszerna i zakrojona na szerszą skalę, niż moje eksposé. Miała ona też duże powodzenie. Było to moje ostatnie przemówienie w Sejmie. Przyjęte ono było dobrze w gronie posłów i w prasie. Odparłem stawiane mnie zarzuty szczegółowo. Wyjaśniłem sprawę podatku majątkowego. Potępiłem jeszcze raz psychikę antypodatkową jako zgubną dla państwa. Objąśniłem konieczność walki o utrzymanie kursu złotego. Wskazałem na konieczność odparcia ataku Niemiec w sprawie walki celnej, nam wydanej.

W zakończeniu mojej repliki przedstawiłem, że na żadną formułę tworzenia Komisji śledczych nad rządem nie pójdę, uważając to jako obostrzone votum nieufności. „Niechaj śledzą, to co mój rząd robił, ci, którzy po mnie przyjdą, gdy ustąpię”, mówiłem. Wskazałem, że gotów byłbym w każdej chwili ustąpić rządowi, który by mógł istotnie przysłużyć się do „otrząśnięcia się naszego społeczeństwa z tego straszego stanu, w którym samo się ono pograżało, kopiąc grób dla własnych oszczędności drogą ucieczki od złotego i podkopywania jego kursu”. Zaznaczyłem, że o ile to nie nastąpi, będę walczył z przeciwnościami i z trudnościami kryzysu, tak jak dotychczas. „Moim obowiązkiem bowiem jest nie uchylać się od tego zadania”.

Mowa ta przyjęta była oklaskami a w głosowaniu jakie tego samego dnia nastąpiły, trzy wnioski nieufności Stolarskiego, Byrki i Thugutta, każdy w osobnem głosowaniu imiennem, przepadły znaczną większością, bo pierwszy 183 przeciw 152, drugi 183 przeciw 162, trzeci 186 przeciw 154.

Kampanja, misternie przeciwko rządowi prowadzona oraz rozgrywka, z całą zaciekłością poprowadzona, nie udały się.

Rząd został na placu boju panem sytuacji.

Nie na wiele się to jednak przydało. Bo jakkolwiek w plenum Sejmu poszło dosyć łatwo z opanowaniem nastrojów wrogich, natomiast w komisji przeprowadzenie moich ustaw sanacyjnych szło nadzwyczaj opornie. Jedną z nich tylko, o funduszu sanacyjnym, udało się mnie przeprowadzić przez Sejm, ale tylko w drugim czytaniu, podczas gdy trzecie nastąpiło dopiero przy moim następcy.

Byłem już bardzo zmęczony znoszeniem walki ze mną prowadzonej. Wolałem, że-
bym był w Sejmie dnia 23 października nie zwyciężył. Gdy wieszowano mnie zwycię-
stwa, nie cieszyłem się z tego ani trochę. Myślałem wciąż o odejściu. Nie widząc na razie
człowieka, który by mnie mógł zastąpić, w charakterze męża politycznego, obdarzonego
autorytetem, potrzebnym dla sformowania rządu pozaparlamentarnego, uznałem, że je-
dyny sposób umożliwiający moje odejście jest to przyczynić się do tego, by te czynniki
parlamentarne, które dnia 23 października za mną głosowały, same stworzyły rząd. Byli
to na lewicy Polska Partja Socjalistyczna i Narodowa Partja Robotnicza oraz cała pra-
wica bez Piastowców. Była to wyraźna większość. Do tej większości Piastowcy gotowi
byli przystąpić. Jeżeli różne stronnictwa mogły głosować za mną, czemu nie miały by te
stronnictwa stworzyć razem rządu parlamentarnego?

ROZDZIAŁ XXXIV

Ostatnie spotkanie w Sejmie i moje ustąpienie z rządów

Myśl moja, żeby te stronnictwa Sejmu, które odrzuciły zwartą ławą aż trzy wnioski,
dążące do obalenia mnie, weszły ze sobą we wzajemne porozumienie w celu objęcia po
mnie spadku sprawowania rządów, zaczęła kiełkować wśród tych stronnictw. Dawało to
mnie moralne prawo do tego, by nie uważać już więcej rządów moich za konieczność
państwową i by szukać chwili odpowiedniej dla odejścia.

Dłużej bowiem dźwigać na swych barkach kierownictwa nawą państwa wobec kam-
panji przeciwko mnie prowadzonej nie czułem się na siłach. W czasie debaty Sejmo-
wej widziałem tyle namiętej nienawiści, tyle już nieukrywanych złośliwych zamiarów!
W społeczeństwie naganka niektórych organów prasy trwała w całej pełni. Wśród wielu
kół panował nastrój ponury. Argumenty przeciwko reformie walutowej, które dawniej
odpierałem łatwo, uporczywie torowały sobie coraz więcej drogę. Domagano się niskiego
bardzo budżetu. Marszałek Rataj wytwarzał opinię, że na to by w Polsce nastały lepsze
czasy, trzeba doprowadzić budżet do 1½ miljarda zł., nie więcej. Wiedziałem, że jest to
absurd, że opinia taka jest absolutnie nieziszczalna, że przez nikogo nie będzie wykona-
na. Minister Zdziechowski istotnie zmniejszył mój budżet zaledwie o 117 milionów, czyli
o 5,5%. Budżet półtoramiljardowy było to, jako hasło, podstępny manewr taktyczno-
parlamentarny. Hasło to na niczem realnem nie było oparte, a nęciło wielu parlamenta-
rystów. Czułem, że wielu mnie wini za to, że takiej niemożliwej sztuki, by budżet skrócić
do rozmiarów półtoramiljarda się nie podejmuję dokonać.

Sytuacja skarbowa pogorszyła się. Październik, który w 1924 roku był jednym z naj-
lepszych miesięcy i dał 157,1 milj. zł. dochodów zwyczajnych, w 1925 roku dał ich zaled-
wie 136,8. Wziąłem się do znacznego ściśnienia wydatków miesięcznych i w październiku
ograniczyłem wydatki zwyczajne i nadzwyczajne razem do sumy 133,9 milionów, przez co
osiągnąłem to, że znów budżet miesięczny był zrównoważony. Ale zrobiłem to kosztem
ciężkiej ofiary, gdyż wielka ilość zamówień skutecznie musiła zostać niezapłaconą.
Oczywiście takie wstrzymanie wypłat było tylko chwilowem, gdyż psychika antypodat-
kowa, która wstrzymała dopływ dochodów do skarbu musiła ustać, co się zresztą zaraz
w grudniu okazało. Ale nie mniej trudności w październiku i listopadzie były coraz więk-
sze. Sejm zwlekał z udzieleniem funduszu 100 milionowego, a ja już na to konto wydałem
dla ratowania banków 30 milj. zł., a dla przemysłu zacząłem też już udzielać niezbędne
kredyty.

Bank Polski walczył z trudnościami dzięki temu głównie, że widział pomoc Mini-
sterstwa Skarbu, wyrażającą się w uzyskiwaniu pożyczek interwencyjnych. Ale pomoc
ta stawała się coraz bardziej nikłą i problematyczną, gdyż, wobec naganki w Sejmie na
te kredyty, trudno było rachować na to, by mogły one być Polsce nadal udzielane. Nie

tem czułem się zgorszonym, że znaleźli się ludzie, którzy na te kredyty napadali, bo ludzi skłonnych do złych dla państwa czynów nie brak, ale że ogół dobrze życzących państwu posłów i obywateli, tworzących opinię publiczną, na te napaści nie reagował należycie.

Z drugiej strony banki prywatne, zarywając bez ceremonii szereg firm cudzoziemskich, wytworzyły nam fatalną markę zagranicą. Wroga nam propaganda rozdymała fakty i tworzyła nastrój zupełnie uniemożliwiający prolongowanie i wzmacnianie kredytów interwencyjnych. Z kół zagranicznych przychylnych Polsce radzono mnie, by przynajmniej rząd polski silnie zareagował na fakty niedopuszczalnego naruszenia przez banki prawa cudzej własności. Poruszyłem tę sprawę z Ministerstwem Sprawiedliwości i postawiłem swoje postulaty. Okazało się, że nasze prawodawstwo jest za łagodne dla faktów dysponowania cudzym inkasem, nie uważa tego za takie przestępstwo jak w innych krajach, a o szybkiej zmianie odnośnych ustaw nie mogło być mowy. Wiedziałem zresztą, że nasi prawnicy nie sprzyjali temu, by wzmocnić nasze rygory prawne w duchu zabezpieczenia inkasa przed skutkami ogólnymi zawieszenia wypłacalności, o co finansistom zagranicznym głównie się rozchodziło. Ostatecznie zatem wysuwano propozycję, by rząd, w interesie kredytu Polski i dobrej opinii o niej, wziął na siebie regulowanie zobowiązań prywatnych wobec zagranicy. Tak samo proponowano, by rząd wziął na siebie wypłatę robotnikom polskim we Francji za oszczędności, które oni złożyli jednemu bankowi polskiemu, który okazał się niewypłacalnym.

Przedemną stawał obraz społeczeństwa, którego znaczna część nie tylko nie płaci rządowi należnych podatków, ale nie płaci bliźnim swoim i bliźnim obcym tego co się komu należy, a swoi i obcy, będąc na tem stratni, nie znajdują w takich chwilach nie innego, jak radzić rządowi i domagać się, by on tych pokrzywdzonych bliźnich ze swoich środków zaspokoił. Rząd miał wyręczać część społeczeństwa w jego własnej niemocy i ratować tych, co się czuli tą niemocą dotknięci, a któż miał ratować rząd?

W Sejmie znajdowały się trzy moje ustawy sanacyjne. Stosunek Sejmu do tych ustaw, które wniosłem dnia 6 października, był wyraźnym sabotażem. Zaledwie jeden z nich gotów był na plenum na początek listopada, podczas gdy nosiły one wszystkie trzy charakter bardzo pilnych. Nad tą jedną najważniejszą, bo zawierającą upoważnienie do zaciągnięcia pożyczek zagranicznych, oraz do użycia biletów zdawkowych i skarbowych na pomoc bankom i przemysłowi, rozpoczęła się wreszcie dnia 7 listopada w Sejmie dyskusja, która trwała pełnych cztery dni, w ciągu których ustawa przeszła zaledwie w drugim czytaniu i po 12 listopada czekała ją jeszcze trzecie czytanie. Było to wyraźne stosowanie przez opozycję obstrukcji. Występowali posłowie Wyrzykowski, Byrka, Socha, Smoła, Sanojca, wszyscy w tonie namiętym. Ja replikowałem w sposób spokojny, pełen wyrozumiałej ironji w stosunku do zaślepionej złej woli przeciwników. Wciąż wracano do pytania: co się stało z pożyczką amerykańską, chcąc insynuować, że została zmarnowana. Cytowałem cyfry: 24,800.000 zł., poszło na budowę linii kolejowej ze Śląska, 9,079.000 zł. na pożyczki dla samorządów dla prowadzenia robót dla zatrudnienia bezrobotnych, a 100,067.000 zł. poszło na fundusz gospodarczy, którym dysponował Bank Gospodarstwa Krajowego. Ponieważ poseł Wyrzykowski napadał, że Bank Gospodarstwa Krajowego jest to coś podejrzanego, bo on nie mógł znaleźć jego bilansów, więc przyniosłem i pokazałem z katedry sejmowej numer Monitora z bilansem miesięcznym tego Banku, co miesiąc ogłaszany, w którym fundusz gospodarczy był uwidoczniony i wyszczególniony. Tłumaczyłem jak najbardziej szczegółowo, co to są pożyczki interwencyjne i starałem się każdy zarzut rzeczowy wyjaśnić. Ale wiedziałem, że to jest rzucanie grochu o ścianę. Po mnie poseł Socha aż 4 razy zapisywał się do głosu. Była to formalna kampanja, w której napastujący czuli się w swoim żywiole. Nie siedziałem do końca dyskusji w Sejmie. Miałem dosyć. Obrzydzenie moralne do tej atmosfery dostatecznie mnie się dawało we znaki.

Byłem zupełnie zdecydowany odejść. Poseł Poniatowski postawił wniosek, by wobec mojej nieobecności nie głosować. Wniosek jego upadł, tak samo jak wnioski Byrki i Sanojcy, wymierzone przeciwko mojej ustawie sanacyjnej. Większość była ta sama, co i przy głosowaniu nad ekspozycją budżetową: 180 głosów przeciwko 157. Obydwie strony były zmobilizowane. Ustawa w drugim czytaniu w redakcji uzgodnionej ze mną przeszła.

Opozycja nie ustępowała z placu. Na posiedzeniu 12 listopada były przedstawione dwie ustawy rządowe w pierwszym czytaniu. Takie ustawy zwykle odsyła się do komisji. Ale poseł Byrka zabrał głos właśnie przy pierwszym czytaniu jednego z tych projektów, by wypowiedzieć się przeciwko ustawie o pożyczce zapalczanej: Sejm przez odesłanie mojego projektu do Komisji dał wyraz temu, że akceptuje moje stanowisko, które wypływało z tego, iż, otrzymawszy pożyczkę jako krótko terminową, zwróciłem się do Sejmu o zmianę jej na długoterminową. Wiadomo, że sprawę tę, już raz przez Sejm przesądzoną, później jeszcze poseł Byrka po moim odejściu próbował zaczepiać, choć bezskutecznie, gdyż ustawa, wtedy przezemnie wniesiona, została następnie przez Sejm po moim odejściu przyjęta.

Drugi projekt, wniesiony przezemnie przed samem odejściem, była to nowelizacja podatku majątkowego. Przy tej sposobności wypowiedział ordynarną mowę Sanojca. Używał on epitetów pod moim adresem nieparlamentarnych. Jest to ostatnie przemówienie w Sejmie przed moim odejściem do mnie skierowane, a jest przytem niezwykle charakterystyczne.

Sanojca grzmiał na cały Sejm, parokrotnie wykrzykując, że skłamałem, bo obiecałem, że będę zabierał ziemianom majątki za podatek, a tymczasem porobiłem im ulgi. Dalej wypominał mnie, że złamałem ustawę, bo przyznałem ulgi które się nie należały. W zapędzie wojowniczym krzychał: „Premjer musi być pociągnięty do odpowiedzialności”, „powinien być ukarany”, a to wszystko za te ulgi, dane ziemianom.

Jakże mizernie wygląda ten trybun ludu w oświetleniu dzisiejszych stosunków. Przecież przy racie jesiennej podatku majątkowego w 1926 r., za rządów popieranych przez Sanojcę i jego kolegów, ziemianie otrzymali większe ulgi niż za mnie w 1925 r., bo zostali zwolnieni zupełnie od płacenia jakiegokolwiek nadwyżki ponad wymiar uskuteczniiony, bez jakiegokolwiek mnożnika kontyngentowego. Jest to wyraźny skutek tego wrzasku jaki nieopatrznie ludowcy różnych odcieni podnosili na temat podatku majątkowego. Najlepiej na tej demagogji lewicowej wyszli właśnie ziemianie.

W dyskusji nad ustawą sanacyjną ciężkie też na mnie zrobiło wrażenie przemówienie Ks. Kaczyńskiego. Poparł on rząd w imieniu swego klubu, ale z jednej strony wyniósł w górę autorytet Jounga, chcąc czerpać z jego memorjału natchnienie dla udzielania rządowi rad po niewczasie, a z drugiej wymienił, choć z zastrzeżeniem, że ich nie podziela, potworne zarzuty, jakie w prasie zaczęły się pojawiać o tem, jakoby Najwyższa Izba Kontroli Państwa wykryła nadużycia w Ministerstwie Spraw Wojskowych na 150 milj. zł., a na kolei na 200 milionów.

W momencie, gdy jest źle, gdy szerzy się bezrobocie, gdy złoty się chwieje, takie zarzuty (mówię o tem, co pisała nasza prasa, a nie co mówił Ks. Kaczyński) to wyraźna antypaństwowa niecna robota. Boć jasnym dla każdego rozumnego człowieka musi być zgóry całe nieprawdopodobieństwo czegoś podobnego. Sprawozdanie Najwyższej Izby Kontroli Państwa wykazało, że na 100 milionów rozpatrzonych kredytów Ministerstwa Spraw Wojskowych 20 milionów nie miało należytego usprawiedliwienia. Minister Sikorski dał co do tego na komisji sejmowej zupełnie wystarczająco uspokajające wyjaśnienie.

Od faktu 20 milionów kredytów, nie usprawiedliwionych z tych lub innych względów faktycznych czy formalnych, do faktu nadużyć na 150 milj. zł., jest taka przepaść w rozumowaniu, że w normalnym stanie opinji społeczeństwa sformułowanie takiego zarzutu byłoby czemś zupełnie niemożliwym. Tego, kto by coś podobnego powiedział, nazwanoby wrogiem Ojczyzny. U nas niestety na jesieni 1925 r. podobne ohydne zarzuty stały się psychologicznie dopuszczalnemi. O nich musiał mówić Minister w komisji. O nich wspominał, nie dzielając ich, poseł z trybuny.

Ale stan naszego społeczeństwa od czasu spadku złotego coraz bardziej ulegał nie-normalnemu podnieceniu. A wtedy baśniom się daje wiarę, byleby znaleźć argument na wytłomaczenie, czemu jest źle. A więc zaczęto urabiać opinję, że nic dziwnego, że jest źle w Polsce: bo kradną.

Od tego czasu tyle zmieniło się rządów, tyle ludzi studjowało sprawozdania Najw. Izby Kontroli Państwa i cóż oni w nich znaleźli? Nic, coby w setnej części usprawiedliwiał te potworne wieści, jakimi starano się w listopadzie 1925 r. nastroić opinję przeciwko rządowi.

Cała ta kampanja oszczercza wyrządziła wielką szkodę Polsce. Naganka na kredyty interwencyjne i wogóle zagraniczne miała ten skutek, że gdy na jesieni 1925 r. mogłem jeszcze skutecznie pomagać Bankowi Polskiemu w walce o kurs złotego, przy pomocy kredytów, to w listopadzie wiedziałem, że na żadne nowe kredyty rachować nie mogę. Sejm uchwalił potrzebną do tego ustawę po zbyt długim jej sabotowaniu, ale wogóle było to już za późno. Kredytów się nie daje, gdy przeciwko nim idzie otwarta walka.

Druga szkoda państwowa, jaką cała ta agitacja wywołała, to wstrzymanie się płatników w płaceniu podatków. Poseł Wiślicki dnia 11 listopada z trybuny mówił, polemizując z Wierzbickim, że „gdy będzie inny rząd, to kasy nie będą puste”.

Istotnie tak się stało. Podczas, gdy w listopadzie dochody skarbowe zwyczajne wyniosły 125,6 miljonów złotych, w grudniu skoczyły one na 183,1. Takiego skoku nie było w 1924 roku, ani nie okazał się on w 1926 r. z miesiąca na miesiąc. Najwidoczniej w listopadzie, pod wpływem walki sejmowej z rządem, wstrzymywano się z płacaniem podatków. Walka ta w ten sposób przybrała charakter wyraźnego podkopywania państwa.

Trzecia szkoda z kampanji przeciwko mnie prowadzonej to zaszczepienie niewiary i niechęci do Polski, jako państwa, na gruncie zwątpienia w uczciwość sług jego. — Wyrządziło to wielką krzywdę ludziom służącym Polsce uczciwie, a złych sług państwa wcale do naprawy nie skłaniało, tylko do politycznej układności, jako do sposobu zabezpieczenia się od wszelkich ataków i dochodzeń.

Dla linji rozwojowej państwa naszego ta psychika dużo złego zrobiła i ślady tego zła jeszcze w całej pełni się uwidoczniają.

Zdecydowany na odejście, czekałem jeszcze tylko na przejście w Sejmie choć tej jednej z ustaw sanacyjnych, która przeszła przez komisję. Ale zaszły okoliczności, które przyspieszyły moją decyzję.

Złoty polski w połowie września został z wielkim trudem ustabilizowany na poziomie 5,98 zł. za dolara. Kurs ten przetrwał cały październik bez drgnięcia aż do 12 listopada. Jeżeli co mnie utrzymało w gotowości dalszego sprawowania władzy, mimo tych trudnych dla mnie warunków to to, że czułem swoją niezbędność dla utrzymania tego kursu 5,98, który uważałem za najlepszy, po zachwianiu się kursu jakie już poprzednio nastąpiło, gdyż kurs ten zabezpieczał premję eksportową, a jednocześnie zapobiegał wzrostowi drożyzny. Istotnie wskaźnik cen hurtowych w październiku 1925 wynosił 127,2, a więc bardzo mało co więcej niż w lipcu (116,6), wskaźnik kosztów utrzymania wynosił 152,0, czyli prawie to samo co w lipcu (151,6). Były to wielkie dobrodziejstwa sytuacji, które należało strzedz, jak oka w głowie. Z prezesem Banku Polskiego Karpińskim ułożyliśmy się, że powyżej 6 zł. za dolara kursu opuszczać nie można.

Dnia 11 listopada dowiedziałem się, że Bank Polski szykuje się do tego, by nie pokrywać nadal zapotrzebowania walut i że gotów jest dopuścić do spadku kursu. Istotnie rezerwy walutowe Banku były bardzo małe. Ale bądź co bądź sytuacja nie była przymusowa. Bank jednak uznał, że utrzymać kursu nie zdoła.

Decyzja Banku była przygotowana przez opinię publiczną pewnych kół ekonomiczno-politycznych. W Kurjerze Warszawskim w dniu 6 listopada pojawił się artykuł nie podpisany, na który powoływano się w Sejmie i w którym wyraźnie krytykowano politykę rządu, dążącą do utrzymania kursu złotego przed dalszym spadkiem.

Kurjer był organem, na który zwykle rachowałem, że popiera moją politykę. Zacząłem się orjentować, że w dążeniu mojem do ochrony kursu złotego brakuje mnie towarzyszy broni. Nie mogłem się pogodzić jednak z myślą, by można było odpowiadać za dalsze następstwa dla rządu i kraju, o ile się kursu złotego nie utrzyma na poziomie nie niższym jak 6 złotych za dolara.

Widząc, że sytuacji nie opanuję, postanowiłem niezwłocznie ustąpić i uprosiłem Prezydenta Rzeczypospolitej, by moją rezygnację przyjął. Nastąpiło to dnia 13 listopada. Kurs dolara tego dnia notowany był 6.20–6.50.

Rezygnacja moja była skutkiem głębokiego przeświadczenia, że krajowi potrzeba czegoś nowego i że moja osoba nie stanowiła już siły, mogącej oddziaływać na sprawy państwowe w duchu dodatnim, a przeciwnie, skupiła na sobie zbyt dużo takich sił, których ataki zwracały się na szkodę Polski.

W wywiadzie prasowym, udzielonym w dniu mojej dymisji, zakomunikowałem treść mojego pisma do Pana Prezydenta z prośbą o przyjęcie mojej rezygnacji.

„Nowy spadek złotego, pomimo zrównoważonego już trzeci miesiąc bilansu handlowego, oraz nieustanny wzrost bezrobocia, stanowią objawy, wymagające bezwzględnie porozumienia wszystkich czynników życia politycznego kraju, dbających o los Państwa Polskiego, w celu zaprzestania walk politycznych i parlamentarnych i stworzenia dla Rządu podstawy niezbędnej w takich chwilach dziejowych autorytetu. Ponieważ moja osoba na stanowiskach urzędowych stanowi ku temu przeszkodę — jak to się okazało — czuję się zmuszonym prosić Pana Prezydenta o zwolnienie mnie z piastowanych urzędów natychmiastowo, bez pozostawiania mnie nawet przejściowo na moich stanowiskach, a to w celu, ażeby, aż do chwili utworzenia się nowego Rządu, opartego na dużej większości parlamentarnej, co może wymagać dłuższego czasu, moja osoba nie była czynnikiem utrudniającym współdziałanie pomiędzy Sejmem, jako całością, a Rządem, co dziś już jest naczelną koniecznością państwową”.

Do tych motywów, wyrażonych w piśmie dymisyjnym, dodałem dodatkowo dla prasy parę wyjaśnień co do ostatniego zdania swego pisma:

„Zdaję sobie sprawę z tego, że te wszystkie animozje, które są skierowane do mojej osoby, jednocześnie są skierowane przeciw Rządowi, jako takiemu, gdyż ci, którzy się starają mnie skompromitować, jednocześnie starają się skompromitować Rząd wogóle, a w takich ciężkich chwilach jak obecna, Rząd bez autorytetu nie sprosta zadaniu. Ażeby więc nikt nie potrzebował obawiać się mojego powrotu, czy pozostania, ażeby zniknął ten cel, do którego się strzela (bo strzela się do mnie, a trafia w Rząd, i w interes państwowy), dlatego chcę się usunąć”.

Zasadnicze te motywy, przeczennie sformułowane, zostały przyjęte przez P. Prezydenta Rzeczypospolitej i podzielone przez Radę Ministrów. Ministerstwo Skarbu w okresie przejściowym do utworzenia nowego rządu objął minister Klarner, przewodniczenie zaś w Radzie Ministrów — tak jak zwykle w takich razach — Min. Spraw Wewnętrznych Raczkiewicz, który, z natury rzeczy, był moim zastępcą.

W dziesięć dni później sformowany został rząd koalicyjny Skrzyńskiego.

Ustępując byłem przekonany, że sformowanie nowego rządu nastąpi dużo prędzej i łatwiej, niż to się stało. Nie przewidywałem również, że w czasie wielkiej chwiejności, jaką stronnictwa przy tem formowaniu rządu okazały, nastąpi interwencja Marszałka Piłsudskiego u Prezydenta Rzeczypospolitej, która nosiła w sobie zacyzn późniejszego rozwoju wypadków.

ROZDZIAŁ XXXV

Po mojem odejściu

Odszedłem, gdyż uznałem, że dopuszczanie do nieustannego spadku złotego jest narażeniem kraju na największe trudności i niebezpieczeństwa. Nie rozumiano mego upierania się przy polityce wysokiego kursu złotego. Mój następcą wysunął koncepcję parytetu gospodarczego. Dopuszcił do spadku złotego znacznie niżej tej normy, której przed odejściem broniłem t. j. 6 zł. za dolara. Kursu złotego nie ratował żadnymi pożyczkami walutowymi. Uważał to widocznie za bezcelowe, czy za niemożliwe. Nie naraził się też szyderstwom zaślepionych wrogów sejmowych mojej polityki walutowej.

W niedługim po objęciu Ministerstwa przez Zdziechowskiego czasie przybył do Polski prof. Kemmerer, który na odjeździe dn. 10 stycznia 1926 r., dał ministrowi ustnie następujące rady, wydrukowane w sprawozdaniu misji (doradców finansowych, tom III, str. 129). Oto co mówił o walucie naszej: „Stanowczo postanówcie przywrócenie al pari¹ kursu złotego.” „Nie stabilizujcie czasowo złotego na poziomie niższym niż al pari”.

¹al pari (wł.: na równi, na tym samym poziomie) — kurs walut zgodny z ich wartością nominalną. [przypis edytorski]

„Uzyskajcie dla Banku Polskiego pożyczkę zagraniczną nie niższą jak 15 milionów dolarów z przeznaczeniem na stabilizację złotego (po kursie al pari). Dajcie w zastaw dochody, o ile okaże się potrzeba.”

A więc w półtora miesiąca po moim odejściu jeszcze było możliwym kontynuowanie mojej polityki walutowej. Jeszcze wtedy ekspert zagraniczny zalecał powrót do mojej polityki i wskazywał sposoby te same, których ja używałem, — pożyczki interwencyjne, gdyż stabilizacja al pari, zalecana przez Kemmerera przy pomocy kredytu zagranicznego, było to, nic innego jak przeprowadzenie na szeroką skalę akcji, którą jako interwencję kursową na jesieni 1925 r. prowadziłem i przeciwko czemu w Sejmie powstała taka na mnie naganka.

Zdziechowski nie czuł się na siłach, by pójść za ówczesną radą Kemmerera. To też gdy latem zjechała do Polski cała misja doradców finansowych pod przewodnictwem tegoż Kemmerera, wydali już oni całkowicie odmienną opinię. Konstatując ogromny wzrost drożyzny, jaki w ciągu 1926 roku nastąpił i widząc zwiększenie już po moim odejściu emisji biletów zdawkowych, uznali podnoszenie kursu złotego za niemożliwe i stanęli na gruncie koniecznej ich zdaniem jego dewaluacji.

Odchodząc od władzy w listopadzie 1925 r., zostawiałem trudną sytuację kasową. Było to zupełnie zrozumiałem. Odebrałem przecież Skarb w 1923 roku w warunkach katastrofalnych, wymagających gwałtownie reformy. Prowadziłem nawę skarbową wciąż z wielkim wysiłkiem. Lato i jesień 1926 r. sprowadziły wielkie trudności. Ale te trudności były bez porównania mniejsze niż te, które zostały już pokonane przezemnie. Do wyjścia z nich nie potrzeba było żadnej reformy, wystarczyło trochę odprężenia ogólnej psychiki antypodatkowej, które niektóre stronnictwa i organy prasy za moich rządów uprawiały i potrzeba było trochę rezygnacji z niektórych wymagań wydatkowych, co rząd, który po mnie przyszedł, z łatwością przeprowadził. Od razu stan się nie polepszył zbyt znacznie, ale główne trudności usunięto. Dziś z odległości czasu jasnym jest, że stan, w którym zostawiłem Skarb nie był wcale katastrofalnym. Wystarczyło jednak to, że były znaczne zaległości płatnicze, do których musiałem dopuścić, nie chcąc zwiększać emisji biletów zdawkowych, gdyż ustawy upoważniającej do tego jeszcze nie miałem uchwalonej, podczas gdy Zdziechowski zaraz po mnie w grudniu, nie cofnął się przed dokonaniem tych wypłat właśnie biletami zdawkowymi, których obieg i emisję znacznie powiększył, gdyż już miał ustawę, do tego upoważniającą, uchwaloną, by zaczęto rozgłaszać, że zostawiłem Skarb w stanie jaknajgorszym. Do wytworzenia się tej opinii przyczynił się mój następcą, chcąc wyjaskrawić duże zresztą istotnie trudności, z jakimi miał do czynienia. A następnie na ten temat rozpiisał się Witos w broszurze dla ludu napisanej, w której postawił sobie za zadanie za pomocą fałszywych zestawień rehabilitować swoje rządy w porównaniu z mojemu. — Niesumienność broszury Witosy w operowaniu cyframi była przerażająca. Widocznym było, iż pisał mu ją ktoś, kto dawno już wyzbył się wszelkich skrupułów w atakowaniu mnie. Witos w swej broszurze dla ludu pisanej sformułował ciężkie przeciwko mnie oskarżenia marnotrawstwa grosza publicznego, chcąc dobić w ten sposób już nie mogącego się bronić przeciwnika politycznego.

Jednocześnie w różnych organach prasy prowadzona była zajadła przeciwko mnie naganka, która nie ustawała, choć nie byłem już u władzy.

Jedni obawiali się mego powrotu, inni uważali, że najważniejszą rzeczą jest to znaleźć kozła ofiarnego za wszystko zło, które ludzi trapiło, inni wreszcie w znajdowaniu tego kozła ofiarnego widzieli rozgrzeszenie samych siebie z własnej bezdusności lub bezdarności.

W tej ogólnej atmosferze nie umiał się utrzymać na poziomie obiektywności i następcą po mnie, jako minister Skarbu, Zdziechowski. — Dopóki byłem ministrem, nie występował nigdy przeciwko mnie. Ceniłem to sobie i wyraźnie zazaczyłem wobec niego i innych, że nie widzę bardziej odpowiedniego po mnie następcy nad niego.

Ale gdy został ministrem, Zdziechowski uznał widać za pożyteczne dla lepszego uwytknienia swoich postulatów i łatwiejszego przeprowadzenia ich w Sejmie, by zająć wyraźnie krytyczne wobec mojej polityki skarbowej z 1924 r. i 25 stanowisko. Ponieważ Zdziechowski czynił to, jak jestem o tem przekonany, w myśl jedynie swego pojmowania dobra służby sprawie publicznej, dlatego o to nawet żalu do niego żadnego nie

zachowałem. Niemniej muszę podkreślić i przedstawić, w jak przesadny sposób wystąpił on z krytyką szkodliwości emisji bilonu i biletów zdawkowych.

Najbardziej to było przytem zadziwiające, że Zdziechowski, silnie akcentując, jaką szkodę wyrządziło to, że ja wypuszczałem za dużo biletów zdawkowych, sam nie przestawał tego czynić, a nawet i po nim czynił to w dalszym ciągu jeszcze i Minister Klamer latem 1926 roku. Gdy Zdziechowski był Prezesem Komisji budżetowej Sejmu, zgodził się na to, żeby w budżecie 1925 r., jako poważne źródło pokrycia wydatków, pomieścić dochód z biletów i bilonu i ani razu w niczem nie zaznaczył, żeby to źródło uważał za niewłaściwe, pomimo że tylokrotnie budżet ten omawiał i referował.

Przesadne podkreślenie przez Zdziechowskiego niebezpiecznej roli biletów zdawkowych dla kursu złotego wyrobiło Polsce złą opinię zagranicą i przyczyniło się tylko do osłabienia tam zaufania do naszej waluty. — Dopóki Zdziechowski nie poruszył tej sprawy, patrzono za granicą na spadek złotego jako na objaw przejściowy, wywołany chwilowo złym bilansem okresu letniego 1925 r., a ponieważ bilans już na jesieni znacznie się poprawił, więc spoglądano z ufnością na przyszłość złotego. Dowodem, że tak było istotnie jest wydrukowany obecnie tekst rad udzielonych Zdziechowskiemu przez Kemmerera w dniu 10 stycznia 1926, które przytoczyłem. Tam Kemmerer radził powrócić do kursu 5.18 i uważał to za możliwe przy tej emisji biletów zdawkowych, jaka była, radząc stopniową ich zamianę na bilon metalowy, co zawsze przezemnie było zamierzone i co w pierwszej połowie 1925 r. właśnie się odbywało.

Gdy Zdziechowski wziął nutę wielkiego pesymizmu co do całej naszej polityki z 1924 i 25 r., pesymizm udzielił się i zagranicy i to źle się odbiło na losach kursu złotego. Polityka Zdziechowskiego była niefortunna ze stanowiska wyższych potrzeb państwa, gdyż te wymagały, ażeby przedewszystkiem podtrzymać kurs złotego.

W kraju całym jednak polityka Zdziechowskiego bardzo się spodobała, myślano bowiem, że to była „cała prawda”. Nie było to wcale prawdą, ale na wewnątrz ta polityka miała jeden pozytywny skutek: urobiła grunt dla przyjęcia bolesnych oszczędności na oświacie, wojsku i na pensjach urzędniczych. Te bolesne oszczędności na razie dały dobre rezultaty dla równowagi budżetu, ale okupione zostały stratami na wielu innych polach.

Bez tej przesady w odmalowaniu przeszłości, Zdziechowski nie mógł by przeprowadzić swoich wniosków, które widocznie uważał za konieczne. — Ale z drugiej strony przez zepsucie opinii o Polsce zagranicą, złą oddał usługę kursowi złotego i przez to sam sobie utrudnił sytuację na dalszą metę, bo te bolesne oszczędności nie były by konieczne w tak wielkich rozmiarach i na tak długi okres czasu, gdyby nie spadek złotego, — którego zbyt pesymizm Ministra Skarbu nie mógł przecież powstrzymać. — Zbyt daleko posunięty spadek złotego, zbyt radykalne potraktowanie oszczędności na pensjach całego zespołu funkcjonariuszy państwowych i zbyt daleko idący pesymizm w zapatrywaniach na całą naszą przeszłość państwową sprzyjały wytworzeniu się atmosfery, na tle której niewątpliwie umożliwiały następne wypadki majowe. W tem oświetleniu polityka Zdziechowskiego nie prowadziła po prawidłowej linii rozwojowej naszej państwowości, brakowało jej bowiem potrzebnego umiarkowania w ocenie sytuacji i w stosowaniu wpływających z niej środków.

Swój pesymistyczny pogląd na całą gospodarkę 1924 i 25 r., sformułował Zdziechowski w mowie swojej z dnia 10 grudnia 1926 r., w której wyliczył, że rząd rozporządzał w ciągu tych dwóch lat 1.232 milionami zł. środków nadzwyczajnych. Do nich zaliczył Zdziechowski cały pobrany podatek majątkowy 253 miliony, oraz środki z likwidacji P. K. K. P., dalej pożyczki zagraniczne, pożyczki krajowe, bilon i bilety zdawkowe, co razem przyniosło 979 milj. zł. — Od sumy 1.232 milionów dochodów nadzwyczajnych odliczył Zdziechowski 497 milionów wydatków nadzwyczajnych, a mianowicie na wykup marek 315 milionów, na fundusz gospodarczy 100 milionów, na pożyczki samorządowe 17 i na lokaty kredytowe w Banku Rolnym i Banku Gospodarstwa Krajowego 65. — Otrzymał tym sposobem Zdziechowski sumę 735 milionów zł., co do której wypowiedział opinię następującą:

„A więc blisko 750 milionów wpływów nadzwyczajnych poszło na wyrównanie deficytów nadzwyczajnych.

„Byłoby niesłusznem twierdzić, że skonsumowaliśmy i te sumy całkiem nieprodukcyjnie, bo nie mówiąc o pewnych koniecznościach, związanych z dziełem reformy waluty,

część tej sumy wzięta została na budowę nowych linii kolejowych i na inne wydatki inwestycyjne budżetów tych dwóch lat, jak również na środki obrony. Większość jednak tych nadzwyczajnych dochodów poszła na zrównoważenie budżetu, który był wyrazem życia Państwa nad stan". Nieco dalej mówił on „Wskazałem co zmarnowaliśmy”.

Z cytaty powyższej widzimy, że sposób ujmowania sprawy przez Zdziechowskiego był oględny. Wprawdzie użył on wyrażenia „zmarnowaliśmy”, ale przy cyfrach robił odliczenia i zastrzeżenia. Inni natomiast, którzy opierali się na wywodach Zdziechowskiego nie krępowali się wcale w zaokrągłaniu cyfr i w przesadzie wywodów. — Witos w swojej broszurze napisał ordynarnie i bezceremonjalnie, że rząd Grabskiego zmarnował 1,232.000.000 zł.”. Było to zupełnie co innego niż to, co powiedział Zdziechowski, który użył wyrażenia zmarnowaliśmy, ale zastosował je tylko do „większości sumy 735 milionów”.

Chcąc ustalić całą prawdę należy w wywodach Zdziechowskiego porobić następujące sprostowania. Zdziechowski nie wymienił całego szeregu wydatków inwestycyjnych nadzwyczajnych, które z sumy 735 milionów dochodów nadzwyczajnych zostały dokonane i które nie mogą być uważane za pokrycie deficytu budżetowego: przedewszystkiem przeprowadzony został wykup fabryk tytoniowych i porobione inwestycje w monopolu tytoniowym i spirytusowym, dalej prócz budowy naszych linii kolejowych został przeprowadzony zakup parowozów znacznie przewyższający potrzeby eksploatacji, co pozwoliło w 1926 r. uruchomić wielkie tabory dla masowego eksportu węgla. — Jeżeli uwzględnić przytem, że to co mówił Zdziechowski o wydatkach „na środki obrony” mieści w sobie znaczne zapasy mobilizacyjne oraz budowę strażnic na kresach i wyekwipowanie korpusu ochrony pogranicza, to można dojść łatwo do przekonania, że Zdziechowski minął się z prawdą, że większość sumy 713 milj. poszła na pokrycie deficytów budżetowych 1924 i 25 roku.

Ale jeszcze bardziej minął się z prawdą Zdziechowski, gdy użył wyrażenia „zmarnowaliśmy” mając na myśli to co poszło na pokrycie deficytów 1924 i 25 r.

Puszczenie w świat tego wyrażenia jest wielką krzywdą wyrządzoną prawdzie dziejowej, jest niesprawiedliwością wyrządzoną Polsce. O tem, że dochody zwyczajne w 1924 i 25 r. nie mogły starczyć na pokrycie wydatków zwyczajnych i nadzwyczajnych 1923 i 24 r., wszyscy dobrze wiedzieli. Wszak budżety uchwały te nadzwyczajne środki i nie uważały, żeby wykonanie budżetu miało być ich marnotrawstwem. Nazwanie wykonania budżetowego marnotrawstwem środków budżetowo uchwalonych jest ze strony byłego generalnego referenta budżetowego sejmowego, który te środki proponował Sejmowi do uchwalenia, czemś wprost niebywałem.

Wszak, gdy przystępowałem do tego, by przeprowadzić reformę walutową, oraz by poprowadzić nawę państwową bez dalszej inflacji markowej, wtedy wszyscy się dziwili, że śmiem się podejmować tego, nie mając w zapasie pożyczki zagranicznej, gdyż deficyty były konieczne i nieuniknione, w ciągu kilku pierwszych lat, póki monopolie nie będą urządzone, a urzędy skarbowe dostatecznie usprawnione. Ja jeden w całym społeczeństwie podjąłem się, by to dokonać bez pożyczki zagranicznej, poprzestając jedynie na prawie wypuszczenia bilonu i biletów skarbowych, ograniczonych normą w stosunku do liczby ludności.

W ciągu z lat nikt nie był krzywdzony w wyniku inflacji, bo jej nie było, wszyscy otrzymywali słuszną i należną pensję i wynagrodzenie, porobione zostały poważne inwestycje państwowe i czyż zatem można mówić, by cośkolwiek było „zmarnotrawione”.

Wszak Sejm widać nie uważał, by dość było tych środków nadzwyczajnych, któremi rozporządzałem, skoro dwukrotnie uchwalał mnie upoważnienia do sprzedaży różnych obiektów własności państwowej do łącznej wysokości 100 milionów złotych, a ja ani razu z tego nie skorzystałem. Z pożyczek zagranicznych tylko tytoniową i zapalczaną obróciłem na potrzeby nadzwyczajne wydatków państwowych, a amerykańską prawie całkowicie oddałem na rzecz potrzeb życia gospodarczego. — Zadłużenie nasze państwowe zarówno zagraniczne jak i wewnętrzne z lat 1924–25 stanowi drobny ułamek, w porównaniu z zadłużeniem naszego państwa w latach 1918–23, nie licząc nawet ówczesnej inflacji.

Z podatku majątkowego, uchwalonego na dwa lata w wysokości 666 milionów złotych, pobrałem, a więc i użyłem tylko 253 miliony złotych.

A więc nie można było mówić o tem, bym wykorzystał wszelkie możliwości. Możliwości wydatkowania miałem wprawdzie ograniczone, ale też wcale ich nie forsowałem. Nie forsowałem ani podatku majątkowego, skoro pobrałem 253 milj. zł., zamiast 666, bo widziałem zupełną niemożliwość wyciągnięcia tak wielkiej, uchwalonej za moich poprzedników sumy, nie forsowałem sprzedaży własności państwowych, bo wiedziałem, że to musiało być dokonane za bezcen, nie forsowałem pożyczek zagranicznych, by uniknąć grożącej nam w takim razie kontroli międzynarodowej, nie forsowałem pożyczek krajowych, bo nie chciałem słabego naszego rynku dla papierów procentowych zaabsorbować na rzecz jedynie potrzeb państwa i dawałem na nim wolne pole dla lokat gospodarczych, którym jeszcze ze strony rządu udzielałem pomocy.

Zostawiając wiele źródeł dochodowych niewyzyskanych, jednocześnie stosowałem wszelkie możliwe oszczędności, a budżet Prezydenta Rzeczypospolitej był tego wzorem. Budżet Prezydium Rady Ministrów również był bardzo skromny. Fundusze dyspozycyjne za mnie były mniejsze, niż za moich następców. A budżetami miesięcznymi doprowadziłem do tego, że wydawałem stale mniej, niż Sejm uchwalał. Podczas, gdy Sejm na 1925 r. uchwalił 2.166 milj. zł. wydatków, rząd wydał 1.845 milionów.

W ciągu 1924 i 1925 roku porobiliśmy znaczne oszczędności, redukując duże ilości personelu. Tempo tych oszczędności w 1926 r. nie było już takie szybkie, jak w 1924 i 25 r. W drugiej połowie 1926 r. zmieniano dużo urzędników, ale ich nie redukowano. Czyż to, że pensje urzędnikom płacone były za mnie zgodnie z obowiązującą ustawą, t. j. podług wskaźników drożyznianych, można nazwać marnotrawstwem?

A przecież była to jedyna zasadnicza różnica w sposobie wydatkowania pieniędzy państwowych w ciągu 1924 i 1925 r. z jednej, a 1926 r. z drugiej. — Inna różnica, ale już nie zasadnicza, polegała na tem, że w 1924 i 25 r. porobione były poważne inwestycje państwowe, a w 1926 r. uczyniono ich bardzo mało.

Te słowa Zdziechowskiego, „wskazałem co zmarnowaliśmy”, nieopatrznie z trybuny w imieniu rządu rzucone, narobiły wiele złego Polsce. — Niektórym osobom się zdawało, że to była jedynie krytyka mojego sposobu rządzenia. Jako taka, była to krytyka niesprawiedliwa i nieuzasadniona. Ale przecież wypadki wykazały, że to nie była jedynie krytyka mojej osoby, tylko że to stało się hasłem, które zostało podchwyczone przez tych, którzy chcieli przekreślić cały poprzedni bieg rozwoju państwowości naszej i narzucić Polsce nową niby erę.

Trzeci z kolei Minister Skarbu, który po mnie nastąpił, wystąpił z krytyką rządów moich przed objęciem swego stanowiska w broszurze wydanej pod pseudonimem Leliwy w kwietniu 1926 r. pod tyt.: *Problem skarbowy w świetle prawdy*. Wyszedł on z założeń, którym już Zdziechowski utorował drogę, jakoby ja był winien temu, że stan kraju i Skarbu w końcu 1925 r. okazał się krytycznym i stanął na gruncie stale i systematycznie urabianym przez Michalskiego, jakoby reforma walutowa z 1924 roku była przedwczesna. A do tych zarzutów, które już omawialiśmy w sposób wystarczający, dodał on zarzut, jakoby ja mianował na wyższe stanowiska ludzi niefachowych. Co do tego zarzutu autor broszury stanął na gruncie wspólnym z posłem Byrką i ze znanym organem prasowym krakowskim.

Jakie to wyższe nominacje w Skarbie przy mnie miały miejsce, które mogły budzić wątpliwości i niezadowolenia? Pragnę je rozejrzeć po kolei. Jedną z pierwszych było to powierzenie przezemnie dyrektorowi departamentu podatkowego Skarbu, obecnemu ministrowi Czechowiczowi i oddanie w jego ręce całej polityki personalnej Izb Skarbowych i urzędów podatkowych, a więc ogromnej większości spraw personalnych Ministerstwa. Mojami decyzjami, bez niczych wpływów, byli mianowani Karpiński i Steczkowski, na Prezesów głównych Banków, następnie Szmidt na miejsce Lindego w P. K. O. Z mojego wyboru powierzone były monopole państwowe Głowackiemu, Ostrowskiemu i Podkomorskiemu. Z mego wyboru nastąpiły nominacje na wiceministrów Klarnera i Karśnickiego, na sekretarza komitetu Ekonomicznego powołałem p. Widomskiego, na dyrektorów departamentu P. Kauszika, Młynarskiego i Kubalę.

Oto zespół ludzi, których wybór sam zrobiłem, nie znając wielu z nich osobiście, polegające wtedy jednak na opinii, którą się cieszyli.

Istnieje kierunek państwowy, który wymaga, żeby do wyższych stanowisk dochodzili tylko ci, którzy mają w danej dziedzinie największą ilość lat służby. Z mej strony zawsze

wysoko cenilem lata służby skarbowej, ale wiedziałem również dobrze, że Ministerstwo Skarbu, obok skarbowców rutynowanych, wymaga dopływu sił wykształconych ekonomicznie, a siły takie szukać należy w całym społeczeństwie, by najlepsze z nich do pracy w Ministerstwie przyciągać. Głowackiego, Podkomorskiego i Ostrowskiego przywołałem z poza Skarbu. Stworzyli oni podwaliny naszych monopolii państwowych, które dziś dają tak duże dochody, dali podwaliny zdrowe i dobre. Przyszli do Skarbu z innych dziedzin życia, jako ludzie wytrawni, wyrobieni, z opinią ustaloną dobrych administratorów i ludzi wysokiej wartości w swojej dziedzinie. Do organizacji rzeczy nowych i trudnych, są to dużo lepsze kwalifikacje, niż długie lata służby specjalnej w Skarbie. Ale pierwsi dwaj mieli dużo nieprzyjaciół, mogli mieć za mało rutyny w urzędowaniu. Nie znaczy się to, by nie okazali się pożytecznymi, nie położyli zasług. Pan Ostrowski obok zalet zdolnego administratora w sprawach gospodarczych, wykazał jednocześnie i wszystkie potrzebne kwalifikacje urzędnicze.

Szczególną animozję budziło u niektórych fachowców stanowisko p. Kauzika, gdyż był młody i miał szybką tak zwaną karierę urzędniczą. Ale przy obecnym ministrze to samo stanowisko zajęte jest przez kogoś, kto swoją karierę odbył jeszcze szybciej i jest znacznie młodszy wiekiem. O braku fachowości w sprawach ogólnych finansowych państwa pana Kauzika nie można poważnie mówić. Już w 1917 roku zwrócił moją uwagę na jego wybitne zdolności w sprawach rozrachunku finansowego pomiędzy Rosją i Polską późniejszy Prezes N. Izby Kontroli Państwa Żarnowski, który był wówczas członkiem takiej samej Izby w Petersburgu i jednocześnie pomagał w wydawaniu *Materiałów dla odbudowy Państwa Polskiego*, o których mówiłem już w pierwszym rozdziale moich wspomnień historycznych.

W pracach swoich w Głównym Urzędzie Likwidacyjnym oraz na Konferencji Pokojowej w Rydze pan Kauzik dostatecznie wykazał następnie swoją fachowość.

Przyciągnięcie do służby państwowej w Ministerstwie Skarbu pp. Klarnera i Widomskiego, którzy dawniej pracowali już w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, a drugi prócz tego i w Skarbie, również nie może być dyskwalifikowane ze względów fachowości. Pierwszy został ministrem Skarbu w tym samym rządzie, w którym jest nim i autor omawianej broszury, a drugi pozostał w Ministerstwie Skarbu na stanowisku wybitnie fachowem. Jako sekretarz generalny Komitetu Ekonomicznego Ministrów, pan Widomski wykazał dużo wytrawnej metody w przygotowywaniu materiałów i ich układzie i z metody tej jego następcy obecnie tylko korzystają.

Panów Karśnickiego i Kubałę powołałem do Centrali Ministerstwa Skarbu z Głównego Urzędu Likwidacyjnego, który jest urzędem poświęconym najtrudniejszym sprawom finansów państwowych, gdyż sprawom rozrachunku międzynarodowego. Wszędzie urzędy takie grupują i wyrabiają wybitniejsze siły finansowe i prawne. Przesunięcie przeto osób które przeszły, przez szkołę myślenia finansowego, jaką jest Główny Urząd likwidacyjny, do Centrali Ministerstwa Skarbu nie może być absolutnie kwestjonowane ze stanowiska fachowości.

Typowem nie liczeniem się z ciasno pojętą fachowością było mianowanie przemennie Młynarskiego na bardzo odpowiedzialne stanowisko najpierw w Skarbie, a później w Banku Polskim. Robiłem to na własną zupełnie odpowiedzialność, widząc wybitne jego zdolności w kierunku finansowym i sądząc o nich podług jego publikacji. Ocena moja zapewne musiała być trafna, skoro po moim odejściu Młynarski dalszemi swojemi pracami umiał utrwalić swój autorytet w świecie osób poważnie myślących w sprawach finansowych i zdobyć go sobie wśród finansistów nawet i zagranicą. W Banku Polskim Młynarski jest poważniejszą siłą teoretyczną. Czyż to, że ściągnąłem go w swoim czasie do Skarbu i powierzyłem mu najtrudniejsze zadania, gdyż prawodawstwo dotyczące się reformy walutowej, może mnie być za złe uważane.

Te wszystkie siły „nie skarbowe”, które ściągnąłem do Ministerstwa Skarbu i do wyższych instytucji finansowych pracowały z całym oddaniem się dla dobra Polski i wniosły dużo walorów intelektualnych do naszej twórczości państwowej, która tyle wymaga wysiłków. Z tego zespołu sił tylko mogą być dumnym.

Żaden z tych ludzi nie był dyletantem lub pozerem, nie był bezdusznym karierowiczem, myślącym o tem jedynie, by się przypodobać zwierzchnikom i otrzymać awans. Żaden nie kaptował sobie przeciwników kosztem cudzym, każdy mierzył się z nimi otwar-

cie. Działali w myśl przekonań własnych. Niektórzy z nich ze mną się spierali. Mogli błędzić, ale nie kryli się ze swoją odpowiedzialnością. Byli to poważni, fachowo stojący na pełnej wysokości i życiowo wypróbowani ludzie. Nie dobieierałem ich dla dogodzenia niczym wpływom. Wielu z nich nie znałem osobiście wcale i polegałem na opinii o nich innych osób poważnych. Nie stanowili oni wcale żadnej wspólnej grupy, poglądy ich bowiem ogólne były zupełnie rzeczą dla mnie obojętną. Wspominam o nich razem tylko dlatego, że do rzędu tych osób odnosi się jedna wspólna cecha, że mianowani byli na odpowiedzialne w Skarbie i w wyższych instytucjach stanowiska za mnie i przezemnie, choć nie byli poprzednio na służbie w tem ministerstwie. Wypróbowanych pracowników państwowych to w niczem nie dotykało, gdyż za ostatniego mego urzędowania nikt z wyższych urzędników Skarbu ze swego stanowiska usuniętym nie został.

W ministerstwie Skarbu są takie działy, w których rutyna ma duże znaczenie. Ale w innych działach, na przykład w dziedzinie walutowej i kredytowej, długoletnie nawyki biurokratyczne mogą być zupełnie nieodpowiednie. Właściwych specjalistów w tych zagadnieniach nie mieliśmy. Tak samo i zagadnienia z zakresu ogólnej polityki ekonomicznej komentowane w Komitecie Ekonomicznym potrzebowały więcej przygotowania ogólnie ekonomicznego niż ściśle skarbowego.

Pomimo, że dla zarzutów z powodu moich nominacyj w Skarbie nie było żadnych realnych podstaw i wprost odwrotnie, wiele z tych nominacyj stanowi poważny nabytek sił pierwszorzędnych dla kraju i państwa, czemu nawet przeciwnicy zaprzeczyć nie mogą, próbowano wytwarzać pod adresem osób, które bliżej ze mną współpracowały, atmosferę nie tylko krytyki, ale nawet nienawiści. Nienawiść ta była ślepa, a przedewszystkiem pozbawiona jakiejkolwiek podstawy słuszności. Ogół społeczeństwa czuł się dotkniętym ciężarem podatków i narzekał z tego powodu. Wrogowie polityczni ukuli termin, że wszystkiemu złemu, co było w Polsce prócz mnie, winni są „grabszczycy”, czyli moi współpracownicy przezemnie do Skarbu wprowadzeni. Otóż ani jeden z nich ze sprawami podatkowymi nie miał nic wspólnego. Były one, jak zaznaczyłem, powierzone przezemnie całkowicie temu, kto właśnie zaatakował mnie z powodu moich nominacyj i który, zostawszy sam ministrem, pragnął się od grabszczyków odseparować.

Zagadnienie doboru najodpowiedniejszych ludzi do Ministerstwa Skarbu ma pierwszorzędne znaczenie. Oczywiście, że poważnym źródłem, który musi tych ludzi dostarczać, są to dawniejsi urzędnicy skarbowi.

Coraz więcej się oni wyrabiają i coraz łatwiejszy jest wśród nich wybór. Ale dla zrobienia najlepszego zespołu trzeba było ich zasilać dopływem z zewnątrz. Do Ministerstwa Skarbu trzeba wogóle ściągać najdzielniejsze siły z całej Polski. Tego nie sposób osiągnąć, jeżeli fachowość pojmować ciasno i stać na gruncie, że prawo do wyższych stanowisk ma tylko ten, kto przeszedł niższe szczeble w służbie podatkowej.

Przesadne i nieustanne krytykowanie rządów moich przez Zdziechowskiego w czasie jego urzędowania jako Ministra Skarbu, ciągnęła kampanja niektórych odłamów prasy, dwie broszury Witosa przeciwko mnie wymierzone, zjadliwa krytyka moich rządów w broszurce obecnego Ministra z czasu poprzedzającego objęcie przez niego Ministerstwa, oraz różne inne ataki przygotowały grunt dla kampanji rozpoczętej przeciwko mnie w Sejmie w połowie 1926 roku. Najpierw próbowano wywołać taką kampanję już w początkach 1926 roku na tle pożyczki Dillonowskiej. Ale artykuły moje w prasie, krytykujące ostro te zakusy, kampanję tę przerwały. Wtedy poseł Byrka dał hasło do rozpoczęcia kampanji zapalczanej, w której szybko wysunął się na czoło poseł Wyrzykowski, patronowany przez posła Michalskiego. Kampanja ta trwa do dziś dnia. Zajmowałem już co do niej parę razy głos publicznie. Ponieważ nie jest zakończona, nie poświęcę jej na razie dłuższego ustępu w moich wspomnieniach.

Dla oświetlenia naszych obyczajów życia publicznego ta ostatnia kampanja zawiera bardzo ciekawe momenty oraz tło ogólne. W swoim czasie powinno to być oświetlone i wyłożone osobno.

Wśród powodzi głosów, artykułów i broszur przeciwko mnie w różnych sprawach wymierzanych, rzadkie były głosy starające się wysświetlić sprawę bezstronnie. Gdy dwóch moich byłych bliskich współpracowników przy przeprowadzaniu reformy walutowej, Młynarski i Barański, w pracach swoich, poświęconych załamaniu się kursu złotego w 1925 r., nie obarczyło mnie szczególną za to odpowiedzialnością i gdy wykazali oni cały szereg

przyczyn obiektywnych, wystarczająco to załamanie tłumaczonych, dało to powód do tego, by ich ostro krytykowano, widząc w nich jak gdyby moich sojuszników. W rozgwarze najbardziej zajadłej kampanji przeciwko mnie prowadzonej, wystąpił jako mój obrońca Józef Koźuchowski w broszurze, *Upadek gabinetu Wł. Grabskiego*, w której, nie przesądzając wielu spraw ze stanowiska czysto merytorycznego, wykazał błędy opinii publicznej oraz Sejmu w sprawach często niesłusznie mnie przypisywanych. Na całokształt rządów moich rzucił autor światło dodatnie, które streścił na początku swojej pracy (str. 8) w sposób następujący: „Gabinet ten (Wł. Grabskiego) zrobił bardzo wiele dla odrodzenia kraju. Złożył się jednak szereg niekorzystnych okoliczności na terenie międzynarodowym i w kraju, które powodowały, że ten gabinet właśnie upadł po zreorganizowaniu waluty, budżetu i finansów państwa, przeprowadzeniu szeregu finansowych i gospodarczych pożyczek, po zreorganizowaniu stosunków na kresach, po przeprowadzeniu głębokich i poważnych zmian w zaopatrzeniu armji, po chwyceniu inicjatywy, wydartej z rąk polskich w zakresie polityki międzynarodowej, wreszcie po zepchnięciu z martwego punktu polskiej kwestji mniejszości narodowych”.

Kampanja polityczna przeciwko mnie prowadzona znalazła w pierwszej połowie 1926 roku, w czasie swego największego natężenia, uzupełnienie w kampanji oszczerczej. Początki jej sięgają namiętnego zwalczania mnie w prasie już w końcu 1925 roku. Rzucając szereg nieustannie powtarzających się insynuacji, chciano ze mnie zrobić potwora. Jakkolwiek całe życie moje jest na widoku wszystkich, a stanowi ono jedno nieustanne pasmo działań w imię jedynie służby interesom publicznym, chciano mnie upodobnić do licznych niestety w społeczeństwie naszym jednostek chciwych i brudnych. Różne jednostki, zupełnie mnie nie znające, z pasją i namiętnością tworzyły, nie mające najmniejszych podstaw faktycznych, sensacyjne wersje o moich jakoby bogactwach i zyskach, nabytych na skutek urzędowania.

A gawiedź nie wiedziała co sądzić. Zaprawiona do upatrywania we mnie winowajcy ciężkiej sytuacji kraju przez kampanję polityczną, gotowa była potwornym wieściom dowierzać, a w każdym razie słuchała je chętnie. Jeszcze dziś istnieje sporo ludzi przekonanych o mojej dużej fortunie, o wpływach pieniężnych jakimi rozporządzam, o możliwości wydawania czasopism. Zwracają się więc do mnie o protekcje, o poparcia, o danie pracy i t. p. Ludziom nie może się w głowie zmieścić, by człowiek, który tyłoma funduszami rozporządzał i o którym tyle pisano, że robił co chciał przez dwa lata, mógł następnie pozostać zwykłym skromnym profesorem, którego całą ambicją życiową jest, jak było to i dawniej, we wszystkim wystarczać samemu sobie, niczego od innych nie potrzebując i pozwalając sobie na jeden tylko luksus: śmiałego wypowiedzania własnego zdania publicznie.

Wszystkie te kampanje nie osiągnęły celu. Gdy widziałem, że intrygi i napaści nienawistne przebrały miarę, wystąpiłem z listem otwartym i to oczyściło atmosferę. Cały szereg osób wybitnych wystąpił w obronie mojej. Przez jakiś czas nie śmiano mnie szarpać. Ale że wrogowie nie zasypiali w swej kampanji przeciwko mnie prowadzonej, więc znów zaczęły się w mniejszych tylko rozmiarach napaści i insynuacje.

Cały 1926 rok zeszedł na ciągłym odpieraniu fal nienawiści i rozprasaniu wyziewów trujących, które z tych fal się wznosiły. W wzmaganiu się tem mogłem rachować tylko na ciasne grono osób bliżej mnie znajomych. Nie należąc do żadnego stronnictwa, nie mogłem liczyć na żadne siły zorganizowane. Kilku tylko przyjaciół stało przy mnie wiernie. Musiałem poprzestawać głównie na obronie moim własnym piórem, zanurzając je w głębie serca i sumienia ludzkiego. Nie żałuję tego, że rok 1926 dał mi takie ciężkie przejścia. Widocznie były one konieczne.

Lata 1924 i 25 nie były zwyczajnymi latami, nie tylko ze względu na to, co zostało w nich dokonane, ale również na to, w imię jakich dążeń i ideałów państwowych praca rządowa była w nich prowadzona.

Dążenia te i ideały mają widocznie swoją moc niezależną od tego, czy kto jest w ich imieniu u władzy. Ten tylko można objaśnić sobie uporczywość walki prowadzonej z tymi ludźmi, którzy im służyli.

To co w imię tych ideałów zostało postawione u podstaw państwowości naszej w latach 1924–25, to przetrwało do dziś dnia, pomimo napaści i wyroków potępienia na tych,

którzy te podstawy budowali. W ciągu 1926 i początku 1927 nie położono żadnej nowej podwaliny.

W 1927 r. powstało dążenie naturalne do dalszych ulepszeń i wzmocnień naszej budowy, ale wszyscy korzystają z możliwości opierania się na fundamentach, w latach 1924 i 25 założonych.

Gdy w czasie pisania obecnych moich wspomnień zauważyłem, że w opinii publicznej urabiany był pogląd, by złotego zdevaluować i zrezygnować z wszelkiej dalszej podwyżki jego kursu, co byłoby krokiem wstecz w stosunku do reformy walutowej z 1924 roku, wystąpiłem przeciwko temu z kampanją w prasie, wykazując, że taki krok, którego autorzy zasłaniaли się autorytetem Kemmerera byłby sfałszowaną parodią rad jego. Gdy zaczęły przenikać wieści, że szykuje się dla Polski pożyczka zagraniczna kosztem ustanowienia kontroli obcej w Banku Polskim i przyjęcia obcego planu sanacyjnego, łącznie z dewaluacją złotego, wystąpiłem ostro przeciwko temu.

Moja kampanja prasowa wywarła ten częściowy skutek, że od kontroli obcej w Banku Polskim odstąpiono, ale za to rozpętała się przeciwko mnie nowa naganka, pełna przesadnej krytyki wszystkiego, co robiłem za rządów moich. Celem tej naganki było zmuszenie mnie do nie zabierania głosu publicznie w sprawach, w których miałem przecie wiele do powiedzenia. Nie osiągnęła ona swego celu. Nie opierając się ani o Sejm, ani o żadne stronnictwo, prowadzę linię torowania drogi tym idejom, którym służyłem, będąc u steru rządów, licząc jedynie na siłę wygłaszanych przezemnie argumentów, oraz na odczucie interesu państwowego przez tych, którzy za losy państwa niosą najwyższą odpowiedzialność.

ROZDZIAŁ XXXVI

Moje wyznanie wiary

Odszedłem, bo nie danem mnie było spełnić swojego zadania. Nie mogłem zabezpieczyć waluty na tak trwałych podstawach, by się nie zachwiała, nie mogłem sparaliżować agresywnej wobec nas pozycji Niemców, nie mogłem zażegnać kryzysu gospodarczego, nie mogłem zadowolnić rolników, nie mogłem doprowadzić do współdziałania Sejmu i Rządu.

Nie mogłem, bo byłem upartym i jednostronnym w swoich działaniach, a optymistą w swoich sądach. Z różnych stawianych mnie zarzutów, te trzy mają przynajmniej pewne cechy prawdopodobieństwa, inne są to wprost złośliwe wymysły. Ale i te trzy cechy jakże są względne! Czy wolno być nie upartym, gdy się coś chce przeprowadzić. Czy wszechstronność jest istotnie zawsze jedyną dobrą metodą rządzenia, a czy pesymizm nie jest gorszym od optymizmu? Czy zresztą byłem istotnie zawsze optymistą lub jednostronnym, o tem też wolno wątpić, gdy się rozważy przebieg dziejów przezemnie przedstawiony?

Ale niewątpliwie popełniałem błędy i miałem wady, bo jestem człowiekiem. Czyż można nie być człowiekiem? Ale wszystko co w człowieku jest poczuciem spełniania obowiązku, temu starałem się dać najpełniejszy wyraz i, przeglądając przebieg zdarzeń w ciągu dwóch lat pracy, tak samo jak i całego poprzedniego życia, nic nie mam sobie pod tym względem sam do zarzucenia.

A jednak po moim odejściu jaka się toczy wciąż walka ze mną, który zeszedł w cień życia osobistego i prywatnego. Walki tej unikać nie mogę, bo widocznie, pomimo mego odejścia, pozostały po mnie pierwiastki takie życia publicznego, których się inni obawiają.

Pierwiastki te zawierają w sobie program, stanowiący całokształt zagadnień naszego bytu państwowego, niezależnie od takiego lub innego zabarwienia partyjnego. Daje się on ująć w następujące podstawowe założenia.

1) Najwyższym dobrem naszym jest nasza państwowość, którą musimy postawić na wysokim poziomie i zabezpieczyć jej całkowitą niezależność. Dla dobra tej naszej państwowości musimy dawać wszystko, co tylko jest w naszej mocy.

2) Pełnym wyrazem naszej państwowości powinna być władza Prezydenta Rzeczypospolitej, który powinien stanowić i posiadać autorytet, zabezpieczający państwu zupełnie

prawidłowy sposób rozwoju. — Nie może być przeto Prezydent Rzeczypospolitej zredukowanym do roli czynnika udzielającego jedynie swoją sankcję dla decyzji, wpływających bądź z kombinacji parlamentarnych, bądź z woli rządu, lecz musi sam oddziaływać na formowanie się rządów i stawiać mu naczelne wymagania państwowe oraz czuwać nad tem, czy są one spełniane.

3) Rola Sejmu powinna się mieścić w ustawodawstwie oraz we współdziałaniu z Rządem. — O ile Sejm, rywalizując z Rządem w zakresie autorytetu ogólnopolskiego, chce wywyższać się po nad rząd i wpływać stale na kierownictwo spraw państwowych, osłabia on to kierownictwo, co staje się szkodliwym. Rząd jednak Sejmu poniżyć nie powinien, bo przez to podkopuje najpoważniejsze źródła zaufania do państwa w społeczeństwie.

Rządy parlamentarne są bardziej odpowiednie od pozaparlamentarnych dla ustroju współczesnego, ale jedne i drugie rządy powinny być wolne od nieustannej ingerencji Sejmu do spraw rządzenia państwa. Rząd powinien być zależnym od zaufania Sejmu, ale tylko w pełnym składzie całego gabinetu.

4) W stosunku do państw obcych powinniśmy zachować całkowitą swobodę działania. — Nie powinniśmy robić ustępstw na żadnym z naszych frontów politycznych zewnętrznych w przypuszczeniu, iż przez takie ustępstwo na jednym z nich, uzyskamy swobodę działania na drugim. Nie możemy również uzależniać się od jakichkolwiek czynników międzynarodowych nawet nam życzliwych i to nawet za cenę najpoważniejszej pomocy finansowej.

5) Wobec tego, że pod względem gospodarczym Niemcy są od nas znacznie silniejsi, musimy wytworzyć naszą od nich niezależność gospodarczą w zakresie handlu międzynarodowego tak, by Niemcy nie mogły drogą wojny gospodarczej wywierać na nas żadnej presji politycznej.

6) Wobec społecznej agresywności w stosunku do nas Rosji musimy prowadzić politykę wielkiej przeczności w sprawach społecznych i narodowościowych z wyraźnym dominowaniem troski o spokój społeczny i bezpieczeństwo publiczne.

7) Całość władz administracyjnych, wojska i policji stanowi pień naszej samodzielności państwowej i niezależności politycznej. Temu całokształtowi należy się odpowiednie w społeczeństwie stanowisko oraz sprawiedliwe wynagrodzenie.

8) Podstawą zdrowego rozwoju życia gospodarczego oraz siły finansowej państwa jest zdrowa i silna waluta. — W celu jej stworzenia i zachowania musi całe społeczeństwo ponosić znaczne ofiary. Stanowią one niezbędny kapitał naszej młodej państwowości, kapitał, który musi zastąpić u nas to, co zostało nagromadzone w poprzednich wiekach przez inne państwa współczesne. — Waluta, raz zaprowadzona, nie może być następnie dopasowywana do chwilowego stanu osłabienia naszego życia gospodarczego, nie może być dewaluowana, by zyskać pozory nowej siły, tylko musi być utrzymana na poziomie odpowiadającym istotnym siłom, przy maksymalnym ich napięciu, z tendencją do tego, by powrócić z czasem może i odległym, ale doścignym do swej właściwej pełnowartościowej normy.

9) Budżet państwowy musi być wyrazem prawdziwego ducha oszczędności. — Ale jednocześnie wydatki w nim na oświatę i wojsko muszą być stosunkowo znaczniejsze niż w innych państwach, bo co do pierwszego jesteśmy zbyt zapóźnieni w rozwoju umysłowym mas ludności, a co do drugiego mamy większe znacznie od innych niebezpieczeństwa, z którymi liczyć się poważnie musimy.

10) Interesy przemysłu i rolnictwa, producentów i konsumentów, dłużników i wierzycieli, handlu i banków winny być stale regulowane w duchu harmonizowania wpływających nieustannie sprzeczności, bez dozwolenia, by jedna dziedzina mogła dochodzić do wyraźnej supremacji kosztem zbytnich ofiar drugich dziedzin. Na czoło zadań polityki gospodarczej należy postawić samowystarczalność z jednej strony, a z drugiej wzmoczenie eksportu dla zabezpieczenia waluty i podniesienia zdolności emisyjnej, a więc i kredytowej Banku Polskiego. W polityce kredytowej należy opierać się głównie na odtworzeniu gromadzenia oszczędności wewnątrz kraju przez szerokie masy ludności, a dla pożyczek zagranicznych należy wyznaczyć osobne zadania gospodarcze.

Zasadom powyżej wyłożonym służyłem w czasie pełnienia władzy.

Zasadom tym służyć po moim odejściu nadal piórem moim.

Niniejsze moje opracowanie jest niczem innym, jak służbą tym zasadom. Nie sędzę, by danem mi było jeszcze próbować ich w życiu państwowem, ale szczęśliwy będę, gdy inni się nimi przejmą i będą im służyli nie mniej gorliwie niż ja to czyniłem, a może bardziej będą szczęśliwi i będą mogli dobić do spokojnego brzegu, czego nie danem mi było się doczekać.

Zasady te jednak mają swoich wyraźnych przeciwników.

Ci są, byli i pozostaną moimi przeciwnikami. Jedni chcą byśmy się oparli na Lidze Narodów, inni na porozumieniu z Niemcami, jedni chcą byśmy w polityce gospodarczej państwa dali pierwsze miejsce rolnikom, bo są najliczniejsi, inni żeby dać je wielkiemu przemysłowi i bankom, jedni chcą by Sejm był wszechwładny, inni by Prezydent był malowany, jedni chcą, by złoty spadał i stwarzał wciąż nowe premje eksportowe, inni chcą by złoty został na dzisiejszym kursie zdewaluowany i zamieniony na nowy pieniądz, jedni chcą by urzędnicy państwowi byli na służbie stronnictw, inni by zostali zmuszeni do pracy na najgorszych warunkach i mechanicznie redukowani, jedni chcą, by podatki były powszechnie obniżone, drudzy by budżet był zredukowany mechanicznie poniżej niezbędnego minimum. Wszystkie te mniemania uważałem zawsze za antypaństwowe, za ślepe i nieopatrne, przeciwstawiłem się im i nic przestaję się przeciwstawić i dlatego byłem i będę zwalczany, bo wszystkie te poglądy mają zakorzenione podstawy w naszej przeszłości. Są to te ponure widma, wypełzające z za kątów naszej przeszłości, o których wspominałem.

Miałem przeciwników w wielu posłach i to w różnych stronnictwach, ale również w wielu stronnictwach często tych samych, byli posłowie, na których lojalne, rzeczowe i zasadniczo przychylnie stanowisko mogłem zawsze rachować. Bardzo to sobie ceniłem i cenię i stawiam wysoko z tego właśnie względu, że taki rzeczowy stosunek tych posłów do spraw poruszanych wynikał jedynie z pewnego bliskiego nam pojmowania dobra publicznego i państwowego, a wcale nie powodował jakichkolwiek wzajemnych zobowiązań i nie wynikał często nawet z żadnej bliższej znajomości.

We wspomnieniach moich pisałem bardzo mało o moich współpracownikach, bo pisałem rzecz moją jednym tchem i w dużym skrócie, ale na zakończenie pragnę uświadomić, jak pełną poświęcenia i wysokiego poczucia obowiązku były ich prace. Koledzy moi w gabinecie narażeni byli na ciągłe ataki, często gorsze znacznie niż te, jakie mnie wypadało znosić. A jakże wiele godności, powagi i wyrozumiałości okazywali oni.

Wśród goryczy, jakich mnie nie brakowało, świadomość, że w gronie gabinetu trwały pomimo licznych zmian stosunki lojalnej rozumnej i celowej współpracy, stanowiła wielką dla nas wszystkich zachętę dla dźwignia z całym oddaniem się ciężaru swoich obowiązków. Nie traciliśmy czasu na tarcia, bo ich nie było. A każdy był pewien, że mu nikt nie utrudni spełnienia jego własnych zadań. Kto wątpi o zdolności natury polskiej do zgodnej i szarmonizowanej współpracy, ten jest w wielkim błędzie. Rząd, na czele którego stałem, był jasnym wyrazem tego, że taka współpraca w naszym społeczeństwie daje się zorganizować i może sprawnie działać.

Muszę też wspomnieć o moich pomocnikach, urzędnikach Skarbu i Prezydjum. Pierwszych znałem już z poprzednich moich rządów. Miałem w nich nieocenioną pomoc, zawsze gotową do największych wymaganych wysiłków. A było nad czym pracować. Te dwadzieścia trzy miesiące moich rządów były terenem takiej pracy, jakiej dwa razy tyle miesięcy ani wstecz nie widziały, ani nie zobaczą zapewne i po mnie.

Przeciwko niektórym urzędnikom skarbowym prowadzona była za czasów mojego urzędowania, a również i później naganka, ofiarą której padły osoby najzupełniej niewinne. Padły one wskutek małoduszności tych, którzy o ich losach stanowili, a niskich pobudek tych, którzy ich szarpali. Padły te ofiary dlatego, że w walce ci, którzy czują swą chwilową siłę i niedowierzają jej trwałości, żądni są ofiar. Jakże boleję nad tem. Smutnie świadczy to o stosunkach, które zapanowały. Wiele goryczy musi się wytwarzać u tych, którzy sami niewinnie zostali poświęceni, jak również u tych, którzy na to patrzą i zastanawiają się, czy służba publiczna istotnie może być pełnem oddaniem się sprawie publicznej, czy też musi być grą asekuracji życiowej.

Praca urzędników skarbowych za moich rządów była twórczą, nie byli oni ślepyimi wykonawcami, ale moimi współpracownikami. Wśród nich były jednostki wybitne, które

wniosły dużo własnych koncepcyj do dzieła, które przeprowadziłem. Wspomnienie też moje o tej pracy wysoce sobie cenię. Dobrze się oni zasłużyli ojczyźnie.

Wśród wyższych urzędników skarbowych miałem kilku wyjątkowo oddanych sprawie publicznej współpracowników. Wielu z nich do dziś dnia pozostaje na stanowiskach urzędowych. Najbliżsi mnie współpracownicy pozostali wierni idejom, którym służyli. Wierzą oni po dziś dzień, że rok 1924 nie był niewczesnym i nieudanym eksperymentem, jak to się dziś popularnie głosi, a rokiem wielkim dla Polski.

Urzędników w Prezydjum Rady Ministrów zastałem po poprzednich rządach. Byli to przeważnie dawni urzędnicy z zaboru austriackiego, dobrze wyrobieni. O urzędnikach ze szkoły austriackiej często się słyszy ujemne sądy. Zarówno w Ministerstwie Skarbu jak i w Prezydjum przekonałem się, że sądy te są nieusprawiedliwione. Żadnego urzędnika Prezydjum nie zmieniłem, a w żadnym z nich nie zauważyłem ani jednej właściwości takiej, która by wskazywała, że nie stoją na wysokości zadania. Duża wprawa w załatwieniu spraw państwowych była ich właściwością i bardzo to ceniłem. Gotowość i czujność w pracy okazywali nieustanną. Na lojalności ich nigdy się nie zawiodłem.

Na ogół nie nabrałem w ciągu 23 miesięcy mego sprawowania władzy, ani potem, pomimo ciężkich i gorzkich chwil przeżywanych, żalu do ludzi i społeczeństwa. To, że mam przeciwników, uważam za rzecz naturalną. Nie miałbym ich, gdybym nie stawał sam do walki o pewne zasady i ideje w życiu naszego państwa.

Sytuacja naszego kraju jest trudna. Mamy wiele zadań do spełnienia pierwszorzędnych, a bieg dziejów może nam nie dać dużo wolnego na to czasu. Musimy natężyć siły i energię naszego ducha i charakteru, by sprostać chwili dziejowej.

Liczyłem na te siły nasze w ciągu 1924 i 25 r. i w drugiej połowie moich rządów co do nich właśnie się przerachowałem. Ale nie wątpię, że się w chwili potrzebnej znajdą. Jeżeli się przerachowałem, to nie znaczy, że ich nie było, tylko, że nie umiałem widocznie wykrzesać je z głębin naszego życia.

Wiele mamy wszyscy braków i wad. Ale póki u wszystkich jest wiele chęci do pracy dla dobra naszej wspólnej sprawy ojczystej, póty nie ma tak złych koniunktur i warunków, nie ma tak wielkich kryzysów i depresji i tak trudnych i głębokich kolizji, z których byśmy własnymi siłami nie mogli się wydobyć.

CZĘŚĆ II. Z PRZEŻYTYCH DOŚWIAD- CZEŃ

ROZDZIAŁ I

Konieczności, możliwości, przyczyny i skutki

Ustalenie poglądu na wszelkie kryzysy w życiu państwowym społeczeństwa stanowi jedno z najtrudniejszych zadań. Na końcu 1923 roku przeżyaliśmy wielki kryzys hyperinflacji, w połowie 1925 r. weszliśmy w okres ostrego kryzysu gospodarczego, wyczerpania budżetowego i zachwiania się waluty. Z tego kryzysu jeszcze do dziś dnia nie wyszliśmy.

Kryzys każdy jest zawsze ciężkim przejściem dla narodu, który go przeżywa. Dla czego nie został odwrócony, dla czego go nie przewidziano i mu nie zapobieżono?

W społeczeństwie naszym nie brak takich, którzy myślą, że gdyby nie było reformy walutowej, nie byłoby tak silnego kryzysu, jak ten, który przeżyaliśmy zimą 1925/26 r. i który jeszcze dziś w znacznej części przeżywamy.

Mogą oni wskazywać na przykład Węgier, w których po okresie inflacji wyczekano czas jakiś z reformą walutową, aż się warunki ustabilizowały i, przy pomocy nie wielkich kredytów zagranicznych, zdołano przebyć szczęśliwie okres przejściowy paroletni, dzielący okres czasu hyperinflacji od momentu wprowadzenia reformy.

Jak że to łatwo powiedzieć: „szczęśliwie”, gdy się stoi z boku i mówi o kraju obcym.

Węgry w tym okresie przejściowym miały kolosalny ucisk podatkowy, ale go wytrzymały, nie miały dużego nieurodzaju, nie miały trudności eksportowych, bo są krajem wybitnie rolniczym i miały dzięki Opiece Ligi Narodów, o którą same się zwróciły, regularny dopływ kredytów zagranicznych, jak dla tak nie znacznego kraju poważny. Zresztą do dziś dnia wiele jest objawów ciężkich przeżyć gospodarczych na Węgrzech.

Zapewne, że mogło by i u nas być nie źle, gdybyśmy poczekali z reformą walutową, ale mogłoby być i bardzo źle. Tęby się dopiero pokazało, moglibyśmy bowiem mieć wielki kryzys nie na jesieni 1925 i zimą z 1925/26, ale wcześniej jeszcze.

Po okresie hyperinflacji czekać z reformą walutową mogą tylko kraje o zapewnionym dopływie kapitałów zagranicznych, jak Węgry i Austria. Niemcy jednak na ten dopływ nie czekały. — Myśmy zrobili to samo, co Niemcy, i nie ma powodów do twierdzenia, że zrobiliśmy coś lekkomyślnego i złego. Niemcom to, że nie czekały z reformą wyszło na dobre. Ale wielki kryzys spotkał ich dużo wcześniej niż nas. — Mieli oni w czasie przystępowania do swojej reformy kilka miljonów bezrobotnych. Miały następnie kolosalny deficyt bilansu handlowego. Ale waluta ich się nie załamała. — Niemcy przystąpiły do reformy, nie wiedząc zupełnie, czy będą miały dopływ kapitałów zagranicznych. Reformą niemiecką było to zaprowadzenie rentenmarki. Przejście do marki złotej było już tylko dokończeniem reformy. — Cała różnica między nami i Niemcami polega na tem, że choć my i oni zaczynaliśmy bez pomocy zagranicznej, oni tę pomoc otrzymali, a my nie. Dlaczego tak się stało, wyświetliłem to w moich wspomnieniach historycznych. Niemcy nam w tem przeszkodziły, a spychając nas w cień, umiały samych siebie na front spraw światowych wysunąć.

Kryzys 1925 r. nie był żadną koniecznością. Był faktem.

Ale czy fakt ten był nie do odwrócenia. Tutaj spotykamy się z dwiema różnymi teorjami wskazującymi, że po dokonaniu reformy walutowej zostały dopuszczone błędy takie, które właśnie do kryzysu doprowadzić musiały. — Teorje te omawiałem już w moich wspomnieniach historycznych.

Jedna z nich to teoria nadmiernego bilonu, druga zbyt liberalnej polityki celnej.

Wykazywałem w poprzednich rozdziałach całą ich jednostronność. Ostatnio wyszła praca Dra Leona Barańskiego (*Uwagi nad obiegiem pieniężnym w Polsce*) jednego z dzielnych współpracowników moich, przy przeprowadzaniu reformy walutowej, który w sposób następujący formułuje istotne przyczyny kryzysu naszej waluty w 1925 r.:

„Gdy rzucimy okiem wstecz na nasze wywody — możemy je krótko zrekapitulować: kryzys walutowy wywołała rozbieżność między konsumpcją kraju, a dochodem narodowym i niemożność znalezienia pokrycia różnicy w wystarczającym dopływie kapitału z zewnątrz. Ta zasadnicza przesłanka tłumaczy wszystko: bierność bilansu handlowego, odpływ walut z Banku Polskiego, równocześnie trudności w kapitalizacji, niewielkie zapasy kasowe i słabą płynność przedsiębiorstw, stąd mały obrót pieniężny i z drugiej strony niebezpieczeństwo jego powiększenia. Nierównowaga budżetu państwowego nie jest skutkiem tej rozbieżności, ale wprost jednym z jej objawów. W postawionej przez nas tezie widzimy objaśnienie i wspólny mianownik zjawisk, które bywają czasem uważane za sprzeczne ze sobą i wywołane wprost odwrotnymi przyczynami. Tymczasem nieraz brało się u nas przyczyny za skutki i szukało znów dla nich przyczyn według utartych szablonów. Tak było n. p. z tłumaczeniem silnej konsumpcji i wysokich cen — inflacji. Oczywiście w splocie związków przyczynowych nietylko możliwym, ale koniecznym jest zjawisko reperkusji, co jednak nie uprawnia do wadliwego konstruowania łańcucha przyczyn i skutków.”

„Widzimy więc w szczególności, jak to na wstępie mówiliśmy, że wtłaczanie sprawy kryzysu pieniężnego w Polsce w ramy kwestji inflacji czy deflacji i usiłowanie niejako nadania tym objawom charakteru jakichś pierwotnych przyczyn jest zupełnie niedopuszczalne”.

Barański w dalszym ciągu swej pracy wykazuje, że opanowanie nadmiernej konsumpcji w 1924–25 roku było niepodobieństwem. Dr. Feliks Młynarski, który był właściwym najbliższym twórczym moim współpracownikiem przy reformie walutowej, przypisuje główną przyczynę załamania się nowej waluty w 1925 r. brakowi dopływu kapitałów zagranicznych, oraz niezwykle silnemu nieurodzajowi.

W ten sposób ci, którzy najbliżej stali dzieła reformy, po jej załamaniu nie stracili w nią wiary, choć starali się poznać gruntownie tło, na którym to załamanie się nastąpiło.

Czy wskazanie przyczyn ogólnych kryzysu gospodarczego jest równoznaczne z wykazaniem jego konieczności? Bynajmniej; na wywołanie bowiem kryzysu, jak wogóle na każdy wybitniejszy fakt historyczny, wpływa obok przyczyn natury ogólnej jeszcze cały szereg faktów poszczególnych, poprzedzających dany objaw i wywołujących dopiero jego konieczność. Tem się tylko objaśnia, że, przy jednym i tem samym tle ogólnem, w jednym kraju będziemy mieli do czynienia z jednym objawem, w drugim — z innym zupełnie objawem.

Czyż bowiem za konieczność należało uznać, gdy się w początkach 1924 r. przystępowało do reformy, to, że urodzaj 1924/25 okaże się katastrofalnym i że ceny węgla, drzewa i cukru spadną na rynkach międzynarodowych? — Czyż koniecznością było to, że Sejm podwyższy budżet na 1925 r. zamiast go zmniejszyć? Czyż koniecznym było, że pożyczka Dillona została sparaliżowana skutecznie i nie dopisała w drugiej swej części właśnie w najpotrzebniejszym dla nas momencie? Czyż koniecznością było wypowiedzenie nam przez Niemcy wojny celnej, wyjazd optantów, błędna polityka Banku Polskiego?

Wszystko to były tylko fakty, a nie konieczne właściwości rozwoju stosunków. — A znaczenie tych faktów było pierwszorzędne dla sprawy zachwiania się kursu złotego. — Bez tych faktów nie byłoby załamania się budżetu w połowie 1925 r., i nie byłoby tak silnego wyczerpania się walut w Banku Polskim jak ten, który nastąpił, nie byłoby zrezygnowania Banku z utrzymania kursu złotego. Bez tych faktów mielibyśmy dziś złotego pełnowartościowego, a ta zwyzka wskaźników drożyznianych, która była wynikiem najpierw okresu hiperinflacji z końca 1923 r. i początku 1924 r., a następnie okresu nieurodzaju drugiej połowy 1924 r., ustąpiłaby miejsca w drugiej połowie 1925 i w 1926 r., powszechnemu procesowi cofania się drożyzny wstecz. Spadek zaś ten drożyzny przyczynił by się do opanowania kryzysu gospodarczego u nas w podobny sposób, jak się to stało w większości innych krajów, które nie zaznały załamania się waluty na progu roku urodzajnego.

Wśród przytoczonych przyczyn spadku złotego jedne mogły mieć mniejsze, drugie większe znaczenie. Można przytoczyć jeszcze inne szeregi przyczyn i można by się zresztą

spierać o to, które z nich miały znaczenie bardziej zasadnicze, a które mniej. Różne co do tego mogą być poglądy. Ale jednego zaprzeczyć nie można, że nieurodzaj był faktem potężnym i od niczyjej lepszej lub gorszej woli niezależnym.

Rolnicy chcieli nieurodzaj 1924 r. przypisać polityce rządu, ale taki pogląd nie mógłby się utrzymać, bo gdyby na nieurodzaj 1924/25 r. miała wpłynąć zła polityka rządów, to oczywiście mogła to być jedynie polityka rządów poprzedzających zasiewy 1924 r. Gdyby zaś temu twierdzeniu, że winnym nieurodzaju są złe rządy z epoki 1923 r. i dawniejszych przyznać rację, to należałoby również uznać, że ogromny i wprost niebываły urodzaj 1925/26 r. przypisać należy znów następnym rządóm w epoce 1924/25 roku, czyli dobroczynnemu wpływowi moich rządów na rolnictwo. Wniosek taki byłby konieczną konsekwencją pierwszego. Ale co prawda nie znalazłem ani jednego artykułu lub ustępu pracy, któryby ten drugi wniosek wyprowadzał. Stąd trzeba dojść do przekonania, że i pierwszy wniosek jest błędny i że wielki nieurodzaj 1924 r. nie był wynikiem błędów rządów naszych, a tylko faktem takim samym, jak wielki urodzaj następnego.

Jakie zaś znaczenie miał ten nieurodzaj dla bilansu handlowego, a zatem i dla całego kryzysu następnego, wyjaśnia nam artykuł zamieszczony w numerze pierwszym „Rolnika ekonomisty 1927 r.”, z dopiskiem, że jest to „referat opracowany w Ministerstwie Rolnictwa”:

„Nie wszyscy zdają sobie dotąd dokładnie sprawę, że główną przyczyną katastrofy gospodarczej w Polsce w 1925 roku był nieurodzaj 1924 r. — Oficjalne statystyki wskazują, że od lipca 1924 r. do sierpnia 1925 r. Polska importowała artykułów żywnościowych na sumę 450 milj. złotych więcej, niż w poprzednich latach, natomiast w powyższym okresie zmniejszyła wywóz grupy rolniczej o sumę około 600 milionów, czyli, że zły urodzaj 1924 r. wyraził się w stosunku do bilansu płatniczego cyfrą przeszło miliard złotych na naszą niekorzyść.

„Nic dziwnego, że brak tak wielkiej sumy w naszym bilansie płatniczym, jak również brak przeszło dwukrotnie większej sumy w dochodzie społecznym, nie tylko zdeorganizował możliwość Banku Polskiego zaspakajania potrzeb walutowych i zachwiał kurs złotego, ale co ważniejsze, wstrząsnął całym życiem gospodarczym kraju, pozamykał warstwy pracy, wyrzucił na bruk robotników i zmniejszył dochody skarbowe”.

Oto do jakich konkluzji dochodzi nieznanemu referentowi w początkach 1927 r. Ale jakże odmiennymi torami szły w ciągu tego 1926 r. dociekania różnych innych referentów, doszukujących się przyczyn kryzysu, jaki mieliśmy w końcu 1925 roku.

W podaniu cyfry z górą 1 miljarda złotych, które wydarł nam z bilansu handlowego, a więc z zapasu walut, nasz nieurodzaj, jest być może pewna przesadna nieścisłość, do czego statystyka zawsze się nadaje, ale bądź co bądź, nie można zaprzeczyć, że w porównaniu z faktem wielkiego naszego nieurodzaju 1924/25 r., wszystkie inne fakty uważane za przyczyny kryzysu błędne i tracą wielce na znaczeniu. Mniemany liberalizm rządu z 1924 r., który wyraził się jak wspomniałem w części historycznej cyfrą 20 milj. złotych różnicy importu, wobec tej różnicy miliardowej staje się drobnym zupełnie, nic nieznaczącym dla samego zagadnienia spadku złotego, przyczynkiem. Jeżeli zaś dodamy do nieurodzaju to, że ceny głównych produktów eksportowych były w 1924/25 r. na rynkach zagranicznych szczególnie niskie, a ceny przedmiotów koniecznego importu takich, jak mąka i zboże, były wysokie, to otrzymamy taki kompleks faktów natury na zewnątrz od naszej woli pozostających, że fakt załamania się złotego temi już tylko czynnikami zewnętrznymi zupełnie wystarczająco się tłumaczy, nie stanowiąc przytem żadnej konieczności pojętej jako wynik ogólnej ewolucji stosunków, w jakich się znajdowaliśmy.

Całe rozumowanie tych, którzy uważają, że załamanie się naszej waluty i kryzys 1925/26 roku były koniecznościami, wypływa z błędnego niedoceniaenia nie tylko tych faktów ujemnych, zespół których ten kryzys istotnie wywołał, ale również z niedoceniaenia tego, że jeśli każda reforma może być sparaliżowana przez taki niesprzyjający zespół faktów, to również może ona odwrotnie wywołać szereg sił dodatnich, które by się mogły przyczynić do wywołania wręcz odmiennego zespołu faktów.

Wszak w Niemczech reforma walutowa obudziła wielką energię pracy i silną intensywność procesu oszczędności w łonie samego społeczeństwa, czego u nas nie dało się w tym samym stopniu stwierdzić.

Po upadku ducha, jaki w Niemczech w początku okresu hyperinflacji i w czasie trwania okupacji Zagłębia Ruhry panował, nastąpiło wielkie ożywienie usposobień, wielki rozmach energii, przy gotowości do silnych ofiar jak n. p. 10-cio godzinnego dnia pracy w niektórych gałęziach. U nas nic podobnego nie nastąpiło. Czy było to koniecznością, czy tylko faktem? Zdaje się, że to drugie.

A więc nie mają racji ci, którzy mówią, że reforma była przedwczesną, że z góry była ona skazaną na niepowodzenie, że wielkie ofiary i wysiłki były zbędne i zostały zmarnowane.

Na tem ostatniem stanowisku, że przy reformie walutowej zbyt wielkie były ciężary podatkowe ludności i zbyt wielki budżet, stanął prof. Krzyżanowski, powtarzając tezę już przez Zdziechowskiego postawioną. Tezę tę prof. ten uważa za pewnik naukowy, ale jej nigdzie naukowo i wszechstronnie nie udowodnił. Nie bronię wysokości budżetu 1925 roku, która była dziełem Sejmu, ale wskazałem na przesadę w wyolbrzymianiu tego czynnika, gdyż jakkolwiek Sejm uchwalił bardzo wysoki budżet, rząd wydał w ciągu 1925 roku znacznie mniej pieniędzy, niż było uchwalone.

Osobne stanowisko w sprawie dociekania przyczyn spadku złotego zajął prof. dr. Edward Taylor, który wydał w 1926 r. pracę naukową pod tytułem *Druga inflacja Polska* i prócz tego napisał w pierwszym zeszycie „Ruchu Prawniczego, ekonomicznego i socjologicznego” z 1927 r. rozprawę na temat: *Przyczyny spadku złotego*.

Jeden z rozdziałów pracy Dr. Taylora *Druga inflacja polska*, poświęcony jest omawianiu błędów mojej polityki gospodarczej. Wbrew kursującej opinii prof. Taylor nie uważa za błąd moją politykę celną z 1924 r., gdyż sądzi, że dążenie moje do potanienia produktów i produkcji było słuszne. Ale za błąd uważa prof. Taylor, że nie poszedłem w tej dziedzinie tak daleko, jak należało, gdyż okazałem się zbyt kompromisowym w dziedzinie potanienia pracy i kapitału jako czynników produkcji. Zarzuca mnie przeto, że nie poszedłem na przedłużenie dnia pracy i że niedostatecznie i bez skutków oddziaływałem na potanienie kredytu. Zdaniem prof. Taylora moja polityka bankowa była obliczona w skutkach na zbyt daleką metę. Należało podług niego natychmiast uniemożliwić prawnie istnienie ogromnej różnicy pomiędzy oprocentowaniem wkładów z jednej i pożyczek z drugiej strony, co by zmusiło banki do fuzji i likwidacji już w 1924 roku i co by musiało skutecznie wpłynąć na zwiększenie gromadzenia oszczędności z jednej strony i potanienie kredytu z drugiej. Jednocześnie autor stawia zarzut polityce Banku Polskiego, że przez udzielanie kredytu bankom bez stawiania im programowych żądań i przez tolerowanie ogromnej różnicy między stopą płaconą za lokaty, a pobieraną za kredyty, Bank Polski źle się przysłużył sytuacji gospodarczej.

Co do mojej polityki tyczącej się zagadnienia długości godzin pracy sporo dałem już w poprzednich oddziałach wyjaśnień.

Co zaś do mej polityki bankowej, przynaję rację profesorowi Taylorowi, gdyż poglądy jego podzielałem i nieraz sam wypowiadałem. Byłem jednak co do nich odosobniony, nawet w Ministerstwie. Poglądom tym dałem wyraz, nie chcąc zatwierdzić wzorowego statutu dla kas gminnych, jeżeli w nim nie będzie ograniczenia, że procenty od pożyczek nie mogą przewyższać procentu od lokat ponad ustaloną normę. W najbliższem mojem otoczeniu brakło takich znawców bankowych, którzy mogli byli dać wyraz celowej polityce bankowej. Moje zaś myśli były paraliżowane podejrzeniem mnie o to, że jestem nieprzyjaźnie usposobiony do banków prywatnych i że godzę w ich egzystencję. Professor Taylor swoją opinię trochę zapóźno pod tym względem sformułował, a zdanie jego nie znajdowało oddźwięku w opinii ogólnej. Trudno mnie było przezwyciężyć tego ogólnego ówczesnego usposobienia, które uważało wielką różnicę między oprocentowaniem wkładów i kredytów za rzecz konieczną.

Prócz krytyki mojej polityki gospodarczej, ze specjalnego zresztą stanowiska, znajdujemy u prof. Taylora jeszcze ogólną krytykę polityki walutowej rządu i Banku Polskiego, zarówno w 1925 jak i w 1924 r. Książka prof. Taylora poświęcona jest, jak tytuł głosi — „drugiej inflacji polskiej”. Myliliby się, ktoby przypuszczał, że pod drugą inflacją polską należy rozumieć wypuszczenie nadmiernej ilości biletów zdawkowych, co poddał krytyce

głównie Zdziechowski. Prof. Taylor stawia sprawę dużo szerzej. Dla niego druga inflacja polegała na tym, że wogóle mieliśmy znaków obiegowych już w ciągu 1924 r. i lat następnych stosunkowo za dużo.

Dla prof. Taylora inflację charakteryzuje to, że poziom cen podnosi się poza pewne normy i granice. Analizując, zmiany w ogólnej ilości znaków obiegowych i w kształtowaniu się poziomu cen w ciągu całego 1924 i 25 roku, dochodzi on do wniosku, że od października 1924 r. mamy do czynienia „z inflacją właściwą” (str. 126). Mieliśmy zdaniem autora już wówczas „za dużą ilość pieniądza w tym okresie”. Okres hyperinflacji rozpoczyna się, zdaniem autora, w listopadzie 1925 r., czyli już po moim odejściu od rządów. Ponieważ autor stwierdza, że inflacja złotego rozpoczęła się u nas w październiku 1924 r., kiedy właśnie miał miejsce znakomity stan skarbu z wielkimi przewyżkami dochodów budżetowych nad wydatkami i ze zmniejszeniem się ilości bilonu w obiegu, więc z tego wynika, że główną i pierwszą przyczyną drugiej inflacji, jak ją autor nazywa, była to błędna polityka Banku Polskiego, w czym wyrażam moją z prof. Taylorem jednomyślność. Następnie okazuje się w pracy prof. Taylora, że najzgubniejszą okazała się polityka walutowa już po moim odejściu, czemu również nie mam powodu zaprzeczać.

Praca prof. Taylora w kwestji waluty uznaje działanie tylko jednego czynnika: wysokości emisji znaków pieniężnych. Ale tę wysokość pojmuje prof. Taylor nie bezwzględnie, a pod kątem widzenia poziomu cen, który jest jego zdaniem wskaźnikiem wszystkich procesów gospodarczych, które grożą załamaniem się wszelkich czynników równowagi. Gdyby wobec wzrostu cen wywołanego nieurodzajem 1924 r., Bank Polski zmniejszał emisję bankową na jesieni 1924 r., zamiast ją powiększać, wówczas zdaniem prof. Taylora wzrost cen byłby zahamowany, a jednocześnie wzrost importu byłby również ograniczony. W wyniku zaś takiej przezornej polityki Banku Polskiego, gdyby ona miała miejsce, byłoby, że wydatki realne budżetu na 1925 r. byłyby jeszcze mniejsze, biletów zdawkowych nie potrzebaby było drukować ponad pewne niezbędne normy, a zapas walutowy Banku Polskiego nie byłby wcale uległ wyczerpaniu, czyli i złoty nie byłby wcale uległ spadkowi. W ten sposób teoria prof. Taylora, jakkolwiek wydaje się jednostronną, gdyż wychodzi z założenia jedynie inflacji, daje bardzo szerokie tło, które tłumaczy istotnie cały szereg zjawisk na pozór wielce skomplikowanych.

Teorii prof. Taylora nie przeczą poglądy dra Barańskiego i dra Młynarskiego, jakkolwiek zajmuje on wobec tych dwóch autorów stanowisko krytyczne. Zdaniem moim, poglądy tych dwóch autorów uzupełniają wywody prof. Taylora. Niesprzyjające warunki dla naszego eksportu i dla kredytu zagranicznego, na co zwrócił szczególną uwagę obok nieurodzaju dr. Młynarski, oraz nadmierna konsumpcja, na którą położył nacisk dr. Barański, były to fakty niewątpliwie wysoce doniosłe, a ujemne dla naszego bilansu handlowego. Według prof. Taylora fakty te same przez się nie wystarczały do wywołania spadku złotego. Gdyby Bank Polski już od jesieni 1924 roku zaczął zmniejszać emisję biletów zdawkowych, a gdyby w 1925 r. rząd nie był powiększał emisji biletów zdawkowych, załamanie podstaw złotego nie powinno było nastąpić. Istotnie to jest prawdą, ale niemniej należy uznać za prawdę, że gdybyśmy w ciągu 1925 roku otrzymywali wystarczający dopływ pożyczek zagranicznych, toby to zupełnie wystarczało na powstrzymanie spadku złotego. Gdyby teoria prof. Taylora zawierała w sobie całą prawdę, w takim razie nie dałoby się wytłumaczyć tego, dlaczego złoty nie spadł już na jesieni 1924 roku, z chwilą, gdyż już wtedy zdaniem prof. Taylora znaleźliśmy się w całej pełni w okresie inflacji.

Specjalną odmianą teorii kwantytatywnej, którą w nauce polskiej reprezentuje prof. Taylor, stanowi wyrosły na naszym przeważnie gruncie pogląd, że nie tyle wzrost znaków obiegowych, ale fakt, że deficyty budżetowe były pokrywane biletami zdawkowymi, był przyczyną wzrostu drożyzny, jaki w 1924 i 25 roku następował i jaki doprowadził do ujemnego bilansu handlowego i do spadku złotego. Według tej teorii bilety Banku Polskiego, jako mające podkład w czynnościach gospodarczych, nie mogły wywierać ujemnego wpływu, ale wpływ taki musiał być wynikiem tego, że bilety zdawkowe i bilon były wypuszczane w obieg w zastępstwie brakujących dochodów skarbowych, przez co stwarzały sztuczną zdolność nabywczą społeczeństwa.

Gdyby ta teoria miała być słuszną, wypadałoby zabronić wszystkim państwom wypuszczać bilon i bilety zdawkowe i postawić tezę, że i te znaki obiegowe muszą być przed-

miotem emisji bankowej. Tego nie było dotąd w żadnym kraju, wszędzie bilon i bilety służyły dla celów skarbowych i o ile było to czynione w granicach umiarkowanych, nigdzie nie prowadziło do ujemnych rezultatów.

Zwolennicy tej teorii krańcowo antybiletowej wskazują na fakt, że w 1924 roku według wykazów skarbowych było wypuszczonych w maju i czerwcu 93,1 milionów bilonu i biletów, a drożyzna zaczęła rósć właśnie w lipcu i następnych miesiący. Zamiast widzieć w tym wzroście drożyzny skutek nieurodzaju, widzą oni w tem skutek tego wypuszczenia przezemnie 100 milionów bilonu i biletów skarbowych w poprzednich miesiącach. Są oni typowymi wyznawcami zasady: „co w czasie następuje jedno po drugim, to jest tegoż przyczyną”. Zasada ta, jak wiadomo, nie jest żadną tezą naukową, jest tylko uproszczeniem pojmowania życia.

Błąd wskazanej teorii w operowaniu cyfrą bilonu i biletów z maja i czerwca 1924 r. polega na tem, że emisja ta wcale nie służyła dla pokrycia deficytu budżetowego, który w tych dwóch miesiącach wynosił zaledwie 3,2 miliony zł. i był pokryty zapasami kasowymi z poprzednich miesięcy. Emisja bilonu i biletów zdawkowych w maju i czerwcu 1924 roku, była wynikiem wprowadzenia złotego i wymiany marek na złote, którą to wymianę dokonywał Bank Polski i rząd jednocześnie. Gdy rząd wymieniał bilety markowe na bilety zdawkowe złote lub bilon, to nie tworzył on nowych znaków obiegowych, nie psuł obiegu, ale go poprawiał i uszlachetniał. Zmiana powodzi papierów markowych W większej części na banknoty, a w mniejszej części na bilon i bilety zdawkowe, co nastąpiło W maju i czerwcu 1924 roku, nie mogło być przyczyną wzrostu drożyzny, który rozwinął się latem 1924 roku i szedł następnie nieustannie coraz silniej naprzód. W trzecim kwartale 1924 roku istotnie były deficyty budżetowe, które były pokrywane bilonem i biletami, zgodnie z przewidywaniami budżetowymi; pokrycie to dosięgło 65,6 milionów zł. Ale w czwartym kwartale 1924 roku, przewyżki kasowe dochodów skarbowych ponad wydatki wyniosły 78,4 miliony zł. tak, że cały wypuszczony w poprzednim okresie bilon był wycofany z obiegu, gdyż ostatecznie od czasu zaprowadzenia reformy walutowej do końca roku, przewyżka dochodów nad wydatkami kasowymi, nie licząc bilonu i biletów wyniosły 9,6 milionów zł., co najwyraźniej wskazuje na to, że teoria o tem, jakoby przyczyną wzrostu drożyzny, ujemnego bilansu handlowego i spadku złotego miał być specjalnie bilon i bilety zdawkowe, nie wytrzymuje najmniejszej krytyki rzeczywistości.

Bilon i bilety zdawkowe okazały swoją szkodliwość dla stanu naszej waluty, ale dopiero znacznie później — latem 1925 roku, gdy zaczęły być wypuszczane w nadmiernej ilości. Wtedy już jednak drożyzna stała dawno na najwyższym szczeblu, a odpływ walut w Banku Polskim doszedł do zatrważających rozmiarów pod wpływem oczywiście innych czynników.

Chcąc sobie zdać sprawę z tego, dlaczego nastąpił spadek złotego, najbliżsi będziemy prawdy, gdy weźmiemy pod rozwagę wszystkie czynniki, które tutaj w grę wchodziły. Że wśród tych czynników przeważną rolę odgrywały i takie, które zupełnie od naszej woli nie były zależne, przyznaje to raport misji doradców finansowych Polski, który na str. 65, tomu III, wyraża się, że spadek kursu złotego „w wielkiej części powstał na skutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności ekonomicznych i politycznych, przeważnie wymykających się z pod kontroli Polski”. Ale jasnym jest niemniej, że nawet bardzo niesprzyjające okoliczności można było przewyciężyć, gdybyśmy odpowiednio do tego stanu rzeczy sami postępowali.

Na spadek złotego złożyły się wszystkie wymienione wyżej przyczyny: i niekorzystne tło ogólne, które zaistniało przy wprowadzeniu reformy, jako to złe konjunktury dla produkcji oraz nadmierna stopa zarówno konsumpcji jak i procentu od kapitału i szereg faktów niesprzyjających, a od nas niezależnych, jak wielki nieurodzaj, złe konjunktury dla naszego eksportu, złe konjunktury dla dopływu kapitałów zagranicznych, a obok tego i wojna celna z Niemcami i inne fakty; w ostatnim dopiero rządzie szereg błędów w polityce Banku Polskiego, Rządu i Sejmu.

Dopiero, gdy te wszystkie szeregi faktów przeanalizujemy i je posegregujemy, będziemy najbliżsi prawdy. Gdy z tych szeregów wyjmiemy elementy pojedyncze, będziemy stali zdala od prawdy, a na usługach doktryny lub tezy politycznej.

A z chwilą, gdy spadek złotego był wynikiem tak skomplikowanych przyczyn, to jasnym musi być przedewszystkiem to, że można było go uniknąć, ale, że nie było to rzeczą łatwą obronić się przed tą ewentualnością.

Wniosek zaś stąd płynie, że na dzisiejszy stan rzeczy nie należy patrzeć jako na dowód tego, że sami sobie jako naród i państwo o własnych siłach nie potrafimy i nie jesteśmy w stanie poradzić, lecz, że położenie nasze jest niezwykle trudne, a siły nasze jeszcze nie dość wyrobione, by od razu wszystkie przeciwności mogły być przez nas opanowane. Ze zmagania się naszego z temi przeciwnościami starajmy się wyciągać wnioski, któreby nas zbogaciły zdobytem doświadczeniem.

ROZDZIAŁ II

Uzgodnienie Sejmu i Rządu

Lata 1924 i 25 bogate dają nam tematy do rozważań na przyszłość i każdy inne z przeżytego doświadczenia może wysnuwać wnioski, zależnie od stanowiska wobec tego, co się wówczas działo, zajmowanego. Z przedstawionego przezemnie przebiegu wydarzeń, nasuwa się szereg wniosków ogólnych, ważnych dla całego dalszego rozwoju naszej państwowości.

Już w jednym z poprzednich rozdziałów wskazałem na program pracy państwowej, jakiemu sam hołdowałem, jaki wyznaję i który uważam za konieczny, by państwo nasze na należyty wzniesć poziom. Program ten do żadnego nie jest zastosowany stronnictwa. Z tego nie wypływa jednak, bym lekcewał znaczenie stronnictw i uważał, że rządy powinny być sprawowane w imię jedynie autorytetu z góry. Rządy powinien powoływać Prezydent Rzeczypospolitej i dobierać je tak, by mogły one rządzić z jaknajlepszym skutkiem dla państwa i narodu, ale właśnie z tego założenia wypływa, że rządy zawsze powinny się starać o uzgodnienie swego działania z parlamentem.

Jak doprowadzić do tego, by rządy mogły odpowiadać potrzebom kraju i być uzgodnione z parlamentem, to stanowi największe zagadnienie naszego bytu państwowego.

Co robić, gdy Sejm jest rozbity na partje, niezdolne do wytworzenia jednolitego poglądu na najważniejsze potrzeby społeczeństwa? Czy rząd, który będzie chciał dogodzić Sejmowi, będzie dobrze czynił? Czy właśnie nie wejdzie przez to sam na manowce? Widzieliśmy, że Sejm odrzucił punkty oszczędnościowe pełnomocnictw na drugie półrocze 1924 r., sam parł do dużego budżetu w 1925 roku i istotnie ten budżet powiększył, że sprzeciwiał się koniecznym restrykcjom paszportowym, że stosował sabotaż najpilniejszych ustaw, jak planu naprawy skarbu w 1923 r., a ustaw sanacyjnych na jesieni 1925 r., że powiększał ilość świąt w czasie, gdy o zwiększenie dni pracy należało się głównie troszczyć. Sejm wprowadzał lekkomyślne uzupełnienia do ustaw rządowych, jak progresję do podatku gruntowego, podniesienie kontyngentu podatku majątkowego i jego rozkład w połowie na rolników, natomiast nowelizacją podatku majątkowego zająć się nie chciał.

Widzieliśmy, że Sejm, popełniając błędy, nie miał zupełnie świadomości tego, nie miał za nie poczucia odpowiedzialności.

Czyż można jednak z tego wyprowadzać wnioski, że Sejm zasadniczo był ujemnym czynnikiem rozwoju naszej młodej państwowości. Taki wniosek byłby przedwczesnym. Sejm powinien jednak być innym niż dotychczas. Powinien stać na wyższym poziomie pojmowania państwowości, mieć wielkie poczucie odpowiedzialności, powinien być zdolnym do osiągnięcia wyższego autorytetu w wyrażeniu opinii publicznej.

Autorytetu sztucznie się nie stworzy. Upominanie się o autorytet zwykle dowodzi, że go się nie posiada. Trzeba, by autorytet wypłynął z wartości moralnych i intelektualnych, wtedy tylko jest on trwałym i poważnym.

Na co potrzebny jest Sejmowi autorytet. Na to właśnie, by mógł wywierać siłą swego autorytetu wpływ na rząd, a nie potrzebował używać do tego środków demagogicznych, wprowadzających rozstrój w życiu państwowym, jak podkopywanie stanowiska poszczególnych ministrów przez zohydzenie ich w opinii publicznej, jak wybieranie komisji śledczych i insynuowanie różnych nieprawidłowości, jak prowadzenie naganki na cały aparat urzędniczy i wykonawczy, jak stosowanie sabotażu i unikania wyraźnych formuł głosowania, ustalających odpowiedzialność. Sejm błędnie pojmował swoje zadanie, upatrując

je w zmuszaniu rządu do uległości wobec Sejmu. Tu nie o uległość chodzi, a o liczenie się z poważnym zasłużonym autorytetem, jaki Sejm w Polsce powinien sobie wyrobić.

Dobro Polski wymaga, ażeby przyszedł Sejm mógł zasłużyć sobie na wyższy autorytet, niż obecny.

Nie stanie się to nigdy, o ile jedynym postulatem rządu w stosunku do Sejmu miałyby być uległość władzy prawodawczej wobec wykonawczej.

Taki postulat nie da się na dłuższą metę utrzymać. Również nie zdobędzie przyszedł Sejm należnego autorytetu, o ileby wybierany był pod presją z góry w imię tego jedynie, by następny Sejm okazał się bardziej dla danego rządu łatwy i powolny.

Często stawiano mi zarzut, że lekceważę Sejm i go poniżam. Zarzut ten słyszałem głównie w 1925 r. Ale zdaje się było by rażąco przesadą nazywać moje postępowanie z Sejmem poniżaniem go, po tem, jak został on następnie w pół roku po moim odejściu potraktowany. Z mej strony poniżania Sejmu nie było. Nie chodziłem wprawdzie zbyt często na posiedzenia, ale, zdaniem mojem, Sejm powinien być na tyle szanować rząd i cenić jego pracę, by pozwolić ministrom istotnie twórczo dla Państwa pracować i ich od pracy nie odrywać dla satysfakcji utarczek słownych z nimi, Sejm nie umiał zachować miary w swoich żądaniach od rządu i to się na nim zemściło.

Ja się nadmiernym wymaganiom Sejmu poddać nie chciałem i nic więcej. Ale Sejm już z tego był niezadowolony. Po tem co się stało w 1926 r. zapewne następne Sejmy będą miały więcej poczucia miary w żądaniach przedstawicielom rządu stawianych.

Nie można omawiać zagadnienia stosunku rządu do Sejmu, nie dotykając stosunku rządu do stronnictw sejmowych. Sejm właściwie jest to zbiór stronnictw sejmowych. Sejm jest wytworem wyborców, a więc całej ludności, stronnictwa są też tym wytworem, ale jednocześnie są one aparatem, który wybory przeprowadza.

Stronnictwa sejmowe u nas, tak jak w wielu innych krajach, mają niektóre fatalne właściwości dla życia państwowego, a najważniejszą z nich jest to kierowanie się własnym interesem partyjnym więcej, niż ogólnym państwowym.

Co to jest własny interes partyjny? Jest to wzgląd na to, jak dane wystąpienie stronnictwa odbije się wśród wyborców, czyli wśród pewnej części społeczeństwa. Dla czego interes partyjny, nie daje się bardzo często identyfikować z interesem państwowym? Bo oddzielne części składowe społeczeństwa nie umieją się wzniesć do poziomu należytego rozumienia interesu państwowego i często właśnie źle by się odnosiły do swoich wybrańców, gdyby ci, w imię interesu państwowego postępując, narażali się pojęciom i namiętnościom, panującym w danych ośrodkach życia społecznego.

Opinia publiczna w stosunku do obecnego Sejmu wini przedewszystkiem obecne stronnictwa. Doświadczenie, które przeżyłem wskazuje mnie, iż należyte ustosunkowanie rządu do stronnictw jest rzeczą bardzo trudną.

Istotnie nie było prawie takiego stronnictwa w Sejmie, które by w stosunku do mnie nie było w opozycji. Stale w opozycji znajdowały się mniejszości narodowe, przyczem opozycja mniejszości słowiańskich oraz komunistów była zawsze bezwzględna. Ze stronnictw lewicowych w połowie 1924 r. w opozycji były stronnictwa robotnicze, a w 1925 r. te stronnictwa stanęły po mojej stronie, wtedy zaś przeszły do opozycji stronnictwa lewicowe włościańskie. Ze stronnictw prawicowych w opozycji na jesieni 1924 r. był Związek ludowo narodowy, który stanął po mojej stronie w 1925 r., chrześcijańskie narodowe stronnictwo było w opozycji od jesieni 1924 r. do jesieni 1925 r., ale ostatniego miesiąca opozycji zaprzestało. Chrześcijańska demokracja stała najdłużej po stronie rządu i jako całość nigdy się przeciwko mnie nie wypowiedziała, ale na jesieni 1925 jeden jej odłam, mianowicie Korfantego, najmocniej zwalczał rząd. Stronnictwo Piasta nigdy rządu nie popierało, głosowało długo za rządem, zawsze zaznaczając, że robi to bez przekonania, aż przeszło na jesieni 1925 do jawnej i ostrej opozycji.

W ten sposób po kolei miałem do znoszenia opozycję każdego prawie z klubów parlamentarnych. Z łona każdego klubu pod moim adresem, lub pod adresem moich współpracowników padały ostre słowa lub zarzuty. Najbardziej dotkliwym wystąpieniom poświęciłem osobne wzmianki w moich wspomnieniach historycznych. Ale sądzę, że znosić takie napaści parlamentarne jest to los i pewna konieczność życia parlamentarnego, której trzeba się umieć, do pewnej oczywiście granicy, poddawać.

Walk parlamentarnych się nie uniknie, skoro się uznaje konieczność istnienia parlamentu. Stronniczości w tych walkach też się nie usunie, skoro parlament jest to zbiór stronnictw. Ale idzie o to, by istotnie zapanowały pewne dobre zwyczaje, umożliwiające konieczną dla dobra państwa współpracę.

Każde stronnictwo jest przekonane, że, służąc swoim interesom, służy przez to najlepiej interesowi całego państwa. Ta wiara jest kardynalnem wyznaniem każdego stronnictwa.

Istotnie każde stronnictwo ma swoją zasługę ze stanowiska ogólnie państwowego.

Stronnictwo P. P. S. ma tę zasługę, że wśród robotników polskich wyrobiło prawdziwe umiłowanie ojczyzny, gotowość do poświęcenia dla jej dobra i odporność na mamidła komunizmu. Bez P. P. S. nie było do pomyślenia zachowanie się nadzwyczaj państwowe robotników warszawskich w czasie, gdy bolszewicy byli pod stolicą. Stronnictwo N. P. R. ma wielkie zasługi w tem, że robotników polskich uświadomiło o tem, że ich interesy narodowe wymagają zajmowania odrębnego stanowiska od innych robotników innej narodowości. W zaborze pruskim i w Łodzi miało to decydujące znaczenie dla nadania masom robotniczym charakteru czynnika państwowo twórczego.

Zasługą Wyzwolenia jest, że umiało ono zespolić radykalne żywioły inteligencji patryjotycznej z masą chłopską, w której pierwiastki patryjotyczne były bardzo słabe, albo nawet negatywne odnośnie do Państwa Polskiego, jako takiego. Zasługą Piasta jest, że wymaga ono od włościan jako masy podporządkowania się umiarkowanemu sposobowi patrzenia na zasadnicze rzeczy państwowe i przez to chroni te masy od niebezpiecznych antypaństwowych odruchów.

Zasługą Chrześcijańskiej demokracji jest odsunięcie części mas robotniczych od holdowania doktrynom społecznym, niebezpiecznym dla współczesnego ustroju państwowego; zasługą Związku Ludowo Narodowego jest umiarkowanie w traktowaniu interesów społecznych różnych klas i unikanie, by jedne dominowały nad drugimi, oraz wysunięcie ponad interesy klasowe interesów ogólnie narodowych; zasługą chrześcijańsko narodowego stronnictwa jest wysuwanie spraw gospodarczych ponad inne, ze względu na interes państwa.

A więc każde stronnictwo ma swoje zasługi. Czemuż zatem nie przejmą się one wzajemnym dla siebie uznaniem i nie stworzą wspólnego frontu, dążąc razem do tego, by zrobić Polskę wielką i silną.

Bo obok tych zasług, każde stronnictwo ma swoje nabyte właściwości, które każą im przeciwstawiać się jedno drugiemu.

Tak zatem chrześcijańskie narodowe stronnictwo jest zbyt zabarwione czynnikiem służenia przede wszystkim interesom ziemiaństwa, a więc jednej tylko klasy, by hasło jego, „program gospodarczy ponad wszystko”, mógł się stać istotnie programem ogólnie państwowym. Związek Ludowo Narodowy, występując w imię interesu ogólnie narodowego stoi często w kolizji z innymi stronnictwami, które nie negując tego interesu, reprezentują interesy poszczególne.

Chrześcijańska demokracja ma w swem łonie czynniki niesharmonizowane, często rozbieżne, jest wytworem młodym, a zadania jej są szczególnie trudne, gdyż działać musi w środowisku mocno już przez inne stronnictwa urobione.

Stronnictwo Piasta, głosząc umiarkowanie w sprawach zasadniczych, jest nieumiarkowanym w wymaganiach natury partyjnej oraz konkretnych zadaniach przy pojmowaniu rządzenia państwem i staje się przez to symbolem egoizmu klasowego i partyjnego. Wyzwolenie zniża się zanadto do poziomu mas, którym przewodzi i przejmuje się czynnikami negacji w sposób, który tym masom nic pozytywnego dać nie może.

Narodowe Stronnictwo Robotnicze nie znajdowało często właściwego dla siebie stanowiska wśród innych rozbieżnych kierunków robotniczych, nie może przez to osiągnąć jednolitego i wyraźnego oblicza.

Polska Partja Socjalistyczna, służąc dwóm idejom, po pierwsze doktrynie socjalnej, po drugie idei Polski, wyzwolonej z obcej przemocy za pomocą wysiłków rewolucyjnych mas ludowych, nie może często znaleźć właściwej drogi, by nie narazić się doktrynie lub nie ostudzić zapału tych mas z chwilą, gdy idea Polski współczesnej nie wymaga już żadnych nowych wysiłków masowo rewolucyjnych, a tylko wprost odwrotnych właściwości ducha.

W ten sposób na każdym stronnictwie ciążyą takie właściwości, że nie sposób jest wszystkim im połączyć się tak, by dać całemu społeczeństwu wyraz wielkości ducha.

Koalicja wszystkich stronnictw polskich nie jest w stanie dziś okazać wielkiego napięcia sił i woli, bo siły dzisiejsze mają tendencję do tego, by się wzajemnie paraliżować.

A więc Centrolewy czy centroprawy lub kombinacje czysto centrowe możeby dały lepsze rezultaty? Ostatnia kombinacja wymagałaby, ażeby Centrum było silniejsze od skrzydeł, a przede wszystkim by było jednolitem i szarmonizowanym. Do Centrum należy zaliczyć Piastą i Chrześcijańską Demokrację. Ideałem Korfańskiego w 1925 r. było zbliżyć te dwa stronnictwa. Ale natura ich jest bardzo różnorodna. A najważniejsze, że obydwa razem są za słabe, by rządzić państwem.

Kombinacje Centroprawu czy Centrolewu mają te ujemne właściwości, że byłyby niczem innym jak rządem lewicy lub prawicy. A ustrój nasz społeczny i polityczny ogromnie utrudnia możliwość realizowania takiego jednostronnego układu sił politycznych.

W razie dojścia do władzy prawicy, lewica w Polsce uważa to za straszne poniżenie samej idei Polskiej. Wszak Polskę wywalczyły żywioły lewicowe. W ich mniemaniu prawica może rządzić w Anglii, w Niemczech, we Francji, byle nie w Polsce. Rządy prawicy w Polsce nie będą zwalczane tak jak gdzieindziej, to jest w imię tego, coby one robiły. Rządy prawicowe mogą nic złego nie robić, ale sam fakt, żeby mogły zaistnieć, już byłby wystarczającym, by je zwalczano i to namiętnie — w imię idei.

Rządy znów lewicowe w Polsce zawsze będą zwalczane bardzo namiętnie przez prawicę, gdyż będą posądzane, że prowadzą do bolszewizmu.

Obawa ta w Polsce jest większa niż w innych krajach, a każdy rząd lewicowy dziś w Europie ma trudne bardzo zadanie, by swoim postępowaniem nie umożliwiał rozrostu propagandy bolszewickiej.

Mamy więc w Polsce trudności dla rządów parlamentarnych podwójne, gdyż prócz tych, które istnieją w innych krajach, jeszcze i inne — zupełnie swoiste.

Z tych trudności wynikają dotychczasowe nasze bolączki oraz tak liczne, a niekiedy ostre kryzysy polityczne.

W dodatku to, co w innych krajach często miewa miejsce, gdy rządy parlamentarne dochodzą do skutku nie mogą, mianowicie gabinet urzędniczy, to u nas nie rokuje też dobrych wyników. Urzędnicy w Polsce są zupełnie inaczej traktowani, niż gdzieindziej. Urzędnik jest traktowany z podejrzaniem i bez należytego szacunku i uznania. Ma to swoje przyczyny. Przedewszystkiem w czasie zaborów nauczyliśmy się wprost nienawidzić urzędników jako uosobienie naszej niewoli. A po powstaniu państwa wszystkie partje sejmowe też prowadziły ciągłą walkę z biurokracją polską. Nienawiść do urzędników obcych została przeniesiona na urzędników polskich. Można powiedzieć, że została nawet spotęgowana. Jest to jedna z bolączek naszych. Sejm przyczynił się, by tę bolączkę wyhodować. W ciągu 1923 i 24 r. wniesiono do Sejmu 2.136 interpelacyj poselskich przeważnie z powodu działalności władz na miejscu. Z tego na kluby nie polskie i komunistów przypada 918, na polskie 1.218 interpelacyj.

Powstanie w Polsce gabinetu urzędniczego jest niemożliwością. Nie miałby on autorytetu. Byłby zgóry podejrzewany o najgorsze rzeczy. Gdy tworzyłem w końcu 1923 roku gabinet pozaparlamentarny bezpartyjny, nie był on urzędniczym.

Jeżeli dobrze rozważymy wszystkie trudności powoływania rządów parlamentarnych ogólnie koalicyjnych, lewicowych, prawicowych i centrowych oraz urzędniczych, jeżeli rozważymy, że stosunek rządu do Sejmu i odwrotnie wciąż się układa nienormalnie i szkodliwie, to musimy się zgodzić na to, że dobro Polski wymaga poważnych zmian w naszym ustroju politycznym.

Zmiany te wielu widzi w monarchizmie. Uważam to za myśl ludzi, chyba doprowadzonych do rozpacz. Monarchizm grozi Polsce tyloma niewiadomymi, że dyktować go może tylko zupełna rezygnacja z możliwości dochodzenia do skutku zapomocą racjonalnego rozumowania.

Ustrój nasz obecny demokratyczny i parlamentarny jest za świeży, by mówić o jego przeżyciu się. Wszystkie wady nasze i błędy — to błędy młodości. Na to istnieje doświadczenie, by się uczyć i błędy naprawiać, a nie na to, by skakać w przepaść niewiadomych eksperymentów. Monarchizm, czy dyktatura — to eksperymenty na dnie przepaści dokonywane.

Trzeba trzymać się bardziej gruntu realnego. Nie wiele na nim próbowaliśmy istotnej naprawy. Wszak konstytucję wszystkie narody naprawiają, nie raz, a wiele razy, by ją do swoich potrzeb dostosować. A ordynacje wyborcze też nie są na to, by trwać bez naprawy.

Ażeby stosunek Rządu do Sejmu mógł być normalny, należy zmienić konstytucję w tym duchu, by ograniczyć odpowiedzialność rządu przed Sejmem do odpowiedzialności całego gabinetu, znosząc odpowiedzialność poszczególnych ministrów. Naganki na ministrów przy oszczędzaniu rządu, jako takiego, są zawsze zjawiskiem gorszącym. Doświadczyłem to sam. Gdy wrywano z mego gabinetu poszczególnych ministrów, uważałem to zawsze za bolesny ze stanowiska poczucia interesu państwowego objaw. Zmuszało to rząd do dobierania ministrów pod kątem widzenia nie pożytku samej sprawy, a kombinacji taktyki parlamentarnej.

Pierwszy zatem wniosek, który doświadczenie nasuwa, to konieczność zmiany konstytucji w tym duchu, by znieść odpowiedzialność poszczególnych ministrów, zachowując odpowiedzialność przed Sejmem całego rządu. Ale ta zmiana wielkiego wpływu na uzdrowienie naszego ustroju politycznego nie wywrze, bo zło leży w dotychczasowym charakterze naszych partyj sejmowych, co znów jest ściśle związane z obecną ordynacją wyborczą.

Czy po stwierdzeniu tego można przypuszczać, żeby się dało znaleźć sposób na naprawienie tego zła, jeżeli ono leży tak głęboko? Jest to rzeczą trudną, ale możliwą. Wady w usposobieniu mas wyborczych nie są to objawy bezwzględne i stałe. Wytworzyły się one i mogą przeto ulec zmianom. Idzie o to, by ustrój państwowy nie naginał się do tych wad i nie dawał im nadmiernego pola, a przeciwnie, by się z nimi liczył. Wąski, subiektywny, a więc i partyjny pogląd na rzeczy i brak poczucia odpowiedzialności, są to wady nie tylko stronnictw obecnego Sejmu, ale i całego społeczeństwa. W tych warunkach ordynacja wyborcza powinna być taka, by pola ona wadom tym nie dawała. Duże okręgi wyborcze, proporcjonalność posunięta za daleko, listy partyjne i duża ilość mandatów wogóle, są to znamiona ordynacji wyborczej takiej, która wady samego usposobienia politycznego tylko spotęgowała, zamiast je łagodzić. Zmiana ordynacji wyborczej jest przeto rzeczą konieczną. Prócz konieczności zmiany wyżej wskazanych wad ordynacji obecnej, istnieje najważniejsza sprawa, polegająca na tem, że ani ordynacja, ani ogólne prawodawstwo, nie liczą się wcale z tem, by na losy państwa nie mogły wywierać wpływu stronnictwa, stojące na gruncie negacji państwowości polskiej.

W ustroju demokratycznym rządzić winna większość, która za losy swego państwa odpowiadać pragnie i może. Wszelka inna konstellacja większościowa nie jest demokratyzmem. Z tem musi się liczyć nasz ustrój parlamentarny i nasze prawodawstwo. Mniejszości narodowe oczywiście muszą być w Sejmie reprezentowane, ale Sejm nie może służyć za przytulek dla działalności antypaństwowej.

Zmiany konstytucji, ordynacji wyborczej i prawodawstwa, tyżące się posłów, są to te konieczności, na które naprowadzać nas powinno doświadczenie. Jeżeli z niego nie korzystamy, źle na tem wyjdziemy. Bez zmiany ordynacji wyborczej przyszły Sejm nie zdobędzie autorytetu, jaki jest koniecznie potrzebny, by stosunek między rządem i Sejmem oparty był na zdrowych zasadach.

Sejm musi być wyrazicielem większości opinii publicznej, za losy państwa polskiego odpowiedzialnej. Jest to absolutnie koniecznym w tym celu, by w Polsce mogła istnieć i rozwijać się współczesna demokracja parlamentarna. Jeżeli ordynacja wyborcza i prawodawstwo o posłach temu postulatowi nie uczyni zadość, nie będziemy mieli ustroju demokratycznego, gdyż prowadzić to będzie do tego, że będą musiały rządzić Polską stale czynniki pozasejmowe. Rządy pozasejmowe powinny mieć charakter przejściowy, a nie stały. Celem politycznym rządu pozaparlamentarnego powinno być obecnie przygotowanie przyszłych rządów parlamentarnych w Polsce. Doszedłem do tego wniosku w 1925 roku i zrobiłem tego próbę, ustępując miejsca parlamentarzystom. Ale ta pierwsza próba nie dała dostatecznych rezultatów i nie da ich wszelka inna próba, o ile nie zostanie zmieniona ordynacja wyborcza. Dopiero po zmianie ordynacji wyborczej okaże się celem przeprowadzenie nowych wyborów, ale te mogą dać Sejm z autorytetem tylko wtedy, gdy zostaną przeprowadzone bez żadnej presji z góry i w atmosferze możliwie spokojnego nastroju opinii publicznej.

Ufności i wiary w to, że Polskę potrafimy utrzymać i podnieść wyżej, potrzebujemy wszyscy. W imię tego trzeba zespolić wysiłki wielu takich czynników, które dziś wydają się nam nie do pogodzenia i trzeba zdobyć się na postanowienie, że musi być inaczej, niż było dotychczas, by stało się lepiej.

ROZDZIAŁ III

Niedomagania rządu, wady urzędników i nadużycia

W każdym państwie stosunki wzajemne rządu i społeczeństwa pozostawiają wiele do życzenia. Zasadniczo prawie wszędzie istnieje niezadowolenie społeczeństwa ze swego rządu. Tam zaś, gdzie niezadowolenie jest silniejszym, tam również i rząd stara usprawiedliwić swoje ujemne właściwości stanem społeczeństwa. Jest to rzecz zupełnie zrozumiała, często się mówi: taki rząd, jakie i społeczeństwo.

Krytykowanie rządu jako takiego jest u nas szczególnie silnie rozwinięte. Każda dzielnica przytem stwarza sobie specjalnych kozłów ofiarnych. W Warszawie i wogóle w dawnej Kongresówce ogół jest przekonany, że dlatego jest tak źle, że na naczelne stanowiska w rządach dostali się biurokraci ze złej szkoły austriackiej, w Małopolsce znów odwrotnie sądzą, że całe zło wynikło z tego, że, zawładnęli sterem dyletanci z Królestwa, a wytrawne siły galicyjskie odsunięto na bok. W zaborze pruskim pogodżono ten spór w ten sposób, że wszystko złe przypisują zarówno urzędnikom z zaboru austriackiego jak i rosyjskiego.

Cały nasz aparat rządowy utworzony jest z kadrów naszej inteligencji, systematycznie odsuwanej od wszelkich poważniejszych funkcji przez rządy zaborcze.

Jedynie w zaborze austriackim polacy mogli nabywać wprawę w technice sprawowania rządów. Ale w Wiedniu polacy na urzędach mniejszą odgrywali rolę niż czesi i pole ich pracy nie było dostatecznie rozległe. Również i służba w autonomji krajowej galicyjskiej nie stanowiła właściwego przygotowania do obejmowania tak szerokich widnokręgów pracy, jak te, które się w Polsce otwierały.

W zaborze pruskim polacy zostali zupełnie i radykalnie z wszelkiej służby państwowej wyeliminowani. Zajmowali oni za to placówki gospodarcze, które sami wytworzyli i stworzyli typ inteligencji o solidnych zaletach. Dla pracy państwowej temu typowi bardzo wiele jednak brakowało.

W zaborze rosyjskim polacy zajmowali niższe stanowiska w służbie państwowej na ziemiach polskich, a różne średnie a czasem i wyższe na tejsze służbie w głębi Rosji. Dobrą szkołą ani tu, ani tam służba ta nie była. Dużo było inteligencji polskiej na stanowiskach społecznych i ekonomicznych na ziemiach polskich zaboru rosyjskiego. Ta inteligencja zaofiarowała swoje usługi państwu Polskiemu w dużej mierze. Poziom jej ideowy i ogólny umysłowy był wysoki, ale technika pracy urzędowej zupełnie niedostateczna.

Z tak słabo przygotowanego materiału musiał być stworzony wielki aparat służby państwowej o rozległych zadaniach powojennych, aparat któremu całe społeczeństwo stawiało bardzo daleko posunięte wymagania.

W jakiej mierze aparat ten sprostał zadaniom na nim leżącym.

W Polsce granice Państwa zostały dzięki temu aparatowi, rozumiejąc pod nim i wojsko, zdobyte i utrzymane, bezpieczeństwo wytworzone i ustalone, wymiar sprawiedliwości zapewniony. Jeżeli idzie przeto o kardynalne podstawy zadań państwowych, to aparat nasz państwowy spełnił całkowicie swoje zadanie. Nie jest to i nie było rzeczą prostą i łatwą. Złożyć się na to musiało wiele poświęceń i talentów organizacyjnych, wiele dodatnich właściwości charakteru i umysłu. Wszak we Włoszech w wiele lat po zjednoczeniu grasował bandytyzm w całej pełni i wymiar sprawiedliwości w wielu częściach kraju był fatalny. Ale nie zrobiliśmy na wielu polach wewnętrznej pracy naszej tyle postępów, jak tego po Polsce się spodziewaliśmy. Linji kolejowych, szos, budynków szkolnych przybyło nam bardzo mało, mamy dużo bezrobotnych, mamy duże podatki, dużo urzędników, zdarzają się jeszcze ogonki osób czekających w biurach na załatwienie. Publiczność traktowana jest w urzędach z góry i niedbale, mamy licytacje ruchomości za podatki skarbowe i miejskie, mamy brak mieszkań i zastój budowlany, mamy nieustanne tarcia między Sejmem i Rządem. Można tę litanję naszych bolączek mnożyć, a jednak przy głębokiem wejrzeniu w stan rzeczy, cała taka litanja naszych bolączek nie jest tego

rodzaju, by mogła usprawiedliwić to, co wiele osób wypowiada z lekkim sercem: „nie tego się po Polsce spodziewaliśmy”. A znajdują się i tacy, którzy dodają: „Polska rządzić sobą nie potrafi”.

Rządzimy sobą zaledwie osiem lat, a inne kraje całe wieki. Bezstronni obserwatorzy zdumieni są postępami jakie u nas widzą. My jedni nie chcemy widzieć, że te postępy na bardzo wielu polach są znaczne i nieustanne.

Pewien brak wyrozumiałości dla wszelkich niedomagań rządu jest właściwy wielu narodom. Ale u nas bodaj jest większy niż gdzie indziej. Objaśnia się to tem, że wyidealizowaliśmy sobie w czasach niewoli przyszłą Polskę Niepodległą.

To wyidealizowanie sobie przyszłej Polski miało podłoże przeważnie jednostronne. Mało było takich osób, które pragnęły Polski dla tego, by mózdz wiele pracować dla dobra publicznego i więcejłożyć własnych środków na użytek ogólny. Ogół rozumował i czuł zupełnie inaczej. W przyszłej Polsce powinno być łatwiej o dobrą posadę dla siebie i swych krewnych, przyszła Polska powinna być lepiej zarządzona, mieć dużo szkół, dróg, kolei budynków, ale bez większych wysiłków i ofiar społeczeństwa.

Zbyt pospolity i poziomy sposób pojmowania przyszłej Polski był tym gruntem, na którym wyrosło następnie rozczarowanie i niezadowolenie naszej inteligencji. — Inteligencja ta jednak znalazła w aparacie państwowym ogromną ostoję swojego bytu materialnego, zajęła bowiem wielką ilość posad. Wprawdzie są one słabo płatne, ale wiele osób, gdyby nie stanowisko w urzędzie państwowym, nie znalazło by zupełnie żadnego innego sposobu do życia. To, że do urzędów państwowych weszło wiele osób z inteligencji, które wojna wogóle i przewrót bolszewicki w szczególności zmusiły do szukania jedynego oparcia życiowego właśnie w zajmowaniu posad rządowych, ta okoliczność wcale nie sprzyjała specjalnemu wyrobieniu się i udoskonaleniu naszego aparatu administracyjnego. Ale dla wielu rodzin, dzięki temu aparatowi, Polska stała się jedynym ratunkiem i ma ona tytuły do wdzięczności z ich strony, rzadko jednak okazywanej.

Jeżeli idzie o stosunek ludu do Polski współczesnej, to przyczyny niezadowolenia są inne, niż wśród inteligencji. Ta część ludu, która miała świadome dążenie polityczne, wyobraziła sobie, że przyszła Polska — będzie to Polska ludowa, w której znajdzie rzeczywistnienie wszechwładztwo ludu. Ideał ten został rozpowszechniony na cały nasz lud w epoce tworzenia się naszego Państwa. Gdy przeto się okazało, że w Polsce są urzędnicy i policja, podobni do tych jacy byli przedtem, stworzyło to stan nieustannego narzekania na nasze organy wykonawcze. Wśród interpelacyj sejmowych ogromna większość odnosi się do zachowania się policji i niższych urzędów. W porównaniu z urzędnikami przedwojennymi nasi funkcjonariusze postępują bez porównania poprawniej, ale mimo to są nie lubiani za to, że wogóle wymagają posłuszeństwa i stosowania się do ustaw i przepisów. Słyszałem z ust ludu, że lepszy był policjant i urzędnik rosyjski od naszego, bo był bardziej przystępny. Tego, że ustroje demokratyczne wymagają większej dokładności w wykonywaniu ustaw i rozporządzeń od despotycznych monarchji, tego prowodyrzy naszego ludu nigdy sami świadomi nie byli, a więc i ludowi wytłómaczyć nie umieli.

Widząc tak liczne narzekania szerokich sfer ludu i inteligencji na naszą biurokrację, należy przyznać, że obok wad i usterek, płynących z młodości i niewyrobieńca całego naszego aparatu rządowego, istnieją zapewne również i takie wady naszej biurokracji, które widocznie wypływają z naszego charakteru narodowego. W sposobie sprawowania rządu okazują się różne właściwości tego charakteru. Francuzi n. p. na urzędach słyng ze swej bezwzględności w przestrzeganiu przepisów prawa, są wymagający od innych, ale również są sumienni w pełnieniu swoich obowiązków. Na naszych urzędników narzekają powszechnie, że są formalistami i że przytem lekceważąco odnoszą się do osób, które zmuszone są udawać się do urzędów. Jest to zdaje się nie tyle wynik niewyrobieńca, co ujemna właściwość charakteru, którą powinno się dopiero odpowiednio przerobić. Właściwość ta polega na lekceważeniu bliźniego wogóle. Znanem to jest, że wielu polaków kocha Polskę, ale wcale nie kocha polaków. Ci, którzy kochają Polskę, często stronią od polaków. Przy takiej psychice narodowej trudno spodziewać się, by nasz urzędnik odznaczał się uprzejmością dla interesantów.

Gorsze przytem jeszcze słyng się wyrzekania na naszych urzędników, zarzuca się im bowiem, że są sprzedajni.

Że wśród całego społeczeństwa są jednostki sprzedajne, to wiadomo. Czy wśród urzędników państwowych jest ich więcej niż wśród prywatnych, trudno to osądzić. Na niższych stanowiskach zawsze i w dawnej Polsce i w czasach Królestwa Kongresowego i w autonomii krajowej galicyjskiej i w starostwach tamtejszych, obsadzonymi polakami, i na niższych urzędach w zaborze rosyjskim, na których polacy się utrzymywali, wszędzie potworzyły się gniazda łapownictwa. Gniazda te po wojnie ożyły i rozpleniły się.

Przed wojną powszechną była opinia, że łapownictwo to właściwość *par excellence* rosyjska i twierdzono, że rosjanie nas Polaków demoralizowali. Niektórzy dodawali, że była to właściwość rosyjska i austriacka w jednakowej mierze. Co do urzędników w Prusach, opinia była lepsza, ale podczas okupacji niemieckiej przekonano się powszechnie, że funkcjonariusze niemieccy również nie gardzą łapówkami. Po powstaniu Państwa Polskiego okazało się, że łapówka wyrobiła sobie swoje tereny ekspansji na naszym własnym gruncie.

Czy jednak ta plaga, tak dawno znana i tak powszechna, jest u nas bardziej dzisiaj rozpowszechnioną, niż w innych krajach lub niż miało to u nas miejsce w czasach przedwojennych, o tem trudno wydać sąd obiektywny, bo danych bliższych do skonstatowania rozmiarów zła nie mamy.

Łapówka, a przekupstwo to dwie zupełnie inne rzeczy. Pierwsze jest chorobą przewlekłą i szeroko rozlaną, głównie u dołu, drugie jest ostrem przesileniem u góry. Jedno i drugie, gdy dochodzi do wysokich rozmiarów jest dla organizmu państwowego wysoce niebezpieczne, a może być zabójczem.

Odnoszenie się opinii publicznej do łapownictwa jest pełne zbyt daleko idącej wyrozumiałości.

Gdy władze chcą wszczynać dochodzenia z powodu łapówek, publiczność się wypiera, by je komukolwiek dawała. Do władz dochodzą anonimy, skarżące się na łapownictwo, a nigdy skargi z podpisami. Łapówka rzecz można jest pod ochroną publiczności. Publiczność postępuje w ten sposób na własną szkodę i na szkodę państwa. W tych warunkach dziwić się należy, że jest wiele urzędów, które łapówek nie biorą.

Gorszem znacznie od łapownictwa jest przekupstwo. Sięgają do przekupstwa nie przeciętni obywatele kraju, ale malwersanci, spekulanci, chcący postąpić wbrew prawu na własną korzyść. Ten kto bierze łapówkę, jest to człowiek bez ambicji i zasadniczo zły urzędnik. Kto daje się przekupywać jest człowiekiem przedajnym i zdrajcą interesu państwowego. Łapówka panuje u dołu, przekupstwo sięga do górnych sfer organizmu państwowego, jest przeto objawem bardziej groźnym.

W dawnych polskich czasach mieliśmy do czynienia z najgorszym przekupstwem, jaki można sobie wyobrazić: z przekupstwem posłów sejmowych polskich. Było to objawem upadku moralnego szlachty i magnaterji, na których też zawisł potępiający wyrok historii. W Polsce obecnej jest rzeczą konieczną, by przekupstwa nie było. Dla tego też czyszczenie Sejmu z elementów przekupnych, jakie się w 1927 r. zaczęło, ma szczególnie doniosłe znaczenie. Przekupstwo posłów, które zostało sądownie dochodzone, na szczęście nie dotyczyło posłów polaków.

Dotychczas dowodów zagnieżdżenia się przekupstwa wśród wyższych stanowisk państwowych nie mamy. Zostało odkrytych kilka sporadycznych wypadków. Ale opinia publiczna jest mocno zaniepokojona i podejrzewa, że zapewne istnieją całe gniazda przekupstwa, które tylko trudno jest wykryć. W tem podejrzaniu zapewne jest dużo przesady, ale nie jest rzeczą wyłączoną, że niektóre takie gniazda się potworzyły. Wykrycie ich jest szczególnie trudne. Jest to bardzo ważne zagadnienie państwowe, jak do tego dojść. Wiadomo, że to się nie da zrobić nigdy, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Do przesadnych jednak sądów, podejrzujących cały nasz aparat rządowy o przekupstwo, nie ma żadnych podstaw. Jesteśmy niewyrobieni, mamy złe narowy odziedziczone po naszej przeszłości i po naszych zaborcach, żyjemy w czasach powojennych, które wiele charakterów wypaczyły, wynagradzamy bardzo słabo najbardziej odpowiedzialne stanowiska, więc nie możemy się spodziewać, by cały nasz aparat rządzący bez wyjątku mógł stać na wysokim poziomie moralnym. Jednak w tym aparacie było zawsze i jest dużo jednostek, oddanych idejowo pełnieniu swoich obowiązków z pełnem poświęceniem się służbie dla dobra Polski. Jednostek o wysokim poziomie moralnym na urzędach naszych sądzę, że jest nie mniej, a pręcej więcej, niż w innych krajach, gdyż ideał oddania swych sił na usługi Ojczyzny był w Polsce zawsze szczególnie silny i przeciw z jej

wskreszeniem nie zamart. Jeżeli przeto na każdego odpowiedzialnego urzędnika patrzy się z góry z podejrzeniem, czy działa on zgodnie z sumieniem, czy nie, to jest ta atmosfera niesprawiedliwa i krzywdząca.

Mamy już cały szereg procesów, w których w pierwszej lub w drugiej instancji zapadły wyroki uniewinniające tych urzędników państwowych, których podejrzewano o malwersacje. Mamy też wyroki skazujące. Wśród uniewinnionych mogą być winni, którzy się umieli obronić, ale mogą być istotnie niewinni. Udowodnienie winy jest oczyszczeniem atmosfery, rzucanie podejrzeń, bez udowodnienia, jest krzywdzącem nie tylko pojedynczych ludzi, ale i własne państwo i społeczeństwo.

Inny zarzut stawiany naszym urzędnikom jest ten, że ich jest za dużo i że objadają oni w ten sposób nasze społeczeństwo, które musi się na ich utrzymywanie rujnować. Zarzut ten jest szczególnie rozpowszechniony i popularny. Gdy w czasie mego urzędowania podawałem ściśle cyfry urzędników z trybuny sejmowej, widziałem wyraźnie niezadowolone, że podają cyfry zbyt niskie. Ogół bowiem jest przeświadczony że mamy wielki nadmiar urzędników.

Cyfry wszystkich osób pobierających jakiegokolwiek uposażenia ze skarbu państwa zostały wydrukowane w Roczniku Ministerstwa Skarbu za 1924 rok. Z danych tych wynika, że nie licząc nauczycieli, kolejarzy, pocztowców, oficerów i innych kategorii osób, których do urzędników zaliczać nie można, liczba właściwych urzędników wynosi bez woźnych i gońców zaledwie 45.289 we wszystkich ministerjach, województwach, starostwach i urzędach państwowych razem wziętych. Gdy po ustąpieniu mojem ogłosiłem artykuł szczegółowo wykazujący, jaka jest liczebność poszczególnych grup utrzymujących uposażenie skarbowe, spotkały mnie ostre zarzuty w niektórych organach prasy za to, że podaję krytycznej analizie ogólnie ustalony przesadny sąd o nadmiarze urzędników państwowych.

W opinii publicznej ustaliło się pojęcie, że budżety są za wielkie i podatki są za ciężkie, bo musimy utrzymać zbyt wielu urzędników państwowych. Ci, którzy ślepo wyznają tę teorię, irytuja się, gdy im wykazać, że urzędników jest tylko 45.289, gdyż sądzą oni, że ich jest przynajmniej milion. Ten milion osób utrzymywanych przez państwo to fikcja i złośliwy wymysł, który się wciąż kołata w różnych bezkrytycznych organach prasy.

Prócz urzędników państwowych mamy na utrzymaniu skarbu państwa: sędziów, nauczycieli szkół powszechnych i innych szkół państwowych, urzędników pocztowych i kolejowych, oficerów i wojskowych zawodowych, policję oraz straż graniczną i celną. Liczbę rekrutów, odbywających służbę wojskową, nie liczę zupełnie, gdyż ich utrzymanie stanowi zupełnie osobną kategorię wydatków.

Wszystkie wymienione kategorie razem wzięte wynoszą 382.377 osób. Jest ich zatem znacznie więcej, niż urzędników państwowych. Jeżeli mamy duży budżet, to nie dla tego, że utrzymujemy zbyt dużo urzędników państwowych lecz, że utrzymujemy kosztem skarbu bez udziału samorządu samych nauczycieli 170.843, oraz oficerów, wojskowych zawodowych, policji, straży celnej i granicznej 110.098 osób. Oświata, wojsko, policja i ochrona granic razem powodują utrzymanie przez skarb 281.041 osób, a więc 6 razy tyle, co wynoszą wszyscy urzędnicy państwowi. Z tego widzimy, jak niesprawiedliwym jest zarzut, że przyczyną ciężaru podatków i wysokości budżetu jest to, że mamy za dużo urzędników.

Z pośród 45.289 urzędników jakie mieliśmy w 1924 roku stopniowo zostało jeszcze kilka tysięcy zredukowanych, tak że zostało ich w 1926 roku tylko 42.412. Czy dalsze poważniejsze redukcje są jeszcze możliwe bez straty dla dobrego funkcjonowania aparatu rządowego, to już trudnem jest do określenia. Dotychczasowe redukcje, choć były dość liczne, dawały wynik finansowy bardzo słaby dla budżetu i nie stanowiły żadnej ulgi dla podatników. Naganka prowadzona często pod kątem widzenia, że nadmiar urzędników jest ciężarem zbyt wielkim dla ludności, jest pozbawiona przedewszystkiem prawdy, a powtóre i sumienia. Ci, którzy ją prowadzą, schlebiają utartemu przesądowi ludności, że pod rosyjskim czy austriackim panowaniem było lepiej, bo było mniej urzędników. Było mniej nauczycieli i mniej policji, ale nie znaczy to, by było lepiej. Jeżeli jest dziś trochę więcej osób niż dawniej w urzędach powiatowych, to przecież o wiele większe dziś niż dawniej stawiane są tym urzędom wymagania.

W ostatnich czasach, już po mojem odejściu, rozpowszechnił się zwyczaj, by urzędników pensjonować, nie z powodu istotnie ich zbyt podeszłego wieku, ale z tego powodu, by mianować na ich miejsce innych. System ten powoduje wzrost liczby osób, otrzymujących wynagrodzenie emerytalne, które przysługuje już po 10 latach służby w dość poważnej proporcji do uposażenia normalnego. W interesach skarbu leży wprost odwrotnie, by możliwie zatrzymać na służbie nawet tych, którzy pełną emeryturę wysłużyli. Nieliczne wyjątki od tej reguły są dopuszczalne, ale na ogół dążyć winniśmy, by nie powiększać liczby emerytów, która w 1924 r. doszła do 60.514 osób cywilnych i wojskowych. Jeszcze większą od tej kategorii jest liczba inwalidów wojennych, wynosząca 197.991 osób. Liczba ta corocznie powinna maleć i ciężar, z tego wypływający, również powinien się zmniejszać.

Przez jakiś czas wielką wagę przywiązywano do tego, by zmniejszać w Polsce liczbę ministerstw. Dziś opinja co do ważności tego uległa wyraźnemu rozluźnieniu. Istotnych i poważnych oszczędności redukcja liczby ministerstw nie przynosi. — Niemniej uważam je za wskazane z racji tej, by gabinet składał się z możliwie mniejszej liczby osób, zdolnych do ponoszenia pełnej za wyniki rządzenia odpowiedzialności. Względy oszczędnościowe przytem też nie są do pogardzenia.

Zagadnienie niedomagań naszego aparatu rządowego, czyli naszej biurokracji, jest sprawą wielkiej wagi. Nasi urzędnicy wymagają nie tylko technicznego wyrobienia i udoskonalenia ich metod pracy, ale i podniesienia ich ducha i usposobienia. Atmosfera naganek i skarg nie wiele tu pomoże. Ale atmosfera spokojnej a systematycznej pracy rządowej, owianej duchem społeczno obywatelskim i bezpartyjnym, może rozproszyć obecne niechęci i dać duże dodatnie wyniki.

Czy urzędnik ma być partyjnym, czy bezpartyjnym? Społeczeństwo pragnęło by, ażeby urzędnicy byli bezpartyjni. Poważniejsi urzędnicy mają te same pragnienia i skłonności. Ale stronnictwa chcą mieć w urzędnikach swoich zwolenników i zabiegają o to, a swoich ludzi pchają na urzędy i później popierają ich oraz bronią w razie potrzeby. Na tem tle bywają gorszące objawy. Na ogół jednak urzędnik, mający poparcie partji nawet takiej, która nie jest przy władzy, mniej się boi różnych szykan i przykrości niż taki, który do żadnej partji nie należy. Z pierwszym bardziej się liczą, bo ma kto się za nim ująć, drugiego lekceważą. A dla sprawy awansu należenie do partji rządzącej ma pierwszorzędnę znaczenie. Szczególnie to się w ostatnich czasach uwidoczniło. Przy rugach urzędniczych, mniej są narażeni urzędnicy, należący do partji zwalczanych, co bezpartyjni.

Ten stan rzeczy jest fatalny. A w dodatku sami urzędnicy jako całość nie zdają sobie sprawy, że powinni sobie wywalczyć prawo do bezpartyjności. Jest to konieczne dla podniesienia powagi państwa wśród szerokiego ogółu społeczeństwa.

Dawniej w Stanach Zjednoczonych urzędnicy zmieniali się razem ze stronnictwami rządzącymi. Dziś tego tam nie ma. We Francji urzędnicy wcale się przy zmianie urzędów nie zmieniają. Prawdziwa demokracja nie powinna znosić, by urzędnik państwowy był pionkiem w rękę stronnictw. Musi on być funkcjonarjuszem państwowym zasadniczo bezpartyjnym. Należenie jego do stronnictw, musi być jego zagadnieniem czysto wewnętrznym jako obywatela kraju, a nie rekomendacją lub przeszkodą w jego karierze. Pod tym względem brak u nas wyrobienia konkretnego poczucia godności urzędowania. Musi to jednak z czasem nastąpić.

ROZDZIAŁ IV

Niedomagania społeczeństwa i jego rekryminacje. Sprawa pożyczek państwowych i akcji Banku Polskiego

Wady i ułomności naszych urzędników państwowych, cywilnych czy wojskowych, płyną, głównie, jak wskazałem, z naszego niewyrobia, a częściowo z właściwości ogólnych charakteru naszego społeczeństwa. Na te właściwości wywierały wpływ ujemny stosunki naszej poprzedniej niewoli. Wady naszego charakteru, jako społeczeństwa, ujawniają się nietylko, gdy idzie o stosunek sług państwowych do społeczeństwa, ale również gdy wejrzymy w stosunek społeczeństwa do państwa i rządu.

O tem, że szerokie sfery warstw posiadających pozbawione są u nas podstaw tej etyki, która stanowi siłę współczesnych demokracji i nie zdradza skrupułów w wypełnianiu zobowiązań wobec skarbu, wspomniałem już parokrotnie. Dziwić się temu trudno wobec tego, że w okresie zaborców taka etyka wcale nie mogła się przecież rozwijać. A i obecnie również mamy wśród tych sfer posiadających stale znaczny odłam ludności, której stosunek do państwa nie jest pozytywny, a tylko albo negatywny, albo neutralny, i na wyrobienie się w tych sferach etyki podatkowej rachować jest bardzo trudno. A etyka ta ma to do siebie, że albo jest powszechną, albo jej nie ma wcale za małymi wyjątkami, bo życie ekonomiczne oparte jest na konkurencji i jeden ogląda się na drugiego, gdy idzie o to, wiele i za co należy płacić do skarbu. Brak etyki podatkowej społeczeństwa będzie długo jeszcze u nas wielką zaporą w doskonaleniu naszego aparatu skarbowego i w wytwarzaniu naszej siły skarbowej.

Wiele zła dla naszego życia gospodarczego wynikło z innej wady naszego społeczeństwa: z braku skrupulatności w wywiązywaniu się ze zobowiązań pieniężnych wogóle. Gdy latem 1925 r. złoty się zachwiał, nastąpiło załamanie się kredytu i ogólne rozgrzeszanie się wzajemne z niewypelniania zobowiązań pieniężnych. Stosowano to również i wobec zagranicy. Na tem tle niektóre banki dopuściły się wyraźnych nadużyć. Pode-rwało to ogromnie nasz kredyt za granicą. Ale opinja nasza odnosiła się wtedy i wogóle odnosi się zwykle bardzo pobłaźliwie w stosunku do tych, którzy się ze swoich zobowiązań nie wywiązują. Sądy nasze działają zbyt wolno. Wierzyciele zagraniczni ujrzeni się na łasce dłużników, co ich ogromnie do naszych stosunków zraziło.

Dawniej, przed wojną, było rzeczą zwykłą, że Towarzystwo kredytowe Ziemskie wystawiało długie listy majątków na sprzedaż za niepłacenie w terminie trat dłużnych. Sprzedaże z tego powodu też dochodziły nieraz do skutku. Dziś ta dziedzina pod wpływem opinji ogólnej okazuje dużo mniejszy stopień surowego stosowania przepisów prawa.

Dłużnicy, którzy przed reformą walutową osiągnęli nadzwyczajne korzyści z tego, że marki nieustannie spadały, ulegli demoralizacji, polegającej na lekceważeniu wogóle swoich zobowiązań pieniężnych. W takiej atmosferze musiała się wytworzyć lichwa. Brak pewności otrzymania w terminie swojej należności wierzyciel wynagradza sobie stopą procentową.

O ile opinja publiczna była bardzo wyrozumiała dla wszelkich oznak lekceważenia przez dłużników praw swoich wierzycieli i tolerowała długo wszelkie regulowanie tych należności, urągające wszelkiemu poczuciu sprawiedliwości, o tyle w zakresie wewnętrznych pożyczek państwowych widzimy odwrotne zjawisko, mianowicie nadwrażliwość na temat, by czasem kto właśnie na tych pożyczkach źle nie wyszedł.

Pomimo, że dla pożyczek państwowych została ustanowiona w 1924 r. wyższa waloryzacja, niż dla zobowiązań prywatnych prawnych, oraz dla pożyczek samorządowych, Sejm, nie ruszając wcale zagadnienia tych ostatnich, podniósł waloryzację właśnie dla pierwszych. Rozwinięto w demagogiczny sposób akcję, prowadzącą do wykazania, że krzywdy wyrządzone jakoby tym, którzy dawali swoje grosze na pożyczki państwowe, są główną przyczyną tego, że już więcej nikt nie chce brać pożyczek państwowych. Dziś, gdy pożyczka kolejowa stoi powyżej pari, widać całą obłudę tych hasel i agitacyj, które były w stosunku do rządu rodzajem szantażu.

Sejm okazał się czułym i wrażliwym na tę agitację i pod jego wpływem wyszła dodatkowa ustawa o zwaloryzowaniu pożyczek państwowych. Ustawa z 1924 r. dawała przeciętne kursy waloryzacyjne dla posiadaczy pożyczek tak obliczone, by rząd nic na nich nie zarabiał w stosunku do tego, co otrzymał. Przy tym systemie jednak ci, którzy wpłacali pożyczki wcześniej niewątpliwie tracili, a zarabiali ci, którzy brali pożyczki później. Sejm, działając pod wpływem agitacji, zaprowadził poprawkę dla wszystkich, którzy brali pożyczki wcześniej, przyjmując dla nich jako podstawę, kurs miesięczny al pari, pozostawiając dla tych, którzy brali pożyczki później, kurs przeciętny, który stanowił wyraźne uprzywilejowanie tych ostatnich. Gdy kto na przykład wziął pożyczkę długoterminową 5% we wrześniu lub październiku 1921 roku za 5 milj. marek, to znaczy się, że wpłacał on rządowi równowartość 1 tysiąca dolarów, a tymczasem otrzymuje on obecnie na mocy ustawy z 1924 r. pożyczkę konwersacyjną, równającą się 50.000 złotych. Jest to ogromny przywilej i to zupełnie niesłuszny i nieuzasadniony. Jeżeli Sejm okazał się wrażliwym na straty przy przerachowaniu tych osób, które wzięły pożyczkę w 1919 i 20 roku i straty te

wynagrodził, to powinien był z drugiej strony okazać się wrażliwym i na przywileje tych, którzy brali pożyczki później i powinien był przywileje te skasować.

Jeszcze dziś, pomimo tego, że widocznym jest, że żadnego niezaufania do pożyczek i walorów państwowych na rynku krajowym nie ma, gdyż idą one zupełnie normalnie w górę, zależnie od obfitości gotówki na rynku nie ustają biadania, że rząd poderwał kredyt skrzywdzeniem swoich wierzycieli. Oczywiście, że nie jeden wierzyciel woli od pożyczek i akcyj lokaty prywatne, bo może brać wyższe procenty. Ale taki wierzyciel to typowy lichwiarz i o jego sentymenty wcale nie powinno się rozchodzić. Kto szuka lokat solidnych, ten ani w 1924 r., ani dziś nie traci na lokatach rządowych. Gdy wierzyciele mieli mało bardzo gotówki, brali tych papierów mniej i po niższym kursie, dziś biorą więcej i płacą dobry kurs.

Tak zwana krzywda wierzycieli pożyczek państwowych jest bardzo problematyczna. Raz natrafiłem na prostodusznego człowieka, który dowiedziawszy się, wiele otrzyma złotych za pożyczkę państwową, którą w 1919 roku wpłacił rublami papierowymi, odrzekł bez namysłu: „Jak to dobrze, że choć cośkolwiek otrzymam, bo gdybym był trzymał ruble w schowaniu, jak to mnie radzono czynić, tobym się był doczekał, że zupełnie nic nie byłyby warte”.

Ci, którzy wpłacali pożyczki papierami w koronach, markach niemieckich, lub rublach, często bardzo nie stracili wcale na pożyczkach polskich. A i ci, którzy wpłacali markami polskimi, często też nie ponieśli żadnej szczególnej straty, bo rozumowanie, że marka miała dużą siłę nabywczą w momencie brania pożyczki, jest błędne, gdyż najczęściej nie brał pożyczki ten, kto miał w perspektywie nabycie krowy, ubrania lub jedzenia. Brał pożyczkę najczęściej ten, kto, gdyby jej nie wziął, to byłby albo pieniądze chował i doczekał się ich zupełnej deprecjacji, albo by kupował akcje i inne papiery często bardzo wątpliwej wartości, na których by mógł wyjść znacznie gorzej, niż na pożyczkach.

Obok znacznej ilości osób, które przy braniu pożyczek wewnętrznych kierowały się godziwymi, ale dość zwykłymi pobudkami, była również i pewna mniej liczna warstwa osób, która brała pożyczki głównie z pobudek patriotycznych. Te jednostki, najczęstsze wśród inteligencji, najmniej się upominały następnie o to, czy i wiele mają zarobić lub stracić na pożyczkach. Biorąc pożyczki, nie kierowały się one chęcią robienia interesu, więc też i żalu nie miały, gdy okazało się, że dowód pożyczkowy jest papierem nie wielkiej wartości giełdowej. W każdym razie, skutkiem waloryzacji, te dowody bardzo wiele zyskały, przed tem bowiem wartość ich była już prawie znikoma. Już pierwsza ustawa o waloryzacji pożyczek państwowych wewnętrznych, bardzo znacznie podniosła wartość wszystkich tych dowodów majątkowych, które przed wprowadzeniem reformy walutowej nie miały już prawie żadnej wartości i na giełdzie sprzedawane były za bezcen. Następnie w 1925 r. poprawiono jeszcze bardziej warunki waloryzacji. Ale spadek złotego znów wpłynął na znaczne pogorszenie tej waloryzacji.

Uczynić zadość wszystkim roszczeniom suskrybentów byłoby rzeczą niemożliwą. Gdy przeliczymy ich wkłady po dług kursu dolara w dniu wpłaty, jak to się dziś dzieje, i gdybyśmy wystawili zobowiązania na złote w zlocie, czego dziś nie ma, ale co było by rzeczą słuszną, to i wtedy jeszcze każdy suskrybent będzie się czuł pokrzywdzony, bo na giełdzie swego dowodu pożyczkowego nie sprzeda al pari, tylko ze stratą wobec droższy kapitału w obecnym momencie i wysokiej bieżącej stopy procentowej, której wynikiem jest, że papiery niżej oprocentowane stoją niżej parytetu.

Wśród suskrybentów są jednostki, co do których względy moralności publiczno-narodowej nakazują przyjąć z pomocą wyjątkową w drodze oczywiście nie ustawowej, a doraźnej. W momencie suskrybowania pożyczek państwowych były wypadki choć nie liczne, ale znamienne, że zupełnie biedne wdowy, lub spracowani ludzie w podeszłym wieku, lokowali w pożyczce ostatni swój, a niewielki grosz na skutek namów osób z inteligencji. Jednostki te są niezdolne do zarobkowania; wszelka najlepsza i najbardziej sprawiedliwa waloryzacja nie wiele dziś im dopomoże. Zapewne, że gdyby te jednostki nie wzięły przed laty pożyczek polskich, to mogły być gorzej jeszcze wyjść i stracić swój grosz zupełnie. Ale niemniej poczucie moralne wskazuje na to, że zapomoga pieniężna, dana takim osobom, dużo dobra w serca ludzkie wleje właśnie ze stanowiska poczucia państwowego i narodowego. Minister Skarbu ma fundusz dyspozycyjny, z którego takie

wydatki powinny być dokonywane. W czasie mego urzędowania, na każdy taki wypadek, o którym się dowiedziałem, odpowiednio reagowałem.

Jeżeli porównamy przerachowanie pożyczek państwowych w Polsce z tem, że nie tylko we Włoszech, Belgji i Francji, ale i w Austrii nie zostały one wcale przerachowane i straciły ogromnie na swej wartości bez żadnej kompensaty, to widocznem jest, że Polska okazuje się nadzwyczaj szczodłą dla swoich wierzycieli. Wychodzą oni znacznie lepiej, gdy są wierzycielami państwa polskiego, niż gdyby byli wierzycielami miast, takich jak Warszawa i inne, lub wierzycielami osób prywatnych. Otrzymują oni pełną waloryzację za pożyczki brane przed 1 grudnia 1920 r., a więcej niż pełną bo wielokrotnie wyższą za pożyczki brane po tym terminie. Gdy porównamy to z tem, że w Niemczech, jak to wykazał p. Stefan Michalski w „Czasopiśmie Skarbowem” z marca 1927 r., wierzyciele państwowi otrzymali $2\frac{1}{2}$ do $12\frac{1}{2}\%$ wartości pożyczek, to nawet spadek złotego, który obniża wartość naszej konwersji nie może obalić tego, że Polska jako państwo ujawniła nadzwyczajną wrażliwość na to, by w stosunku do swoich wierzycieli okazała się więcej niż sprawiedliwą. Dawanie bowiem kursu znacznie wyższego, niż *al pari*, dla wszystkich, którzy brali pożyczki po grudniu 1920 roku, jest zupełnie niebywałą hojnością, na którą tylko jedna Polska zdobyć się mogła.

Ale, jak to zawsze bywa, ten, kto zyskał, cicho siedział. A kto mógł cokolwiek powiedzieć na udowodnienie swojej straty, ten gorliwie tworzył nastrój antyrządowy, rachując, że coś na tem zarobi.

Polska zdaniem mojem dała na ogół aż za dobre warunki wierzycielom państwa, za słabe zaś wierzycielom samorządów, co nie jest rzeczą słuszną i celową. Niemniej nie przeczę, że pojedyncze jednostki zasługują na to, by podeszły pod prawo do zapomogi i to dożywotnie lub jednorazowe, o ile ulokowały w pożyczkach swoje ostatnie fundusze, a dziś nie mają się z czego utrzymać. Na gruncie zapomóg dożywotnich dla najbiedniejszych stawia sprawę ustawodawstwo niemieckie co do waloryzacji pożyczek, które samą waloryzację przeprowadza znacznie gorzej dla wierzycieli niż Polska.

Agitacja na tle mniemanej krzywdy wierzycieli państwowych znalazła w 1926 roku swój wyraz w tem, że niektórzy bardzo wysocy dygnitarze państwowi nie zawahali się dać swoje pełne poparcie akcji, która odrazu nosiła wszelkie cechy wielkiej, a urągłej dla poczucia państwowego błagi. Akcja ta prowadzona była pod nazwą pożyczki wewnętrznej sto miljonowej w złotych w złocie dla podwojenia zapasów Banku Polskiego. W odezwie inicjatora tej pożyczki, pana Wasunga ze Lwowa, widzimy motywy tej imprezy: „rządy poprzednie zabiły zaufanie społeczeństwa, gdyż z pieniędzy oddanych w pożyczkach wewnętrznych wywłaszczyły poprostu własnych obywateli, łamiąc cynicznie najuroczystsze przyrzeczenia i obietnice”.

Dla prowadzenia w myśl takich założeń akcji pożyczkowej, utworzono komitety wojewódzkie i okazało się, że z całej tej akcji nic zupełnie nie wyszło. Kto zaczyna od oszczerstwa pod kierunkiem własnych rządów, to choć doda epitet „poprzednich”, niczego nie dokona na korzyść „następnych”.

Stan rzeczy jest zupełnie inny, niż ten, który nieraz jest formułowany, podobnie jak w tej odezwie. Nie rząd nie dotrzymał swoich obietnic. Tylko ci, którzy lokowali swoje pieniądze w pożyczkach markowych, źle na nich wyszli, gdyż marka spadła. Rząd zaś polski uwzględnił tę sytuację zupełnie wyjątkowo i zrobił dla suskrybentów pożyczek polskich to, czego nie zrobiły ani Niemcy, ani Austrija, ani nawet Francja, Belgja i Włochy, gdyż dał im pełną waloryzację podług kursu dolara, a niektórym kategorjom dał nawet znacznie więcej.

Udział ludności naszej w akcji pożyczkowej na rzecz państwa polskiego nigdy nie doszedł do poważniejszych rozmiarów. Nigdy szeroko nie popłynęło u nas koryto suskrypcji pożyczkowych na rzecz Polski. Najwięcej wpłacała na pożyczki Wielkopolska, najmniej Małopolska. Ta ostatnia była wyczerpana dość wybitnym udziałem w suskrybowaniu poprzednich pożyczek dla Austrii.

Cała akcja napaści na rządy polskie za to, że jakoby zawiodły one oczekiwania ludności co do pożyczek państwowych, jest dalszą ilustracją tego chorobliwego stanu psychicznego, w którym Polsce stawia się wielkie wymagania, żałuje się jej dać z siebie tyle, co potrzeba, a w dodatku chce się na Polsce przy sposobności zarobić. Jedni chcą w urzędach polokować swoich krewnych, choć ci nie mają po temu kwalifikacyj, a potem wszyscy

wyrzekają, że urzędy źle funkcjonują; inni chcą otrzymać za drobną ilość pieniędzy papierowych, które ulokowali w papierach państwowych, więcej, niż gdyby ulokowali je w papierach innych. Wprawdzie były nieliczne wypadki, gdy ktoś całą swoją gotówkę ze sprzedaży naprzykład majątku, lub odbioru sumy, ulokował w pożyczce państwowej i na tem źle wyszedł. Ale czy nie wychodzili na takich transakcjach źle Niemcy, Austriacy, Francuzi itd. A czy lokata majątku całego w papierach państwowych była dokonywana w tych nielicznych wypadkach istotnie z pobudek patriotycznych. Czy lokujący nie kierował się przypuszczeniem, że marki mogą powrócić do przedwojennej wartości, nie kierował się wyrachowaniem, że może zrobić dobry interes, wyrachowaniem, na którym się zawiodł. Jakże znamienne jest zatem, że opinia publiczna nie bierze tego pod uwagę, tylko zajmuje od razu stanowisko, potępiające rząd w obronie pokrzywdzonych jakoby obywateli kraju.

Duże podobieństwo do niesprawiedliwego obciążenia rządu zarzutami w sprawie pożyczek państwowych, wykazuje również sprawa akcji Banku Polskiego. Wpłacali je urzędnicy cywilni i wojskowi ratami, potrącani z ich pensji. Wpłacali na najdogodniejszych możliwie warunkach. Brali te akcje, bo sumienie dyktowało im, że jest to potrzebne dla dobra kraju i państwa. Nikt nie brał zbyt wiele akcji, brano po jednej lub najwyżej kilka sztuk. Gdy już nie jeden swoje akcje wypłacił, okazało się, że wielu chciało je sprzedać, by wycofać swoje pieniądze z powrotem. Pomimo, że skala wynagrodzeń za służbę państwową w 1925 r. była znacznie większa niż obecnie, a właśnie w 1925 r. najwięcej było osób z pośród urzędników, którzy chcieli wyzbywać akcji Banku Polskiego. Wyzbywali się i inni akcjonariusze i skutkiem tego kurs akcji oczywiście spadł silnie. Stąd popłynęły narzekania, że urzędnicy zostali oszukani, bo wpłacili sporo pieniędzy, a odbierali mniej. Zarzut taki był niesłuszny w najwyższym stopniu. Gdy rozpoczęła się subskrypcja na akcje Banku Polskiego, nikt nie gwarantował ich kursu. Kto brał akcje w 1924 r. powinien był być przygotowanym, by ich na następny rok nie sprzedawać. Żadnego zarzutu ani rządowi, ani Bankowi Polskiemu stawiać z tego tytułu, że akcje spadły, nie można. Po pewnym czasie przecież znów akcje się podniosły. Dziś stoją one znacznie powyżej stu. A jednak wiele dało się słyszeć głosów, że nieszczęśliwy obywatel państwa polskiego został pokrzywdzony na akcjach Banku Polskiego.

Przesada i uporczywość w dopatrywaniu się krzywd ze strony rządu w stosunku do własnych obywateli wymaga poważnej reformy obyczajów naszego życia publicznego. Prasa nasza jest pod tym względem na ogół na najbardziej błędnej drodze. Zajmuje ona zwykle stanowisko obrony obywatela przed tą krzywdą. Jeżeli rząd krzywdzi społeczeństwo, to trzeba go zwalczać, a tymczasem część prasy stoi zawsze po stronie tego lub innego rządu póki jest u władzy. Otóż te organy, które bronią danego rządu, dowodzą, że krzywdziły społeczeństwo rządy poprzednie, inne organy, że krzywdzi rząd obecny, a często czyta się jednogłośnie wyrzekanie, że krzywdziły wszystkie rządy.

Społeczeństwo ma prawo stawiać rządowi duże wymagania, byle były one realne. Ma prawo wymagać wysokiej uczciwości, fachowej kompetencji, całkowitego oddania się sprawie publicznej. Ale i rząd musi wymagać od społeczeństwa zachowania pewnych kardynalnych warunków zdrowia życia zbiorowego, właściwych demokracjom społecznym. Warunki te: to kierowanie się poczuciem prawdy i interesu publicznego w stosunkach między rządem i społeczeństwem. W naszej opinii publicznej interesy partykularne i partyjne odgrywają znacznie większą rolę od interesu ogólnego, a poczucie prawdy jest podporządkowane często wpływowi grup, działających w imię tych interesów partykularnych i partyjnych. W imię dogodzenia tym lub innym czynnikom wpływowym, często prawda zostaje zlekceważona i pominięta, a interes publiczny zaniedbany.

Ci, którzy sprawują rządy, muszą się zawsze umieć uzbroić w męstwo niepoddawania się tym, którzy najgłośniej krzyczą o krzywdzie. Zwykle są to tacy, którym się żadna krzywda nie stała, a którzy chcą na swoim krzyku dużo zarobić, rachując, że tą drogą coś się im uda osiągnąć.

Z drugiej strony rząd nie może być nie wrażliwym na opinię społeczną o nim samym i nie powinien jej lekceważyć. Zapewne, że w opinii jest dużo przesady i stronnictwa, ale trzeba umieć zawsze z każdego przejawu tej opinii wydobyć poszczególne pierwiastki, któreby służyły do naprawy naszej nawy państwowej. Nawa ta, to najcenniejsza zdobycz nasza, co do której zbyt przesadne stawiamy wymagania, ale która musi istotnie stanąć na

możliwie najwyższym poziomie, by się mogła ostać przeciwko zarówno różnym zakusom zewnętrznym, czy wewnętrznym, jak i przeciwko naszemu, zbyt małemu przygotowaniu własnemu do jej umiejętnego sterowania.

ROZDZIAŁ V

Konsumenci

Nadmierna konsumpcja nasza w roku nieurodzaju wpłynęła na zbyt ni nasz import. Sprowadziliśmy więcej pomarańcz i automobili niż w latach poprzednich. Konsumowaliśmy więcej pszennego chleba niż kartofli w porównaniu z poprzednimi latami, pomimo tego, że kartofle były tanie, bo się obrodziły, a pszenną mąkę musieliśmy sprowadzać za bardzo drogie pieniądze z Ameryki. Rozumie się, że takie postępowanie lekkomyślne całego społeczeństwa skończyć się musiało źle. Zapasy walut obcych szybko topniały, aż złoty się załamał.

Nadmierna konsumpcja 1924 i 25 roku ma dwie swoje przyczyny: jedna z głównych to wpływ tego, że konsumpcja w okresie inflacji markowej była pod wpływem depresji wywołanej niskim poziomem płac i zarobków, oraz drożyzny wszelkich produktów i przedmiotów pochodzenia zagranicznego. Przy wprowadzeniu złotego płace i zarobki, z pracy powstałe, okazały się znacznie wyższe, co do swej siły nabywczej, od poprzednich, szczególnie co do przedmiotów pochodzenia zagranicznego.

Nadmierna konsumpcja całego społeczeństwa w roku nieurodzajnym nadzwyczaj silnie zaszkodziła naszej walucie. Tego nieda się zaprzeczyć. Ale myślę się ci, którzy, gdy mowa o konsumentach, mają na myśli urzędników i robotników i chcą im przeciwstawić producentów. W roku 1924 na 1925 wzrosła konsumpcja wszystkich, zarówno ludzi żyjących z zarobków, jak z własnej pracy przedsiębiorczej. Wśród tych, którzy w roku nieurodzaju posprowadzali samochody, zapewne więcej było producentów niż urzędników.

Gdy się przyznaje, że nadmierna konsumpcja zepsuła naszą walutę, zaraz powstaje sprawa, czy nie należało skasować mnożnika drożyznianego przy wypłacie pensyj urzędniczych. Zapewne, że w ogólnej sumie nadmiernego importu, jaki miał wówczas miejsce, ten import, który, miał miejsce dzięki temu, że urzędnikom pensje były wypłacane nie coraz mniejsze w miarę wzrostu drożyzny, a tylko realnie zawsze dzięki stosowaniu mnożnika zrównoważone, odgrywał pewną rolę. Ale sądzę, że jeszcze większą rolę odgrywał import, wywołany nieustannie wzrastającymi z miesiąca na miesiąc kredytami Banku Polskiego, Banku Gospodarstwa Krajowego i Rolnego i z których producenci korzystali częściowo, by podtrzymać poziom swej konsumpcji osobistej, przyczyniając się do powiększenia z tego tytułu importu, a częściowo, by sprowadzać rzeczy potrzebne dla ich produkcji i które dopiero później mogły się opłacić, a które na razie przyczyniały się do groźnego dla waluty krajowej uszczuplenia walut zagranicznych w Banku Polskim.

W sprawie nadmiernej konsumpcji naszego społeczeństwa z okresu roku nieurodzaju 1924/25 zarówno wysokość budżetu państwowego, jak i wysokość wynagradzania urzędników, nie grały decydującej roli. Nadmierna konsumpcja w roku nieurodzaju, był to objaw masowy, ogarniający całe społeczeństwo. Nawet na jarmarkach wiejskich pojawiały się pomarańcze i znajdowały nabywców wśród ludności włościańskiej. Wszystkim się zdawało, że wszystko, co jest zagranicznego, jest za bezcen. A pomarańcze tymczasem opłacały cło większe, niż przed wojną i były stosunkowo droższe. W lepszych gospodarzo przedwojennych czasach, uchodziły one za luksus dla ludzi prostych, a w latach 1924–25 wydawały się jak i różne inne przedmioty zagraniczne dostępnymi dla najuboższych.

Na prawicy sejmowej oraz w licznych organach prasy uważano, że prowadziłem politykę specjalnie forytującą konsumentów, ażeby zyskać sobie przez to lewicę. Jest to zarzut przesadny, jak większość innych stawianych mnie zarzutów. To, że wskaźnika drożyzny przy płacach urzędniczych nie skasowałem, objaśniłem już w części historycznej tem, że w poprzednich latach za czasów markowych tyle się urzędnicy nacierpieli z powodu ciągłego obniżania się realnej wartości ich płac, że gdy uchwalono ustawę, regulującą w mnożnikach płace na niewiele czasu przed tem, niż wzięłem ster rządów, trudno było mnie zaczynać rządy od kasowania tej dobroczynnej ustawy Sejmowej. Należy przytem pamiętać, że rząd mój nastąpił świeżo po wypadkach krakowskich, po których temat spr-

wiedliwej płacy był świeżo jeszcze w pamięci wszystkich. Ogólne usposobienie opinii publicznej bynajmniej nie uznawało tego, żeby płace, pomimo ciągłego ich przezemnie podwyższania w miarę wzrostu drożyzny, były wystarczające. Nie ustawały do mnie delegacje, żądające podwyżek, a w pismach, nawet prawicowych, pojawiały się artykuły, że tym lub innym urzędnikom lub wojskowym, należą się podwyżki. Gdy zaś w pełnomocnictwach na drugie półrocze 1924 r. zażądałem upoważnienia, by zmniejszyć uposażenia tym, którzy mają dochody płynące z ich pracy zawodowej, to Sejm skreślił ten punkt. Nie można więc mówić, że to ja ulegałem stronnictwom lewicowym i dlatego nie żądałem ofiar ze strony urzędników.

Tak się stosunki ułożyły, że w roku 1924/25 naogół wszyscy, kto żył z pracy i płacy czy rządowej, czy prywatnej, każdy miał się znacznie lepiej niż poprzednio. Było to oczywiście słuszne i mogło być okazać się dla całego społeczeństwa korzystne, gdyby taka zwyżka realnych uposażeń obrócona było w okresie, który wtedy przeżywaaliśmy, na gromadzenie oszczędności i na odtwarzanie w ten sposób zniszczonego w czasach inflacji kapitału ruchomego społeczeństwa, niezbędnego dla ożywienia procesów wytwórczych.

Podniesienie realne uposażeń i płac w okresach normalnych rozszerza rynek krajowy, stwarza zwiększony popyt i sprzyja przeto produkcji. Takie podniesienie płac jest tak samo korzystnym dla produkcji, jak i podniesienie zdolności konsumpcyjnej wsi, co dziś jest powszechnie wysuwane jako najlepszy sposób ożywienia przemysłu. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej od dawna znajdują w podnoszeniu płac podstawę dla wzrostu ogólnego dobrobytu. Ponieważ wraz z tem podnoszeniem idzie w tym kraju wzrost wydajności pracy, koszty produkcji się nie podnoszą, a rynek krajowy dla zbytu wytworów produkcji się rozszerza.

Takiego dobroczynnego wpływu na podniesienie się dobrobytu krajowego wzrost realny płac, jaki w 1924 roku nastąpił, nie spowodował. A nie dokonał on tego nie tylko dlatego, że temu podnoszeniu się płac nie towarzyszył wzrost wydajności pracy, ale głównie dlatego, że produkcja krajowa w okresie poinflacyjnym znalazła się w obliczu specjalnych zupełnie trudności, wynikających z drożyzny kredytu, będących skutkiem braku kapitału ruchomego, zniszczonego w okresie inflacji. W takich warunkach potrzebą ogólną kraju było nie tyle rozszerzenie wewnętrznej pojemności rynku, co przyspieszenie procesu kapitalizacji. Proces ten doznałby przyspieszenia, gdyby konsumenci, żyjący z płac i zarobków, zamiast rozszerzać swoją konsumpcję, odkładali w postaci oszczędności różnice w realnej wartości swoich płac w 1924 r. w porównaniu z latami poprzednimi.

Tymczasem wzrost oszczędności ogólnie krajowych w 1924 roku wykazał się nikłymi bardzo cyframi, natomiast wzrost konsumpcji ogólnej podniósł się bardzo znacznie. W roku nieurodzajnym na zboża, a urodzajnym na kartofle, nie zastępowano pierwszych temi ostatnimi, tylko sprowadzano jaknajwięcej najdroższego produktu zbożowego, gdyż mąki pszennej i to najwyższych gatunków. Z wzmożonej zdolności konsumpcyjnej ludności, żyjącej z płac i zarobków, nie skorzystała produkcja krajowa, uginająca się pod ciężarem drożyzny kredytu i klęski nieurodzaju, a tylko produkcja zagraniczna. Wytworzyło to sytuację, przy której zapasy walutowe musiały się wyczerpać i złoty spadł, a w ślad za tem spadły realne płace i zarobki.

W ten sposób konsumenci sami podkopywali fundament własnego dobrobytu, który okazał się tylko chwilowym, gdyż po spadku waluty udział osób, żyjących z płac, w ogólnym dochodzie społecznym znacznie zmalał w porównaniu z producentami.

Wynagrodzenie, czy pracowników państwowych, czy robotników, nie jest u nas wysokie, prędyj jest za niskie. Jeżeli idzie o osoby lepiej wykwalifikowane, to jest ono znacznie niższe, niż przed wojną. Ale skala wszelkich wynagrodzeń nie może być mierzona abstrakcyjnie. Musi ona być dostosowana do możliwości, jakie istnieją i do pożytku ogólnego lub szkody, jakie wypływają z takiego lub innego poziomu płac i wynagrodzeń. To, że głównym powodem załamania się złotego 1925 r. była nadmierna konsumpcja podniósł głównie dr. Leon Barański w cytowanej już przezemnie pracy *Uwagi nad obiegami pieniężnym w Polsce*. Przyszedł on również do konkluzji, że zwalczyć ten prąd do nadmiernej konsumpcji było niezmiernie trudno.

„Skoro, jak mówiliśmy, nierównowaga między konsumpcją a dochodem społecznym, była powodem kryzysu, to nasuwa się zaraz pytanie, czy

nie można było poprostu zła w zarodku stłumić i poprostu wpłynąć na zmniejszenie się konsumpcji, gdy skutkiem okoliczności, niezależnych od woli ludzkiej, jako to nieurodzaj i złe konjunktury zagraniczne, nie dało się wzmocnić dochodu narodowego. Słuszną tę uwagę nieraz powtarzano w różnych ujęciach, przede wszystkim w stosunku do gospodarki państwowej. Hasło oszczędności, bardzo często powtarzane, było uważane jako konieczność zaniechania konsumpcji niepotrzebnej. Tak, ale równocześnie skala potrzeb rozumiana była zawsze szeroko, za szeroko w stosunku do realnych możliwości. Toteż wszelkie zarządzenia w kierunku zaspakajania tych potrzeb, spotykały się z szaloną niepopularnością i silnym oporem społeczeństwa. Wystarczy przypomnieć opór przeciwko ograniczeniom paszportowym. Na istotne ograniczenie konsumpcji trudno było wpłynąć nie tylko środkami administracyjnymi, ale nawet czysto ekonomicznymi. Albowiem potrzeby, ich powstawanie i pęd do ich zaspokojenia, jakkolwiek stanowią podstawę gospodarstwa prywatnego i społecznego, nie są same przez się kategorią ekonomiczną. Są to kategorie psychologiczne i rzec można socjologiczne. Wypływają z pewnych przyzwyczajeń, które są silniejsze niż logika. Mowy niema n. p. by przed spadkiem złotego dało się przeprowadzić zniżkę płac i pensyj, chociażby nawet przypuścić, że to mogłoby rozwiązać trudności. Nie przeszkadza to temu, iż spadek złotego wprowadził później faktyczną znaczną ich obniżkę bez istotnych sprzeciwów”.

Jeżeli w roku 1925, jak pisze dr. L. Barański, było rzeczą psychologicznie niemożliwą przełamać parcie do nadmiernej konsumpcji, to dziś stosunki odmiennie się przedstawiają.

Dziś równowaga zaczyna być niebezpieczna w odwrotnym kierunku.

Konsumpcja nadmierna psuje bilans i grozi walucie, konsumpcja niedostateczna kurczy rynek zbytu krajowy i sprowadza zastój. Zachowanie właściwej miary jest jedno z kardynalnych podstaw zdrowia społeczeństwa i siły państwa. Wymaga ono stanu równowagi w całym szeregu czynników, a przede wszystkim równowagi między produkcją a konsumpcją.

ROZDZIAŁ VI

Zwiększenie wydajności pracy wytwórczej

Zbyt duża konsumpcja naszego społeczeństwa w 1924 i pierwszej połowie 1925 roku była jedną z przyczyn, które sprzyjały temu, by kurs złotego uległ wpływowi innych jeszcze przyczyn, które działając łącznie spowodowały, że się załamał. Zmniejszenie konsumpcji w drugiej połowie 1925 roku stało się wynikiem kryzysu, który nastąpił. To zmniejszenie ułatwiło powrót kursu złotego do równowagi.

Zmniejszenie konsumpcji może być złem koniecznym, ale jest złem. Nastąpiło ono z konieczności w końcu 1925 i 1926 roku i gdyby nastąpiło wcześniej, mogło być trwać krócej, ale najlepiej było by, gdyby wcale kryzys nie był nastąpił. A to było by zupełnie możliwym, gdybyśmy w zakresie natężenia naszej pracy wytwórczej wykazali już poprzednio poważniejsze postępy.

Z tego, że natężenie wydajności pracy jest najważniejszą troską dla sanacji życia gospodarczego, kredytowego i finansowego, zawsze zdawałem sobie dokładnie sprawę. Największe zło, jakie nam okres inflacji wyrządził, polegał na tem, że zdemoralizował producentów, którzy zaczęli upatrywać źródło swojego dobrobytu nie w natężeniu wydajności pracy, a w spekulacji na cenach rzeczy sprzedawanych i nabywanych.

Jak osiągnąć to, by praca u nas dawała większe i lepsze rezultaty. Jedni domagają się w tym celu rewizji naszego ustawodawstwa socjalnego, drudzy zwalczają ten postulat. O to toczy się u nas spór nieustanny. Większa część zarzutów, jakoby mój rząd nie miał dobrego programu gospodarczego, wypływała z tego, że nie przechyliłem się na stronę zwolenników rewizji tego ustawodawstwa. Uczyniłem tak dlatego, że widziałem, jak wielką do zachowania tego ustawodawstwa przywiązują wagę przedstawiciele wszystkich

partyj robotniczych, ja zaś uważałem za konieczne, by wśród mas robotniczych podtrzymać ducha pozytywnego w ustosunkowaniu się do naszej państwowości.

Po drugie nie decydowałem się na podtrzymanie hasła o konieczności rewizji ustawodawstwa socjalnego dlatego, że nie widziałem by dany temat był dostatecznie poważnie traktowany nawet przez tych, którzy go poruszali. Przecież Sejm przywrócił trzy święta, skasowane przez rząd, a społeczeństwo żadnego skasowania świąt wogóle nie obserwuje. Następnie należy wziąć pod uwagę, że ogromna większość naszej ludności i naszych producentów i robotników, jest to wielka masa włościan rolnych i małorolnych, których absolutnie żadne ustawodawstwo socjalne nie tyczy, a praca tej ludności jest przecież bardzo mało wydajna. Jeżeli w porównaniu z Czechami i Niemcami wykazujemy tak kolosalną niższość na polu dochodu społecznego i zdolności płatniczej na głowę ludności, jeżeli gromadzenie oszczędności przez masy ludności stoi u nas tak słabo, objaśnia się to tem, że praca naszych włościan na ich własnych warsztatach jest znacznie mniej wydajną niż włościan czeskich lub niemieckich. Na to żadne ustawodawstwo socjalne nie pomoże.

A czy praca naszej inteligencji na stanowiskach kierowniczych w biurach i dyrekcjach jest dostatecznie wydajną. Czy inicjatywa, pomysłowość i wykonawczość właścicieli i kierowników większych warsztatów pracy stoi też na należytych poziomach? Upośledzenia jakich widzimy u nas w porównaniu z Zachodem stoją poza sferą ustawodawstwa socjalnego. Na te upośledzenia rząd nie wiele może pomódz. Odwrotnie, skutkiem tych upośledzeń rząd cierpi. Nie mogą dobrze, wydajnie i inteligentnie pracować urzędnicy państwowi, jeżeli urzędnicy w biurach prywatnych nie wykazują nadmiernych zalet i też grzeszą rutyną i ociężałością. Robotnik nasz fabryczny nie był szczególnie wydajnym w pracy w zaborze rosyjskim, gdy ustawodawstwo socjalne bardzo słabo ciążyło na kosztach produkcji. Jeżeli przemysł wówczas się rozwijał, to głównie dla tego, że stały dla niego otworem rynki rosyjskie, a wcale nie dlatego, by sam przemysł umiał i mógł produkować tanio.

Doświadczenie lat 1924 i 25 wskazuje, że bez podniesienia na większą skalę wartości produkcyjnej pracy naszej, nie osiągniemy tej siły, która nam jest absolutnie niezbędna, by sprostać naszemu powołaniu dziejowemu, które dało nam państwo wielkie, narażone na niebezpieczeństwa ze Wschodu i Zachodu, i które nie mogłoby długo wytrzymać, o ile by zostało skazane na pozostawienie w stanie wegetacji i marazmu.

Przy dzisiejszym poziomie naszej pracy wytwórczej nie stać nas na budżet państwowy, w którym by personel państwowy był godziwie wynagradzany, środki obrony w należytej mierze nagromadzone, a siły rozwojowe państwa i społeczeństwa zabezpieczone. Bez podniesienia tych sił produkcyjnych, poważnych rezultatów na drodze rozwoju państwa nie osiągniemy. Pożyczka zagraniczna na długo nie starczy, gdy jej nie będzie towarzyszyło podniesienie wartości naszej pracy, gdyż pójdzie ona na konsumpcję pomimo tego, że pozornie będzie przeznaczona na produkcję i nic nam ostatecznie ona nie pomoże. Przed nami stoi w całej swojej grozie dylemat całej przyszłości bytu państwowego naszej Ojczyzny.

Jeżeli nie podniesiemy wartości naszej pracy, to nie zdołamy odtworzyć zniszczonych przez wojnę kapitałów i obrócić ich dla celu wzmożenia i potanienia produkcji i w wyniku tego z kryzysu gospodarczego się nie wydobędziemy. Jeżeli nie podniesiemy wartości naszej pracy, nie będziemy w stanie z jej plonów odkładać tyle na potrzeby naszego państwa, by mogło to zabezpieczyć nas i zapewnić nam ostanie się wobec groźących nam niebezpieczeństw.

Słaba wartość naszej pracy produkcyjnej stworzyła to, że nieurodzaj 1924/25 r. dotknął nas silniej niż Niemcy; ta słaba wartość sprawiła, że przemysł nasz nie przystosowywał się do okresu stabilizacji waluty i powoli poszedł po drodze kurczenia się, by tylko uniknąć trudności kredytowych, a nie wykazał większych przekształceń i dostosowań technicznych. Słaba ta wydajność kładzie swe piętno na pasożytniczym charakterze wielu naszych banków i instytucyj publicznych oraz przedsiębiorstw prywatnych, czy państwowych. Słaba ta wydajność, obok nadmiernej konsumpcji, jest istotnie najgłębszą z przyczyn spadku złotego.

Wskazałem w części historycznej na to, że rewizja naszego ustawodawstwa socjalnego mogłaby w najlepszym razie stanowić jedynie pewien częściowy przyczynek do podniesienia wydajności naszej pracy, której niski stan tkwi w ogólnych właściwościach układu

naszych stosunków i w usposobieniu charakteru i umysłu naszych mas ludności, zarówno pracujących fizycznie jak i umysłowo, zarówno pracowników jak i prawodawców.

Wyjaśniłem, że przy usposobieniu wszystkich naszych stronnictw robotniczych interesy państwowe nie pozwoliły w 1924/25 r. rządowi występować z jakąkolwiek inicjatywą co do ustawodawstwa socjalnego. Ale nie mniej nie sposób konstatować, że w dzisiejszym stanie naszego ustawodawstwa socjalnego jest wiele rzeczy nadzwyczaj rażących ze stanowiska ogólnych interesów państwa. Kasy chorych są źle administrowane, pomoc lekarska udzielana bez istotnego zadowolenia ludności, a wywołuje zbyt duże koszty i obciążenia, urlopy obowiązkowe są zbyt długie, a odstępowania od słusznej zasady ośmiogodzinnego dnia pracy w ruchu budowlanym, czy w innych sezonowych zajęciach zbyt utrudnione i szczupłe. Rewizja tych ustaw nie może przecież stanowić groźnego ciosu dla zdobywcy socjalnych rzesz robotniczych, które słusznie powinny być do tych zdobywcy przywiązane. Rewizja taka, o ile będzie dokonana przez tych, którzy by sami byli wierni głównym ich zasadom, winna zachować ogólny całokształt tych zdobywcy, usuwając największe i najbardziej rażące niewłaściwości, ciężące zbytnio na naszej produkcji i wydajności pracy. Stronnictwa robotnicze nie powinny się bać tego tematu i nie powinny się odżegnywać od jego rozpatrywania. Lepiej przecież, żeby one same się nad najbardziej istotnymi nie-normalnościami zastanowiły, niż żeby trwał dzisiejszy stan rzeczy, tak fatalny dla całej masy robotników, stan narażający ogromny procent tej masy na stałe bezrobocie.

Główna przyczyna małej wydajności naszej pracy nie jest to ustawodawstwo, które niewątpliwie jest wadliwe i powinno być naprawione, ale zespół naszych warunków i usposobień naszego ogółu. Jak przerobić ducha naszego społeczeństwa, jak zaszczerpić nowe ideały, jak wytworzyć nowy charakter całego narodu? Kto ma to uczynić? Czy zrobi to rząd, samorząd, szkoła, społeczeństwo, stronnictwa, prasa?

Świadomość potrzeby, by wszyscy lepiej niż dotychczas i bardziej wydatnie umieli i chcieli pracować, jest słaba a działalność organów życia publicznego często zupełnie tej świadomości jest pozbawiona. Dla tego też jest wielkim zadaniem, by świadomość ta przeniknęła wszędzie i dokonała poważnych zmian w sposobach oddziaływania na masy ludności produkcyjnej jak i na przyszłe pokolenia. Usposobienie ludności, to rzecz która ulega zmianom; Niemcy po 1870 roku masowo zmieniali się na energicznych i przedsiębiorczych organizatorów życia ekonomicznego. We Włoszech zmiany wielkie w usposobieniu nastąpiły w ostatnich latach, już na naszych oczach. Więc i u nas to jest możliwym, by się podobny wzrost usposobień dokonał; tego wymaga od nas doświadczenie całej dotychczasowej naszej egzystencji w odrodzonym naszym państwie.

Pod kątem widzenia przedewszystkiem przerobienia całej psychiki naszych mas ludności, w szczególności wiejskiej, stanowiącej większość naszego narodu i zaszczerpienia im dążenia do wydajności pracy, opartej na podstawach wyrobienia charakteru i rozumu ludzkiego, powinno być przeprowadzone wychowanie publiczne w szkołach powszechnych. Świadomości tej konieczności państwowej niestety nie widzimy prawie wcale. Plany reorganizacji szkół powszechnych i innych, zupełnie się z tą misją naszego szkolnictwa i odpowiedzialnością jego za nasze przyszłe losy w rywalizacji międzynarodowej społeczeństw nie liczą. Oderwane są one od tych naglących dla naszego bytu państwowego zadań. Opinia publiczna również nie zdradza w tej dziedzinie zrozumienia tego, że najważniejszym warunkiem, by nas nie rozebrano z powrotem jest, byśmy się okazali zdolni i mieli chęć więcej i lepiej pracować, tak byśmy byli w stanie więcej dawać na cele doskonalenia naszego organizmu państwowego i społecznego od tych społeczeństw i narodów, które czyhają na to, by nas z powrotem do swoich organizmów państwowych, jako bierną masę, wchłonąć.

Od tej ewentualności nie obronią nas wcale wyższe zalety uduchowienia szczytów naszego społeczeństwa, jeżeli szary dół będzie indolentny i jeżeli tempo pracy wytwórczej będzie u nas tak słabe, iż szukać będziemy ochrony waluty w reglamentacjach, a ochrony produkcji w niskim budżecie państwowym. Marazm, który tego będzie musiał być wynikiem, podetnie nasze siły zupełnie i odbierze nam wiarę w to, byśmy byli zdolni oprzeć się jakimkolwiek poważniejszym niebezpieczeństwom. A wtedy nie uratujemy największego skarbu, jaki dziś posiadamy i którego nie doceniamy — naszej państwowości, naszego rządu polskiego.

Rządy w Polsce będą dobre i silne i dla społeczeństwa korzystne, gdy społeczeństwo będzie umiało tak pracować, by stać je było na utrzymanie naprawdę dzielnego aparatu rządzącego, cywilnego i wojskowego. Wtedy tylko będziemy mogli być co do naszej przyszłości bezpieczni.

ROZDZIAŁ VII

Państwo Polskie i rolnicy

Tragedją naszych losów porozbiorowych było to, że dwa państwa zaborcze Rosja i Austria zdołały skutkiem naszych własnych błędów, oraz ich zręczności politycznej, zjednać sobie szerokie masy ludności włościańskiej, co w roku 1846 w jednym zaborze oraz po 1863 r. w drugim wyraźnie się uwidoczniło. W jednym tylko zaborze pruskim, włościanin polski nie stawał nigdy po stronie wrogów naszego narodu. Ten bolesny stan psychiczny naszych włościan w zaborach rosyjskim i austriackim uległ w końcu XIX., a głównie w XX wieku, znakomitej poprawie i przy powstawaniu państwa Polskiego włościanie wszędzie okazali zupełną dojrzałość państwową polską, na równi z całym społeczeństwem.

Ziemianie długo byli środowiskiem, wśród którego najłatwiejszy znajdowały dostęp myśli i czyny ruchów zbrojnych przeciwko najeźdźcom wymierzone. Z czasem zmienił się jednak ten nastrój bardzo silnie i zwykły materializm życiowy stworzył zupełnie odmienne usposobienie, nawskróś oportuniczne, podobnie jak u większości społeczeństwa. Idea państwa Polskiego żyła jednak wyraźnie w tej sferze na równi z całą sferą inteligencji polskiej.

Pomimo tego, że powstanie na nowo państwa polskiego znalazło w sercach rolników, małych czy dużych, grunt dobry, nastąpiło stopniowe oziębienie się tego stosunku. Drobnym rolnik sądził, że w Polsce nastąpi wielka zmiana na lepsze w jego stosunkach rolnych i rozczarował się. Doznał różnych trudności walutowych, kredytowych, gospodarczych, których dawniej nie było. Urzędnik Polski stał się dla niego mało zrozumiałym, bo był zbyt zamkniętym w swoim formalizmie. Drobnym rolnik nie rozumie dzisiejszej Polski, chciałby ją kochać, ale nie wie za co.

Ziemianie doznali również w nowopowstałym państwie Polskim dużo rozczarowań. Wprawdzie w pierwszych latach wszyscy odczuli jako błogosławieństwo, że na Polsce załamały się okrutne fale niszczące większą własność, a idące ze wschodu, ale wkrótce uznano to za rzecz zbyt naturalną, by ją brać w rachubę. Natomiast uwidoczniły się trudności gospodarcze i kredytowe. Ustawodawstwo podatkowe u nas nabrało charakteru wyraźnie przeciwko ziemianom skierowanego nacisku, gdy przeto do tego dołączyło się uchwalenie ostateczne ustawy o reformie rolnej, znaczna liczba ziemian zupełnie upadła na duchu.

W gazetach i pismach rolniczych nie było numeru, nie było zebrania z odczytami publicznymi, gdzie by nie były wypowiedziane z całą apodyktycznością głosy, że dotychczas wszystkie rządy w Polsce lekcewały i gnębiły rolników. Jakże można kochać państwo, którego rząd kogoś systematycznie gnębi.

W sprawozdaniu Centralnego Towarzystwa Rolniczego za 1925 r., we wstępie na pierwszej stronnicy odmalowana jest polityka rządu, jako wysoce dla rolnictwa nieprzychylna, a dalej w treści samej sprawozdania wydziału ekonomicznego znajdujemy całą pełną litanję wyjednaną od rządu ulg, kredytów, pozwoleń, subwencji, zmian rozporządzeń. Okazuje się, że te fakty, których bogaty spis mówi za siebie i wskazują na przychylność rządu dla postulatów rolników, nie liczą się za nic przy odtwarzaniu nastroju ogólnego. Że rolnicy byli nieustannie krzywdzeni, jest to dziś dogmat wiary, którzy wyznają oni wszyscy, wielcy czy mali.

Podobno taki jest nastrój nie tylko w Polsce. We Francji zdumiono się nie dawno, że w jednym okręgu czysto rolniczym o drobnej własności komuniści uzyskali sporo głosów.

Że taki nastrój rolników jest wysoce szkodliwym, to wszyscy rozumieją, ale że jest on wysoce niesprawiedliwym, to niestety sami światli nawet rolnicy nie chcą tego przyznać.

Faktem jest, że rolnikom jest ciężko. Czyż to jednak jest winą rządu. We wszystkich krajach i we wszystkich epokach po ustaniu wojen zwykle dla rolników przychodzą ciężkie czasy.

Takim był okres po wojnach napoleońskich, okres depresji konjunktur gospodarczych dla rolników, który trwał bardzo długo, bo od 1813 do 1824 roku. W ciągu tego okresu czasu bardzo wiele fortun zupełnie zmarniało, ziemianie i dzierżawcy zupełnie z niczym wychodzili ze wsi do miast, spadali do rzędu proletariatu inteligencji, a włościanie również często musieli porzucić gospodarstwa, tworząc zawiązki proletariatu robotniczego. W zaborze pruskim były okresy czasu, gdy ziemianie wyprzedawali się z majątków i byli licytowani za długi, a gospodarstwa włościańskie były licytowane za podatki. Ale to wszystko było dawno tak, że już pamięć ludzka w te czasy nie sięgała. Natomiast przed wojną dobrze się działo rolnikom. Jeżeli właściciel ziemski nie mógł wyżyć z dochodów z gospodarstwa, to majątek parcelował i wyciągnął z ziemi dosyć kapitału, by mógł żyć w mieście spokojnie, a włościan stać było na to, by nawet i bez reformy rolnej dokupywać rocznie gruntów więcej, niż to się stało dla nich dostępnym po 1920 roku, pomimo istnienia ustawy o reformie rolnej. Te czasy wszyscy pamiętają i sądzą, że krzywda im się dzieje, skoro nie jest tak dobrze, jak to było na polu życia materialnego przed wojną.

Nie mogąc sięgać wspomnieniami swymi daleko, nie uświadamiają sobie rolnicy, że nie było żadnego okresu powojennego, w którym by rolnicy tak mało, jak obecnie, odczuli klęski, jakie na nich zwykle w takich okresach spadały.

Objawem, który zwykle klęskom takim towarzyszył, było to deklasowanie się rolników. Miało to miejsce po wojnach napoleońskich, jak wspomniałem. Miało miejsce i wcześniej jeszcze. Magnaci wówczas tracili często zupełnie swe fortuny, ziemianie zamienili się w proletariatuszlachecki, gospodarze pańszczyźniani spadali do rzędu chałupników i komorników.

Procesy takiej degradacji społecznej były masowym skutkiem czasów wojennych i powojennych w różnych okresach naszego życia państwowego. Objawu takiej masowej degradacji uniknęliśmy po ostatnich wielkich wojnach, jakie się na naszym terytorjum odbywały. Jest to wielkie szczęście dla rolników, szczęście, którego nie umieją oceniać i które zawdzięczać winni Polsce.

A wieluż to rolników, zrujnowanych na kresach poza granicami Polski, znalazło w Polsce możliwość życia na poziomie nie deklasującym ich społecznie. Jakże to wielkim było dla nich ratunkiem, który Polsce zawdzięczają.

O tem, jak przesadnie były żale rolników w 1924/25 r. pisałem w części historycznej. Widzieliśmy tam, jak obfita była pomoc rządu dla rolników w postaci kredytów i subwencji. Żaden rząd w świecie nie daje takich dogodnych warunków kredytowych przy meljoracjach, jak rząd polski to czyni na mocy ustawy z 1925 roku.

Wszystkie instytucje rolnicze korzystają u nas z poważnych subwencji rządowych, a te z nich, które rozwinęły się już za czasów państwa polskiego i powstały pod hasłem organizowania drobnej własności, otrzymują tak obfite fundusze rządowe, że stanowią one znacznie więcej, niż składki członków i inne dochody własne. W wielu instytucjach rolniczych liczny personel urzędniczy prawie całkowicie jest przez państwo utrzymywany. Za pieniądze rządowe personel ten często pracuje nad wytwarzaniem atmosfery niechęci i pretensji do rządu, często nieuzasadnionych.

Praca naszych instytucyj rolniczych, to praca nie samych rolników, a płatnego przez państwo przeważnie personelu.

Niższe szkoły rolnicze są tak hojnie wyposażane przez rząd, że niektóre z nich wyglądają wprost imponująco i trudno w Europie znaleźć równie wspaniałych co do wyglądu budowli. Obok jednak położone role wiejskie wyglądają marnie. Kooperatywy rolnicze wciąż uzyskują to kredyty rządowe, to gwarancje rządu dla ich pożyczek i kredytów zagranicznych. W razie klęsk elementarnych rząd w Polsce pomaga rolnikom w rozmiarach znacznie większych, niż to dawniej było czynione. Ale rolnicy są przekonani, że im jest źle i że winien temu rząd. Tak ich nauczono i w to wierzą.

Przyczyną tego, że pomimo znacznych pomocy rządowych, o które się reprezentanci rolników stale dopominają, ogół rolniczy nie czuje się zadowolonym, jest ten, że wszystkie te kredyty, pomoce, subwencje, szkoły są to dobrodziejstwa, z których wielka masa ogółu rolniczego wcale nie korzysta i nie widzi. Jest pewna mniejszość zorganizowana, która o wszystko się upomina, ale dla której wszystko co otrzyma jest zwykle za mało. Ogromna większość stoi od tego zdala.

Państwo polskie nie wyrobiło sobie polityki bezpośredniego stosunku władzy z ludnością rolniczą włościańską. Organy państwowe potrzeb tej ludności nie znają. Wyrazicielami tych potrzeb są organizacje, które są bardzo często przepojone duchem służenia partjom politycznym. Często urzędnik organizacji i reprezentant partji na dany okręg to jedna i ta sama osoba.

To, że organizacje rolnicze są przepojone zadaniami politycznymi i że władze nie mają bezpośredniego stosunku z ludnością włościańską w zakresie jej potrzeb ekonomicznych, jest jedną z przyczyn, że wszelka pomoc rządowa dotychczasowa nie jest należycie doceniana i na usposobienie umysłów nie wywiera tego wpływu, jaki powinien by się uwidocznić.

Z tego, że podkreślam istnienie znacznej pomocy rządowej dla rolników, nie wypływa, bym twierdził, że rolnikom w Polsce miało być istotnie dobrze. Pomoce te dla ogromnej większości nie mają istotnego znaczenia. Inaczej zresztą być nie może. Nigdy pomocami i kredytami rządowymi dobrobytu żadnej szerszej warstwy ludności stworzyć nie sposób. Rolnikom zapewne jest źle, ale gdyby nie pomoc rządowa, byłoby im jeszcze gorzej.

Czy po wojnie rolnicy stosunkowo najwięcej ucierpieli, czy inteligencja, czy robotnicy, trudno o tem z góry wydać sąd zupełnie ugruntowany.

Żal rolników do rządu pochodzi głównie z tego, że chcieli by oni mieć wysokie ceny na swoje produkty, a wszystkie rządy w Polsce się temu sprzeciwiały. Ale rolnicy zapominają dodać, że sprzeciwiały się te rządy niedostatecznie, gdyż drożyzna wciąż rosła. Opłaty wywozowe od produktów rolnych zostały zniesione w połowie 1924 r., o czym pisałem już w części historycznej; na jesieni tego roku wobec klęski nieurodzaju musiały być one napowrót zaprowadzone, ale tylko na zboża. W połowie 1925 r. i te ostatnie już utrudnienia wywozowe dla rolników zostały skasowane. Nie przeszkodziło to obecnemu Ministrowi rolnictwa napisać na jesieni w piśmie dla młodzieży „Prąd”, że „Polska doszła do ruiny gospodarczej i finansowej głównie dzięki antyagrarniej polityce dotychczasowych rządów”. Artykuł zatytułowany jest: „o tej, która Polskę zniszczyła”. Autor najwidoczniej głęboko wierzy, że Polska jest już zniszczona i według niego nie wojna zniszczyła Polskę, nie bolszewicy zniszczyli rolników na Kresach, a rząd polski. Według autora Polskę zniszczyły rządy w Polsce, które „wbrew radom Jounga” „świadomie” prowadziły politykę antyrolniczą. Co należy pod tym zarzutem rozumieć, autor objaśnia dalej: „Polska pobiera cła wywozowe i stosuje zakazy wywozu”. Wydrukowane to było na jesieni 1926 r., gdy zakazu wywozu rolniczego z Polski już od dwóch lat nie było i gdy ostatnie cła, istniejące jeszcze przejściowo w 1925 r. jedynie na zboża, były zniesione już od pięciu kwartałów. Taka niezajomość stosunków naszych nie przeszkodziła autorowi przeciwstawić Polsce inne kraje, które stawia nam za wzór, nie wiedząc, że w wielu innych krajach mogą rolnicy właśnie Polskę stawiać za wzór swoim własnym rządóm, nie widząc np. że w Niemczech, które są oczywiście dla niego największym wzorem, opłaty wywozowe trwały tak samo długo jak i u nas.

Ale ironja losu nie oszczędziła autorowi tych gorzkich pod adresem Polski i jej dotychczasowych rządów zarzutów tego, że sam musiał się zgodzić jako minister rolnictwa na wprowadzenie z powrotem cel wywozowych na zboże, które ja zniosłem. Za obecnego ministra zostały zaprowadzone tak wysokie cła wywozowe, jakich za mnie i moich poprzedników nigdy nie było. A więc gorący i zdaje się szczerzy agrarjusz polski, musi się solidaryzować z polityką, za którą jako członek gabinetu, jest odpowiedzialny i która chroni kraj przed drożyzną za pomocą cel wywozowych. Przykłada on swoją rękę w tej sprawie do polityki, o której się wyraził, że „zniszczyła Polskę”.

Rolnicy potrafili tak silnie oddziaływać na opinię publiczną w tym duchu, że największym nieszczęściem życia gospodarczego całej Polski była to słaba siła nabywcza wsi naszej, spowodowana niskimi cenami na zboże, że gdy zimą 1926 na 27 rok ceny zboża poszły znacznie w górę, wszystkim się zdawało, że to powinno oddziaływać dodatnio na ożywienie przemysłu i handlu. Nie jestem wcale zwolennikiem tego, by ceny na zboże były niskie, gdyż niskie ceny zbyt deprymują produkcję i dlatego też wciąż obniżałem i kasowałem stopniowo opłaty wywozowe, ale w sprawie związku pomiędzy kryzysem gospodarczym, a cenami produktów rolnych trzeba umieć orjentować się bez przesady.

Był moment, że w Łodzi wśród przemysłowców uwierzono, że wystarczy, by ceny na produkty rolne poszły w górę, a towary łódzkie znajdą dobry zbytny w kraju. Na tej

podstawie odbywało się werbowanie fabrykantów łódzkich na wczesną wiosnę 1926 r. do Piasta, a na późnej jesieni tegoż roku do grona konserwatystów Polskich. Od połowy 1926 r. ceny zbóż szły silnie w górę, ale na jesieni 1926 r., rosła ilość bezrobotnych w kraju, a w szczególności w Łodzi poprawy nie było widać. Gdy wreszcie poprawa nastąpiła, stało się to pod wpływem innych czynników.

Rolnicy lubią zaznaczać wyraźnie, że ich jest ogromna większość ludności, że więc Polska jest krajem rolniczym. Ale przecież w ogromnej większości innych krajów, również jak w Polsce, więcej ludzi mieszka na wsi i zajmuje się rolnictwem niż innymi zajęciami. Tak samo jest i we Francji, a nikt nie nazwie Francji krajem rolniczym. Polska nie jest krajem rolniczym, ale rolniczo-przemysłowym. Jeżeli ludność rolnicza jest liczniejsza, to jednak wytwórczość i konsumpcja jej nie przewyższa, a stoi poniżej wytwórczości i konsumpcji reszty ludności.

Podatki, które wpłacają do skarbu rolnicy, są wielokrotnie mniejsze od podatków wpłacanych przez inne warstwy. Podatek gruntowy stanowi zaledwie 15% ogółu podatków bezpośrednich. Wprawdzie dla tych, którzy płacą wysoką progresję jest on ciężki, ale na ogół daje on nie wiele. W podatku dochodowym rolnicy uczestniczą w małym bardzo odsetku ogólnej wysokości. Lekceważona przez rolników nie rolnicza mniejszość społeczeństwa opłaca nie mniej jak 75% ogółu podatków bezpośrednich. Pomimo, że rolnicy stanowią $\frac{2}{3}$ społeczeństwa, płacą oni nie więcej jak 25% podatków bezpośrednich, czyli, że rolnicy płacą stosunkowo 6 razy mniej podatków na głowę, od reszty ludności. Gdy cyfry te podawałem w Sejmie, wybuchała wśród posłów rolników irytacja. Wykrzykiwano, że podatki pośrednie spadają całym swoim ciężarem na rolników. Jest to błąd. Na głowę ludności rolnicy na szczęście nie piją tyle wódki, co ludność miast, a tytoniu spalają również znacznie stosunkowo mniej na głowę ludności. Cukru rolnicy również spożywają znacznie mniej od mieszczan, a sól, której potrzebują więcej niż miasta, daje tak małe dochody skarbowi, że to żadnej nie odgrywa roli.

Jeżeli rolnicy przysparzają skarbowi znacznie mniej dochodów niż miasta, jest to rzeczą zupełnie naturalną, która i w innych krajach ma zwykle miejsce. Natomiast specjalnie w Polsce jest do zaznaczenia to, że wydatki państwa na potrzeby wsi są większe, niż w innych krajach. To, że państwo opłaca całkowicie pensje nauczycieli ludowych i policji jest wielką ulgą dla wsi. Pensje nauczycieli ludowych na wsi stanowią znacznie więcej, niż cały podatek gruntowy, jaki skarb ze wsi otrzymuje. Udział rolników w suskrypcjach na Bank Polski wykazał się cyfrą zaledwo 7% kapitału wpłaconego. W suskrypcji pożyczek wewnętrznych dotychczas wieś polska i ziemianie przyjmowali bardzo mały udział.

Pomimo tego wszystkiego rząd w Polsce o rolnikach i ich potrzebach usilnie dbać powinien. Podnieść wyżej naszego rolnika jako człowieka, obywatela kraju i jako producenta, to wielkie zadanie państwowe. Od dobrego rozwiązania tego zadania zależy przyszłość Polski. Nie mniej nie można z tej potrzeby okazywania dbałości o interes rolników wyprowadzać wniosku, że rząd nie powinien nigdy nakładać opłat wywozowych na zboże, jak tego chcą rolnicy. Rząd nałożył te opłaty w drugiej połowie 1924 r., gdy był wielki nieurodzaj i powtórzył to samo w 1927 r., gdy urodzaj był lepszy, ale nie wystarczający i zrobił w jednym i drugim wypadku dlatego, że wymagały tego względy ogólnie państwowe.

Rolnicy są niezmiernie cennym elementem państwa i społeczeństwa u nas i w innych krajach. Są elementem rdzennie polskim i materiałem, z którego wszystkie inne części składowe społeczeństwa dają się urobić. Ale element ten ma słabą siłę rozwojową, zbyt łatwo poddaje się rutynie i zbyt łatwo podlega wszelkim czynnikom depresji. Jest to właściwość rolników u wielu również innych narodów.

Właściwa miara wymaga, by oceniać każdego według jego zasług. Rolnicy nie mogą wciąż tylko wyrzekać na Polskę, dopominać się wysokich cen za swe produkty, dopominać się subwencji, kredytów, ulg i t. p. Muszą też oddawać oni Polsce duże świadczenia. Podatków nie są w stanie dać wiele. Szczycą się rolnicy, że ich eksport jest znaczny. Nie tyle jest to ich zasługą, co wynikiem tego, że konsumpcja nie rolników jest u nas niska, tak, że eksportujemy sporo produktów rolniczych pomimo, że produkcja ich u nas stoi nisko. Podnieść produkcję rolniczą drogą własnych wysiłków, to powinno być właściwym celem i ambicją rolników. Ogół naszego społeczeństwa nie może dostrzec, by na tym polu odbywała się wystarczająco poważna rywalizacja między rolnikami. Dotychczas ten wśród

rolników górował, kto bardziej narzekał i więcej ulg lub kredytów od rządu wyjednywał. Ten stan umysłu ogółu rolników wymaga stanowczej naprawy.

Gdy ogół nasz będzie widział, że rolnicy oddani są z całym zamięłowaniem istotnej pracy wytwórczej, dającej duże rezultaty i gdy się przekona, że rolnicy przez wysiłki swojej pracy doszli do tego, by móżdź dźwigać zwiększone ciężary życia państwowego, to będzie to dużo bardziej ważkim argumentem na korzyść tego, że rolnikom należy się w państwie pierwsze miejsce niż to, że ich jest dwie trzecie ludności.

ROZDZIAŁ VIII

Równowaga budżetu i oszczędność

Od wielu lat domaga się od rządu opinia publiczna oszczędności. Skasowaniem już dawno zostało rozjeżdżanie samochodami i pojazdami lub wagonami salonowymi różnych dygnitarzy, porobione zostały liczne redukcje personelu, zaprowadzono normy dla opału i światła, umundurowania i innych potrzeb materiałowych. Ale tego niedość.

Gdy poprzednio dokonane oszczędności okazały się niedostatecznymi, rząd, który po mnie nastął, chwycił się tego środka, by obciąć pensje urzędnikom i zrezygnował z bardzo wielu wydatków niezbędnych. Po pewnym okresie czasu trwania obciniek pensyj, wojskowi otrzymali dość poważne dodatki, obcinki te przewyższające, ale urzędnicy cywilni długo nie otrzymywali nic, a wreszcie otrzymali dodatki drobne i niedostateczne.

Zdaniem mojem, weszliśmy przez oszczędności, zaprowadzone po mojem odejściu, na błędną drogę. Rezygnując z inwestycji, wystawiamy obronność naszego kraju w razie agresji na wielkie niebezpieczeństwa wobec niemożności skutecznego gromadzenia środków obrony. Jednocześnie demoralizujemy ogół funkcjonariuszy państwowych i policję, opłacając ich pracę niżej tego, co jest godziwe i dopuszczalne i podkopujemy przez to obronność Państwa przed niebezpieczeństwem wstrząśnień wewnętrznych.

Z błędnej drogi trzeba zejść koniecznie. Dlaczego na nią weszliśmy? W imię równowagi budżetu. Twarda to konieczność, ale konieczność. Bez równowagi budżetu nie utrzymamy kursu złotego i nie otrzymamy pożyczki zagranicznej. Trzeba więc wiele poświęcić, ażeby tę równowagę utrzymać.

Ale co poświęcić? O to właśnie się rozchodzi, że w nawoływaniu do oszczędności mało zawsze było zrozumienia tego, jaką drogą można prawdziwą oszczędność najwłaściwiej osiągnąć.

Tymczasem w imię oszczędności dokonane zostały i trwają bolesne i niesłuszne zarządzenia, jak obniżanie płac i wynagrodzeń, a nie ustają okólniki i zarządzenia takie, które dążą do nagromadzenia pracy czysto biurowej i formalnej, wymagającej powiększania personelu, a więc przeszkadzającej rozumnej oszczędności.

Rozumną oszczędność, czy w aparacie rządzącym, czy w aparacie biur prywatnych i wielkich fabryk, można osiągnąć tylko drogą reorganizacji samej pracy, polegającej na upraszczaniu formalistyki oraz na zmniejszeniu punktów ząbienia się pracy.

Wszyscy narzekają na nadmiar cyrkularzy i formularzy. Ale tych ostatnich tylko wciąż przybywa i to we wszystkich dziedzinach. Trzeba z tem skończyć. Zmniejszenie wymagań co do pracy biurowej pozwoli zmniejszyć ilość personelu zajętego pracą formalną.

Akcja oszczędnościowa, polegająca na redukowaniu zbędnych urzędników, odbywała się na skalę poważną w 1924 r. i 1925 r. W ciągu 1926 r. bardzo mało już ich zredukowano. Jeżeli usuwano jednych, dobierano drugich. Czy to znaczy, żeby chęci do dalszego przeprowadzania oszczędności zabrakło? Bynajmniej, chęci zapewno były te same, ale zabrakło możliwości prowadzenia dalszych redukcji wobec tego, że ci urzędnicy, którzy pozostali na urzędach, po redukcjach 1924 i 1925 r., nie byli to urzędnicy zbędni, a niezbędni i zawalieni pracą. Jakże ich więc zredukować.

A jednak dalsze oszczędności są konieczne, choćby dlatego, by móc polepszyć uposażenie reszty urzędników. Ale to dalsze oszczędności są niemożliwe do przeprowadzenia bez reorganizacji i zmniejszenia samych wymagań, jakie władze naczelne stawiają od podległych im urzędów.

Dlaczego te wymagania są tak znaczne? Dlaczego policja, koleje, gminy, szkoły zawalone są pisaniną na żądanie władz, pisaniną, która masę kosztuje pracy, a więc i kosztuje dużo pieniędzy.

Stało się to wynikiem tego, że opanowało nas i trzyma dotychczas w swoich kleszczach złe pojmowanie zasad rządzenia. Każdy zwierzchnik uważa, że zadanie jego polega na stawianiu formalnych wymagań od podwładnych. Rzadko kiedy poznaje on istotę rzeczy i stosunków i nią się interesuje, ale wymaga, by co do wszystkiego zwracano się do niego o pozwolenie i o wszystkim go powiadamiano. Jest to system centralizmu. Niektórzy nazywają to biurokratyzmem austriackim. Niesłusznie. Francja przez ten okres przechodziła po rewolucji Francuskiej. Jest to typowy centralizm.

Z centralizmem biurokratycznym musimy skończyć i to na całej linii. Dzisiejsza Najwyższa Izba Kontroli Państwa pcha cały nasz aparat rządzący do centralizmu, ale też z obecną formą tej kontroli też trzeba zerwać i zamienić ją na inną, któraby nie wywierała tego ujemnego wpływu na centralizm i formalizm, co obecna. Że trudną jest rzeczą wyzbyć się centralizmu i biurokratyzmu, tego dowody każdy ma na każdym kroku. Pomimo, że wszyscy narzekają na biurokratyzm, a jednak wymagania biurokratyczne, stawiane z góry przez Rząd i przez N. Izbę Kontroli Państwa wobec urzędów i instytucji państwowych wciąż rosną.

Oszczędności, wymagające zmian w trybie urzędowania, mogą być przeprowadzone drogą gruntowej reorganizacji tego trybu, głównie na podstawie zmian w sposobie pojmowania rządzenia państwem, co leży w zakresie czystej administracji państwowej. Ale tego rodzaju oszczędności, to tylko częśćka tego, co powinno być dokonane na to, ażeby osiągnąć poważne wyniki dla budżetu państwowego. Inne oszczędności, które są również konieczne, wymagają zmian ustawodawczych. Wiele znajduje się takiej pracy państwowej, która mogłaby być zbędną, o ile by nie wypłynęła ona z obowiązujących ustaw. Wiele stanowisk urzędowych na tychże ustawach jest opartych. Chcąc przeprowadzić oszczędności w tej dziedzinie, trzeba zmienić ustawy, a temu stoi na przeszkodzie to, że w poszczególnych drobnych sprawach, o które się głównie rozchodzi, nie sposób rachować na to, by taka projektowana zmiana ustawy ujrzała w Sejmie światło dzienne. Na setki liczyć trzeba projekty rządowe, których Sejm wcale nie rozpatrzył i nie rozpatrzy.

Ponieważ z tej trudności zdawałem sobie sprawę, więc też do pełnomocnictw na drugie półrocze 1924 r. wprowadziłem kilka punktów, upoważniających rząd do przeprowadzenia oszczędności, wymagających zmian ustawodawczych. Wiadomo z części historycznej, że Sejm właśnie te części pełnomocnictw w znacznej mierze odrzucił. W końcu 1925 r. wniosłem projekt ustawy o Radzie oszczędnościowej, złożonej z przedstawicieli Sejmu, Senatu i Rządu dla przygotowania całego wielkiego planu, wymagającego zmian ustawodawczych. Szło mnie o nadanie temu planowi takiego autorytetu, by przejście jego przez Sejm mogło być zapewnione. Ten mój projekt został odrzucony, gdyż po moim odejściu został zupełnie zaniechany.

Wzamięn za to zaniechanie rząd koalicyjny przygotował i przeprowadził ustawę sanacyjną szkolną i obciął wskaźniki drożyzniane przy wypłacie pensji urzędnikom. Były to środki doraźne. Okazała się wkrótce konieczność by od nich częściowo przynajmniej odstąpić. Należało zatem zamiast poprzestawania na nich, zabrać się do istotnego planu oszczędności, wymagających zmian ustawodawczych.

Wnieść jakikolwiek projekt takich zmian, a go nie przeprowadzić, to praca, która by zrobiła dużo rozgoryczenia, a nie przyniosła żadnego pożytku. Żaden przeto rząd pozaparlamentarny, czy koalicyjny takiego planu sam opracować nie potrafi, o ile nie dostanie pełnomocnictw dla ich przeprowadzenia. Ale i w tym wypadku rząd o tyle skorzysta z takich pełnomocnictw, o ile będzie to moment odpowiedni, w którym napięcie sił państwowo-twórczych wzniesione zostanie na wyższy poziom. Bo w oszczędnościach bez ofiar obejść się nie można. A ci, którzy pierwsi domagają się oszczędności, zwykle wcale nie chcą nic wiedzieć o konieczności ponoszenia ofiar i sami jeszcze przeszkadzają w ich przeprowadzaniu. Dzisiejszy rząd ma pełnomocnictwa takie, że mógłby przeprowadzać oszczędności, wymagające zmiany ustaw, ale ani sam do tego się nie zabiera, ani opinia publiczna tego od niego nie wymaga.

Jedną z najtrudniejszych, a jednak dających największe rezultaty metod przeprowadzania oszczędności, jest to kasowanie całych ogniw czy placówek organizacyjnych przez łączenie większej ich ilości w jedno.

We Francji zdecydowano się na to, by zmniejszyć ilość okręgów sądowych i jednostek administracji politycznej. U nas dawno już wszyscy wiedzą, jak wielkie są różnice w rozległości i zaludnieniu województw, powiatów, gmin, okręgów sądowych itp.

Małe jednostki ogromnie podrażają administrację, więc należy przeprowadzić ich komasację. Dotychczas wszelkie próby w tym kierunku napotykały na nieprzewyciężony opór różnych czynników politycznych. A jednak bez takich poważnych zmian organizacyjnych nie zaprowadzimy istotnie poważnych oszczędności.

Dla tego, byśmy mogli przeprowadzić istotne oszczędności, musimy się doczekać chwili i warunków, w których stanie się możliwym wniesienie się czynników rządowych i ustawodawczych na poziom interesów całego społeczeństwa ponad partykularne interesy grup najrozmaitszych. Taką chwilą nie był ani 1924 r., ani 25 r., ani 26 rok. Leży ona jeszcze całkowicie przed nami.

W poprzednich wywodach moich wskazywałem na przesadę wielu działaczy politycznych w narzekaniu na nadmiar urzędników u nas istniejących i w upatrywaniu w tym nadmiarze głównej przyczyny ciężaru podatkowego. Podkreślałem, że nadmiar ten i w innych krajach istnieje. Nie dowodziłem przytem wcale, by nie można było i nie należało zmniejszyć liczby u nas urzędników. Przeciwnie za tem zmniejszeniem się wypowiadałem całkowicie. Ale nie widzę możliwości, by takie zmniejszenie można nadal robić mechanicznie, jak to dotychczas się odbywało. Trzeba sięgnąć głębiej i reorganizować zarówno system naszej biurowości i pojęcia nasze o sposobie rządzenia jak i podział administracyjny kraju. Wtedy można będzie osiągnąć oszczędności nietylko na wydatkach personalnych, ale i na rzeczowo administracyjnych. Takie oszczędności osiągnąć należy nie dlatego, by stąd dała się uzyskać możliwość ulżenia ciężaru podatkowego, ale że wtedy łatwiej będzie można polepszyć warunki wynagradzania tych urzędników państwowych, od których istotnie należy wymagać dużej odpowiedzialności, ale też i którzy nie mogą być nadal tak słabo wynagradzani, jak obecnie, bez największych dla państwa niebezpieczeństw.

ROZDZIAŁ IX

Podniesienie wydajności podatków

Powszechnem stało się wykazywanie, że ciężar podatkowy, który istniał w 1924 i 25 r., był nadmiernym. Już w poprzednich rozdziałach wyjaśniłem, że nie ja ten ciężar ustanowiłem. Wyjaśniłem również, że mylnym jest pogląd, jakoby ogólna wysokość dochodów z podatków była u nas za wysoką, natomiast prawdą jest, że rozkład podatków u nas jest nieodpowiedni.

Podalem wyżej cytaty z Rybarskiego, wskazujące, jak w przeszłości naszej największą naszą bolączką, była słaba wydajność naszego kraju pod względem podatkowym. Dziś przeto trzeba się bardzo zatroszczyć o to, czy obecny nastrój, potępiający nadmiar ciężaru podatkowego nie poszedł za daleko. Mówi się, że kraj za mnie uginał się pod ciężarem podatków, że na szczęście spadek złotego ulżył producentom, ale, że ci obecnie nie znieśli by żadnej nowej podwyżki podatków.

Ci, którzy dowodzą, że w 1924 i 25 r. producenci ugięli się pod ciężarem podatków, przejawiają sytuację i fałszywie ją oświetlają. Producenci ugięli się pod ciężarem koniunktury, przy której nie umieli i nie mogli wygospodarować potrzebnych i na ich i życie i na podatki zysków, zadłużyli się i utracili zdolność wypłacania się z należności wszelkich, a w tej liczbie i z należności podatkowych. Ci, którzy najwięcej się w 1924–25 r. zadłużyli, ci często najmniej popłacili podatków, gdyż ratowali się prolongatami, a jednak długów nie uniknęli.

Dzisiejsze podatki są na tyle wadliwe, że podnosić je w ogólnej skali procentowo nie byłoby oczywiście dobrą i wskazaną rzeczą. Ale podatki w Polsce muszą dać większe sumy ogólne dochodów, to dla mnie nie ulega żadnej wątpliwości. Przy dzisiejszej stopie dochodów państwowych, my jako państwo między Niemcami i Rosją się nie utrzymamy. Już poprzednio to wykazałem.

Czego nas jednak uczy doświadczenie w zakresie naszej polityki podatkowej? Tego, że Rząd z Sejmem razem żadnego rozumnego systemu podatkowego nie stworzą i nie zaprowadzą. Każdy projekt rządowy w zakresie podatków bądź ulegnie w Sejmie zniekształceniu (jak podatek gruntowy oraz majątkowy w 1923 r.), bądź będzie leżał bez rozpatrywania, (jak dwie nowelizacje podatku majątkowego w 1925 r.).

Co jednak robić, gdy Sejm zazdrośnie strzeże swego prawa odnośnie do uchwalania systemu i wysokości podatków? Każdy Sejm w każdej epoce był taki sam. Otóż w tej sprawie: albo sejm następny okaże się wielkim Sejmem reform gospodarczych i skarbowych, a więc i podatkowych, albo musi nastać w Polsce okres takich pełnomocnictw dla rządu, ażeby mógł objąć on wszystkie dziedziny ustawodawstwa i podatkowego i socjalnego i mógł istotnie ugruntować siłę Polski na powszechnych dla jej najwyższych konieczności bytu ofiarach i wysiłkach.

Poza zagadnieniem lepszego ustawodawstwa państwowego stoi sprawa lepszego wymiaru podatków, w granicach istniejących niedoskonałych ustaw. I w tej dziedzinie musimy się doczekać nowej ery: powszechnego zapału do uczciwości w zeznaniach i szacowaniu dochodów i obrotu gospodarczego. Dziś demoralizacja w tym zakresie jest zabójcza i jest, co gorsza, uswięconą przeświadczeniem, że trzeba siebie bronić i innych przed Skarbem, przed wampirem fiskalizmu i biurokracji.

Taka psychika jest nędzną i marną, bo jest to bronienie samego siebie i swoich bliźnich przed potrzebami Polski. Złe ustawy do wytworzenia takiej psychiki się przyczyniają. Ci z urzędników, którzy są bądź niedość inteligentni, bądź złośliwie do całego społeczeństwa usposobieni, do wytworzenia się tej psychiki swoim postępowaniem się przyczyniają. Ale przecież ci większości nie stanowią. Większość urzędników ma te same wady i charaktery, co i ogół społeczeństwa. Tak samo i w ustawach naszych, obok niektórych wad, jest bardzo dużo słusznych i mądrych rzeczy, zaczerpniętych z doświadczeń i wzorów państw zachodnich. Czemuż zatem psychika antypodatkowa mogła się u nas tak zagnieździć? Bo największym jej sprzymierzeńcem jest chciwość ludzka, by swego grosza nie dać, ze swego nie popuścić i złe przyzwyczajenie przeszłości, by się przed każdym wymaganiem ofiar materialnych ze strony państwa bronić i to solidarnie.

W początkach 1924 r. odwołałem się do pomocy Stowarzyszenia przyjaciół Skarbu Polskiego, które zostało zorganizowane. Ale stowarzyszenie to natrafiło na grunt bardzo nieprzyjazny dla jego rozwoju. O ile dla zapisywania się na akcje Banku Polskiego była w naszym społeczeństwie chwila powszechnego entuzjazmu, o tyle nie doczekaliśmy się jeszcze tego, by każdy uznał za punkt honoru i ambicji własnej nie tylko podać swoje własne zeznanie zgodnie z istotnym stanem rzeczy, ale dopilnować i nalegać, by inni to samo robili. Miałem jednego znajomego, który sobie ten ostatni punkt ambicji postawił. Widywałem go w r. 1924 i 25 i śledziłem jego borykanie się, by na swoim postawić i być przynajmniej zrozumianym przez otoczenie. Jeden z faktów, który na jesieni 1925 r. na mnie oddziałał najbardziej przygnębiająco było to, gdy ostatni raz widziałem mego znajomego, który oznajmił mnie, że został przez wszystkich znienawidzony, że wszyscy czyhają na jego własną zgubę i dodał, że ani ja, ani nikt nie może mu nic pomódz, bo jest zupełnie wyczerpany i do dalszej walki z usposobieniem całego społeczeństwa niezdolnym.

Było coś beznadziejnego w tem wyznaniu, a rozmówca mój unikał nawet tego, bym go do wytrwania na jego drodze zachęcał.

A jednak jest rzeczą konieczną, by przełamać tę psychikę wzajemnej asekuracji społeczeństwa przed własnym państwem. Albo istotnie państwo polskie jest naszym najwyższym dobrem, któremu dać to, co się należy, jest chlubą i szczęściem, albo będziemy podcinałi jego konary, broniąc się, by mu nie dawać tego, co mu się należy, aż powalimy go zupełnie i oddawać zaczniemy z powrotem nasze środki na usługi, jak dawniej, państw obcych.

Rozumiem, że wyczekiwać ze strony społeczeństwa porywów idealizmu w sprawach tak poziomych, jak płacenie z własnej kieszeni, jest rzeczą nierealną, o ile jednocześnie nie doprowadzimy do tego, ażeby i służba państwowa podatkowa mogła stanąć na istotnie wyższym poziomie.

Nic tak nie demoralizuje podatników jak to, gdy prawdzie nie daje się wiary, gdy samowolnie i bez podstaw wmawia się w kogoś, że miał więcej dochodu lub obrotu, niż miał istotnie. Gdy kto raz zmuszony zostanie zapłacić więcej, niż należy, już on sam więcej

prawdą kierować się nie będzie, a dziesięć innych osób rozgrzeszy się też w swoim sumieniu, widząc, że takiego, wtóry chciał być sprawiedliwym, spotkała krzywda. O takich krzywdach ciągle się słyszy. Czyżby to robili ludzie złośliwi? Nie, robią to ludzie zwykli. Nie znają oni swego społeczeństwa. A przedewszystkiem są zgorzkniali, zmuszeni do pracowania za zbyt marne wynagrodzenie, są zgnębieni biedą i nieufni. Nie wiedzą oni, komu wierzyć, komu nie, wołają nie wierzyć nikomu. Robią według własnego sumienia najlepiej, a przynoszą krzywdę państwu i społeczeństwu.

Zagadnienie podatkowe, choć jest na ustach wszystkich, nie jest dostatecznie badane i naukowo rozważane. Zrobiliśmy w tej materji bardzo wiele, ale z pośpiechem. Do tego, co zrobiliśmy, wniesć musimy poważne korektywy i stworzyć aparat ludzi, wzbudzających zaufanie społeczeństwa i umiejących jednocześnie z tego społeczeństwa wydobyć siły potrzebne dla utrzymania państwa.

ROZDZIAŁ X

Pożyczki zagraniczne i krajowe

W naszej opinji publicznej szczególną wagę wszyscy przywiązują do zaciągnięcia przez rząd większej pożyczki zagranicznej. W pojęciach wielu osób pożyczka taka ma się stać czemś wprost epokowym dla odrodzenia gospodarczego kraju. W sądach takich dużą rolę odgrywa zapatrywanie się na przykład Niemiec, gdzie istotnie pożyczka udzielona przy realizowaniu planu Dawes'a, odegrała wielką rolę. Nasze pożyczki z 1924 i 25 roku były za małe, by mogły podobną rolę spełnić.

Pożyczki zagraniczne rządowe, jak to zaznaczyłem w moich wspomnieniach historycznych, są zawsze tylko złem koniecznym. Czy konieczność tego zła w 1927 r. jeszcze istnieje, wydaje się rzeczą wątpliwą. Ale pęd ogółu do tego, by rząd zawarł umowę pożyczkową jest zbyt wyraźny. Rząd ulega temu nastrojowi ogólnemu.

O ile w opinji publicznej ustalonym jest pogląd na pożytek a nawet na konieczność zaciągania pożyczek zagranicznych, o tyle na ogół panuje przekonanie, że właściwie rząd nie powinien wcale zwracać się do społeczeństwa o pożyczki krajowe.

W takim ujęciu sprawy tkwi częściowo przekonanie, że przecież społeczeństwo, które samo potrzebuje kredytu, nie może go ze swej strony udzielać rządowi, a prędzej do rządu winno się o to zwracać. — Istotnie w ciągu całego 1925 r. i 1926 społeczeństwo stałe się zadłużało w Bankach państwowych i w P. K. O., a jednocześnie emisje pożyczek wewnętrznych stały na martwym punkcie. Tak jednak nie było w 1924 roku i w latach poprzednich. W 1924 roku część pożyczki kolejowej oraz bonów krótkoterminowych znalazła na rynku nabywców, co zasililo ówczesny budżet wydatków nadzwyczajnych.

W roku 1926, kurs papierów państwowych stał na tyle nisko, że zdawało się, iż o pożyczkach państwowych wewnętrznych w Polsce na długo nie może być mowy. Znaleźli się wnet przemądrzy ekonomiści, którzy zaczęli dowodzić, że rząd sam zawinił tak ciężko wobec suskrybentów pożyczek, narażając ich jakoby na straty i z racji waloryzacji i z racji spadku kursu giełdowego, że nie może być na długie lata mowy, by zaufanie ludności do pożyczek państwowych mogło się w Polsce ujawnić. — Ale w rok po ogłoszeniu takich teoryj okazało się, że kurs pożyczek państwowych podniósł się powyżej parytetu przy oprocentowaniu na 10%. Kurs pożyczek jest zasadniczo wyższy znacznie, niż akcyj, oczywiście dla tego, że te ostatnie ani 8% rocznie nie dają. Dowodzi to, że wywody o winie rządów w zniechęceniu publiczności do pożyczek państwowych były bezpodstawnymi i zdradzały wyraźnie brak należytego poziomu moralnego tych osób, które je głosiły.

Niski kurs pożyczek był wynikiem ogólnym kryzysu kredytowego, objawiającego się drożyzną kredytu. Papier 10% przy drogim kredycie stał nisko, gdy kredyt staniał, kurs jego się podniósł. — Gdy kredyt jeszcze potanieje, pożyczki państwowe 8% będą stały powyżej pari i będzie można śmiało wypuszczać pożyczki o niższej stopie procentowej.

Czego dowodzi fakt, że w marcu 1927 r. już pożyczka kolejowa 10% przewyższyła pari. Jest to oznaka, że nastąpiła chwila, w której rząd powinien się zatroszczyć o to, by wypuścić nowe serje pożyczek wewnętrznych i oprzeć na nich częściową realizację budżetu nadzwyczajnego.

Widzimy tymczasem, że na 1926 i 1927 r. rząd zrezygnował zupełnie z tego, by dla pokrycia częściowego wydatków nadzwyczajnych wprowadzać do budżetu dochody z pożyczek wewnętrznych, jako dochodów nadzwyczajnych. Dla 1926 r., było to smutną koniecznością, gdyż kryzys kredytowy był tak świeży, że nie można było rachować na żaden dopływ z tego źródła. Ale każdy kryzys kredytowy zawsze ma swój koniec i o tem trzeba było wiedzieć. — Wyraźnie to już w styczniu 1926 roku wyjaśniłem i później parokrotnie pisałem, że i bez pożyczki zagranicznej z najgorszej fazy kryzysu kredytowego sami wyjdziemy. Tak się stało. Ponieważ jednak to nie było przewidywane i chciano upatrywać w złagodzeniu się kryzysu wpływ czynników nieoczekiwanych, więc powstały w czasie kryzysu różne błędne teorie, które następnie utrudniły orientację, teorie, które do zupełnego zaniedbania sprawy pożyczek wewnętrznych na pokrycie budżetu nadzwyczajnego doprowadziły.

Pierwszy Minister Skarbu, który po mnie nastąpił, utworzył teorię, że prawdziwa równowaga budżetu wymaga, ażeby dochody zwyczajne pokryły wydatki nie tylko zwyczajne ale i nadzwyczajne. — Teoria ta doskonałą była na 1926 rok, bo w nim na żadne dochody nadzwyczajne rachować nie można było.

Ale w teorię tę uwierzył i obecny Minister i budżet 1927 roku również nie przewiduje dochodów nadzwyczajnych. Jest to rachuba przezorna, ale błędna. Wypuszczanie pożyczek krajowych jest koniecznym, gdy tylko okazuje się, że jest miejsce na nie na rynku. W roku 1924 i 1925, koniecznym było wypuszczenie prócz pożyczki kolejowej jeszcze biletów zdawkowych, których życie potrzebowało, a budżet przewidywał. Teraz zaś w 1927 roku koniecznym będzie wypuszczanie samych pożyczek wewnętrznych. Nie będzie to gospodarką budżetową deficytową, jak to nazwali dla lat 1924 i 25 ministrowie, którzy po mnie przyszli. Nie okaże się rok 1927 deficytowym, jeżeli dzięki pożyczce wewnętrznej zwiększą się nieco wydatki nadzwyczajne.

Ale wszelkie teorie o deficycie robione na to, by znaleźć możliwość przeciwstawienia się swoim poprzednikom, są błędne i zgubne. To nie jest korzystaniem z cudzego doświadczenia, gdy się takie teorie urabia. Korzystać z doświadczenia można tylko, gdy się głęboko analizuje cały przebieg danego okresu. Przy takiej analizie nie można stanąć na tym poziomie, by korzystanie ze źródeł dochodów nadzwyczajnych dla celów budżetowych było niewłaściwym i stanowiło niebezpieczeństwo deficytowe. — Mogło by ono stanowić to niebezpieczeństwo tylko wtedy, gdyby na dochody nadzwyczajne czy to w postaci bilonu, czy pożyczek wewnętrznych, rachować w sposób nie realny, to jest wygórowany.

W roku 1927 na to źródło pożyczek w poważniejszym zakresie rachować jeszcze nie można. Ale nie można stać na tym gruncie, że jedynym dochodem nadzwyczajnym to dodatek 10% do podatków oraz podatek majątkowy, jak to widzimy w budżecie na 1927 rok. Takie stanowisko doprowadza z konieczności do rezygnacji z najbardziej koniecznych inwestycji, zabezpieczających naszą obronność, z jednej strony, a z drugiej naraża budżet właśnie na to, że może w wykonywaniu okazać się nierealnym, gdy zbyt ciasno pojęte źródła przewidywanych dochodów zwyczajnych nie dopiszą należycie.

Prowadzenie polityki pożyczek wewnętrznych jest bardzo ważną sprawą państwową. Poprawa warunków waloryzacji dawnych polskich pożyczek państwowych powinna być niewątpliwie zostać odpowiednio wykorzystaną. Najważniejszym jest wytworzyć z pożyczek państwowych stałego poważnego dopływu środków dla skarbu. Środek ten we Francji, Anglii i Niemczech dawał zawsze i daje do dziś dnia ogromne rezultaty i jest elementem budowy trwałej potęgi tych państw. O tyle od tych państw biedniejsze Włochy i te dużą na tem polu okazują żywotność.

Rząd, który chce otrzymywać dopływ środków z pożyczek, powinien ustosunkować się do własnego społeczeństwa odpowiednio, a w szczególności do tych jego ośrodków, które wykazują najwięcej zdolności do zasilania państwa swojemi funduszami. Należy wytworzyć odpowiednią psychikę w tym względzie społeczeństwa naszego przy pomocy właściwej polityki zarówno ogólnej jak i finansowej.

Dane jakie zostały ogłoszone przy dyskusji budżetowej w styczniu r. b. nad budżetem ministerstwa spraw wojskowych i z których się okazuje, że budżet wojskowy Polski jest zaledwie o 10% wyższy od czeskiego i stanowi 20% tylko budżetu wojskowego Ro-

sji 37% takiegoż budżetu Niemiec, dowodzą, że każdą zdolność społeczeństwa naszego w kierunku lokowania swoich środków w pożyczkach wewnętrznych powinniśmy wykorzystywać na cele wzmaganie naszych sił obronnych, głównie w zakresie produkcji krajowej środków obrony.

W latach 1924 i 1925 stosunek między wydatkami naszymi, a naszych sąsiadów na wojsko, był znacznie dla nas korzystniejszy i to, że dziś nastąpiło tak silne załamanie się na naszą niekorzyść musi jaknajgłębiej nas niepokoić. Wydatki nadzwyczajne budżetu wojskowego są ważniejsze dla spraw obronności krajowej od wydatków budżetu zwyczajnego. Lepiej mniej utrzymywać wojska, ale mieć własny przemysł wojskowy oraz broń i amunicję na wypadek wojny w pogotowiu.

Na potrzeby nadzwyczajne budżetu wojskowego nie możemy otrzymać pożyczki zagranicznej. Ale możemy na to przeznaczyć dochody z pożyczki wewnętrznej.

ROZDZIAŁ XI

Rozróżnienie rzeczy ważniejszych od mniej ważnych

Jeden z rysów naszych usposobień w sprawach ekonomicznych jest to nadmierny pęd do rzeczy nowych, niezwykłych i nadzwyczajnych, przy zupełnym lekceważeniu spraw najważniejszych i najbardziej powszechnych i powszednich.

Na ogół wszyscy się zgadzają na to, że największą naszą trudnością gospodarczą, jaka się ujawniła po zaprowadzeniu reformy walutowej, był to brak taniego kredytu obrotowego. Ponieważ ogólna suma kapitałów do dyspozycji jest zawsze wielkością ograniczoną, z tego wypływa jasno, że im więcej zostanie użyte na kapitał inwestycyjny, tem mniej pozostanie środków na kapitał ruchomy, a w tej liczbie i na obrotowy. Zawsze sobie z tego zdawałem sprawę i dlatego ze smutkiem odnosiłem się do objawów manji nakładowej, jakiej często miałem przykłady. Gdy komuś przyszła do głowy myśl jakaś zrobienia czegoś nowego, zaraz znalazł się ktoś, kto wykombinował wiele na realizacji danego pomysłu można zarobić, a ktoś inny znów podejmował się dobrać hasło, służące jak zaklęcie magiczne, które powinno skłonić danego ministra do poparcia, a premiera i ministra Skarbu do dania swego *placet*.

Nieraz w 1924 i 25 r. mówiłem: jak że by to dobrze było, gdyby na przeciąg jednego roku w Polsce nastąpiła stagnacja pomysłów, mających nas uszczęśliwić kosztem kredytów rządowych. Dla mnie jasnym było, że tylko wtedy byśmy mogli dojść do taniego kredytu wogóle.

Gdy wypowiadałem różnym delegacjom moje zgorszenie ich pomysłowością, która innej drogi, jak źródła skarbowe, nie znajdowała, widziałem często zgorszenie. Na ten nadmiar pomysłowości chorowały również i miasta. Ubolewałem w 1925 roku, że stolica niszczyła walutę polską, sprowadzając wozy i aparaty zagraniczne do czyszczenia ulic, choć to były wydatki, które doskonale można było odłożyć na później.

W mojej ustawie sanacyjnej z 1925 r., która przez sejm nie przeszła, przewidziałem konieczność zatwierdzania wydatków samorządowych, o ile odnoszą się one do zakupów zagranicznych. Z pośród bowiem inwestycji, bez których obejść się można, największą szkodę przynoszą te, które polegają na zakupach zagranicznych.

W tych rzeczach jednak opinia publiczna nie ma zupełnie podstaw do zdrowej orjentacji. Cieszy się ona z każdej nowej rzeczy, bo jednych to bawi dla oka, drudzy radzi są z ulepszenia, którego skutki widzi się powszechnie. Ale trzeba się zawsze zapytać, czy za te same pieniądze nie można było zrobić czegoś bardziej niezbędnego. Gdy się widzi, jak w środku miasta żebracy zimą wysiadują na zmarzniętych chodnikach dla wzbudzenia litości przechodniów, to trudno być dumnym z pięknego wyglądu taboru miejskiego, uwijającego się po tych ulicach. Nasza opieka społeczna, choć dość kosztowna, nie jest widocznie celowo zorganizowana, gdy w środku stolicy widać znamiona zupełnego zaniedbania, właściwego jedynie miastom wschodu.

O poziomie miasta sądzić trzeba podług tego, jaką jest piecza nad jego mieszkańcami, nie mniej, niż nad ulicami, a o ulicach sądzić nie można podług jednego śródmieścia, a podług całości. Całość ta dla naszej stolicy przedstawia się ohydnie, gdy się uwzględni stan naszych przedmieść.

Pęd do inwestycji dla efektu, z zaniedbaniem rzeczy najważniejszych i najbardziej codziennych, ujawnia się i w naszym budownictwie. Mamy niektóre stacje kolejowe pobudowane zbyt kosztownie i efektywnie, a inne mieszczące się w starych pudłach wagonowych.

Mamy trochę budynków szkolnych luksusowo postawionych, ale szalony brak niezwyklejszych sal szkolnych, jako tako przyzwoicie wyglądających. Przedewszystkiem mamy za mało dróg kołowych, jako tako możliwych.

Ze wszystkich inwestycji, ta ostatnia jest gospodarczo najbardziej uzasadniona. Dobra droga przysparza produkcję rolną, ułatwia aprowizację miast i podnosi całą kulturę kraju. Wiadomo to od lat dawnych. Setki lat temu inne kraje już forsowały budowę dróg. Dziś te kraje stoją na czele cywilizacji. Obliczono, że na sieć elewatorów w Polsce potrzeba będzie 60 milionów złotych. Pieniądze te, użyte na budowę dróg szosowych, przyniosą i dla rolnictwa i dla aprowizacji miast dużo więcej pożytku, niż budowa elewatorów. Ale nas nie ciągną rzeczy powszednie i zwykłe, choćby były najbardziej potrzebne. Dlatego, że takie rzeczy nas nie pociągają, dlatego jest u nas nie dobrze, dlatego jesteśmy ubodzy, pracujemy słabo, dochody mamy małe, budżet mały i państwo mamy słabe.

Kryzys 1926 r. nieco stemperował wybujały pęd do inowacji inwestycyjnych. Ale ledwo kryzys trochę osłabł, a już ten niemądry pęd się zaczyna na nowo rozwijać, za projektem elewatorów, idą projekty piekarni mechanicznych, a z temi ostatnimi — mleczarni. Wszystko musi być wzorowe i wszystko za rządowe pieniądze. Ale jeżeli te wzorowe urządzenia mają się opłacać, dla czegoż nie pójdzie na nie kapitał prywatny? Gdy na takie przedsięwzięcie ma iść kapitał rządowy, zgóry można być pewnym, że one się nie będą opłacały. Zarobi na nich ten, kto będzie budował i dostarczał materiały. Rząd i miasta będą dokładały. Opinia publiczna w tych rzeczach nic się nie orjentuje. Zainteresowani piszą artykuły „pro”, inni trochę nie dowierzają, ale wolą się nie sprzeciwiać, bo przecież to „sprawa sympatyczna”, a wreszcie, gdy rząd pieniędzy nie odmówi, to czemu nie spróbować.

Nienormalnym jest też w tej sprawie inwestycji stosunek nasz do etatyizmu. Przecież cegielnia miejska, piekarnia, mleczarnia, agril to wszystko jest nie mniejszym etatyzmem, od salin państwowych i innych przedsiębiorstw państwowych. Wszyscy krytykują te ostatnie i nikt nie zaleca, by tworzyć nowe przedsiębiorstwa państwowe, ale wciąż widać nowe pomysły przedsiębiorstw miejskich i to za rządowe pieniądze. Do miasta należeć może i winna kanalizacja, woda, komunikacja i inne tego rodzaju sprawy ogólnie miejskie, ale nie te, które zwykle i dla ogromnej większości mieszkańców załatwia przemysł i handel prywatny. Gdy miasto chce mieć wszystko własne, wchodzi na złą drogę i marnuje pieniądze podatnika w realizowaniu najskrajniejszego etatyizmu, jaki tylko być może. Powinna być ustalona z góry zasada, że na żadne inwestycje miejskie, które mają wyręczać to, co mogą zrobić sami obywatele, rząd nie powinien dawać żadnych kredytów. Ulegać presji bezkrytycznych petycji i delegacji, dla których jedynym celem jest znalezienie pretekstu, by sięgać do kieszeni skarbu, lub banków rządowych, jest to szkodliwym dla całego społeczeństwa marnotrawstwem grosza publicznego. Istnienie naprzykład agrilu, gdy ustały stosunki chaosu aprowizacyjnego, jaki był w pierwszych latach po wojnie, dziś nie wytrzymuje najmniejszej krytyki. Jest to tylko hodowanie typowego etatyizmu. Środki z likwidacji agrilu mogły by być dużo lepiej użyte na budowę tanich domów dla robotników na przedmieściach i na uporządkowanie przedmieść.

Sposób zatrudnienia bezrobotnych też znamionuje dziwne leczenie na efekty, zamiast robienia rzeczy najgruntowniejszych. Uporządkowanie ulic, rowów i dróg w obrębie wielkiej Warszawy, to zadanie poważne, które by się ogromnie przyczyniło do podniesienia higieny przedmieść i do podniesienia kultury ogrodniczej ludności zarobkującej naokoło Warszawy. Przez dbałość o dobre dojazdy do Warszawy i drogi najbliższej stolicy położone, można więcej korzyści przynieść dla sprawy taniej aprowizacji miasta, niż przez utrzymywanie agrilu. Ale najprzyjemniejszą i najłatwiejszą rzeczą jest robić parki pod Warszawą i dlatego też widzimy, że bezrobotnych tam się przeważnie zatrudnia.

Brak konsekwencji w myśleniu jest to objaw, który u najpoważniejszych ludzi się spotyka. Ci, którzy uchwalają wydatki na rozszerzanie zakresu przedsiębiorstw miejskich, w większości są przeciwnikami etatyizmu, są za popieraniem produkcji, za wolnym han-

dlem wewnątrz kraju, za popieraniem przemysłu miejscowego, za zasadą oszczędności, ale to wszystko uważają, że powinno się stosować do tego, co inni robią, ale gdy idzie o nich samych, to o zasadach zapominają. Tak samo ci finansisci, którzy decydują się dawać pieniądze na inwestycje zbędne, są wyznawcami teorii, że trzeba najpierw odbudować kapitał ruchomy, ale o tej teorii zapominają, gdy delegacja jaka potrafi przyjazną dla swojego projektu stworzyć atmosferę.

Rzecz dziwna, jesteśmy nadzwyczaj mięccy, gdy trzeba się zdobyć na to, by coś odmówić, by się na co nie zgodzić, by wręcz i krótko powiedzieć: nie, nie pora.

A tak mówić trzeba nieraz i to koniecznie.

Traktowanie spraw bez głębszego wnikania w to, na co jest pora i miejsce, a na co nie, przynosi nam nadzwyczaj wiele złego. Powinniśmy się tego surowo oduczyć. Wszyscy się w tej sprawie powinni kontrolować wzajemnie. Nie przestaniemy być biednymi, gdy sami godzić się będziemy na to, byśmy byli „blyszczący” nędzą. Nędzę naszą widzimy na każdym kroku, ale nie nędzę chcemy usuwać, tylko zasłonić ją chcemy przebłyskami urządzeń arcykulturalnych wcale w głąb nie sięgających i odbierających nam jedynie możliwość lepszego zużytkowania nieznaczących środków, jakimi rozporządzamy na podnoszenie podstaw bytu najszerzych mas ludności.

Drogi bite, budynki szkolne proste, ale dla potrzeb nauczania odpowiednie, mieszkania dla ludności robotniczej w miastach, kanalizacja i uporządkowanie przedmieść, domy schroniska dla ubogich żebraków — są to rzeczy na zachodzie dawno bardzo, bo przeszło pół wieku temu zaprowadzane. Dzisiejsze pokolenie na Zachodzie nie pamięta wysiłków tego, które walczyły z niedostatkami na tle spraw powyższych. Walczyło ono tam z niemi w połowie XIX wieku i podniosło kraje zachodu na pewien poziom kultury, do którego nam daleko. Czyż my możemy sądzić, że można te sprawy pomijać i myśleć o równaniu się z zachodem w sprawach ogólnych politycznych, czy ekonomicznych. Najpierw trzeba systematycznie kroczyć po linii wytwarzania kultury mas, a wtedy dopiero można się stać prawdziwą potęgą.

ROZDZIAŁ XII

Wychowanie społeczeństwa

W trakcie rozważań naszych nieustannie natrafialiśmy na to, że usposobienie społeczeństwa naszego, zarówno jako całości, jak jego sfer i czynników kierowniczych, nie odpowiadało istotnym potrzebom kraju i państwa.

Widzieliśmy, jak w roku nieurodzaju ogół zupełnie nie uświadamiał sobie potrzeby ograniczenia konsumpcji, widzieliśmy słaby pęd oszczędnościowy, słabe tempo pracy produkcyjnej, widzieliśmy wytwarzanie się psychiki antypodatkowej w momencie wymagającym największego hartu i wytrzymałości, łatwe uleganie psychozie zwątpienia we własny pieniądź i pogoni za dolarem. Wszystko to były zgubne objawy ogólne. A w sferach kierowniczych widzieliśmy nieustanny przerost żądań pod adresem państwa, przewyższających jego zdolność świadczenia na rzecz ogółu, ciągle doszukiwania się winy rządu w niepowodzeniach, będących wynikiem starcia się naszych niedostatecznych sił z cudzemi, od nas bardziej wyrobionemi, widzieliśmy brak poczucia odpowiedzialności i konsekwencji.

Jednocześnie widzieliśmy, że państwo nasze i jego personel administracyjny boryka się z trudnościami młodego naszego nowego bytu politycznego i nie jest w stanie w wielu dziedzinach zabezpieczyć nas od ujemnych wpływów sił nam nieprzyjaznych, — oraz nie potrafi uczynić zadość wielu potrzebom, które w dzisiejszych czasach wymagają ze strony państwa zaspokojenia.

Z tego wszystkiego naprasza się jako konieczność wniosek, że na to, ażebyśmy mieli społeczeństwo zdrowsze i silniejsze, a państwo lepsze, takie, na które zamiast narzekać moglibyśmy liczyć i z niego być dumni, musimy przerobić zbiorową duchowość naszego ogółu i jego sił kierowniczych intelektualnych, na tle których tworzą się kadry aparatu państwowego.

Ogromna większość naszego społeczeństwa składać się powinna z jednostek, chcących i umiejących wydobyć duże skutki wydajności na wszelkich polach pracy w warun-

kach codziennych, w jakich się znajduje. — Ogromna ta większość musi umieć radzić sobie przeto sama, w różnych potrzebach, nie oglądając się na niczyje pomocy, musi umieć odkładać część owoców swej pracy, by służyły one nie tylko dla chwilowego spożycia, lecz dla zadowolenia potrzeb ogólnych (podatki) oraz gromadzenia środków dla dalszej produkcji (środków kapitalizacji). Ogromna większość społeczeństwa musi się składać z jednostek o wyrobionych tendencjach życiowych, odpornych na chwilowe nastroje przełomowe tak, by na sile tej odporności państwo mogło polegać w trudnych momentach.

Sfery kierownicze muszą składać się z jednostek, uzdolnionych do kierownictwa gospodarczego i administracyjnego. Moment ekskluzywności i dążenia do spokojnej pasywności egzystencji powinien w nich być podporządkowywany momentowi poczucia odpowiedzialności i oddziaływania twórczego na każdym polu, choć w ramach ściśle określonych, a więc często z konieczności ciasnych.

Przerobienie naszego społeczeństwa w duchu powyższych postulatów jest dla nas koniecznością dziejową. Bez granic naturalnych, w otoczeniu sił wrogich, nadzwyczaj silnych, bo stanowiących niebezpieczeństwo dla całego świata, nie będziemy mogli sami zachować naszej niepodległości, o ile nie podniesiemy się na ten wyższy poziom zdolności do życia zbiorowego, jaki już znamienuje społeczeństwa przodujące ludzkości i jaki jest jeszcze nam daleki i obcy.

Obserwując z jednej strony masy naszego ludu, z drugiej naszą inteligencję i wogóle nasze klasy wyższe, trudno powiedzieć, gdzie widzimy lepszy materiał dla tej ewolucji, jaka powinna się odbyć, by zbliżyć nas do stanu innych, wyżej stojących społeczeństw. Kwietyzm życiowy naszej inteligencji jest jeszcze bardziej rażąco jej właściwością, aniżeli apatia gospodarcza mas ludowych.

Pragniemy wszyscy mierzyć się z Zachodem. Jest to nie tylko cel naszej ambicji, ale i nasza konieczność dziejowa. Ale duchowo zanadto tkwimy w zakorzenionych nawykach wschodu. Dla ogromnej większości ludu ideałem życiowym jest, aby spokojnie przeżyć, czyli wegetować przy ograniczeniu potrzeb do minimum. Tam się tłumaczy ogromnie niska wydajność naszych gospodarstw rolnych mniejszych. U nas produkują one mniej z przestrzeni od większych, podczas gdy na Zachodzie jest wprost odwrotnie. Co zaś do naszych pracodawców to ogromna większość patrzy na swoje warsztaty nie jako na pole do stosowania na ich podłożu własnej energii kierowniczej, a jedynie jako na nabyte prawo do wygodnej egzystencji o wyższym od innych poziomie potrzeb, bez konieczności codziennej systematycznej pracy.

Całe życie nasze zbiorowe, szkoły, stowarzyszenia, kooperatywy i wszelkie organizacje życia publicznego, powinny się przejąć odpowiedzialnością za losy wychowania naszego narodu. Każde z tych ogniw powinno być świadome, że służy ono do celów wytworzenia selekcji elementów czynnych i do wykorzeniania pasożytnictwa. Dziś jest często wprost odwrotnie. Różne placówki, to przytulki dla osób, które szukają jedynie sposobności dla spokojnej egzystencji. Gdy kto chce kogoś nie zdanego usunąć, patrzą na niego jako na człowieka bez serca. Taki stan rzeczy musi być radykalnie zmieniony. — Kto nie usuwa nieudolnego człowieka z widowni, ten powinien czuć, że staje się winnym poniżania naszej Ojczyzny i osłabiania jej odporności.

W tym względzie musi się wytworzyć zupełnie odmienna od dzisiejszego psychika we wszystkich sferach kierowniczych naszego życia publicznego. O ile to nie nastąpi, będziemy wciąż tylko narzekali, że wszędzie jest źle i że sami sobą rządzić nie potrafimy, nie tylko w zakresie życia państwowego ale i społecznego. W tem ostatniem łatwiej o zmianę psychiki kierowniczej. Ono rozwinęło się bowiem pod wpływem czynników idejowych w znacznej mierze i pewnego poziomu idejowego w zakresie tego życia przedewszystkiem wymagać należy. Tylko oczywiście nie można uważać, by poziom idejowy różnych placówek można by mierzyć przynależnością partyjną. Poziom ten musi być wyraźnie zarysowany w postaci wymagania dodatnich rezultatów w zakresie czynności każdej jednostki na danej jej placówce. Wynik pracy na placówce społecznej, to najlepszy wskaźnik idejowości człowieka. Człowiekiem, który tak pojmował idejowość i pracę społeczną był ś. p. Romuald Mielczarski. Takich ludzi musimy mieć legjony całe, a będziemy wtedy zupełnie innym społeczeństwem. Takich ludzi mamy już trochę. Ale są zamało rozumiani i naśladowani. Najwięcej ich jest w kooperacji wszelkiego typu. Obok nich jednak

i w kooperacji są inne charaktery, które dla selekcji wzwyż naszego społeczeństwa się nie nadają. Z tego powodu kooperacja nie daje dostatecznych rezultatów.

Pracodawcy jako część sfer kierowniczych społeczeństwa muszą stać na pewnym poziomie charakteru, by odpowiedzieć zadaniu swemu w myśl założeń przezemnie postawionych. Ci z pracodawców, którzy patrzą na swoje stanowisko jako na prawo do otrzymania renty życiowej, są typowymi konsumentami. Większości naszych pracodawców producentami nazwać nie można.

Wśród właścicieli ziemskich bardzo częsty jest typ ludzi, którzy są typowymi konsumentami. Z posiadanych warsztatów nie umieją oni wyciągać dochodów, zawsze znajdując na swe usprawiedliwienie wyjątkowe okoliczności. Nie umieją sami gospodarować, nie mogą się zdobyć ani na powierzenie majątku zdolnym zarządzającym, ani na wypuszczenie ich w dzierżawę. Wśród dzierżawców zdarza się wielu takich, którzy umówionego czynszu również nie umieją wygospodarować. Wielu przeto właścicieli obawia się wypuszczać majątki w dzierżawę. Taki stan rzeczy jest wysoce chorobliwy. Poprawić go może podniesienie wykształcenia fachowego samych producentów. Pod tym względem widzimy znaczny pęd do postępu wśród młodego pokolenia.

Ale czy nie mniej gorszącym od tego faktu, że właściciel większego warsztatu rolnego nie umie wyprodukować samemu tyle, co mógłby dać dzierżawca, jest, gdy widzimy, że wśród drobnych rolników, związanych w kółka rolnicze, do których dojeżdżają instruktorzy rolnicy, panuje zastój i zacofanie w produkcji gorsze niż w okolicznych folwarkach, w których pracują najemnicy. Na całym świecie cywilizowanym praca na własnym zagonie jest lepiej wykonywana, niż na cudzym, tylko niestety nie u nas. Na szczęście i pod tym względem widoczny już jest postęp.

Jeden i drugi podkreślany przezemnie fakt dowodzą, że brak nam wyrobienia materiału ludzkiego przedewszystkiem. Materiał ludzi urabia się pod wpływem samego życia i jego konieczności, urabia się pod wpływem otoczenia i wpływu instytucji publicznych.

Najbardziej odpowiedzialne dla przekształcenia naszego społeczeństwa stoi zadanie przed naszym szkolnictwem. Ma ono dać nam nowe pokolenie. To pokolenie powinno być dzielniejszym od obecnego. Ono będzie musiało wytrzymać wielkie zmagania się dziejowe, jakie nas czekają. Czy ono podoła? Jest to wielka troska, od której nikt nie powinien czuć się wolnym.

Niestety nie widzę, by kierownicy naszego wychowania publicznego świadomi byli tego, że na nich spoczywa obowiązek wyrobienia społeczeństwa tęższego, zdolniejszego do pracy wytwórczej, bardziej karnego w życiu zbiorowym, bardziej odpornego na podmuchy nieprzyjazne. Troski tego kierownictwa poszły w innym kierunku. Postawiono sobie cele od potrzeb życia i społeczeństwa oderwane, a pedagogicznie sporne, tak, że wciąż odbywają się reorganizacje, które zresztą nic a nic nie zmieniają złego stanu rzeczy, nauczanie jest płytkie, nie wyrabia szczególnej inteligencji, której objawów nie widać, a zaniedbuje najprostsze potrzebne rzeczy. Profesorowie politechniki stwierdzają, że wstępujący studenci nie umieją prostych działań arytmetycznych i nie umieją dokładnie na papierze najprostszych rzeczy nakreślić, profesorowie uniwersytetu stwierdzają, że nie umieją w najprostszych rzeczach się wypisać. Jednocześnie kończący wieloklasowe szkoły początkowe ludowe nie umieją tabliczki mnożenia. A może ta młodzież nauczyła się samodzielności myślenia? Żadna uczelnia wyższa tego nie stwierdza. Nie można też stwierdzić tego u wychowanców szkół ludowych.

Wychowanie szkolne dzisiejsze daje przedewszystkiem w wyniku swoim powierzchowność usposobienia. To samo odnosi się do szkół powszechnych, jak i do średnich. A to czego nam najwięcej brak w naszym usposobieniu, to gruntowności. Powierzchowność na tle ogólnej bierności charakteru daje szarą przeciętność. Na tle takiej szarzyzny ogólnej żywsze jednostki mogą dawać jedynie typy pretensjonalne i powiększą liczbę mal-kontentów. Obawiam się, że idziemy po fatalnej drodze. Nikt na to nie zwraca uwagi. Robią się różne projekty, które omijają zupełnie najważniejsze zagadnienia, a obracają się koło takich, które tylko akcentują obecne niedomagania.

Jeżeli szkoła początkowa ma przygotowywać do średniej a średnia do wyższej, to wygląda to tak, jakbyśmy uważali, że przeznaczeniem i celem każdego z milionów naszej ludności jest szkoła wyższa i że tylko brak funduszy lub zupełna tępota umysłu ma jednak skazywać większości ludzi na to, że szkoły wyższej nie skończą. Słuszną jest rzeczą,

by umożliwić jednostkom z ludu wybijanie się wzwyż. Działo się to w różnych epokach, a dziś musi się to odbywać w większym stylu. Ale to może się odnosić tylko do jednostek. Ogół nigdy nie może oderwać się od warunków swojej zwykłej egzystencji. Idzie o to, by tę egzystencję opromienić i podnieść, a tego się nie osiągnie, gdy szkoła powszechna będzie służyła za stanowisko do przygotowania jednostek do szkół średnich. Szkoła powszechna powinna wyrabiać przyszłego typowego członka społeczeństwa polskiego, ciężko pracującego na chleb codzienny, przysposabiając go do tego, by umiał pracą swoją więcej chleba przyspożyć sobie i społeczeństwu całemu. Bez ciężkiej pracy ogromnej większości społeczeństwa żaden kraj nie był nigdy silny i my nim nigdy nie będziemy. Świadomość tego musi wszędzie przenikać. Ciężka praca jest złym losem, gdy daje marne wyniki i liche wynagrodzenie. Ciężka praca umiejętnie użyta jest podstawą bogactwa ludzi i narodów, a jest ona taką, gdy jest opromienioną rozumem i gdy się dobrze oplaca. Obawiam się, że ogromna większość rozumuje tak, że na to człowiek się uczy, by ciężko nie potrzebował pracować. A gdy okazuje się to niemożliwym, następuje rozczarowanie i zniechęcenie do życia, do społeczeństwa, do rządu i do państwa własnego. Ciężko powinien pracować nie tylko włościanin i robotnicy ale i pracodawcy, każdy w swoim zakresie. Ciężka praca to taka, w którą się wkłada duży nakład wysiłku.

Wysiłeków większych niż te, które dziś dajemy potrzebujemy nie tylko w pracy gospodarczej, ale i intelektualnej, artystycznej i wszelkiej innej. Nie tworzy się nic bardziej wartościowego bez większego wysiłku. Unikanie wysiłków to spadanie w dół w życiu cywilizacyjnym.

Szkoła musi wymagać wysiłków umysłu, musi wyrabiać zdolność do wysiłków w właściwym zakresie, a wytwarzać zamiłowanie do natężenia woli i umysłu, jako ogólnego i podstawowego tła charakteru ludzkiego. Szkoła powszechna ma największe znaczenie dla urobienia charakteru gospodarczego ludzi. Ona ma większe znaczenie dla rozszerzenia umiejętności rolniczych od kółek rolniczych i odczytów dla ludu, bo, gdy szkoła powszechna nie stworzy typu człowieka, któryby miał skłonność do korzystania wiedzy ludzkiej, to wszelka propaganda będzie jałowa i rutyna będzie w kleszczach swych trzymała wie, gminy i powiaty całe.

Dwie trzecie Polaków, to wieśniacy, — drobni rolnicy. Dzieci ich pozostaną drobnymi rolnikami. Inaczej być nie może. Więc dla dwóch trzecich dzieci w całej Polsce szkoła powszechna powinna dawać to wszystko, co jest konieczne jako wstęp do tego, by przyszłe pokolenie drobnych rolników mogło i chciało dwa razy tyle produkować z jednostki przestrzeni roli, by umiało i chciało obracać owoce swej pracy na podniesienie swego poziomu kulturalnego i na wzbogacenie państwa i społeczeństwa.

W tym celu potrzeba urobić umysł i charakter wieśniaków. Trzeba wyrobić gruntowność usposobień, zamiłowanie dokładności, ścisłości w rozumowaniu, pozytywnego ujmowania zjawisk przyrody, systematyczności i porządku. Jest to nadzwyczaj płodne pole pracy, by to wszystko wyrobić. Szkoły powszechne w Finlandji potrafiły zaszczerpić te zalety charakteru plemionom fińskim, podczas, gdy też same plemiona w Rosji pozostające, odznaczały się brudem, niechlujstwem i ubóstwem.

Szkoła powszechna powinna być uznaną za typ nauczania, mający własne cele na widoku, a nie za pierwszy szczebel dla całego dalszego kształtowania jednostek ludzkich. Po skończeniu szkół powszechnych będzie jeszcze miejsce dla kursów krótkotrwałych dla dorastających, nie odrywających od zajęć zarobkowych. Komplet takich kursów może nawet stanowić rodzaj uniwersytetów ludowych. Pójście po tej drodze będzie ewolucją dużo zdrowszą niż dążenie do tego, by szkoła powszechna i średnia stanowiły jedną całość.

Nie przeszkadza to wcale temu, by zdolniejsze jednostki mogły ze szkoły ludowej przechodzić do szkoły średniej i iść następnie wzwyż. Ale dlaczego te jednostki nie mają przechodzić do szkoły średniej już z niższych klas szkoły powszechnej, a mają koniecznie najpierw kończyć całą szkołę powszechną, jeżeli istotnie okazują one takie uzdolnienia (ściśle naukowe), które w nauczaniu średnim i wyższym nabierają dopiero większych walorów, a w życiu praktycznym nie mają większego znaczenia.

Natomiast do szkół zawodowych, nie tylko niższych, ale i średnich, szkoła powszechna powinna dawać właśnie najlepsze przygotowanie. A średnia szkoła zawodowa powinna dawać te same prawa co średnia ogólna, aż do prawa zdawania egzaminu dojrzałości z da-

leko idącymi ułatwieniami. Natomiast w szkołach średnich egzamin dojrzałości winien być obostrzony tak, by służył on idei koniecznej selekcji i wyrobienia przyszłych warstw kierowniczych naszego społeczeństwa.

Pogląd mój na szkołę powszechną, jako na typ w sobie skończony wypływa z istoty rzeczy. Przecież ogromna większość społeczeństwa zawsze na tej szkole poprzestać będzie musiała. Nie zastosowanie szkoły do potrzeb większości jest antydemokratyczne. Jeżeli widzimy dziś co innego, wypływa to z tego, że niektóre tendencje zaciemniają sprawę. Wypływają one z błędnego patrzenia na społeczeństwo, jako na zbiór pewnych jedynie indywidualności. Jest to pogląd płytki, a ogromnie zakorzeniony.

Na programy szkolne i na podręczniki właśnie ten pogląd wywiera dominujący wpływ. Jeżeli patrzeć na społeczeństwo, jako na zbiorowość, wypadnie do charakteru tej zbiorowości dostosowywać programy i podręczniki, czego dziś wcale nie widzimy. Negowanie czynnika środowiska społecznego robi właśnie nauczanie najbardziej płytkim i powierzchownym. W miastach mniej to jest rażącym, niż po wsiach. Tutaj panuje zupełny brak świadomości celów nauczania szkolnego i najsłabsze są widoczne rezultaty.

O tem, że musimy zdobyć się na to, by nasze następne pokolenie było od nas silniejsze ekonomicznie, wyższe społecznie oraz bardziej politycznie odporne, tak, by mogło ono wytrzymać wielką próbę dziejową, jaka nas jeszcze czeka, nieraz się przekonałem, w czasie przeżywania doświadczeń moich dwuletnich rządów i przy ich rozpamiętywaniu. Dlatego też pragnę, by troska o to przeniknęła jako postulat naczelnym w świadomość opinii publicznej naszego ogółu i by natchnęła w odpowiednim duchu siły kierownicze zarówno naszego wychowania publicznego, jak i samorządu, i całego naszego życia publicznego.

ZAKOŃCZENIE

Nie chcę mnożyć wniosków, jakie się nasuwają w postaci wyników doświadczeń w ciągu dwóch lat przeżytych. Wiele z tych wniosków mogłyby okazać się jeszcze przedwczesnymi, inne byłyby może nie na czasie. Szło mnie o to, by na te przeżyte lata nie patrzono jako na okres zmarnowania tych lub innych wysiłków. Gdy cel całkowity nie jest osiągnięty, żałuje swoich wysiłków tylko taki naród, dla którego wysiłki to ofiara. Ale patrząc tak na rzeczy, nigdy się celu całkowitego nie osiągnie. Pojmowanie wysiłków jako ofiary jest cechą społeczeństw biernych, niezdolnych do życia i do zwycięstwa. Chcąc dojść do celu, trzeba w każdej fazie rozwoju życia wzmocnić pozycję już zdobyte, a te które zostały stracone, uważać za stratę przemijającą, którą odrobić następnie można i należy. Wtedy nad wysiłkami, które nie dały pełnych rezultatów, nie rozwodzi się żalów i rekryminacji, ale wyciąga z nich wskazania i dąży do ich dalszego, ale bardziej skutecznego natężenia.

Polska ma znacznie mniejsze obciążenie długami zagranicznymi, niż jakiegokolwiek inne państwo na naszym kontynencie. A przecież Polska musiała przetrzymać wielką nawałę ze wschodu w 1920 roku i wielki nieurodzaj w 1924 i 1925 roku. Zdołała ona sprostać tym klęskom żywiołowym o własnych przeważnie siłach. Jednocześnie Polska uratowała się sama z toni hyperinflacji, z której wyjście inne narody i państwa szukały głównie w pomocy obcej, choćby kosztem rezygnacji z wielu istotnych praw. Polska przeprowadziła zasadniczą reformę walutową zupełnie samodzielnie, własnymi jedynie środkami.

Fakty dziejowe, które niezbitnie miały miejsce, cyfry, które wszędzie są widoczne, oto dowody tego, że Polska to wielka rzecz.

Danem mnie było przez dwa lata pracować nad tem, by Polska stawiała się tą „wielką rzeczą”. Polska musi się stawać „wielką rzeczą” nieustannie. Musi się stawać „coraz większą rzeczą”, nie terytorjalnie oczywiście, a w zakresie nagromadzenia wewnętrznych wartości materialnych i moralnych. Taka jest konieczność dziejowa bytu naszego, na utratę którego cychają nieustannie siły nam wrogie, przeciwko którym będziemy mogli się ostać jedynie wielką wartością naszą wewnętrzną, jako państwa i narodu.

Uświadomić to sobie musimy, że los nasz jest przedewszystkiem w naszych własnych rękach, że troska o niego powinna być troską serc naszych, że sposoby walki z trudnościami muszą być wynikiem naszych własnych poświęceń, że podstawy naszej lepszej przyszłości muszą być wytworem naszej rodzinnej myśli twórczej.

Zapewne, że prościej i łatwiej jest rzeczą powiedzieć sobie, że skoro wiele mamy przed sobą trudności i nie raz już nie udawało się nam ich pokonać, to widocznie nie

jestemy przeznaczeni do tego, by odegrać w dziejach świata własną samodzielną rolę i że powinniśmy dopuścić, by inni nami pokierowali, dbając jedynie o to, by i nam żyć pozwolili.

Ale świat jest taki, że kto sam nie chce i nie czuje się na siłach, by iść na przekór przeciwnościom i nie jest gotów zmagać się nawet z wolą silniejszych od siebie, temu miejsce żadne zarezerwowane nie zostanie i spokoju sobie ustępliwością swoją nie odkupi.

Jest przeto dla nas koniecznością bytu, zdając sobie sprawę z wielkich trudności jakie napotykamy stale i zawsze, robić wszelkie usiłowania, by je opanowywać, licząc w pierwszym rzędzie na własne tylko siły, a korzystając z obcych sił o tyle tylko, o ile przychodzą one do nas bez żadnej chęci przewodzenia nad nami. Bo nigdy nie staniemy się równie mądrzy i silni jak ci, którzy dziś nad nami górują, czy siłą umysłu, czy kapitału, czy wpływu politycznego, jeżeli zgodzimy się na to, by ulegać w czemkolwiek cudzemu przewodnictwu.

To, co już jest poza nami dokonane w ciągu dziewięciu lat naszego odnowionego bytu państwowego, stanowi na wszystkich polach bardzo wiele. Ale to nie dość, bo brak nam przecież świadomości, żebyśmy zdolni byli wytrzymać burzę dziejową, gdyby się nad nami zerwała. A dla takiej wytrzymałości, którą ponieść musimy, Skarb, waluta, kredyt i produkcja są to elementy życia i śmierci, nie mniej zasadnicze, niż te, które w chwilach burz wszelkich bezpośrednio wchodzą w grę.

Wiele lat los nam przeznacza na to, byśmy stanęli w pełnym rynsztunku jako naród i państwo na terenie zmagania się sił dziejowych, tego nie wiemy. A więc spieszyć się musimy, by nie być zaskoczonymi. A więc wysilać się musimy, by nie być zdystansowanymi. A więc zespałać się winniśmy, by nie być cudzą przewagą zmiażdżonymi. A więc wznosić ducha własnego winniśmy, by nie być poniżonymi.

A gdy każdą chwilę, każdy czyn i każdą myśl naszą skierujemy ku spełnieniu tego, czego Opatrzność od nas wobec Ojczyzny wymaga, nie żal nam będzie naszych trudów i wysiłków, bo obróć się one na sprawę najdroższą, jaka być może: zapewnienia naszemu państwu takiego miejsca na świecie, które by dało pełny wyraz sił ducha ludzkiego tkwiących w narodzie naszym.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dwa-lata-pracy-u-podstaw-panstwowosci-naszej/>

Tekst opracowany na podstawie: Władysław Grabski, Dwa lata pracy u podstaw państwowości naszej (1924-1925), nakł. Księgarni F. Hoesicka, Warszawa 1927.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0253-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).